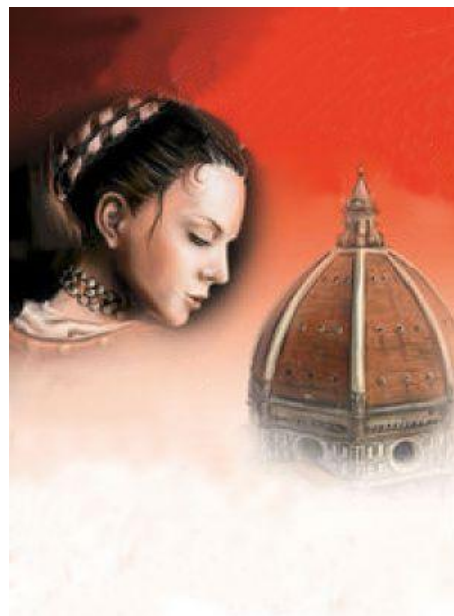




KLASYKA ROMANSU ŚWIATOWEGO

Juliette Benzoni

Fiora i Wspaniały



TLR

Wszystkim, którym się podobała *Katarzyna, Marianna i Sokół*,

Z wyrazami przyjaźni...

J.



PROLOG

SZAFOT

DIJON 1457

Gdy na końcu starożytnej rzymskiej drogi pojawiły się mury miasta, Francesco Beltrami popędził konia, który przeszedł w żwawy kłus, jakby przeczuwając, że niedaleko już do stajni, choć była ledwie połowa dnia. Mała kawalkada ludzi i obładowanych mułów dostosowała się do nowego tempa jazdy.

Młody florencki kupiec kochał Burgundię, której winami- jako epikurejczyk - się zachwycił, a zwłaszcza jej stolicę Dijon, z której książęta uczynili jedno z najpiękniejszych miast Europy, mimo że sami z rzadka tylko tam rezydowali. Oczy Francesca, przyzwyczajone od wczesnego dzieciństwa do poszukiwania piękna, dostrzegały je w przepychu płomiennego gotyku kościołów, siedzib patryejuszy i wspaniałego pałacu książęcego, cyzelowanego - niczym puzderko - pod podwójnym wzniesieniem wysokiej wieży o iglicy zdobionej złotem i Świętej Kaplicy pod wezwaniem rycerskiego zakonu Złotego Runa, który zasłynął we wszystkich chrześcijańskich królestwach, a nawet poza nimi.

Gwoli prawdy dodać należy, że zabytki nie były jedynym ośrodkiem zainteresowania florentczyka i że pewna oberża przy ulicy prowadzącej do

Bramy Wilhelma odgrywała znaczną rolę w entuzjazmie, jaki ogarniał go za każdym razem, gdy planował popas w Dijon w związku z podróżami do Francji lub Flandrii w interesach. Doceniał tamtejsze specjalności kulinarne, ale także komfort, równy, a może nawet przewyższający najlepsze prywatne domy, oraz uprzejmą, uśmiechniętą przyjacielską gościnę, zapewnianą mu przez mistrza Hugueta i jego żonę Bertę, jako jednemu z najwierniejszych zagranicznych klientów „Złotego Krzyża”.

Tego grudniowego poranka chłód był przenikliwy. Woda zamarzła w rynsztokach i na okapach dachów, obciążonych już warstwą śniegu. Francesco, otulony w grubą burkę, z kapturem zsuniętym aż na oczy i w futrzanych rękawicach, chroniących jego ręce przed zimnem, był niezwykle radosny i zadowolony z życia. Może dlatego, że był młody, pełen wigoru i bogaty, że w sercu miał spokój i podążał raz obraną drogą, pewny zarówno swojej teraźniejszości, jak i przyszłości, z tym żdźbłem egoistycznej satysfakcji, charakteryzującej kawalerów zdecydowanych pozostać nimi nadal.

I nie dlatego, by następca Nicola Beltramiego, jednego z najzaciejniejszych mistrzów *arte di Calimala*, zajmującego we Florencji wysoką pozycję, był brzydki lub brakowało mu okazji. Niejedna córka przyjaciela ojca, bankiera, lub kogoś szlacheckiego rodu, kierowała wzrok na tego trzydziestoletniego, ponad podziw wykształconego kawalera o otwartej twarzy, ciele wytrenowanym przez liczne ćwiczenia i czarnych oczach, które mogły przybierać łagodną głębię aksamitu. Nie zdarzało się to często, albowiem Francesco nie ufał kobietom.

Naturalnie, tak jak każdy normalny mężczyzna, miał kochankę. Nie była nią wciąż ta sama kobieta, gdyż zdarzało mu się je zmieniać, jednakże wy-

bierał zawsze najpiękniejsze - dla przyjemności ich strojenia - lecz nie nadto inteligentne, by zaoszczędzić sobie kłopotów. Bardzo dobrze czuł się w tym układzie, który był przyczyną tylu ojcowskich smutnych westchnień. Starszy pan Beltrami pragnął bowiem zawsze, by w jego miejskim pałacu i uroczej willi w Fiesole rozbrzmiewały dziecięce głosiki. Niestety, opuścił ten padół trzy lata wcześniej, nie doczekawszy się tego szczęścia. Dla Francesca czas ów jeszcze nie nadszedł, a Nicolo poważnie się obawiał, że już nigdy nie nadejdzie.

Nagła śmierć ojca sprawiła ból młodemu człowiekowi, tym dotkliwszy, że była niespodziewana. Kupiectwo stało się wtedy dla niego na tyle zadowalającym sposobem skupienia uwagi, że poświęcił się mu bez reszty. Jego przyjaciele i kochanki widywali go odtąd rzadziej, gdyż zaczął dużo podróżować, i to zarówno dla rozwinięcia handlu, jak i w związku z nowym zamiłowaniem do długich tras, odkryć i swego rodzaju przygody.

Czuł się więc całkiem zadowolony z siebie i swego losu, gdy się zbliżał do Bramy Ouche, za którą otwierała się jedna z głównych ulic miasta, biegnąca z północy na południe. Jednakże, ledwie minął szeroką fosę, cuchnącą odorem z pobliskich garbarni, mimo warstwy lodu na powierzchni, i kamienną strażnicę, gdzie czuwali zziębnięci żołnierze, doznał nagłego wrażenia, że spada na niego obłok mgły, który przesłania jego radość. Nie wiedział, czemu jego serce ścisnęło się, jakby nadchodziło nieokreślone zagrożenie. Przyczyną tego był może niecodzienny wygląd miasta...

Przed nim rozciągał się opustoszały plac, do którego dochodziła rozszerzająca się ulica Ouche. Sklepiki były zamknięte bądź właśnie je zamykano, a nieliczni przechodnie przemykali się zgarbieni, z rękami schowa-

nymi przed zimnem pod odzieniem, jakby przed kimś uciekając. Wszyscy zmierzali w tym samym kierunku, i sądząc po hałasie dobiegającym z centrum miasta, zamierzali dołączyć do jakiegoś zgromadzenia. I wtedy nagle rozległ się głos dzwonu żałobnego... Posępne dźwięki płynęły wolno z wysokiej dzwonnicy kościoła Świętego Jana, znajdującego się najbliżej Bramy Ouche.

Zaintrygowany Francesco podszedł do jednego z pełniących straż łuczników i lekko uchylił czapki przybranej futrem kuny.

- Mógłbym spytać, co tu się dzieje, przyjacielu? Dokąd idą ci wszyscy ludzie? Czyżby wybuchły jakieś zamieszki?

Odsuwając rękawicą żelazny hełm z czoła, łucznik przyjrzał się przez chwilę podróżnemu, ubranemu z wyszukaną elegancją.

- Gdyby to były zamieszki, słysząc byłoby bicie na alarm - powiedział bez nadmiernej grzeczności. - To dzwon żałobny!

- Potrafię rozpoznać dzwon żałobny, a ty nie odpowiadasz na moje pytanie. Czy ktoś zmarł?

- Jeszcze nie, ale wkrótce to nastąpi. Blisko stąd, na Morimont, odbędzie się egzekucja. Tam właśnie wszyscy idą i powinieneś się pospieszyć, panie, jeśli nie chcesz spóźnić się na widowisko...

- Nie lubię patrzeć, jak ktoś umiera. Chciałbym tylko jak najszybciej dotrzeć do obozu „Złoty Krzyż”...

- Najkrótsza droga wiedzie przez Morimont. W przeciwnym razie trzeba by zawrócić, okrążyć połowę miasta wzdłuż murów obronnych i wejść ponownie przez Bramę Wilhelma. Gdybym był na twoim miejscu, panie, wybrałbym prostszą drogę. Ta egzekucja niepodobna będzie do innych.

Kat, mistrz Arny Signart, straci skazanych ze stanu szlacheckiego: brata i siostrę. Podobno sypiali ze sobą, a dziewczyna jest piękna jak anioł - dorzucił żołnierz z westchnieniem, które zdradzało żal, że nie może uczestniczyć w tym, co nazywał widowiskiem.

Beltrami rzucił mu wyciągniętą z sakiewki drobną monetę, którą żołnierz złapał w locie z grymasem zadowolenia, podczas gdy florentczyk przywołał gestem Marina, dowódcę poganiaczy mułów, pomagającego mu zawsze w podrózach.

- Co robimy?

- Lepiej iść do przodu, ser Francesco. Ze zwierzętami jakoś przejdziemy, a w każdym razie będzie szybciej, niż idąc dookoła.

- Masz bez wątplenia rację. Ruszajmy więc!

Kilka chwil później mały oddział dotarł do południowo-zachodniego rogu rozległego prostokątnego placu, przy którym wznosiła się piękna rezydencja opatów z Morimont, i który był zwyczajowym miejscem egzekucji.

Francesco wielokrotnie już przejeżdżał przez ten plac, zazwyczaj pustawy, jeśli nie liczyć ponurego urządzenia, które zajmowało jego środek: długiej, drewniano-murowanej platformy, wznoszącej się dwa metry ponad ziemią. Na jednym końcu podestu znajdowała się szubienica, na drugim koło, a pośrodku, u stóp wysokiego kamiennego krzyża, katowski pień. Tego dnia jednak tłum, z trudem powstrzymywany halabardami, dzierzonymi poziomo przez żołnierzy, usiłował dotrzeć do słupów szafotu. Ludzie stali we wszystkich oknach, na dachach domów - choć były śliskie - na młynie Karmelitów, i oczywiście na słupkach służących do wsiadania na konie

przy rezydencji opatów z Morimont, których zwierzchnik był nieobecny, przebywał bowiem w swoim opactwie, jednym z najznacześniejszych w diecezji Langres.

Dzwon wciąż bił żałobnie i kiedy florentczyk, niezbyt zainteresowany widowiskiem, usiłował przepchnąć swego muła przez tłum, aby jechać dalej, napotkał gniewny opór, który jakaś przekupka wyraziła kilkoma wyszukanymi przekleństwami, połączonymi z radą, by zachowywał się spokojnie, dopóki wszystko się nie skończy...

- A co mnie obchodzi wasza egzekucja! - wykrzyknął zniecierpliwiony Beltrami. - Chcę tylko jechać swoją drogą. Zróbcie mi miejsce!

- Nie możemy, nawet gdybyśmy chcieli. Prowadzą już skazanych. Stój więc spokojnie, kawalerze, i pozwól nam popatrzeć!

Coś jakby głębokie westchnienie wyrwało się z piersi zebranych na widok wozu, wokół którego lance żołnierzy tworzyły rodzaj palisady. Wszyscy wyciągnęli szyje, ale zamiast wrzasków, które zazwyczaj towarzyszą pojawieniu się skazanych, zapadła głęboka cisza. Słysząc było tylko dzwon i skrzypienie kół ponurego zaprzęgu. Kobieta, która wcześniej obrzuciła Francesca wyzwiskami, przeżegnała się powoli i głosem zduszonym z emocji wyszeptała:

- Panno Przenajświętsza! Jacy oni młodzi!... Jacy piękni!...

Jak skamieniały, z szeroko otwartymi oczyma i wyschniętym nagle gardłem, patrzył Francesco na dwoje młodych ludzi, którzy zdążali ku śmierci - bardzo młodych: chłopak nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, a jego towarzyszka siedemnaście lub osiemnaście. Byli do siebie niezwykle podobni i równie niezwyklej urody. Takie same twarze o czystych rysach,

identyczne szare oczy, jednakowe godność i odwaga. Oboje śmiało spoglądali na wielki, przykryty czarną tkaniną szafot, na którym czekał już kat wraz z pomocnikami. Różnił ich jedynie kolor włosów; jego bowiem były tak czarne jak jej były jasne. Podobnie dobrane były ich wytworne szaty: oboje mieli na sobie haftowany złotem, jasnoszary aksamit. On nie miał nakrycia głowy, ją natomiast zdobił koronkowy hennin*¹, nadający jej wygląd panny młodej idącej do ołtarza. Nie spętano ich łańcuchami i młodzi mogli trzymać się za ręce. Nikt nie powiedziałby, że to skazańcy, tak bardzo wyglądało to na triumfalny przejazd. Za nimi jakiś staruszek ksiądz płakał, opierając twarz o splecione dłonie.

Francesco przypomniał sobie, co na swój pospolity sposób powiedział żołnierz: te dzieciaki były rodzeństwem... i kochały się. Właśnie za to kazirodztwo miały zapłacić życiem... Jakie to dziwne! Jeszcze dziwniejsze było zachowanie tłumu, w którym ludzie nie wznosili okrzyków, nic nie mówili, a niejedna kobieta i niejeden mężczyzna płakali... Nagle rozległ się czyjś lament:

- Łaski! Łaski dla ich młodości!...

Dołączyły inne, coraz liczniejsze głosy, a wśród nich głos podróżnego. Francesco poczuł się częścią tego zrozpaczonego tłumu, odnosząc przy tym przerażające wrażenie, iż jego własne życie związane jest z życiem tej cudownej kobiety i że nic nie jest w tej chwili dla niego ważniejsze niż wy-

¹ *hennin - kobiece nakrycie głowy w kształcie mocno wydłużonego stożka, noszone w Europie w XV wieku

rwaniu jej z rąk przeznaczenia... Rozległ się sygnał trąbki i siedzący na koniu oficer, który towarzyszył skazanym, krzyknął z góry:

- Wyrok ma być wykonany! Książę nie skorzystał z prawa łaski!

Tłum zawrzał i Francesco poczuł nadzieję, że wszyscy ci ludzie rzucają się na szafot, by mu wyrwać jego ofiary, ale już po chwili wrzawa przycichła, zmieniła się w pomruk, a na końcu w pełną osłupienia ciszę. Stary książę Filip wprawdzie był zwany Dobrym i bardzo lubił kobiety, ale potrafił mieć twardą rękę i wszyscy o tym dobrze wiedzieli.

Dziewczyna sama odważnie zbliżyła się do czekającego na nią zamaskowanego kata. Ujęła zgrabnym ruchem długą spódnicę i uprzejmie odmówiła przyjęcia pomocy wykonawcy egzekucji, którego ręka lekko drżała. Wspiąwszy się na szafot, wzięła głęboki oddech, przeżegnała się i popatrzyła przez chwilę na niebo, gdzie nieśmiały promyk słońca usiłował przedrzeć się przez chmury. Później uśmiechnęła się do tłumu, zdjęła z głowy hennin i opuściła go na ziemię. Wreszcie uklękła, sama odgarnęła lśniące loki i złożyła kruchą szyję na grubo ciosanym pniu. Pod szafotem ksiądz ojcowskim ruchem objął chłopca i ukrył jego twarz w swym ramieniu. Tłum wstrzymał oddech.

Ledwie był czas, żeby zobaczyć błysk stalowego ostrza ciężkiego, oburącz trzymanego miecza. Było po wszystkim. Pomocnicy kata spieszenie robili miejsce dla następnej ofiary. Jeden z nich, zapewne przez niezręczność lub z powodu wzruszenia, odsuwając ciało dziewczyny zadarł jej spódnicę, ukazując czerwone jedwabne pończochy. Oburzony tłum zawrzał. Kat, mistrz Arny Signart, rzucił się na niego i z rozmachem spoliczkował niedołęgę, który upadł na skrwawione płótna, a potem chwytając go jedną ręką

zmusił do ukłęknięcia przed wiotkim ciałem ofiary na znak pokuty. Usatysfakcjonowany tłum zaszumiał.

Przyszła kolej na młodzieńca. Już wyrywał się z objęć księdza i wspinał na platformę, gdzie podniósł jasnowłosą głowę, by po raz ostatni ją ucałować i padł na kolana.

- Pośpiesz się, kacie! Spieszno mi do niej... ?

- Nie obawiaj się, panie! Nie będę zwlekać.

Miecz uniósł się. Kolejny błysk, następne uderzenie i głowa chłopca potoczyła się obok głowy dziewczyny. Nie było już nic więcej do oglądania i ludzie zaczęli się rozchodzić przyległymi ulicami pośród głębokiej i niezwykłej ciszy.

Dzwon żałobny wreszcie przestał bić. Francesco jednak nie odchodził. Przeciwnie: pozostawiwszy konia Mannowi podszedł do szafotu, gdzie ksiądz modlił się na klęczkach, narzuciwszy całuny na okaleczone ciała. Kat i jego pomocnicy spoglądali nie ośmielając się przerwać jego modlitwy, gdy nagle pojawił się bogato odziany mężczyzna w czarnej opończy podbitej popielicami. W zimnym powietrzu rozległ się jego głos, przenikliwy i złowieszczy, niczym krakanie:

- A więc, mistrzu Signart, na co czekacie z zabranieniem tego, co się wam zgodnie z prawem należy? Czyżby ubrania skazańców nie należały się już katu?

Ksiądz przerwał modlitwę i podniósł na mężczyznę wzrok pełen bólu i przerażenia. Jednocześnie rozpostarł ręce nad ciałami ofiar w śmiesznym, lecz wzruszającym geście obrony:

- Proszę o szacunek dla śmierci, panie Régnault! W imię Boga, który cierpiał na krzyżu, niech pan odejdzie. Pańska zemsta się dokonała.

- Będzie ona pełna dopiero wtedy, gdy ci nędznicy zostaną wrzuceni do cuchnącego dołu, który na nich czeka. No jazda, kacie, bierz co ci się należy! Rozbieraj ich!

Kat, nie odpowiadając, zmęczonym ruchem zdjął maskę, czyniącą go bezosobowym wykonawcą wyroków sprawiedliwości, i ukazał surową i smutną twarz, którą okalała siwa broda.

- Nie, panie, nie chcę tych szat, choćby były nie wiem jak cenne. To nie przyniosłoby szczęścia... ani mnie, ani moim ludziom!

Człowiek w opończy nie zdążył odpowiedzieć. Wyrósł nagle przed nim Francesco, który podał katu kilka sztuk złota.

- Słusznie mówisz, mistrzu! Ponieważ jednak prawo jest prawem, kupuję od ciebie te ubrania. Możesz pochować ich w odzieniu, padre!

- Do czego się mieszasz, panie? - zagrzemiał mężczyzna nazwany przez księdza Régnaultem. - Mam wszelkie prawa do tych dwojga, zresztą zostali oni potępieni.

Z bliska Régnault był odrażający z powodu nienawiści, która demonicznie wykrzywiała jego długą twarz o żółtej skórze i okrutnych, świdrujących oczkach. Osobnik ten wydierał żółć wszystkimi porami swojej wstrętnej skóry. Gdyby jeszcze w szerokich ustach o poczerniałych zębach miał rozdwojony język, zupełnie przypominałby węża.

Francesco poczuł gwałtowny przypływ gniewu i chwycił mężczyznę za ubranie:

- Potępieni? Wszelkie prawa? Czyżbyś przypadkiem był Bogiem?

- Ta... ta kobieta... została mi poślubiona... - wycharczał na wpół udu-
szony mężczyzna.

- U nas Kościół naucza, że małżeństwo jest ważne, dopóki ludzi śmierć
nie rozdzieli. A to już nastąpiło. Wynoś się!

Chciał go zepchnąć z szafotu, ale ksiądz go powstrzymał. Łagodnie,
lecz zdecydowanie zmusił Francesca do zwolnienia uchwytu.

- Powiedziałaś, panie, co należało powiedzieć. Pozwól mu teraz odejść!
A ty, Régnaulcie du Hamel, pomyśl o wygnaniu nienawiści, która w tobie
mieszka, i proś Wszechmogącego, aby ci ją wybaczył!

Masując obolałe gardło, odrażający osobnik rzucił mordercze spojrzenie
florentczykowi i podszedł do schodów. Kiedy znalazł się na dole i poczuł,
że jest w bezpiecznej odległości od niespodziewanego wroga, pokazał mu
zaciśniętą pięść, śmiejąc się szyderczo:

- Nie wiem, kim jesteś, cudzoziemcze, ale całe tve złoto ci nie pomoże,
aby ta samica nie została wrzucona do dołu dla zadzumionych razem ze
swym współnikiem! Oto żołnierze, którzy tego dopilnują!

Istotnie, nadzorujący egzekucję sierżant zbierał swych ludzi wokół wo-
zu, któremu kazał podjechać. Francesco spojrzał pytająco na księdza. Ten
potrząsnął głową ze smutkiem.

- Niestety, on ma całkowitą rację! Te biedne dzieci nie mają prawa do
przyzwoitego pochówku. Wyrok był aż do tego stopnia okrutny. Miałem
nawet dużo kłopotu z uzyskaniem zgody na ich odprowadzenie. Zrobiłbym
to jednak nawet gdyby mi zabroniono. Rozumiesz, panie... byłem
przy ich urodzeniu.

- Idę więc z tobą, ojczy. Pozwól, że ci pomogę.

- Dlaczego chcesz to zrobić? Znałeś ich, panie?

- Ujrzałem ich dziś po raz pierwszy, ale wiem, że muszę to zrobić. Coś mnie do tego popycha.

- Obawiam się, że będziesz tego żałował, kiedy dowiesz się, za co ich skazano i jaką zbrodnię popełnili.

Francesco wzruszył ramionami.

- Byli rodzeństwem... i kochali się... za bardzo! Ktoś mi o tym powiedział. Tracimy jednak czas.

Razem zawinęli ciała w całuny i przenieśli je na wóz. Nagle Francesco zauważył porzucony na czarnym płótnie hennin z koronki. Podniósł go i trzymając w dłoniach ten uroczy drobiazg, który tak niedawno podkreślał niezwykłą urodę młodej zmarłej, poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Szybko schował go na sercu pod płaszczem i podszedł do swych ludzi, oczekujących przy wjeździe na plac.

- Czekaj na mnie w oberży „Złoty Krzyż” - rzekł do Marina. - Niedługo tam przyjdę. I ani słowa na temat powodu mojego spóźnienia!

- Nie znasz mnie, panie? Nikt nie piśnie słowa. Jesteś pewien, że nie będziesz potrzebował pomocy?

- Nie. Mam broń i złoto. To mi aż nadto wystarczy do obrony w razie potrzeby.

Trzymając konia za uzdę Francesco ruszył pieszo w ślad za wozem, na którym ksiądz, siedząc między dwoma ciałami, znowu zaczął odmawiać modlitwy. Przekroczyli Bramę Ouche i fosy, a później skręcili w stronę splekanego budynku, wznoszącego się w pobliżu drogi do Beaune, między

dawnymi garbiarniami a polem, na które odprowadzano miejskie ścieki. Miejsce było puste i cuchnące. Stał tam, opierając się na łopacie, jakiś mężczyzna o twarzy zasłoniętej chustką, zawiązaną z tyłu głowy. Widniejący u jego stóp dół, wykopany w grząskiej ziemi, tworzył czarną plamę w śnieżnym pejzażu. Właśnie w jego stronę skierował się mały orszak z podążającym za nim w pewnej odległości du Hamelem. Francesco nie mógł powstrzymać obrzydzenia na widok błotnistej dziury z widocznymi kawałkami kości; podszedł do sierżanta.

- Czy naprawdę nie można znaleźć żadnego innego miejsca pochówku niż ta cuchnąca dziura? - zapytał kładąc rękę na sakiewce.

Żołnierz powstrzymał go w pół ruchu.

- Nie, panie. To, o co prosisz, jest niemożliwe, taki był wyrok sprawiedliwości. Musi on zostać wykonany, ale - dodał ciszej - ciesz się, panie, że choć zostaną pochowani. Gdyby posłuchano jej męża, ciała tych nieszczęśników zostałyby zawieszane na skraju drogi, żeby powoli zgniły na wietrze, deszczu i pod uderzeniami kamieni, którymi dzieciaki nigdy nie omieszkają obrzucać skazanych na ten smutny los.

Francesco dał znak, że zrozumiał, i cofnął się. W kilka chwil później okropna jama zamknęła się nad szczątkami dwóch młodych i pięknych istot, które mogłyby żyć długo, szczęśliwie i beztrąsko, gdyby miłość nie zastawiła na nich jednej z najstraszliwszych pułapek, czyli namiętności przeciwnej naturze.

Niebo wydało się Francescowi bardziej szare, jakby straciło nagle część swej jasności, a zimno bardziej przenikliwe. Zwrócił się do starego księdza, ten, zziębnięty, szczelnie otulał chude ramiona czarnym płaszczem.

- Chciałbym z tobą pomówić, padre. Moi ludzie oczekują mnie w „Złotym Krzyżu”. Chodź ze mną, obaj potrzebujemy odpoczynku.

Stary człowiek chciał odmówić, nikt jednak nie był w stanie sprzeciwić się florentczykowi, gdy ten już coś postanowił. Mimo protestów znalazł się na koniu zesłanego mu z nieba przyjaciela, który trzymając uzdę, skierował się w stronę miasta, dokąd wracali żołnierze i wóz. Mijając Régnaulta du Hamela, zdającego się czekać na ich odejście, splunął mu pod nogi z pogardą. Nigdy jeszcze nie czuł takiej żądy zabijania... ani podobnej odrazy do istoty ludzkiej. A przecież godzinę wcześniej zupełnie nie znał tego człowieka. Trzeba było, by spotkał na zakręcie drogi męczennicę o twarzy anioła, aby jego własny świat zmienił się w koszmar, w którym w sposób niewytłumaczalny czuł się zupełnie pewnie. Miłość i cierpienie tych ludzi sprawiły, że wtargnęli do jego przyjemnego życia epikurejczyka i nieco egoistycznego miłośnika sztuki. A on nie znał nawet ich imion...

- Nazywali się Jan i Maria de Brévailles, a ja, Antoni Charruet, jestem wiejskim proboszczem i kapelanem rodziny. Jak ci mówiłem, panie, byłem przy ich urodzeniu i są mi tak drodzy, jakby byli moimi własnymi dziećmi. Dzieciństwo spędzili w majątku rodziców, w pięknym i bogatym zamku wznoszącym się nad niebezpiecznymi wodami rzeki Doubs. Rodzice ich Piotr de Brévailles i Magdalena de la Vigne są właścicielami ziemskimi i wiernymi poddanymi naszego księcia Filipa, niech go Bóg ma w swojej opiece, choć nie słucha on głosu miłosierdzia...

Ksiądz przezegnął się, po czym uniósłszy kubek wypił kilka łyków wina. Kończyli posiłek, podany na życzenie florentczyka w jego pokoju, gdzie panowało przyjemne ciepło, dzięki sporemu ogniowi na kominku.

Twarz starego człowieka, tak niedawno blada, odzyskiwała kolory, lecz jego ręka drżała i widać było, że jest bliski łez.

- Czy nie wolisz nieco odpocząć, padre? - spytał łagodnie Francesco. - Obawiam się, że ta opowieść może być dla ciebie zbyt bolesna.

- Nie, nie. Przeciwnie, dobrze mi robi mówienie o nich... staram się... wytłumaczyć ich przed kimś współczującym... Państwo de Brevailles mieli czworo dzieci, dwóch synów i dwie córki. Najstarszy, Jan, był o trzy lata starszy od Marii, lecz od najwcześniejszego dzieciństwa można było zauważyć, że łączy ich głębokie uczucie, trwałe i zachłanne. Rodzice, podobnie jak ja, uśmiechali się tylko, wcale się tym nie przejmując. Nazywano ich bliźniętami, ponieważ byli do siebie zadziwiająco podobni i tylko oni z całego rodzeństwa mieli tę wyjątkową urodę, którą musiałeś zauważyć, panie. Był to kaprys natury, i w nim upatrywaliśmy powodu tego upodobania, jakie miał Jan do Marii, a Maria do Jana. Państwo de Brevailles byli dumni z urody swych dzieci i stawiali za wzór ich wzajemną czułość, nie przypuszczając ani przez chwilę, że z biegiem lat ta miłość stanie się mniej niewinna. Zresztą, czyż są rodzice, którym podobna myśl przyszlaby do głowy?

- Zapewne, trudno to sobie wyobrazić, ale są przykłady... Mówiono o księciu d'Armagnac i jego siostrze...

- Może, jeśli ktoś pochodzi z możnego rodu, to uważa, że nie dotyczą go nakazy moralności i opinia publiczna? U państwa de Brevailles, będących po prostu dobrą szlachtą, nie pozwolono by sobie na taki skandal. Kiedy Jan skończył trzynaście lat, kanclerz Burgundii mistrz Mikołaj Rolin, przyjaciel rodziny, uzyskał dla niego miejsce pazia w służbie jego wy-

sokości hrabiego de Charolais, syna księcia Filipa, aby nauczył się tam posługiwania bronią i życia dworskiego. Pan de Brévailles, który porzucił rzemiosło wojenne po oblężeniu Compiègne, gdzie został ciężko ranny, był bardzo zadowolony z tej okazji, umożliwiając synowi nauczenie się rycerstwa u księcia będącego entuzjastą rycerskiego rzemiosła. Jan wyjechał zatem do Lille.

Nie sposób wyrazić jak wielka była rozpacz Marii. Smutek z powodu rozstania był tak głęboki, że matka przez chwilę obawiała się, by dziewczyna nie straciła przez to rozumu. Marniała przez długie miesiące, nim odzyskała zdrowie.

Nieobecność Jana trwała cztery lata. Z pазia awansował na giermka pana Karola, i kiedy w roku 1455 przyjechał do domu na Boże Narodzenie, wszyscy mogli zobaczyć jak dumną ma minę. Co do Marii, która nauczyła się śpiewu, tańca, muzyki i prowadzenia domu, jej uroda rozkwitła w całym blasku i zaczęły napływać prośby o zawarcie małżeństwa. Na wszystkie odpowiadała odmownie, zapewniając, że nie chce opuszczać domu rodziców, w którym czuje się w pełni szczęśliwa.

Właśnie po powrocie Jana sprawy przyjęły gorszy obrót. Ja sam przeżuwałem coś patrząc na zachowanie tych dzieci. Odkąd znowu się spotkali, nie rozstawali się już ani na chwilę. Siedzieli zawsze blisko siebie trzymając się za ręce. Szukali okazji, by być sam na sam i odbywali razem długie konne przejażdżki. Pewnej nocy... stało się nieszczęście... i przykro mi powiedzieć, że to ja byłem jego sprawcą.

Antoni Charruet wstał z za stołu i usiadł przy kominku, wyciągając do ognia chude ręce, które znowu zaczęły mu drżeć.

- Tego wieczoru Jan nauczył Marię pewnego dworskiego tańca, bez wątpienia bardzo wdzięcznego, lecz którego figury, pełne miłosnej tęsknoty, nie przystoją rodzeństwu. Zauważyłem zresztą zmieszanie obojga, jakieś drzenie, kiedy spotkały się ich oczy albo splatały ręce. Myśl o tym długo w nocy nie pozwalała mi zasnąć. Czułem, jak rośnie mój niepokój, i w końcu zrozumiałem, że nie zaznam snu, póki nie porozmawiam z Janem. Powiniennem go przekonać, żeby już nazajutrz wrócił na dwór pana Karola. Wziąłem więc świecę i ruszyłem do jego sypialni, znajdującej się w jednej z wież, a więc w pewnym oddaleniu od pozostałych.

Przybywszy na miejsce, zauważyłem pod drzwiami smugę światła i ucieszyło mnie to, że nie muszę budzić chłopca. Bardzo delikatnie otworzyłem drzwi, myśląc, że zastanę go w trakcie pisania lub czytania. Niestety, to co ujrzałem, było przerażające, a zarazem fascynująco piękne: w wielkim łożu o czerwonych kotarach, w delikatnym świetle świecy Jan i Maria kochali się... Nie wiem, co byś zrobił na moim miejscu, panie. Zapewne powinienem był wtargnąć do ich sypialni, wyrwać Marię z tego łoża, z tych ramion, w których zdawała się zaznawać niewypowiedzianego szczęścia. Nie mogłem tego uczynić. Przez chwilę patrzyłem, jak zatracają się w tej uwznioślającej ich miłości... a potem zamknąłem cicho, bardzo cicho, drzwi i wróciłem do siebie, aby modlić się przez resztę nocy. Zło zresztą już się stało i kilka godzin mniej czy więcej niczego by tu nie zmieniło.

O świcie poszedłem do Jana, który był już sam. Powiedziałem mu, co widziałem, i nakazałem, zaklinając na Boga, aby opuścił natychmiast ten dom, którego nie zawahał się splamić. Nie protestował. Powiedział tylko: „Kochamy się i nic ani nikt nam w tym nie przeszkodzi”. Jednak zgodził się

wyjechać. Gdyby odmówił, musiałbym powiadomić o wszystkim jego ojca, i on o tym wiedział.

Marii, tonącej we łzach z powodu okrutnego rozstania, nic nie powiedziałem, ale udałem się do jej rodziców i dałem im do zrozumienia, że nadszedł czas, by wydali córkę za mąż. Ku memu zaskoczeniu stwierdziłem, że byli na to zdecydowani. Tym razem Maria nie mogła odrzucić proponowanego jej kandydata na męża.

Nieszczęśliwym zrzędzeniem losu w tym właśnie czasie musiałem wyjechać na kilka tygodni, lecz wyjeżdżałem spokojny, przekonany, że do mojego przyjazdu sprawy potoczą się właściwym trybem. Wyobrażałem sobie, że młody, piękny i zakochany mąż szybko zatrze wspomnienie o Janie. Na koniec przekonałem sam siebie, że scena, której byłem świadkiem, była przelotnym szaleństwem, niebezpieczną dziecinadą. Oboje byli tacy młodzi! Kiedy wróciłem, Maria była zaręczona i, - mimo moich wcześniejszych nadziei - przeraziłem się. Pod wpływem jakiejś aberracji, pomimo prośb żony, wybór Piotra de Brevailles padł na Régnaulta du Hamela. Wiedziałem go, panie, nie muszę go więc opisywać. Ograniczę się tylko do informacji, że jako doradca i namiestnik kancelarii w twierdzy Autun, w dodatku bardzo bogaty, miał wysoko postawionych i możnych znajomych, co czyniło z niego pożądanego zięcia. Poza tym brał Marię bez posagu, a to się liczyło przy podejmowaniu decyzji pana de Brévailles. Dowiedziałem się wtedy, że jego finanse nie stały najlepiej... W porównaniu z tym miłość nie miała żadnego znaczenia.

Nigdy nie udzielałem ślubu w równie dramatycznych okolicznościach. Trzeba było dosłownie wlec do ołtarza biedną Marię, tak zapuchniętą od

łez, że chciałem odmówić celebrowania nabożeństwa. Du Hamel miał jednak ze sobą jakiegoś kuzyna, kanonika z Saint-Benigne w Dijon, gotowego mnie zastąpić. Pobłogosławiłem więc ten związek i będę dźwigał ciężar tej decyzji do końca mych dni.

Zaledwie bowiem Maria przekroczyła próg domu w Autun, rezydencji swego męża, życie stało się dla niej piekłem. Du Hamel pokazał całe swe odrażające skąpstwo i maniacką zazdrość. Maria, ustawicznie szpiegowana przez jego ludzi, żyła w zamknięciu, źle odżywiana, pozbawiona wszystkiego, co może uprzyjemnić życie młodej kobiecie. Narodziny córki w dziewięć miesięcy po ślubie niczego nie zmieniły. Mąż chciał syna, i obarczał ją odpowiedzialnością za tę, jak mówił, zniewagę. Poza tym, co było jeszcze gorsze, dał posłuch pewnym plotkom dotyczącym rzeczywistego charakteru uczuć, jakie Maria żywiła do brata.

- Jak się o tym dowiedział?

- Kto to wie? Zawiniła jakaś odprawiona służąca, przekupiony lokaj czy może świadek długich spacerów, zbyt często odbywanych sam na sam przez tych nieszczęśników. W każdym razie od tej chwili Régnault du Hamel nie szczędził żonie obelg i złego traktowania. Bita, upokarzana i lekceważona Maria znosiła to póki mogła, lecz kiedy du Hamel posunął się w swej złości do odebrania jej córki, odwaga ją opuściła. Kilka mil od swego więzienia miała dom rodzinny, pod którego dachem zaznała na krótko szczęścia. Pewnej nocy, wykorzystując krótką nieobecność swego dręczyciela i pomoc współczującej młodej służącej, Marii udało się uciec. Pomknęła jak strzała prosto do rodziców, spragniona schronienia, którego tak potrzebowało jej umęczone i pokryte brzydkimi sińcami ciało. Nie wiedzia-

ła, że Jan, zaniepokojony brakiem od miesiący wiadomości od siostry, również tam przyjechał. I tak znaleźliśmy się w samym środku dramatu.

Młodzi ludzie odnaleźli nietknięte, a nawet wzmocnione zwyrodniałe uczucie, które ich ku sobie popychało i państwo de Brévailles przestraszyli się. Prośbami, a następnie groźbami usiłowali przekonać Marię, by wróciła do męża. Magdalenie de Brévailles ścisnęło się serce, gdy myślała o cierpieniach, jakie znosiła córka, ale du Hamel był małżonkiem: miał wszelkie prawa i nikt nie mógł tego zmienić. Jan walczył o siostrę. Trzeba go było powstrzymać siłą, by nie popędził do Autun, żeby zabić podłego męża. W każdym razie zdecydowanie przeciwstawiał się powrotowi Marii do małżeńskiej siedziby, a rodzice nie wiedzieli już co począć: Maria groziła, że się zabije, jeśli ją odeślą. I wtedy właśnie przyszedł list od Régnaulta. List gwałtowny i agresywny. Ten straszny osobnik wprost oskarżał Marię o kazirodcze stosunki z bratem i zapowiadał, że wniesie oskarżenie do sądu książecego.

Tym razem Jan i Maria przerazili się. Chcąc się wydostać poza zasięg działania swego wroga, a jednocześnie obawiając się ściągnięcia kłopotów na rodziców, uciekli. Kiedy rozum podpowiadał, by każde z nich poszło w swoją stronę - on do hrabiego de Charoláis, którego opuścił bez przyzwolenia, ona do jakiegoś odległego klasztoru - nie mieli odwagi się rozstać ani oprzeć namiętności. Dotarli do Paryża i uspokojeni wielkością miasta zamieszkali w oberży niedaleko Luwru. Mieszkali pod przybranym nazwiskiem jako mąż i żona. Z żalem powiem, że tam, w swej nieświadomości, przeżyli sześć miesięcy nieopisanego szczęścia...

- Nie należy nigdy żałować szczęścia - rzekł Francesco poważnie. - To rzecz zbyt rzadka!

- Nawet gdy płaci się za nie taką cenę?

- Jeżeli robisz aluzję do ich śmierci, to myślę, że się mylisz, ojcze. Wiedziałem ich. Zdawali się iść do raju. Wiedzieli, że nic już nie może ich rozłączyć. Mieli przed sobą wieczność...

- Niewątpliwie - westchnął ojciec Charruet - ale nie wiesz, panie, że szczęście to wkrótce miało wydać owoc. Ta nowina sprawiła, że zdali sobie sprawę z przepaści dzielącej ich od dotychczasowego życia. Ze stanowczością, właściwą takim jak oni, nie cofnęli się przed konsekwencjami; przeciwnie, poczuli się bardziej zjednoczeni w swej zbrodni niż byli kiedykolwiek. Zamierzali wyjechać do Anglii, przestać się ukrywać, ale zaczynało im brakować pieniędzy... Nie przypuszczali, że przeznaczenie szykuje swoją broń. Sądziło, że w wielkim Paryżu są dobrze ukryci, i nie zdawali sobie sprawy, że mając złoto można wszystko osiągnąć. Regnault du Hamel, mimo swego skąpstwa, wydał go wiele, wnosząc jednocześnie skargę do sądu książęcego. Opłacani przez niego szpiedzy odkryli ślady zbiegów i zapewnili sobie współników. Nie mogło być bowiem mowy o zatrzymaniu ich w biały dzień, gdyż nie znajdowali się już w Burgundii. Du Hamel zapłacił wystarczająco. Pewnej nocy grupa zamaskowanych mężczyzn wtargnęła do oberży, porwała kochanków i wrzuciła ich do łodzi, którą popłynęli w górę Sekwany, aż do miejsca, gdzie czekały konie.

Po strasznej podróży, w czasie której brzemienną Marii sto razy zdawało się, że umiera, nieszczęsne dzieci zostały sprowadzone do miasta. Oczekiwał ich triumfujący du Hamel. Człowiek ten w istocie żądał nie tylko ich śmierci, ale i publicznego upokorzenia; chciał ich widzieć na stosie, zakutych w łańcuchy, wśród bezlitosnej i obraźliwej radości tłumu... I rzeczywiście zostali skazani. Mąż znalazł więcej świadków, niż było potrzeba, gromadę urzędników, którzy za trochę złota przyszli zaświadczyć, że sto razy widzieli, jak Jan i Maria spali ze sobą... Zresztą Maria oczekiwała dziecka. Mając nadzieję na uratowanie brata, dzielnie zeznała, że oddała się przygodnemu kochankowi, co w niczym nie pomogło. Wydanie wyroku zostało jedynie odłożone do czasu rozwiązania.

Udałem się do Piotra de Brevailles i błagałem go, by prosił księżęcą wysokość o pozostawienie skazanych przy życiu i ograniczenie kary do zamknięcia w klasztorze. Bezlitośnie odmówił. Urażono jego dumę, czuł się zhańbiony, odarty z czci i jak sądzę, znenawidził kochanków. Pani Magdalena, jego żona, przyłączyła się do moich próśb, ale bezskutecznie. Pojechaliliśmy więc we dwoje do Brukseli. To posunięcie, którego wykonania ojciec odmawiał, matka podjęła, zachowując całą swą miłość. W Lillie, u ujścia z kaplicy, rzuciła się do stóp księcia, który - nie chcąc wysłuchać - pokazał jej plecy. Ten stary kozioł, który bezustannie obrażał Boga swą nieokiełznaną rozwiązłością, zlitowałby się może nad Marią, gdyby była jego kochanką. Ale dla zbolełej matki miał tylko pogardę! - zawołał ksiądz w nagłym wybuchu gniewu. Jego rozmówca drgnął:

- Co powiedziałaś, ojcze?

Poczerwieniawszy aż po korzonki siwych włosów, ojciec Charruet uśmiechnął się nieśmiało.

- Nic! Wybacz mi, synu! Pozwoliłem się ponieść pozostałości tego gniewu, który poczułem, widząc łzy pani Magdaleny, klęczącej samotnie na środku wspaniałej galerii wśród kpiących spojrzeń dworzan. Podniosłem ją i wyszliśmy, ale chciała spróbować jeszcze jednej szansy: Jan przez czas dłuższy służył młodemu hrabiemu de Charoláis, który traktował go po przyjacielsku. Liczyła, że młody książę, o którego cnocie było głośno, okaże się litościwy. Jan często mawiał, że jego pan dobrze mu życzył...

- No i co?

- Tym razem zostaliśmy przyjęci, ale nadzieja trwała tylko chwilę. Hrabia Karol brzydził się rozpustą panującą na dworze ojca i starał się, aby w jego otoczeniu panowały godność i obyczajność. Poza tym był to pan bardzo pyszny, a Jan porzucił służbę, nie prosząc o zgodę. Wydał się nam bardzo surowy: „Winni podobnej zbrodni nie zasługują na przebaczenie czy miłosierdzie, gdyż zgrzeszyli jednocześnie przeciw prawu boskiemu i prawu natury. Sprawiedliwości musi stać się zadość...” Łzy zrozpaczonej matki nie znalazły drogi do jego opancerzonego serca. Zdołaliśmy zaledwie uzyskać zmianę sposobu wykonania wyroku: straszliwą śmierć na stosie zastąpiono ścięciem mieczem, jedynym rodzajem śmierci godnym szlachcica. Wiesz teraz tyle, ile ja, panie...

- Jeszcze jedno, ojcze! Powiedziałeś, że ta młoda kobieta była w ciąży. Czy wydała na świat swoje dziecko?

- Tak. Pięć dni temu w więzieniu Maria urodziła córeczkę, którą nazajutrz zaniecono do szpitala Miłosierdzia, gdzie oddaje się wszystkie porzucone dzieci.

- Porzucone? - oburzył się Francesco. - Ależ czy ta biedna mała nie ma dziadków? Czy państwo de Brévailles nie mogą się nią zająć? Zdaje się, że jest podwójnie z ich krwi?

- Za nic w świecie pan Piotr nie chciałby pod swoim dachem tego do wodu hańby, a pani Magdalena, ostro złajana po powrocie z Flandrii, nie ośmieliła się dłużej lekceważyć gniewu męża. Stara się teraz jedynie o powierzenie jej opieki nad dzieckiem, które Maria dała Régnaultowi du Hamel.

- A druga dziewczynka? Co się z nią stanie? Ksiądz rozłożył ręce w geście bezsilności.

- Nie mam pojęcia. A przecież przed śmiercią Maria błagała mnie, bym zatroszczył się o jej dziecko. Nie wiem, jaki będzie jej los. W szpitalu przyjęto ją nie bez obrzydzenia.

- Jak to?

- Dziecko narodzone ze związku kazirodczego jest czymś budzącym zgrozę, rezultatem diabelskich działań. Żadna mamka nie chciała się nim zająć. Dają mu kozie mleko i zapewne wkrótce umrze, jeśli już to nie nastąpiło. Zamierzałem zaopiekować się nim, ale która kobieta zgodziłaby się mi pomóc? Mieszkam w Brévailles i nie mam żadnego mieszkania poza...

Francesco dał upust swemu oburzeniu:

- Tutejsi ludzie wydają mi się być dziwnymi chrześcijanami. Czy dziecko jest ochrzczone?

Ojciec Charruet pokręcił przecząco głową.

- Chciałem to zrobić, lecz nie pozwolono mi się do niego zbliżyć i...

- No to zobaczymy! Prowadź mnie, ojczy, do tego szpitala, gdzie dzieci budzą wstę!

- Co chcesz zrobić, panie?

- Zaraz zobaczysz, ojczy! Hola, Marino! Każ osiodłać dwa konie, lub raczej trzy, i przygotuj się do drogi.

- To szaleństwo! Zaraz zapadnie noc, bramy zostaną zamknięte, a szpital jest u wjazdu na drogę do Beaune -powiedział ksiądz.

- I właśnie dlatego musimy się pospieszyć!

W chwilę później trzech mężczyzn ruszyło w stronę Bramy Ouche. Szpital Miłosierdzia pod wezwaniem Świętego Ducha istotnie wznosił się na samym brzegu rzeki Ouche, niedaleko dawnego przytułku dla zadźmionych. Był to stary budynek, ufundowany w 1204 roku przez księcia Eudesa III dla pielgrzymów, niezamożnych chorych i porzuconych dzieci. Pracowali tam zakonnicy ze Zgromadzenia Świętego Ducha oraz kilka augustynek, które zajmowały się głównie dziećmi.

Zmierzchało już, kiedy Francesco i jego dwaj towarzysze dotarli przed zabytkową bramę. Nagle Antoni Charruet ścisnął ramię Francesca i zatrzymał go. Jakiś człowiek wychodził, odprowadzany aż na próg przez zakonika.

- Spójrz - rzekł ksiądz. - To Régnault du Hamel! Rozpoznałbym go zawsze, mimo tego obszernego płaszcza, który go osłania... i pod którym coś ukrywa! Ruszajmy za nim!

- Myślisz, że to mogłoby być... dziecko?

- Przysięgłbym, że tak! Posłuchaj!

Wieczorny wiatr istotnie niósł odgłos słabego kwilenia, i to rozwiało ostatnie wątpliwości księdza. Du Hamel na pewno ukrywał pod płaszczem dziecko, i trzeba było szybko dowiedzieć się, co chciał z nim zrobić. Zostawiając konie pod opieką Marina, Francesco i jego towarzysze ruszyli śladem du Hamela. Nie było to trudne, okolica świeciła pustką, a mężczyzna nie wiedział, że jest śledzony. Szedł szybko w stronę przytułku i przerażającego cmentarzyska. Francesco ujrzał, jak zatrzymuje się przy świeżo zakopanym dole, który odcinał się od reszty powierzchni pokrytej śniegiem. Francesco natychmiast zrozumiał, po co tamten tu przyszedł, i dobywając sztylet ruszył jak strzała. Dopadł go w jednej chwili. Był już najwyższy czas. Du Hamel wy dostał z fałd płaszcza noworodka, który zaczął płakać, kiedy podniósł go nad głowę, aby roztrzaskać ciało o kamienie. Ale Francesco ukłuł du Hamela sztyletem w plecy...

- Spokojnie, panie morderco! Stój spokojnie jeśli nie chcesz, żebym cię zabił. Wiedziałem, że jesteś wielkim łotrem, ale nie przypuszczałem, że aż takim...

Ból musiał być dotkliwy, gdyż Régnault usłuchał i opuścił ramiona.

- Czego... czego chcesz?

- Tego dziecka. Daj mi je... ostrożnie! No już, szybko! Nie jestem zbyt cierpliwy!

Sztylet wbił się nieco głębiej. Mężczyzna krzyknął i wypuścił swą ofiarę, a Francesco przytrzymał ją wolną ręką i przekazał staremu kapłanowi, który płakał ze wzruszenia.

- Dzięki Bogu, zdążyłeś na czas, panie! Prawdę mówiąc, sądzę, że jesteś bożym wysłannikiem.

- Ja też zaczynam tak myśleć. Co robimy teraz? Skończyć z nim?

Du Hamel, któremu ból przeszywał lędźwie, rzucił się na ziemię i tarzał w błocie, dysząc z wściekłości:

TLR

- Nędzny cudzoziemcze! Nie starczy ci życia, żebyś odżałował swój dzisiejszy postępek! Jestem człowiekiem możliwym, i mogę doprowadzić do tego, byś został ukarany, tak jak na to zasługujesz.

- Przede wszystkim jesteś zbrodniarzem, którego zaskoczyliśmy w chwili, gdy zamierzał zabić dziecko - zagrzmał ojciec Charruet. - Zaświadczę o tym przed sądem jego wysokości księcia Filipa, zobaczymy, kto będzie górą!

Francesco wybuchnął śmiechem i klasnął w dłonie, aby przywołać Marina, który nadbiegał z końmi. Z jednej z sakiew przytroczonych do siodeł wyjął sznur.

- Zrobimy coś, ty łotrze, żebyś przez jakiś czas nie mógł nikomu zaszkodzić. Pomóż mi, Marino!

Zanim du Hamel zdążył wykonać jakikolwiek ruch w swej obronie, został solidnie skrepowany i unieszkodliwiony. Ponieważ krzyczał rozdzierającym głosem, Francesco zakneblował go dwiema chustkami do nosa. Później przenieśli go do opuszczonego i zrujnowanego schroniska i zostawili opartego o ścianę w pomieszczeniu będącym niegdyś sienią.

- Nie obawiasz się, panie, że zamarznie na śmierć? - zaniepokoił się ksiądz, kołysząc machinalnie schowane pod płaszczem niemowlę, które przestało już płakać.

- To sprawa między nim a Bogiem! Nie prosź mnie o litość dla tego mordercy. Jest ciepło ubrany i umieszczony przez nas w miejscu osłoniętym od wiatru. Wolę się mieć na baczności przed kimś takim jak on i opuścić Dijon, zanim zacznie wprowadzać w życie swe pogróżki. Ma zresztą

rację, że jestem tu obcy... Musimy teraz zająć się tą biedną istotką, którą chciał zgładzić z taką bezwzględnością. Pokaż mi ją, ojcze!

Stary człowiek rozchylił płaszcz, pokazując małą okrągłą twarzyczkę, sterczący ciemny loczek, dwie malusieńkie, leciutko poruszające się piąstki. Oczy były zamknięte, a małe usteczka otwierały się i zamykały, próbując ssać.

- Jest głodna - stwierdził Francesco. - Wracajmy szybko do „Złotego Krzyża”. Pani Huguet będzie umiała zająć się nią. Powiem, że znalazłem ją na ulicy, aby nie narażać na szwank wrażliwości tutejszych ludzi.

- Ale co z nią zrobisz, panie?

Francesco pochylił się i wziął jedną z rączek, która natychmiast uczepliła się jego palca. Pocałował ją leciutko i poważnym głosem odpowiedział:

- Uczynię z niej moją córkę. Nie mam żony ani bliskiej rodziny. Ona też jej nie ma. Może razem będziemy szczęśliwi. Zrobię wszystko, żeby tak było.

- Jesteś młody, mój synu. Pewnego dnia ożenisz się.

- Nie... Nigdy! Możesz mnie uważać za szalonego, ojcze, lecz dziś widziałem śmierć jedynej kobiety, którą chciałbym pokochać. Mam tylko nadzieję, że tam, gdzie się teraz znajduje - Maria... Maria, którą, jak mi się zdaje, znam od zawsze, patrzy na mnie z uśmiechem.

W oddali zabrzmiał dźwięk dzwonu. Bramy miasta zamknęły się za trzema jeźdźcami i ich kruchym brzemieniem. Dijon, ufne w solidność swych murów obronnych, przygotowywało się do spędzenia spokojnej nocy.

Powrót do „Złotego Krzyża” z kilkudniowym noworodkiem przybrał rozmiary wydarzenia. Pani Berta Huguet była bardzo oddana klientowi, którego niezwykłą hojność знаła od dawna, i nawet jeśli nagłe pojawienie się jakiegoś spadłego z nieba dziecka wydawało się jej nieco dziwne, usiłowała nie zadawać żadnych pytań. Rozczuliła się na tomiast nad smutnym losem, który spotkał tę maleńką dziewczynkę. Stwierdziła, że jest śliczna jak aniołek i przekazała ją w doświadczone ręce swej krewnej w średnim wieku, Leonardy, pomagającej jej w oberży i, jak wszystkie stare panny, uwielbiającej opiekować się małymi dziećmi. Gospodyni znalazła w swych kufrach pieluszki i kaftaniki, należące niegdyś do jej córki, odszukała nawet kołyskę, i umieściła to wszystko w pokoju Leonardy. Okazała jednak pewne wątpliwości, kiedy Belframi stwierdził, że potrzeba mu pilnie mamki gotowej do wyjazdu na drugą stronę Alp i poprosił jej męża o załatwienie za każdą cenę lektyki do przeniesienia dziecka i mamki.

- Czy wyjeżdżasz już jutro, panie? - zdziwił się ojciec Charruet.

- Oczywiście. Chcę jak najszybciej umieścić dziecko u mnie, gdzie będzie bezpieczne i nie dać czasu pewnej osobie na przeszkodzenie mi w moich zamiarach.

- Ale... co z twoimi interesami? Czyż nie mówiłeś, że jedziesz do Paryża, aby odwiedzić swój kantor?

- Ta podróż nie była taka pilna. Przedsięwziąłem ją, aby nie zostać we Florencji na Boże Narodzenie. Podczas świąt zmarł mój ojciec i to wspomnienie jest dla mnie jeszcze bolesne. Jeden z moich służących, któremu dam list, poprowadzi bez trudu transport cienkich płócien aż do naszego składu na ulicy des Lombards. Zatrzymam przy sobie tylko Marina. To wy-

starczy, by dotrzeć do Marsylii, gdzie czeka moja „Santa Maria del Fiore”, którą dopłyniemy aż do Livorno, małego rybackiego portu, należącego do Florencji od około trzydziestu lat.

- Statek? Czyżbyś był także armatorem? Myślałem, że jesteś tylko fabrykantem cienkich płócien?

- Tym w istocie jesteśmy, my, zajmujący się *arte di calimala*. Importujemy z zagranicy, głównie z Flandrii i Anglii, surowe płótna. Materiały owe, poddane obróbce i przetworzone na płótno cienkie, równie miękkie i delikatne jak jedwab, są poszukiwane w całej Europie. Ale mój ojciec kochał morze. Mamy więc dwa statki: „Santa Maria” i „Santa Magdalena”, z których jeden ma przeznaczenie handlowe, a drugi odwiedza wybrzeża Anglii lub porty Lewantu, aby przywieźć stamtąd rzadkie i cenne produkty... Służyły bardziej zaspokojeniu potrzeby piękna niż realizacji wielkich interesów. Tak w każdym razie mawiał ojciec - dodał Francesco z uśmiechem, gdyż „Santa Mada-lena” przywoziła mu czasem prawdziwe skarby... - Ale dokąd idziesz, księżu? - Stary człowiek podniósł się i zamierzał wyjść.

- Jeśli się nie pospieszę - powiedział - brama klasztoru Petit-Clairvaux, gdzie mi udzielono gościny, zostanie zamknięta i...

Francesco zagroził mu drogę do wyjścia i zamknął dłonie księdza w swych mocnych rękach.

- Błagam, byś na tę noc przyjął moją gościnę. Możemy obaj spać w tym pokoju...

- Ale...

- Zgódź się, proszę! Nie chciałbym się z tobą rozstawać. Jutro opuszczę to miasto, być może nigdy tu nie powrócę. Może już się nie spotkamy na tym świecie... a chciałbym, żebyś mi jeszcze opowiedział... o niej!

- O... Marii?

- Ledwie śmiem wymówić jej imię, a przecież w jednej chwili zapano-
wała nad moim sercem, moim życiem... zostań! Zresztą, zaraz podadzą nam
kolację.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła wysoka, chuda kobieta, o długim, spi-
czastym nosie ozdobionym okularami, co sprawiało, że była niezmiernie
podobna do bociana. Za szklami w metalowych oprawkach lśniły niebie-
skie, bystre oczy. Nad czarną, surową suknią, z przypiętym nieskalanie bia-
łym gorsem, widniała poznaczona głębokimi, poziomymi zmarszczkami
twarz, równie bez wieku, jak chude i płaskie ciało. Była to owa Leonarda,
której pani Berta powierzyła dziecko. Wchodząc wykonała coś w rodzaju
półukłonu, dość bezceremonialnego, lecz okraszonego rozciągnięciem wą-
skich ust, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za uśmiech.

- Przyszłam powiedzieć, panie, że dziewczynka zasnęła i wygląda
zdrowo, mimo opłakanego stanu, w jakim się niedawno znajdowała.

- Dziękuję, że się nią zająłeś - odpowiedział Francesco. Sądząc, że ko-
bieta oczekiwała zapłaty, sięgnął do sakiewki.

Powstrzymała go gestem i zawołała:

- Dziękuję, nie o to chodzi!

- O co więc?

- O to, co się stanie jutro. Pani Berta powiedziała mi, że zamierzasz, panie, wyjechać jutro do swego kraju i zabrać tę biedną małą. A właśnie, jak jej na imię?

Francesco i ojciec Charruet spojrzeli na siebie z zakłopotaniem. Żaden z nich nie pomyślał dotąd o tym... Łzy wstydu napłynęły do oczu starego człowieka.

- Nie wiemy... Nie wiemy nawet, czy jest ochrzczona... To dziecko... znalezione...

Leonarda posłała mu kpiący uśmiech, tym razem prawdziwy uśmiech, pełen wesołości, a nawet figlarności, co w jej przypadku było dość zaskakujące.

- Taki święty człowiek, jak ty, ojcze, nie powinien kłamać. Coś mi mówi, że znaleźliście tego aniołka w szpitalu Miłosierdzia... i że powinna nazywać się Maria... lub Janina! No, proszę nie robić takiej miny! Jestem ciekawa, ale umiem również trzymać język za zębami. To, co się stało dziś rano na Morimont, było jedną z najsmutniejszych rzeczy na świecie. Te nieszczęśliwe dzieci...

- Jak się domyśliłaś? - spytał Francesco.

- Śledziłam proces. Och, nie z powodu niezdrowej ciekawości, lecz raczej ze współczucia. Tak bardzo chciałam, żeby choć pozostawiono ich przy życiu. Często widywałam ojca Charrueta, który zadawał sobie dla nich tyle trudu... Skojarzenie z dzieckiem było natychmiastowe...

Nagle Leonarda, której głos załamał się, wyciągnęła wielką chustkę i energicznie wytarła nos.

- Pozwólmy teraz spoczywać im w spokoju i przejdźmy do tego, co chciałam powiedzieć! Potrzebujesz mamki, nieprawdaż, panie?

- Istotnie. Inaczej będę musiał zabrać kozę.

- Sądzę, że mam to, czego ci trzeba. Niedaleko stąd mieszka pewna biedna dziewczyna z moich stron, która została zgwałcona przez jakiegoś żołdaka. Przyjechała ukryć się ze swym wstydem w mieście i zaopiekowałam się nią. Jej dziecko urodziło się przedwczoraj, ale zmarło, zaledwie opuściło brzuch matki.

- Czy ta kobieta zgodziłaby się karmić małą? A także wyjechać tak daleko?

- Biorę to na siebie. Ale pod jednym warunkiem: wyjadę razem z nią.

Obaj mężczyźni otworzyli szeroko oczy ze zdumienia.

- Chcesz opuścić dom, w którym, jak sądzą, jesteś szanowana - zapytał Beltrami - i to nie wiedząc dokąd i z kim jedziesz? *Ma perche...* - dlaczego?

- Mam nadzieję być szanowaną dokądkolwiek się udam - odrzekła niespieszona Leonarda. - Poza tym umiem rozpoznać porządnego człowieka. Jest jeszcze jedna przyczyna: jeśli zabierzesz Żanetę, będę mogła czuwać nad nią, gdyż ta biedna dziewczyna dość już się nacierpiała. Jestem do niej przywiązana, ale... (i ton głosu kobiety zmienił się nagle, stał się poważny z dziwną nutą wzruszenia...), ale mniej niż do maleństwa, które śpi w moim pokoju. Kiedy mi je powierzono, przepełniły mnie szczęście i zachwyty. To było jak dar niebios, jak odpowiedź na niewysłowiony lęk, którego doznałam, gdy jej matkę wprowadzono do miasta, otoczoną łucznikami, skutą jak zbrodniarkę.

Francesco spojrział na Leonardę z jeszcze większym zainteresowaniem. Ta kobieta coraz bardziej go zadziwiała:

- Czy kazirodztwo nie jest dla ciebie zbrodnią, donno Leonardo?

- Nie większą niż dla ciebie, jak widać - odpowiedziała zuchwale. - Moim zdaniem tylko Bóg może osądzić to, co w gruncie rzeczy jest tylko nadmiarem miłości. Tylko on posiada wagę do ważenia serc. Jedynym zasługującym na śmierć był Régnault du Hamel: za nadmiar nienawiści! Ale nie przyszłam tu, by wygłaszać przemówienia - dodała Leonarda, odzyskując swą zwykłą szorstkość. - Czy mam iść po Żanetę?

- Byłbym ci wdzięczny. Ale przedtem idź po dziecko...

- Mówiłam ci, panie, że śpi.

- To bez znaczenia. Przy okazji poproś panią Bertę i mistrza Hugueta, aby tutaj przyszli... - zwrócił się do starego księdza: - Czego potrzebujesz, by udzielić chrztu, ojcze?

- Chcesz...? Zresztą, czemu nie? Potrzebuję czystej wody, soli, białego płótna, rodziców chrzestnych...

- Ja będę ojcem chrzestnym, a donna Leonarda matką. .. jeśli się zgodzi. Jej niebieskie oczy zapłonęły za szklami okularów.

- Już idę. Później pójde po Żanetę...

W kilka chwil potem mała dziewczynka, jeszcze niedawno skazana na hańbę i śmierć, otrzymała chrzest z rąk Antoniego Charrueta oraz imiona Fiora Maria, i zamiast córką nieznanymi rodziców stawała się przybraną córką Francesca Marii Beltramiego. Ojcem chrzestnym był tenże Beltrami, a matką chrzestną Leonarda Mercet.

Świadek otworzył z tej okazji jedną z butelek najlepszego wina z Beaune. Zdziwił się rychłym wyjazdem krewnej swojej żony, choć nie odczuwał z tego powodu przesadnego smutku. Pani Berta natomiast uroniła kilka łez, pomyślała jednak, że jeśli jej kuzynka miała zamiar zwariować, to lepiej będzie, gdy się to stanie z dala od jej gospody, zawsze cieszącej się nieposzlakowaną opinią. Małżonkowie uznali za dziwne wielkie zamieszanie, czynione wokół dziecka znalezionej na ulicy, ale strzegli się, by tego nie okazywać, zgodnie z nienaruszalną zasadą każdego dobrego kupca, stanowiącą, że klient ma zawsze rację. Szczególnie klient tak bogaty jak florentczyk.

Nazajutrz o świcie nieco sfatygowaną, ale jeszcze dobrze się prezentującą lektykę, o którą mistrz Huguet zażarcie pertraktował w nocy ze swym krewnym, kanonikiem z Saint-Benigne, pani Berta wymościła mnóstwem poduszek. Pojazd pomieścił małą Fiore, jej matkę chrzestną i mamkę Żanetę - młodą Burgundkę o okrągłej twarzy i pulchnym ciele, krągłych pierśiach i oczach zaokrąglonych ze zdumienia, spowodowanego raptownym przejściem od życia w nędzy do nieoczekiwanego dobrobytu. Lektyka była niesiona przez silne muły. Francesco Beltrami i Marino, uzbrojeni po zęby, eskortowali pojazd, którego brązowe zasłonki zaciągnięto zaraz po wyjeździe z podwórza gospody. Skierowali się do Bramy Ouche, gdy tymczasem słudzy florentczyka, z ładunkiem cienkich płócien, zmierzali do Bramy Wilhelma, za którą otwierała się droga do Paryża.

Gdy lektyka przemierzała Morimont, Francesco odwrócił oczy od odartego z czarnego płótna szafotu, na którym wciąż wznosiły się krzyż, koło i szubienica, przypominające o torturach. Plac ten na zawsze wrył się w jego

pamięć, stanowiąc żałobne tło dla pewnej samotnej twarzy, której każdy rys nieubłagana miłość zapisała w sekretnej głębi jego serca. Z jakimś spokojem w duszy spojrział po raz ostatni na pole ściekowe, gdzie spoczęła Maria i jej brat. Przed wschodem słońca bowiem Francesco zastukał do drzwi kata i dał temu staremu, surowemu mężczyźnie trochę złota, aby ciemną nocą wydostał wyklętych kochanków z ich hańbiącego grobu i pochował zwłoki w poświęconej ziemi, w miejscu wskazanym przez ojca Charrueta.

Wstało zimowe, czerwone słońce, zalewając ośnieżony pejzaż purpurowym światłem. Stojąc obok zwodzonego mostu przy Bramie Ouche, stary ksiądz patrzył na oddalający się drogą do Beaune niewielki orszak i na szlachetnego mężczyznę, który dał tak wspaniały przykład człowieczeństwa. Unosząc ramię nakreślił w zimnym powietrzu znak błogosławieństwa i wrócił do miasta. Po spełnieniu wraz z katem Arny Signartem ostatniego rozkazu florentczyka powrócił do Brevailles, aby w tajemnicy nieść ukojenie zbolącej matce, na co jego prosta dusza z góry się radowała. Wszedł do pierwszego napotkanego kościoła i pogrążył się w długiej modlitwie, aby podziękować miłosiernemu Bogu, że zezwolił, by Francesco Beltrami wkroczył do Dijon w chwili, gdy Maria de Brevailles zmierzała ku śmierci. Przynajmniej dziecko, urodzone w tak straszliwych okolicznościach zostało uwolnione od okrucieństwa ludzi i uzyskało szansę, by żyć szczęśliwie.

Ani przez chwilę stary człowiek nie miał ochoty sprawdzić, co stało się z panem Regnaultem du Hamelem. Jego los również był w ręku Boga, a kara - wymierzona przez florenckiego kupca - w pełni zasłużona.

Dopiero nazajutrz jakiś wieśniak, przechodzący w pobliżu starego schroniska, usłyszał jęki i odkrył doradcę kanclerza na pół martwego z zimna. Lektyka z małą Fiorą spoczywającą na łonie Leonardy, rozpromienionej po raz pierwszy w życiu, przebyła już wówczas spory kawałek drogi...

TLR



CZĘŚĆ PIERWSZA
ZA JEDNĄ NOC MIŁOŚCI...

FLORENCJA 1475

TLR



ROZDZIAŁ PIERWSZY

GIOSTRA

- Nie ta! Ani tamta! A tym bardziej nie ta! Już ze dwadzieścia razy widziano mnie w niej na zabawach. Och, nie! Nie to stare szkaradzieństwo: dodaje mi ze sto lat! W tamtej za to wyglądam jak dziecko! Szukaj dalej!...

Stojąc na środku sypialni, w koszuli, boso, z masą czarnych włosów luźno spływających na plecy, Fiora ujęła się pod boki i miotając oczami błyskawice robiła przegląd sukien, które Khatoun, młoda tatarska niewolnica, niedbałym ruchem wyciągała jedną po drugiej z wielkich, malowanych i złotonych, cedrowych skrzyń.

Tęczowe satyny, różowe, błękitne, białe, czarne czy brązowe aksamity, haftowane muśliny, szeleszczące tafty i mieniające się różnymi kolorami brokaty, krótko mówiąc wszystko co kunszt producentów florenckich jedwabi i materii orientalnych mógł zaoferować dla dodania zalotności i uroku ładnej kobiecie, wypełniało pokój. Suknie wyfruwały z *cassoni*, zakreślały w powietrzu łuk, spływając u stóp Fiory tworzyły na tle wielkiego perskiego dywanu kolorowy i mieniający się kobierzec, którego powierzchnia rosła z każdą chwilą, nie rozchmurzając czoła dziewczyny.

Nadeszła chwila, gdy Khatoun, zanurzywszy się aż do pasa w czeluściach kufra, wydobyla z niego ostatni welon, i opadła na poduszkę, skąd z rozdzierającym westchnieniem obwieściła bezsilnie:

- To wszystko, pani. Nic więcej nie ma. Fiora spojrzała z niedowierzaniem.

- Jesteś pewna?

- Sprawdź sama, jeśli mi nie wierzysz.

- A więc to wszystko, co posiadam?

- Wydaje mi się, że to i tak dużo. Na pewno są księżniczki, które nie mają tylu strojów...

- Simonetta Vespucci ma ich więcej niż ja. Przy każdym publicznym pojawieniu się wkłada nową suknię. Co prawda, jest podziwiana przez całą Florencję i bez przerwy dostaje podarunki...

Czując jak łyzy gniewu napływają jej do oczu, Fiora odwróciła się na pięcie i przygnębiona oparła się na łokciach w uroczym oknie, z którego rozpościerał się widok na spokojny brzeg rzeki Arno, lśniącej w jasnym styczniowym słońcu. Nie odwracając głowy poleciła:

- Schowaj wszystkie te szmaty! Nigdzie nie pójde.

- Nie chcesz iść na turniej? - jęknęła zawiedziona Khatoun, która wszędzie towarzyszyła Fiorze, i cieszyła się na myśl o ujrzeniu rycerskiego festynu.

- Ani na turniej, ani nigdzie indziej. Zostaję tutaj.

- Mam nadzieję, że jednak się ubierzesz, pani? Co to za zwyczaj, by wystawać w oknie w koszuli. Chcesz się przeziębnić czy też pragniesz, aby zobaczyli się marynarze na rzece?

Pani Leonarda wkroczyła do pokoju niosąc na tacy ciepłe mleko i kanapki z miodem. Siedemnaście lat, które upłynęły od dramatycznego wyjazdu z Dijon, w niczym nie zmieniły kuzynki Bertę Huguet. Złagodniała

nico jedynie, a dzięki dostatniemu i wygodnemu życiu w pałacu pana Beltramiego kształty jej stały się bardziej opływowe, a rysy mniej ostre. Jednakże jej głos zachował twardy, rozkazujący ton, nawet, a może przede wszystkim, gdy zwracała się do Fiory, którą uwielbiała, lecz której niczego nie puszczała płazem.

Po morskiej podróży, w czasie której sto razy zdawało się jej, że wyzienie ducha, Leonarda odkryła Florencję, rozciągającą się w słońcu wśród łagodnych wzgórz i poczuła zachwyty, nie opuszczający jej po tylu latach. Miasto Czerwonej Lili kipiało życiem i kolorami, i Leonarda uznała je za swoje, równie spontanicznie jak wtedy, gdy wstąpiła na służbę do Francesca Beltramiego, którego ciepło i szlachetność całkiem ją zawojowały. Spodobała jej się surowa elegancja jego pałacu na brzegu Arno, ale później poznawane sprawy nieustannie budziły jej zdumienie. Dowiedziała się, że skala wartości uznana w Burgundii i we Francji nie miała zastosowania w dużym mieście handlowym, w którym umiejętności zwane najwyższymi sztukami: *calimala*, sukiennictwo, jedwabnictwo i bankowość, zajmowały najwyższą pozycję. Szlachta, tak dominująca w świecie, tu liczyła się tylko na tyle, że przyznano jej „przywilej” uprawiania handlu. Florencja była republiką, a w każdym razie się za nią uważała, chociaż zgadzała się słuchać rozkazów niekoronowanej królowej - dynastii możnych i bogatych bankierów, pozbawionych jednak najmniejszej kropli arystokratycznej krwi - Medyceuszy. Leonarda odkryła też z przyjemnością, że jej nowy pan należał do śmietanki tego miasta. Miał wszelkie szanse na pełnienie funkcji członka rady czy nawet burmistrza po ukończeniu czterdziestu pięciu lat.

W domu pana Beltramiego nowo przybyła została dobrze przyjęta, tym bardziej że niewiarygodnie szybko przyswoiła sobie dialekt tokański. Naukę języka postawiła sobie za punkt honoru, gdyż fakt mówienia dwoma językami, a nawet trzema, jeśli brać pod uwagę kościelną łacinę, wydawał jej się oznaką godności i intelektu.

Jednakże do Fiory, którą się z początku wyłącznie ona opiekowała, starała się mówić tylko po francusku, zresztą za zgodą Beltramiego, aby dziewczynka zachowała chociaż ten ślad swego pochodzenia. Pozwoliło jej to również uniknąć zwracania się do niej w przyjęty we Florencji poufały sposób, gdyż dziewczynka, która dla wszystkich była Fiorą Belframą, „naturalną córką Francesco i pewnej damy ze szlacheckiego rodu, zmarłej w połogu”, dla niej została dzieckiem Jana i Marii de Brevailles, wywodzącym się z burgundzkiej szlachty. Fiora nauczyła się z jednakową łatwością obu języków, a oprócz nich nawet łaciny i greki.

Pięć lat po przybyciu Leonardy stara guwernantka Francesco, imieniem Nanina, zasnęła w Panu, i Burgundka przejęła jej obowiązki. Odtąd niepodzielnie rządziła licznymi rezydencjami kupca, ku obopólnemu zadowoleniu. Jedynie Marino Betti, dawny dowódca poganiaczy mułów, który został intendentem jednej z posiadłości, nie podlegał jej władzy, ku uldze Leonardy, wyczuwającej w nim jeśli nie wroga to przynajmniej przeciwnika. Tylko on, poza jego panem i guwernantką, znał pochodzenie Fiory, której nigdy całkowicie nie zaakceptował. Dlatego też Belframą uznał za stosowne związać mu język uroczystą przysięgą, złożoną przed pierwszym napotkaniem w drodze ołtarzem Najświętszej Panny i dorzucić do tego kilka równie przekonujących argumentów finansowych.

Jeśli chodzi o Żanetę, to swą świeżością i jasnymi włosami podbiła pewnego gospodarza z Mugello. Została szczęśliwą panią Crespi i od tamtej pory karmiła tylko własne dzieci, którymi regularnie, rok po roku, obdarzała swego męża.

Mieszkańcy Florencji nie bez zdziwienia dowiedzieli się o nagłym ojcostwie jednego z najbogatszych w mieście kawalerów, ale uważając się za spadkobierców myśli i filozofii greckiej, nie przykładali zbytnej wagi do chrześcijańskiej moralności i nie uważali nieprawego pochodzenia za ukrytą wadę towaru, zwłaszcza jeśli był piękny. Dziewczynka szybko okazała się urodziwa i liczni przyjaciele jej przybranego ojca przyjęli ją z otwartym sercem. Gorzej było z kobietami, szczególnie mającymi córki na wydaniu. Wiele z nich żywiło jednak nadzieję na doprowadzenie Beltramiiego do ołtarza, głosząc, że dziewczynka koniecznie powinna mieć matkę.

Francesco był głuchy na te perswazje, ale nie aż tak, by najbardziej uparte straciły nadzieję. Miał jednak mały klan zaciekle przeciwników, którego tajemnym przywódcą byłajego cioteczna siostra Hieronima, poprzez małżeństwo związana ze szlacheckim rodem Pazzich. Jej racje były oczywiste: gdyby Beltrami się nie ożenił i nie miał dzieci, ona i jej syn Piętro byliby jego jedynymi spadkobiercami, a spadek nie byłby z rodzaju tych, z których się bez trudu rezygnuje.

Beltrami nie dał się oszukać jej pozorną przychylnością, a jej stanami duszy wcale się nie przejmował. W miarę upływu lat nabierał przekonania, że mała Fiora jest rzeczywiście jego córką. Nie zapominał o miłości, którą tamtego straszliwego zimowego ranka obdarzył pewną młodą nieznaną o niezwyklej urodzie, lecz przenosił tę miłość na dziewczynkę, znajdując

głęboką radość w obserwowaniu jak rośnie i rozkwita w gniazdku, które jej ofiarował. Szczęśliwy, oczekiwał dnia, gdy Bóg, przeprowadzając go „na drugą stronę lustra”, pozwoli mu połączyć się z ukochaną...

Leonarda spokojnie postawiła tacę na łóżku, podeszła do Fiory i chwyciwszy ją za ramię pociągnęła do tyłu, zamykając jednocześnie wolną ręką skrzydło okna, złożone z małych okrągłych szybek połączonych ołowianymi płytkami.

- Czy będziesz wreszcie rozsądna, pani? - zagrzmiała.

- Nie mam ochoty być rozsądna - zaprotestowała dziewczyna, wijąc się jak wąż, aby uwolnić się od dłoni guwernantki. - Zresztą, cóż to znaczy być rozsądną?

- To znaczy zachowywać się jak przystało na młodą damę - powiedziała Leonarda, od dawna przyzwyczajona do niepokornego charakteru dziewczyny, którą do głębi serca uważała za swoją córkę - zjeść to, co przyniosłam.

- Nie chcę. Nie jestem głodna.

- No to udawaj, że jesteś! I pozwól się ubrać! Twój ojciec oczekuje cię, pani. Chyba nie zamierzasz zjawić się przed nim w koszuli?

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki buntowniczy nastrój opuścił Fiorę, kochającą Francesca miłością głęboką, radosną i ufną. Najmniejsza obawa o przysporzenie mu troski, choćby najlżejszej, kładła kres jej najbardziej gwałtownym wybuchom gniewu, i Leonarda dobrze o tym wiedziała. Fiora potulnie zjadła kanapkę i wypła trochę mleka, podczas gdy na znak guwernantki młoda Khatoun podniosła jedną ze wzgardzonych sukien, aby nałożyć ją swej pani. Już za chwilę Fiora miała na sobie tunikę z białej

satyny, a na niej właściwą suknię z pięknego aksamitu w kolorze martwych liści, spiętą przy dekolcie, co pozwalało dostrzec jedwab tuniki. Ciężkie, przechodzące w krótki tren, fałdy przepasane były wysoko, tuż pod piersiami, złocistą wstęgą, która ściągała również długie rękawy, sięgające do połowy dłoni.

Podczas gdy Khatoun sznurowała rękawy, w których widać było na wysokości ramion i łokci lekko przymarszczoną białą satynę, uzbrojona w szczotkę Leonarda usiłowała doprowadzić do porządku gęste, kruczoczarne włosy dziewczyny, spływające w nieładzie na plecy. Fiora śledziła z rozczarowaniem pracę kobiet w wielkim weneckim lustrze, które Francesco sprowadził dla niej dużym nakładem kosztów.

- Wyglądam okropnie! - obwieściła dramatycznym tonem.

- To samo stwierdzam co rano, wchodząc tutaj - drwiąco zaśmiała się Leonarda. - Jak messer Francesco, człowiek o znakomitym guście, może znosić obecność tak brzydkiej dziewczyny, a nawet być do tego stopnia zaślepiiony, by się z tej obecności cieszyć?... Proszę więc nie opowiadać głupstw!

Fiora jednak mówiła szczerze. Wychowana w mieście, w którym kobiety marzyły o jasnych włosach i podejmowały nieskończone wysiłki, aby je rozjaśnić za pomocą różnych pomad i nie kończących się kąpielii słonecznych, w czasie których rozkładały włosy na wielkich, kartonowych kapeluszach bez dna, Fiora nie umiała docenić swych włosów - bez wątpienia miękkich i lśniących, ale ciemnych w stopniu godnym pożałowania.

- Mój ojciec kocha mnie - wyszeptwała ze łzami w oczach. - Nie widzi mnie takiej jaka jestem. Ale ja wiem, że z powodu tej czupryny nigdy nikt mnie nie pokocha. A już na pewno nie...

Zamilkła raptownie i zaczerwieniła się na myśl, że omal nie zdradziła sekretu swego serca. Nie wiedziała, że Leonarda już dawno odgadła tę tajemnicę. Nie chcąc pogłębiać smutku dziewczyny, udała, że nie dosłyszała.

- Nie wolno kazać czekać panu Francesce - powiedziała łagodnie. - Skończymy czesanie później. - Potem, muskając pieszczotliwie palcem policzek dziewczyny, dodała z wielką czułością: - Jeśli nie wierzysz swemu lustru, skarbie, uwierz starej Leonardzie... i kawalerom, którzy się do ciebie zalecają: jesteś dużo ładniejsza niż sądzisz, wiem, że kiedyś będziesz bardzo piękna. A teraz idź już!

Fiora nie odpowiedziała. Nie była przekonana. Oczywiście, nie uważała się za paskudną: to byłoby nieszczerze; nie brakowało konkurentów starających się o rękę córki bardzo bogatego i możnego kupca. Ale właśnie dlatego, że ojciec jej posiadał jedną z największych w mieście fortun nie mogła uwierzyć w szczerłość zalotników. Chętnie oddałaby cały majątek, aby mieć rudozłote włosy Simonetty...

Na progu sypialni spytała:

- Gdzie jest ojciec?

- W swoim *studiolu**².

Fiora wyszła i znalazła się w szerokiej galerii z kolumnami, która na pierwszym piętrze otaczała *cortile* - wewnętrzny dziedziniec - ozdobiony

² * Biblioteka, a częściowo gabinet do pracy i gromadzenia ciekawostek; *studiolo* było ulubionym pomieszczeniem bogatych Włochów.

dwoma antycznymi posągami i drzewkami pomarańczowymi, rosnącymi w dużych donicach z niebiesko-zielonej majoliki. Mimo środka zimy było ciepło i słonecznie, zresztą w Toskanii o tej porze roku rzadko bywało naprawdę zimno, a deszcz padał częściej niż śnieg. Fiora, która nie lubiła żyć w zamknięciu i spędzała w ogrodzie większość wolnego czasu, odetchnęła łagodnym powietrzem, niosącym ze sobą zapach ciepłego chleba i korzennych przypraw na tle odległej muzyki. Dzień ten, 28 stycznia, był dniem świątecznym, gdyż Lorenzo Medyceusz chciał z przepychem uczcić układ przeciwko Turcji, który podpisał z Najjaśniejszą Republiką Wenecką. Odbyć się miała walka na kopie, bankiet i tańce...

Droga, którą Fiora musiała pokonać nie była długa: pokoje Francesca znajdowały się na tym samym piętrze, tylko z drugiej strony dziedzińca. Fiora ruszyła szybko w tamtą stronę, a Khatoun, która nigdy jej nie opuszczała, podreptała za nią.

Khatoun była Tatarką i rówieśnicą swej młodej pani. Było to stworzonko drobne i wdzięczne, o trójkątnej twarzy, skośnych oczach i płaskim nosku, co upodabniało ją do kotka. Była tak jak on wesoła oraz z natury skora do zabawy i pieszczot. Lubiała dom pana Beltramiego, Fiorę i wygodne życie, które przy niej wiodła. Świadomość, że urodziła się niewolnicą zupełnie jej nie dręczyła, z tej prostej przyczyny, że nikomu nie przyszłoby do głowy dać jej tę niższość odczuć. Fiora nie pozwoliłaby na to.

We Włoszech, również we Florencji, było wielu niewolników, szczególnie kobiet; dostatek domu mierzyło się zarówno ich liczebnością jak i przymiotami, a nawet niezwykłością ich wyglądu. Niektórzy stanowili

rzadkość i byli rozchwytywani, tak jak pewna para mauretańskich tancerek i Murzynka-karlica, której księżna Ferrary wściekle zazdrościła księżnej Mediolanu, Biance-Marii Sforzy.

Mieszczanie z bogatych miast, takich jak Florencja, Mediolan, Wenecja czy Genua, również mogli pozwolić sobie na ten luksus, tak kosztowny, że sprawiał, iż niewolnicy częściej traktowani byli jak członkowie rodziny niż jak zwykła służba. Weneccy armatorzy przywozili ich z rynków Morza Czarnego, Azji Mniejszej, Półwyspu Bałkańskiego, Hiszpanii, gdzie Maurowie zajmowali jeszcze Grenadę, z Rosji czy Tatarii, a cena niewolników wynosiła od stu do dwustu złotych dukatów. Khatoun była jeszcze niemowlęciem, gdy kupił ją w Trabzonie kapitan okrętu „Santa Magdalena”, zauroczony urodą jej matki, i przywiózł obie do Florencji. Djamal zmarła kilka miesięcy później, a mała Khatoun była wychowywana przez Leonardę razem z Fiorą, dla której miała być zarazem towarzyszką i pokojówką.

Sprawa niewolników bardzo dręczyła Leonardę po jej przyjeździe do Florencji. Jako chrześcijanka buntowała się wobec takiego stanu rzeczy, choć szybko odkryła, że niewolnicy, z powodu ich ceny, byli często we Florencji dużo lepiej traktowani niż płatna służba, parobcy czy dziewczyny kuchenne po drugiej stronie Alp. Posiadanie niewolników w niczym nie naruszało dziwacznych uczuć religijnych florentczyków, którzy głosząc głęboki kult Chrystusa, Najświętszej Panny i świętych, wypełniając kościoły freskami, obrazami i wspaniałymi dziełami sztuki, wykazywali duże upodobanie do mitologii i filozofii greckiej, zwłaszcza dzieł Platona. Leonarda w końcu wybaczyła to swym nowym współobywatelom, biorąc pod

uwagę ich głębokie umiłowanie piękna pod wszelkimi postaciami - i to nawet wśród najniższych klas społecznych - i ich wyjątkową radość życia...

Przybywszy pod drzwi ojca, Fiora odesłała Khatoun, aby uporządkowała sypialnię. Zapukała lekko i weszła nie czekając na pozwolenie; miała rację, gdyż mogłaby czekać długo. Francesco, oparłszy brodę na dłoni a łokieć na poręczu fotela, siedział rozmarzony przed umieszczonym na hebanowych sztalugach, obróconym w jego stronę, obrazem... Jego rozpromieniona szczęściem twarz wzbudziła zdumienie dziewczyny.

- Ojczy! - zawołała cicho.

Francesco drgnął jak ktoś gwałtownie przebudzony, ale zaraz się uśmiechnął, tym rzadkim uśmiechem dodającym tyle uroku jego zmęczonej twarzy. Z biegiem lat przybyło mu kilka kilogramów i trochę zmarszczek, a gęste włosy zaczynały mu siwieć, ale zachował dużą witalność i zadziwiający zapał do pracy.

- Chodź zobaczyć! - powiedział przygarnawszy dziewczynę do siebie. - Sandro właśnie go przyniósł. Jest cudowny. ..

Fiora podeszła spiesźnie. Kilka tygodni wcześniej pozowała pewnemu młodemu malarzowi z sąsiedztwa, odkrytemu przez Lorenza Medyceusza i pracującemu dotąd tylko dla niego. Jednak Francesco Belframi, znany z zamiłowania do malarstwa, umiał zdobyć przyjaźń obdarzonego bujną wyobraźnią, myślącego, kapryśnego, a nawet czasem nieobliczalnego chłopca, czerpiącego natchnienie z własnych marzeń oraz wierszy florenckich poetów. Był synem garbarza z dzielnicy Ognissanti i zwał się Sandro Filipepi; zaczynał być znany jako Botticelli, co oznacza małą beczułkę. Przewisko zawdzięczał swemu starszemu o dwadzieścia osiem lat bratu, wielkiemu

pijanicy, który zawsze się nim zajmował, aż zaczęto go uważać za ojca, natomiast prawdziwego ojca uznano za dziadka chłopca. I tak zaczęto o nim mówić Sandro Botticelli, a w końcu -Botticelli.

Podziwiany przez Francesca obraz był portretem. Fiora spojrzała nań ze zdumieniem i dużą dozą rozczarowania:

- Ależ... to nie jestem ja?

Malowidło na drewnie istotnie przedstawiało bardzo młodą kobietę o olśniewająco jasnych włosach, ubraną w suknię z niebieskiego aksamitu haftowaną złotem, jakiej Fiora nigdy nie nosiła, gdyż nie były teraz modne. Nie nosiło się już także takich koronkowych henninów, jaki -wraz z narzucanym nań lekkim szalem okalającym twarz - zdobił głowę nieznaną.

- To prawda - rzekł poważnie Francesco - ale mimo wszystko to jesteś ty, gdyż rysy twarzy są identyczne. Portret, moje dziecko, przedstawia twoją matkę. Kiedy byłaś mała, podobieństwo nie było wyraźne, ale w miarę jak dorastałaś rozwijało się, uwydatniało...

- To nieprawda! - krzyknęła Fiora bliska łez. - To złudzenie, ojciec. Ona jest bardzo piękna, a ja nie...

- Kto ci to powiedział? - zapytał Francesco zdumiony.

- Nikt, ale żadna kobieta nie może być piękna mając czarne włosy!

- Słowo daję, zwariowałaś? Zaraz ci udowodnię, że się mylisz...

Francesco podszedł do jednej z pokrytych markieteryą szaf, które ustawił pod ścianami swego *studiola*. Fiora wiedziała, gdyż podziwiała je wiele razy, że szafy te zawierają istne cuda: rzadkie książki w kosztownych oprawach, bibeloty kryte emalią, przedmioty ze srebra, kości słoniowej lub złota, statuetki chryzefantynowe, tancerki z przezroczystego alabastru i

mnóstwo innych pięknych rzeczy. Z jednej z szaf, którą otworzył przy pomocy złotego kluczyka, zawieszzonego na łańcuszku u szyi, Francesco wyjął małą srebrną szkatułkę przypominającą relikwiarz. Postawił ją na stoliczku, otworzył i, jak ksiądz ujmujący hostię, wyjął z niej hennin z koronki, który był ostatnią ozdobą włosów Marii de Brevailles. Chwilę na niego patrzył, po czym przyłożył do ust. Fiora zauważyła, że jego ręce drżały, a kiedy odwrócił się do niej, w oczach miał łzy.

- Pozwól przymierzyć - wyszeptał.

Odrzucając do tyłu czarne włosy córki odsłonił jej wysokie i kształtne czoło, umocował hennin niemal u nasady włosów, owinał jej twarz koronkowym szalem. Potem zdjął ze ściany lustro, umieścił je obok portretu i ustawił przed nim Fiore.

- Popatrz - powiedział.

Koronka nieco pożółkła, lecz odbita w lustrze twarz wyglądała inaczej niż zazwyczaj i była zadziwiająco podobna do twarzy na portrecie. Miała taką samą delikatnie zaróżowioną cerę, identyczny uśmiech w kącikach ust, ten sam zgrabny nos i przede wszystkim takie same szare, zamglone oczy.

- No i co? - spytał Francesco. - Czy dalej będziesz się upierać, że jesteś brzydka?

- N... nie. Ale dlaczego nie mam jasnych włosów, jak ona? Jestem pewna, że gdybym miała takie złote włosy, pisaliby o mnie poeci i być może pewnego dnia zostałabym królową *giostry*...

- Jak madonna Simonetta? - uśmiechnął się Beltrami z iskierkami wesołości w oczach. - Mam nadzieję, że moja córeczka nie okaże się głupio

zazdrosna? Wprawdzie cała Florencja podziwia tę zachwycającą kobietę, ale zanim nasz Lorenzo poślubił madonnę Clarisę...

- Która jest ruda! - dodała Fiora z uporem.

- Ruda... i niezbyt ładna. Przed tym ślubem cała Florencja zachwycała się jedynie piękną Lukrecją Donati, kochaną przez Lorenza, która była brunetką jak ty.

Równie powoli i nabożnie jak przed chwilą Francesco zdjął hennin i zamierzał go schować, lecz Fiora powstrzymała go.

- Ojczy! Co znaczą te brunatne plamy na koronce? Francesco zbladł i spojrzał na córkę jakby zagubiony.

Poruszony, złożył relikwię na miejsce, zamknął szkatułkę i wstawił ją do szafy. Później podszedł do portretu, zdającego się skupiać całe światło pięknego poranka, lecz kiedy wziął płachtę czarnego aksamitu, by go nakryć, Fiora powstrzymała go.

- Pozwól mi na nią jeszcze popatrzeć! - poprosiła., - Tak mało ją znam! Ani ty, ani Leonarda nigdy nie opowiadaliście mi o niej. Wiem tylko jedno: była szlachetną damą z Burgundii...

- To historia smutna, a nawet bolesna. Leonarda i ja bardzo rzadko o niej rozmawiamy. A ty jesteś jeszcze za młoda.

- Nigdy nie jest się za młodym, by poznać swoją matkę. Tylko wy możecie mi o nie opowiedzieć, a teraz może także ten obraz. Ale portret mi nie odpowie, jeśli go o coś zapytam, jako że pan Sandro namalował moją twarz.

- W twoim wieku umiesz odebrać przesłanie portretu? - zapytał Francesco ze zdziwieniem.

- Oczywiście. Widziałam u naszej kuzynki, madonny Hieronimy Pazzi, jej portret pędzła tego byłego mnicha, zmarłego przed sześciu laty, pana Filipa Lippiego. To piękny portret, w pełni oddający sprawiedliwość jej urodzie. Mówi on jednak również, że jest ona próżna, chciwa, fałszywa i okrutna. A z tego portretu niczego nie mogę odczytać.

Francesco był oszołomiony. Fakt, że jego Fiora, którą uważał wciąż za małą dziewczynkę (i pozostała nią pod wieloma względami), potrafiła dać dowód takich zdolności psychologicznych, zadziwił go... Dziewczyna wy czuła to zaskoczenie i chciała je wykorzystać.

- A teraz - dodała cicho - odpowiedz, proszę, na pytanie, które ci zadałam... Brunatne plamy... wyglądają jak krew!

Beltrami odwrócił się i podszedł do okna, skąd widać było ponad dachami via delle Vigna Nuova wspaniała pałac Rucellai, jeden z najnow szych we Florencji i jeden z najpiękniejszych. Fiora podeszła do niego.

- Odpowiedz mi, ojczy! Chcę wiedzieć!

- Zapomniałem, że umiesz także mówić „chcę”... No tak... to krew... jej krew. Twoja matka zginęła w straszliwych okolicznościach, moje dziecko...

- Jakich?

- Nie pytaj mnie o nic więcej, gdyż nie odpowiem. Kiedyś ci powiem, na pewno...

- Kiedy będzie „kiedyś”?

- Gdy staniesz się kobietą. Na razie jesteś jeszcze młodą panną, a tej przystoi mieć wyłącznie radosne myśli. Szczególnie w dniu święta!... Po wiedz, co zamierzasz założyć idąc „na turniej” - jak mówią we Francji?

Przypomniawszy sobie o wcześniejszych smutkach Fiora z rezygnacją wzruszyła ramionami:

- Nie mam pojęcia. Wyznam, że nie bardzo mam ochotę tam iść.
- Nie iść na *giostre*, gdy mamy miejsca na najlepszej trybunie?
- Za królową. Nie ma więc żadnego znaczenia co założę. Nikt nie

zwróci na mnie uwagi!

- Z wyjątkiem Domenica Accaiuolego, Marca Soderinie-go, Tommasa Salviatiego, Luki Tornabuoniego i kilku innych, mniej ważnych - wyrecytował Francesco, odzyskawszy uśmiech.

- Właśnie mówię: nikt!

Nie dodała, że jedyny, który się dla niej liczył, piękny, pociągający Giuliano Medyceusz widzieć będzie tylko Simonettę Vespucci. Beltrami roześmiał się:

- Co ty opowiadasz! Uważam, że jesteś bardzo wybredna. Jednak pewnego dnia będę musiał wybrać ci męża...

Fiora wsunęła rękę pod ramię ojca i unosząc się na I palcach pocałowała go w dokładnie wygolony policzek.

- Jedyny mężczyzna, którego kocham nie może mnie poślubić, ponieważ ty nim jesteś!

- Ha! Oto słowa zasługujące na nagrodę! Mam coś dla ciebie.

Uwalniając się od ramienia córki, kupiec wyjął z jednej ze skrzyń małą, owiniętą w jedwab paczuszkę i podał ją Fiorze:

- Masz, chciałem ci to ofiarować na imieniny, ale ta okazja wydaje mi się stosowna...

Fiorze zabłysły oczy. Jak każda dziewczyna uwielbiała prezenty, niespodzianki, wszystko co nieoczekiwane. Zaróżowiona z niecierpliwości, odwinęła biały jedwab i ujrzała diadem w kształcie złotej obręczy, ulubioną ozdobę eleganckich florentynek. Składały się nań listki jemioly z perłami zamiast owoców, a wisior - duża perła w kształcie gruszki - opadać miał na środek czoła...

- Och, ojczy! Jest zachwycająca! Kto ją zrobił?

- Domenico Ghirlandaio*³. Zamówiłem ją u niego już dawno, i nie przypuszczałem, że tak szybko ją otrzymam, ale artysta wyjeżdża z Florencji do San Gimignano, gdzie ma ozdobić kaplicę Santa Fina. Jestem szczęśliwy, że mogę ci ofiarować ten klejnot dzisiaj; jesteś już na tyle dorosła, aby otrzymywać i nosić biżuterię. Tak więc nie masz już żadnego powodu, by kazać mi iść samemu na turniej. Rozstańmy się teraz. Muszę się przygotować do bankietu w pałacu Medyceuszy...

- W którym damy nie uczestniczą...

- W którym damy nie uczestniczą, gdyż tak być powinno, kiedy dostojsny pan Lorenzo przyjmuje ambasadorów i polityków. Damy powetują to sobie przychodząc na *giostre* i wieczorny bal...

Rzeczywiście, zapowiadało się piękne święto. Było tak zawsze, gdy Lorenzo Wspaniały - miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy nadano mu ten wyrażający podziw przydomek - postanowił, że jego miasto powinno przeżyć kilka godzin szaleństwa, gdyż nigdy nie omieszkał dzielić z nim wielkich wydarzeń swego życia - rodzinnych, religijnych czy politycznych. Tej nocy

³ *Przydomek Domenica di Tommaso Bigordi, malarza, minialurzysty i złotnika.

nikt we Florencji nie będzie spać. Będzie bal w pałacu na via Larga i w kilku bogatych domach, lecz również na ulicach i placach, gdzie wino poleje się strumieniami...

Fiora opuszczała pałac, mając z Leonardą i Khatoun u boku, które miały odprowadzić ją aż do placu Santa Croce, gdzie odbywała się giostra, i gdzie miała spotkać ojca. Nie pamiętała już o pochmurnym poranku i niedawnych poważnych powodach złego humoru. Pozwoliła się porwać wesołej atmosferze miasta oraz wirowi barw i dźwięków. W błękitnym powietrzu unosił się głos dzwonów, w które dzwonnicy bili we wszystkich kampaniach, a na każdym skrzyżowaniu muzycy i pieśniarze jeden przez drugiego wysławiali radość bycia młodym, kochania i życia we Florencji, najpiękniejszym mieście świata! Fasady wszystkich domów przybrano malowanymi płótnami, jedwabiami i sztandarami w czerwono-białych barwach miasta, obitymi złotem i srebrem. Odnosiło się wrażenie, że ulica stanowi ogromny, mieniący się fresk, ożywiany przez świątecznie ubrany tłum, który spieszył radośnie na miejsce wielkiego widowiska. Na wszystkich placach umieszczono wysokie słupy ze złoconego drewna, z których zwisały długie chorągwie, jedne z czerwoną lilią - herbem Florencji, inne z lwem świętego Marka - herbem Wenecji.

W dniach świątecznych wszyscy chodzili pieszo, aby nacieszyć się dekoracjami i nie tarasować wąskich ulic, oddanych w posiadanie radosnego tłumu. Przykład dawał Lorenzo Medyceusz, prowadząc przez miasto znakomitych gości, zresztą z ukrytą myślą wzbudzenia w nich szacunku dla swej ogromnej, proporcjonalnej do zasług, popularności. Przed Palazzo della Signoria, który swoimi surowymi murami i wysoką kampanilą domino-

wał nad okolicznymi domami i narzucał obraz nieustępliwości feudalnej władzy, Fiora spotkała przyjaciółkę Chiare Albizzi, czarującą dziewczynę w jej wieku. Znała ją od zawsze, i nie miała przed nią tajemnic... Może dlatego, że włosy Chiary były prawie tak ciemne jak jej własne i że przyjaciółka patrzyła na rzeczy i ludzi równie ciekawie i krytycznie jak ona. Tak jak Fiora, Chiara, szlachecka córka, była odprowadzana przez guwernantkę i dwóch uzbrojonych służących. Kiedy wino leje się strumieniami, zawsze może dojść do jakiegoś nieprzyjemnego incydentu.

Dziewczęta, wzięwszy się pod ramię, zostawiły nieco z tyłu życzliwą eskortę. Leonarda niezwykle ceniła towarzystwo grubej Colomby, niani Chiary, bez wątpienia największej plotkarki we Florencji, zawsze przynoszącej cały worek nowinek, które naturalnie najpierw poznawała jej mleczna córka.

- Myślałam, że nie masz ochoty przyjść? - powiedziała Chiara. - Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

- Mój ojciec. Bardzo mu zależy, abym zjawiała się przy nim na *giostrze*. Ofiarował mi nawet z tej okazji ten klejnot.

- Gratulacje! Ma słusność: wyglądasz wspaniale! - oświadczyła panna Albizzi, oceniając ze znanstwem harmonię jasnoszarego brokatu, dokładnie w kolorze oczu, i aksamitu okrywającego przyjaciółkę oraz skomplikowaną budowlę z jedwabistych warkoczy, złota i pereł, która kosztowała panną Leonardę dobre pół godziny wyteżonej Pracy,

- Ty także wyglądasz wspaniale - powiedziała Fiora z Wdzięcznością, zresztą zupełnie szczerze. - Wyglądasz jak jutrzienka. Jesteś cała różowa!

- Przede wszystkim wyglądam jak ktoś, kto chce się bawić, podczas gdy ty robisz wrażenie zdecydowanej cierpieć. Czy naprawdę nie możesz wybić sobie z głowy Giuliana Medyceusza?

- Pst! To nie moja głowa cierpi, te cz serce. A porywom ; serca nie można się przeciwstawić - westchnęła Fiora tak tragicznie, że jej przyjaciółka roześmiała się.

- Mam nadzieję, że poczujesz inne porywy serca i nie [.]j spędzisz życia na wzdychaniu do chłopca, który cię nawet nie dostrzega. Zostaw Giuliana jego wielkiej miłości... albo uzbrój się w cierpliwość!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To o czym wszyscy wiedzą: uczucia braci Medyceu-szy nigdy nie są bardzo trwałe. Poza tym Marco Vespucci zaczyna się robić zgryźliwy. Zazdrosny mąż bywa kłopotliwy. Pewnie o tym wiesz: wasz pałac sąsiaduje z pałacem Vespuccich. Zamiast czekać, lepiej zróbiłabyś rozglądając się wokół siebie: Luca Torna-buoni jest przystojniejszy niż Giuliano i szaleje za tobą. Zresztą... o wilku mowa...

Młody człowiek, o którym mówiła, wyszedł z jednej z bocznych ulic w towarzystwie grupy przyjaciół. Dziewczęta zostały natychmiast otoczone przez wesołą i rozgadaną gromadę, która oddzieliła je od eskorty i triumfalnie poprowadziła na miejsce turnieju. Luca Tornabuoni, korzystając z zamieszania, ośmielił się wziąć rękę Fiory i pocałował ją przelotnie, zatrzymać w swojej:

- Pani, czyż twe piękne oczy będą dziś na mnie spoglądały łaskawiej niż zazwyczaj - spytał po francusku.

Uśmiechnęła się do niego i pomyślała, że istotnie był bardzo piękny. Wysoki, aż musiała lekko unosić ku niemu głowę, choć sama nie była niska; miał klasyczny profil, gęste, czarne, kręcone włosy i ciemne oczy, które błyszczały, gdy na nią patrzył.

- Dlaczego dzisiaj?

- Ponieważ dziś jest święto i piękna pogoda, bo jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek...

„Kto chce szczęśliwy być, niech spieszy się. Bo nikt nie jest pewny jutra...”

Dokończył zdanie, nucąc piosenkę ułożoną przez Lorenza Medyceusza, jego ulubioną, a przez to przyjętą jak Ewangelia przez całą florencką młodzież. Ścisząc głos, poprosił żarliwie:

- Pozwól mi pomówić z twoim ojcem, Fioro! Zgódź się zostać moją żoną!

- Nawet gdybym się zgodziła, mój ojciec by nie zezwolił. Uważa, że jestem za młoda.

- Daj mi więc chociaż nadzieję, jakiś fant. Będę walczyć dla ciebie...

Luca był jednym z tych, którzy mieli zmierzyć się z Giulianem Medyceuszem w popołudniowej walce na kopie. Poruszona mimo wszystko tą gorącą prośbą, podała mu swą chusteczkę, którą natychmiast wsunął pod kaftan:

- Dzięki ci, miła pani - zawołał radośnie. - Teraz muszę zwyciężyć, aby przynieść ci zaszczyt...

- W każdym razie - zauważyła Chiara - to nie Fiora włoży ci wieniec, zakładając że zwyciężysz. Nie ona jest królową turnieju.

- Dlaczego: zakładając? Wątpisz w moją odwagę?

- Ani w odwagę, ani w waleczność, piękny rycerzu, ale nie przystoi, by Giuliano został pokonany, skoro jego dama jest królową.

Młody człowiek wkrótce je opuścił. Dochodziły do placu Santa Croce, przy wejściu na plac rozbito różnokolorowe jedwabne namioty dla walczących. Paziowie w złocie i czerwieni oraz masztalerze zajmowali się końmi we wspaniałych czaprakach w barwach ich panów... Były to same cenne konie pochodzące ze słynnych stajni markiza Mantui lub araby dostarczone przez Wenecję. Giuliano Medyceusz miał dosiąść cudownego kasztana - rumaka ofiarowanego niedawno przez króla Francji jego bratu Lorenzowi wraz z klaczą tej samej maści. Ludwik XI, o którego dworze mówiono wprawdzie, że jest w Europie najmniej wystawny, był znawcą w tej dziedzinie i miewał królewski gest w stosunku do sojuszników czy przyjaciół. Ów dar był tego dobitnym dowodem.

Przed bardzo prostą, wykonaną z różowej cegły, fasadą kościoła Santa Croce*⁴ ustawiono wielką trybunę, obitą purpurową i złotą materią, przeznaczoną dla władcy Florencji i zaproszonych gości. W jej centralnym punkcie znajdował się tron królowej turnieju. Po obu stronach trybuny, naprzeciwko siebie, zostały wzniesione wzdłuż domów wysokie, drewniane galerie. Panie i panny z całego miasta, ubrane w najpiękniejsze stroje, zajmowały miejsca w towarzystwie swych małżonków, ojców czy kochanków. Tworzyły w ten sposób podwójną, barwną i lśniącą girlandę, godną królewskiego dworu, a tłumek cisnący się za rozciągniętymi jedwabnymi

⁴ *Taki był pierwotny wygląd kościoła, później fasada została przebudowana

taśmami dopełniał ten obraz ubiorami w wesołych kolorach. Wszędzie widać było powiewające na lekkim wietrze wstążki, chorągiewki i sztandary.

Wszystko to szeleściło i drżało, a Florencja tego pogodnego dnia cała była ze złota, srebra i jedwabiu, niby ogromny gobelin, ożywiony przez jakiegoś wszechmocnego magika.

Czarnoksiężnik ten właśnie miał się pojawić. Zapowiedziany triumfalnym dźwiękiem długich, srebrnych trąbek, z których zwisały białe proporczyki z czerwoną lilią Florencji, i poprzedzany przez poczet sztandarowy, obracający i wyrzucający w górę różnokolorowe flagi, pojawił się znakomity orszak. Na jego czele, odziany w ciemnozielony aksamit obszyty popielicami, ze złotym cyzelowanym łańcuchem na szyi i wartymi fortunę perłami i rubinami u czapki, kroczył Lorenzo Wspaniały, niekoronowany król tej dziwnej republiki, dwudziestoosmioletni władca, któremu oddała ona swe serce, choć był brzydki a jego brat piękny. Lecz jaką pełną siły brzydota! Nad chudym, silnym ciałem widać było niemal małpią twarz, na której błysk triumfującego geniuszu i wyjątkowej inteligencji zajmował miejsce urody. Czarne, proste włosy, długi, spiczasty nos, ostre rysy i duże, wąskie usta w niczym nie zmniejszały fascynacji ogarniającej każdego, kto go spotkał, ani pociągu, który jego zagadkowy i posepny wygląd wzbudzał w kobietach.

Po śmierci ojca, Piera, władza polityczna została powierzona obu braciom, ale dwuwładza była pozorem. Jedynym rządzącym był ten wyjątkowy człowiek, na którego barczystych ramionach spoczywała odpowiedzialność za jedną z największych fortun Europy, za władzę oraz rozległe i skomplikowane działania polityczne, nie ograniczające się jedynie do kon-

taktów z innymi państwami włoski mi, lecz obejmujące również wielkie mocarstwa, takie jak Francja, Anglia, Niemcy, Kastylia i Aragonia. Jako bankier królów, którzy się z nim liczyli Lorenzo zacieśnił z Francją więzy przyjaźni, zadzierzgnięte niegdyś przez jego ojca, któremu król Ludwik XI wyświadczył łaskę i zaszczyt zezwalając na wyrycie kwiatów lilii na jednej z siedmiu kulek w herbie Medyceuszy.

Lorenzo był wówczas u szczytu władzy, znał jednak jej ograniczenia. Poszerzył granice Florencji, zdobył Sarzanę, uśmierzył bunty w Volterra i Prato, pokonał znowę rodu Pittich skazanych na wygnanie, poślubił rzymską księżniczkę, i za to wszystko naród był mu wdzięczny. Usunął z Rady Republiki wielkie szlacheckie rody, takie jak: Guicciardini, Ridolfi, Nicolini i Pazzi, aby zastąpić je ludźmi niskiego stanu. Tymczasem usunięci, których fortuny były jeszcze znaczne, gryźli wędzidło i utrzymywali klientelę mogącą nadal wywołać rozruchy czy wynająć morderców. Pod pozorem jowialności i odprężenia skrywał więc Lorenzo ostrożność, a nawet nieufność i czujność, gdyż wiedział, że choć jest następcą swego ojca, a ten z kolei swego -Cosima Starszego - władzę otrzymał od ludu, a nie na mocy „boskiego prawa”. Panował jednak jak niekoronowany król, gdy tymczasem jego młodszy brat Giuliano z radością i nie pragnąc niczego więcej, zadowalał się przyjemną rolą królewicza z bajki, którą grał urzekająco. Florencja kochała go za młodość, urodę, elegancję, a nawet za jego szaleństwa, gdyż był odbiciem jej samej...

Odpowiadając uśmiechem i ruchem dłoni na burzliwe wiwaty powitalne, Lorenzo Wspaniały zbliżył się do wielkiej trybuny prowadząc za rękę królową turnieju Simonettę Vespucci, którą oklaskiwano prawie równie go-

rażo jak jej przewodnika, a której Fiora nienawidziła z całą zazdrosną zaciętością swych siedemnastu lat. Tym bardziej że przyznać musiała, nawet jeśli to raniło jej serce, iż jej nieświadoma niczego rywalka była absolutnie urzekająca.

Wysoka, smukła, o ciele wiotkim, uroczym i pełnym wdzięku, szczupłej giętkiej szyi, nieco zadartym nosku i wielkich, brązowych oczach, łagodnych jak oczy łani, Simonetta dumnie nosiła idealnie piękną główkę, obciążoną masą rudozłotych włosów, zaplecionych w lśniące warkocze, podtrzymywane przez szpilki z perłami i przeplatanych cienkim, złotym sznurkiem, zakończonym nad czołem *brochetta*-zabawnym klejnocikiem ze złota i pereł, podobnym w kształcie do maleńkiego wachlarza.

Inne perły - kochała tylko perły, i to do szaleństwa -pokrywały jej lśniącą białą suknię, naszywaną cienkimi listkami złota i ocieploną śnieżnymi gronostajami. Była tak piękna w tym stroju, że Fiorze ścisnęło się serce: nigdy nie osiągnie tej doskonałości. Simonetta była jedyna, niezapomniana...

- Przyznaję, że jest piękna - powiedziała Chiara z niezadowoleniem. - Niemniej ten otwarty kult, jakim otacza ją nie tylko Giuliano, którego jest z pewnością kochanką, ale również Lorenzo, który ustawicznie składa dla niej rymy, nie licząc takich kretynów, jak Botticelli czy Poliamolo, czołgający się u jej stóp, ma w sobie coś rażącego. W końcu ona jest mężatką, do diabła! A możesz mi powiedzieć, gdzie się teraz podziewa Marco Vespucci?

Simonetta była mężatką. Urodzona w Porto-Venere (no-Oien-omen: porcie Wenus!), w bogatej rodzinie genueńskich armatorów Cattaneich, po-

ślubiła przed sześciu laty, ^szesnastym roku życia, Marca Vespucciego, najstarsze go syna szlacheckiej florenckiej rodziny, której pałac sąsiadował z pałacem Beltramiego. Od kiedy po raz pierwszy pojawiła się publicznie, podczas uroczystych zaślubin Lorenza Medyceusza z rzymską księżniczką Clarissa Orsini, podbiła nie tylko obu braci, lecz również całe miasto, zachwycone tą, którą z uwielbieniem zwano „Gwiazdą Genui...”

- Szukam, ale go nie widzę - westchnęła Fiora.

- Bo go tu nie ma. Podobnie jak madonny Clarissy. Pozostaje z godnością w domu, podczas gdy jej mąż i szwagier urządają uroczystości dla uczczenia swej „Gwiazdy”. Nie oszukujmy się! Ambasador Wenecji to tylko pretekst... Na miłość boską, przestań robić taką minę! Powinnaś nosić głowę równie wysoko jak Simonetta. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że masz prawo być z siebie dumna?

W oczach Fiory natychmiast pojawiły się błyskawice.

- Jestem dumna z tego jak mnie wychował mój ojciec i z nazwiska, które noszę. Czy to nie wystarczy?

- Nie, pora żebyś zrozumiała, że nie jesteś już małą dziewczynką, ale panną, bardzo zresztą pociągającą!

Fiora roześmiała się serdecznie.

- Mój ojciec i Leonarda mówią to samo. W końcu wam uwierzę.

- I dobrze zrobisz! Inni przekonają się o tym, gdy przyjmiesz do wiadomości, że można się do ciebie zalecać dla ciebie samej, a nie z powodu majątku ojca. Zastanawiam się zresztą, skąd ci to przyszło do głowy?

- Och, to stara historia! Miałam chyba siedem czy osiem lat, kiedy pewnego razu donna Hieronima...

- Twoja kuzynka?

- Tak, kuzynka ojca. Przechodziła z przyjaciółką przez ogród, w którym się bawiłam, zatrzymała się, wzięła kosmyk moich włosów i powiedziała: „Ta mała jest naprawdę brzydka! Prawdziwa Egipcjanka! Bez posagu na pewno żaden chłopak jej nie zechce”.

- I uwierzyłaś jej? Choć to prawda, że na brzydocie powinna się znać: jej syn to istny potwór.

- Proszę, nie mówmy już o tym! Czas ani miejsce nie są odpowiednie.

Wielka trybuna wypełniła się. Królowa zasiadła na tronie, po którego obu stronach sadowili się Lorenzo Wspaniały i ambasador Wenecji Bernardo Bembo. Francesco Beltrami w towarzystwie wuja Chiary odszukał dziewczęta na bocznym balkonie, najbliższym trybuny.

- No i co, młode damy? - powiedział wesoło - mam nadzieję, że jesteście zadowolone z miejsc? Nie umknie waszej uwagi nic z walki ani z tego co dzieje się na trybunie królowej.

Było to rzeczywiście interesujące. Obie przyjaciółki zabawiały się przez chwilę anonsując gości zajmujących miejsca. Najpierw członków Signorii, w podszytych futrem czapkach i purpurowych dalmatykach, w towarzystwie gonfaloniera*⁵ Petrucchiego. Później najwyżej urodzonych lub najbogatszych ludzi w mieście. Były wśród nich osoby z otoczenia władcy: filozof i lekarz Marsile Ficino, który zapoznał go z doktryną platońską, hellenizujący poeta Angelo Poliziano, najbliższy towarzysz Lorenza i wychowawca jego syna, trzy siostry Medyceuszki: Bianca, Maria i Nannina. Był

⁵ *Urzędnik sądowy w średniowiecznych republikach włoskich.

też stary uczyony Paolo Toscanelli, astronom, który opracował nowy sposób wykonywania gnomonów*⁶ i nawet zainstalował jeden na kościele Santa Maria del Fiore, katedrze z białego, czerwonego i zielonego marmuru, cudownym Duomo - dumie florentczyków. Toscanelli był także konserwatorem Biblioteki Medycejskiej. Fiora знаła go dobrze, gdyż udzielał jej lekcji astronomii, podobnie jak inni nauczyciele dawali jej lekcje greki, łaciny, matematyki, śpiewu, tańca, pisania wierszy i wszystkiego czego nie uczono nigdzie indziej, co we Włoszech czyniło sawantkami dziewczęta ze znakomych domów. Obok starego mistrza jego ulubiony uczeń Amerigo Vespucci, młody szwagier Simonetty, obgryzał z roztargnieniem paznokcie i nie patrzył na nikogo ani na nic, ale jego upodobanie do bujania w obłokach było tak znane, że nikt się nim nie przejmował.

Mocne szturchnięcie łokciem położyło kres obserwacjom Fiory.

- Spójrz - szepnęła podekscytowana Chiara - kto to jest?...

- Kto taki?

- Nie widzisz mężczyzny siadającego obok pana Lorenza? To na pewno jakiś cudzoziemiec, nigdy go nie widziałam.

Uprzejmym, zapraszającym gestem Wspaniały wskazał miejsce obok siebie wysokiemu nieznanemu, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, o aparycji wielkiego pana i żołnierza zarazem. Na szerokich ramionach wysoko nosił głowę o krótkich, brązowych włosach, które musiały być bardziej przyzwyczajone do hełmu niż do czarnej, aksamitnej czapki, ozdobionej złotym medalionem. Twarz o wydatnych szczękach, pogardli-

⁶ *Poprzednik zegarów słonecznych.

wym nosie, wąskich ustach, uniesionych z jednej strony w kpiącym uśmiešku, była zbyt asymetryczna, aby mieć pretensje do greckiej doskonałości, ale kiedy zdarzało mu się uśmiechnąć, surowe usta odsłaniały białe zęby, a w cieniu prostych brwi orzechowe oczy lśniły inteligencją i ironią. Obszerny płaszcz, niedbale odrzucony na ramiona, odsłaniał czarny, aksamitny kaftan z przewieszonym szerokim, złotym łańcuchem, na którym zwisał dziwny klejnot przedstawiający zgiętego wpół barana.

- Ojciec - poprosiła Fiora - czy mógłbyś nam powiedzieć...

- ... kim jest ten interesujący cudzoziemiec? - dokończył Beltrami, uśmiechając się do dwóch ciekawskich. - To Filip de Selongey, kawaler Orderu Złotego Runa, specjalny wysłannik potężnego księcia Karola Burgundzkiego, zwanego często Wielkim Księciem Zachodu, a jeszcze częściej, choć po cichu, Zuchwałym, z powodu nieokiełznanej odwagi i niepomowanej pychy, kierujących go czasem na bardzo niebezpieczne szlaki! Przyjechał dopiero dziś rano, dlatego herb jego pana nie figuruje obok naszego i weneckiego. A teraz dość na ten temat, zaczyna się turniej...

Rozległ się dźwięk trąbek, znów załopotwały sztandary w zręcznych rękach i bajeczny korowód biorących udział w walce rycerzy przededefilował przy aplauzie tłumu. Nie nosili zwykłego rynsztunku wojennego, lecz polowaną broń turniejową, okrągłe tarcze i fantazyjne hełmy, ozdobione chimery i smokami, albo hełmy na modłę grecką, jakie mógł wkładać Aleksander Wielki, ozdobione wawrzynem lub kunsztownie cyzelowane. Z hełmów zwisały kaskady różnokolorowych piór... Pancerze stylizowane były na antyczne.

Giuliano, pod pancerzem ze złota i srebra, oblókł tunikę z czerwonego i białego aksamitu przybraną perłami, a Gorgona wyrzeźbiona na jego złotej tarczy miała na czole Libro, największy diament Medyceuszy. Młodzieniec promieniał radością i siłą. Trzymał oparty o udo wielki sztandar o symbolice niejasnej dla większości widzów, choć Sandro Botticelli włożył w niej wiele pracy.

Była to chorągiew z aleksandryjskiej tafty, ze złotymi frędzlami na brzegach; w jej górnej części mieścił się wizerunek słońca, a pośrodku - postać Pallas na niebieskich koturnach i w złotej tunice na białej sukni, bardzo podobna do Simonetty. Bogini stawiała stopy na językach ognia, którym płonęły gałęzie drzewa oliwkowego, podczas gdy wyżej położone gałęzie pozostawały nienaruszone. Głowę bóstwa osłaniał błyszczący, antyczny hełm, a jej splecione włosy powiewały na wietrze. W prawej ręce trzymała włócznię, a w lewej tarczę Meduzy. Przy niej znajdowała się ukwiecona łąka i pień drzewa oliwkowego, do którego złotymi sznurami był przywiązany bóg miłości. Eros miał u stóp łuk, kołczan i złamane strzały. Na jednej z gałęzi wypisano złotymi literami po francusku: „Niezrównana”. Pallas wpatrywała się w słońce.

Dzieło to wywarło duże wrażenie, lecz Fiora usłyszała ze swego miejsca, jak ambasador wenecki pyta swego sąsiada, niejakiego Augurellego Rimini, co ono wyraża. Tamten tylko wzruszył ramionami w geście niewiedzy. Wyjaśnienie miało jednak nadejść, gdy Poliziano rozpoczął z wysokości trybuny czytanie długiego poematu swego autorstwa, opowiadającego sen Giuliana, podczas gdy rycerze obracali się z wdziękiem, demonstrując właściwą im zręczność oraz urodę swych koni.

*„Zdaje mu się, że widzijał pani jego serca,
Z twarzą okrutną, surową i pyszną,
Wiąże Kupida do zielonej kolumnienki
Szczęśliwego drzewa Minerwy,
W zbroi na białej sukni
I osłaniając Gorgoną pierś niewinną.
I zdaje się, że ze skrzydeł wszystkie mu wyrywa pióra
I że łamie łuk i strzały nieszczęśnika”.*

We śnie Giuliano przyrzekał bogini Pallas, że włoży jej barwy na tur-niej; tak kończył się poemat, gorąco, nie bez uczucia ulgi, oklaskiwany. Fióra, aby się nie nudzić, obserwowała cudzoziemca, który tak ją zaintry-gował. Często musiała odwracać wzrok, gdyż jej oczy stale napotykały spojrzenie Burgundczyka, co wywoływało w niej dziwne uczucie zażeno-wania zmieszanego z tajemną przyjemnością.

Walka na kopie skupiła wreszcie uwagę wszystkich, choć był to raczej dokładnie wyreżyserowany balet niż prawdziwa walka. Broń była tępa, a młody Medyceusz bez większego kłopotu pokonał niemal wszystkich prze-ciwników. Tylko dwaj stanowili dla niego twardy orzech do zgryzienia.

Pierwszym był Luca Tornabuoni, z biało-złotą chusteczką Fiory przy-czepioną do czubka hełmu, który naprawdę robił co mógł, by pokonać młodsze-ga z Medyceuszy. Jednak bezskutecznie! Tak jak inni wypadł ze strzemion. To nieco zirytowało Fioreę: nie po to dała temu idiocie fant, aby go poniewierał w piachu...

Drugi przeciwnik pojawił się niespodziewanie. W chwili gdy Giuliano miał zostać ogłoszony zwycięzcą, jakiś rycerz, którego zwyczajne uzbrojenie wyróżniało się na tle lśniącego rynsztunku innych, zastukał kopią w tarczę Giuliana. Jeździec był młodym, brzydkim, krępym mężczyzną o czarnych włosach i ciemnej cerze. Zauważywszy go Lorenzo zmarszczył brwi.

- Bardzo późno przybywasz, Francesco Pazzi. Dlaczego wcześniej nie zgłosiłeś chęci uczestniczenia w *giostrze*?

- Bo nie miałem ochoty na maskaradę. Przybywam o właściwej porze, chyba że ten turniej nie jest otwarty dla wszystkich?

- Dlaczegożby nie miał być? Jeśli pragniesz zmierzyć się z moim bratem...

- Z nim czy z kimkolwiek innym, to bez znaczenia. Chcę tylko otrzymać wieniec i ucałować dłoń i usta pięknej Simonetty... A może jej względy są przeznaczone wyłącznie dla twego brata?

- Jeśli ich pragniesz, chodź tu po nie - zaryczał Giuliano z wściekłością.
- Łatwo ich nie dostaniesz...

- Jeszcze zobaczymy!

Walka, która się wywiązała nie miała już wiele z kurtuazji. Pazzi walczył ze złością, Giuliano z wściekłością i to spowodowało wymianę kilku ciosów, które wywołały oklaski publiczności. Fiora ze swej strony była zadowolona z tej walki bez ustępstw, gdyż pojedynek stał wreszcie ironicznym uśmiechem z ust Filipa de Selongeya. Do tej pory cudzoziemiec zdawał się uważać słynną *giostrę* za dziecianną zabawę.

Wreszcie Pazzi upadł na piach i wycofał się wśród pogardliwych okrzyków tłumu, do których Fiora chętnie się przyłączyła. Zwycięzony był

szwagrem kuzynki Hieronimy, wobec której odczuwała taki wstręt, że zniechęciła z tego powodu wszystkich Pazzich. W dodatku ci ostatni ledwo kryli animozję do Medyceuszy; twierdzono, że Francesco próbował pewnego razu zdobyć siłą względy Simonetty. Ujrzenie go pokonanym sprawiło jej przyjemność. Nawet zapomniała o zmartwieniach, kiedy nadszedł przez wszystkich oczekiwany moment: udekorowanie wawrzynem zwycięzcy przez królową turnieju.

Giuliano ukląkł przed Simonettą, która założyła mu na głowę wieniec z fiołków i obdarzyła pocałunkiem, może nieco dłuższym niż tego wymagały okoliczności. Widząc to tłum zgotował im owację; mężczyźni krzyczeli, kobiety płakały z rozczulenia, czapki fruwały w powietrzu. Entuzjazm sięgał szczytu, kiedy jakiś młodzieniec wyskoczył z trybuny i podszedł do tronu królowej.

Był to chudy chłopak o jasnych włosach, podobnych do słomianej strzechy, opadających niesfornie na kościstą twarz. Jego jasne, surowe oczy mogłyby należeć do mnicha lub proroka.

- Siostro - powiedział spokojnie - nie wydaje ci się, że twoje miejsce jest w domu męża, a nie tutaj?

- Boże! - szepnęła Fiora z zachwytem - nasz Amerigo zszedł z obłoków na ziemię...

- ... aby zająć się „Gwiazdą Genui” - dodała Chiara, uwielbiająca takie incydenty. Gdyby wszystko u Vespuccich było w porządku, czy ten natchniony Amerigo mieszałby się do spraw rodzinnych?

Oto już Lorenzo Wspaniały upominał wicherzyciela:

- Odejdź, Amerigo Vespucci! Simonetta króluje we Florencji dzięki swej urodzie i jej rodzina powinna być z tego dumna. Żałujemy, że Marco nie zechciał jej towarzyszyć, ale nic na to nie możemy poradzić.

- Zbyt dobrze wie, że nie byłby mile widziany! Odchodzę, skoro taki jest twój rozkaz, ale chcę, żebyś wiedział, że rodzina nie popiera...

Ktoś pociągnął go za rękaw i Fiora rozpoznała swego malarza. Sandro Botticelli i młody Vespucci przyjaźnili się, dom pierwszego i plac drugiego sąsiadowały ze sobą w dzielnicy Ognissanti. Tymczasem Fiora i Chiara szykowały się, by głośno poprzeć Ameriga. Ich ojciec i wuj próbowali je uspokoić.

- Powinnaś wiedzieć, że ci ludzie nie tracą głowy, gdy tylko ktoś tknie ich bożyszczę - powiedział Albizzi z niezadowoleniem. - Co się tyczy Medyceuszy, dużo nas kosztowała wiedza o tym, że są pamiętliwi i nie mam najmniejszej ochoty skończyć na wygnaniu jak mój ojciec.

Francesco natomiast tylko uśmiechnął się do córki i nakazał, by usiadła, gdyż widowisko jeszcze się nie zakończyło. Wróciła zatem na miejsce i machinalnie spojrzała w stronę burgundzkiego wysłannika, lecz natychmiast odwróciła głowę zaczerwieniwszy się po korzonki włosów: ten zuchwalec nie tylko pozwalał sobie na uśmiech, lecz końcami palców przesyłał jej pocałunek...

Podczas gdy bajkowi rycerze, mniej lub bardziej posiniaczeni i pobrudzeni, ustawwszy się w szeregu powracali do oczekujących ich namiotów, Wspaniała wezwał przed tron Simonetty, aby mu pogratulować, człowieka, który wyreżyserował wspaniałe widowisko, zaprojektował kostiumy i namalował dekoracje: Andree di Cioniego, zwanego Verrochiem. Był on

również najsłynniejszym we Florencji malarzem i rzeźbiarzem, a jego atelier wypełniali uczniowie, wśród których znajdował się również niegdyś Botticelli.

Artysta podszedł wśród oklasków tłumu. Gdyby nie jego eleganckie ubranie, można byłoby go z łatwością uznać za wieśniaka: był niski, otyły, miał dużą głowę pokrytą czarnymi, kręconymi włosami. U jego boku kroczył ulubiony uczeń, który pomagał mu w przygotowaniu święta - wysoki, szczupły i jasnowłosy-przyciągał wszystkie spojrzenia, gdyż był piękny i niewzruszony jak posąg greckiego boga. Był niczym Hermes, który powrócił na ziemię. Podczas gdy Verrochio plątał się w podziękowaniach, grecki bóg przyjął gratulacje władcy z ukłonem, uśmiechem i bez słowa.

- Wuju - oświadczyła Chiara - jeśli ten młodzieniec jest malarzem, powinieneś poprosić go, by namalował mój portret. Chciałabym mu pozować...

- Szalona dziewczyno! Poprosisz o to swego męża, kiedy go będziesz miała. Zresztą, nie wiadomo nawet, jak się nazywa...

- Jeśli tylko o to chodzi - powiedział Beltrami - mogę cię poinformować. To syn tutejszego notariusza, z którym kiedyś prowadziłem interesy. Młodzieniec nazywa się Leonardo... Leonardo da Vinci. Verrochio bardzo go ceni. To dziwny chłopak, choć wielki talent...

- Leonardo? Niezbyt podoba mi się to imię. Kojarzy się z twoją guwernantką - powiedziała Chiara z kpiącym uśmiechem.

Fiora wzruszyła ramionami.

- Cóż znaczy imię? Tym bardziej że ten młodzieniec jest naprawdę zbyt piękny, aby przypominać panią Leonardę...

Szybko zapadała noc. Jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki plac rozjaśniły nagle płomienie setek pochodni. Trąbki posłały ku ciemnemu niebu swój triumfalny sygnał i orszak królowej uformował się ponownie. Lorenzo podał rękę Simonetcie, aby pomóc jej zejść z tronu. W falującym świetle młoda kobieta błyszczała jak gwiazda...

- Przyjaciele - rzucił Wspaniały swym zachrypniętym głosem - teraz wzywają nas obowiązki wobec dam. Chodźmy tańczyć!

Goście powstali z miejsc i ruszyli ich śladem. Fiora zauważyła, że cudzoziemiec nadal się jej przygląda.

TLR



ROZDZIAŁ DRUGI

BURGUNDZKI WYŚŁANNIK

- Madonno, musisz mi uwierzyć, byłem gotów raczej umrzeć, niż zostać pokonanym w twojej obecności...

Luca Tornabuoni klęczał u kolan Fiory. Dziewczyna siedziała między arrasem przetykanym złotem i kredensem, wypełnionym weneckim szkłem o ciepłych barwach oraz cennymi wyrobami złotniczymi, w położonej na uboczu sali pałacu Medyceuszy, dokąd schroniła się w poszukiwaniu spokoju... Było tu niewiele osób. Większość gości znajdowała się w sąsiedniej komnacie, gdzie wesoła roma-nesca unosiła tancerzy przy dźwięku wioli, harf, fletów i bębenków.

Jak wszyscy mieszkańcy Florencji, Fiora uwielbiała muzykę, lecz tego wieczora wolała słuchać niż tańczyć. Widok Giuliana, który prowadził tańce trzymając Si-monettę za rękę nie był jej szczególnie miły. Schroniła się więc w spokojniejszym pomieszczeniu. Niestety, jak na złość, ten gamoń przyszedł tu za nią! Jego płomienne zapewnienia wynagrodziła kwaśnym uśmiechem:

- Umrzeć, może... ale nie zagniewać pana Lorenza -powiedziała. -
Wszyscy wiedzieli, że Giuliano musi zwyciężyć, skoro „Gwiazda Genui”

była królową *giostry*. W przeciwnym razie jej rozczarowanie podzielałby również Lorenzo...

- Zamierzasz powiedzieć,... że pozwoliłem się pokonać?

- Mniej więcej. Przecież jesteś dwa razy silniejszy od Giuliana i o pół głowy wyższy! Nie mówię, że Lorenza, ale jego brata powinieneś być zwyciężyć. Miałam nadzieję, że mój fant poprowadzi cię ku chwale. Ponieważ tak nie było... oddaj mi go!

Młodzieniec przyłożył dłoń do piersi, aby lepiej bronić cennego depozytu:

- Nie będziesz chyba tak okrutna?

- Nie lubię pokonanych. No już, oddaj moją chusteczkę! Nie jest przeznaczona do ocierania łez żalu.

Wybuch śmiechu sprawił, że odwróciła głowę. Oparty o gobelin, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, ozdobionej łańcuchem ze zgiętym w pół baranem, Filip de Selongey przyglądał się im z drwiącym uśmiechem, który dziewczyna uznała za wyjątkowo wstrętny. Kiedy wysłannik z Burgundii zobaczył, że Fiora na niego patrzy, zaczął klaskać z kpiącym wyrazem twarzy.

- Brawo! Zdaje się, że mimo swego młodego wieku dałaś, pani, dowód wyjątkowej bystrości umysłu...

- Co masz na myśli, panie? - spytała Fiora wyniośle.

- Nie nabrałaś się - jak i ja - na tę wojenną komedię, którą nam pokazano. Scenografia była doskonała, ale role źle odegrane.

- Co to znaczy? - zagrzemiał Luca, podchodząc do intruza, co pozwoliło dziewczynie zauważyć, że jeśli Tornabuoni był wyższy od Giuliana, to Burgundczyk był wyższy niż Tornabuoni.

- Sens jest jasny, jak sędzę - odparł Selongey pogardliwie, co sprawiło, że policzki Fiory spłonęły rumieńcem. -Widzieliśmy piękne widowisko... które niczym nie przypomina turnieju godnego tej nazwy.

- Cóż ty o tym wiesz, panie? To prawda, walczyliśmy bronią turniejową...

- Nazywasz to bronią turniejową? Powiedziałbym raczej, że była to broń symboliczna... lub nawet nie istniejąca. Jeśli chcesz, panie, zobaczyć, jak wyglądają prawdziwe zawody, pojedź do Brukseli, Brugii, Gandawy czy Dijon. Przekonasz się, że nasza broń paradna mogłaby służyć podczas wojny... ludziom takim jak ty!

Gniew pokrył nagle rumieńcem urodziwą twarz Tor-nabuoniego; wyciągając sztylet, zawieszony u pasa w pięknej pochwie z kordobańskiej skóry, rzucił się na prowokatora.

- Oto słowa, których pożałujesz!

Tamten nie rozplótł nawet ramion i spojrzał na napastnika z pobłażliwym uśmiechem, zastrzeżonym dla dzieci i osób nieodpowiedzialnych:

- Co zamierzasz uczynić, panie? Dowieść swej odwagi w tym domu, czyli w miejscu niewłaściwym, czy też mnie zamordować?

- Żądam, abyśmy zmierzyli się zaraz, może w ogrodzie przy pałacu. Dowiodę czy jestem dzieckiem albo szaleńcem! Przyjdiesz czy mam cię uderzyć?

- Naprawdę upierasz się przy tym?

- Absolutnie tak!

- Boże, jaki z ciebie nudziarz! Tak bardzo masz ochotę skończyć noc w łóżku z podziurawioną skórą? Zdaje mi się, że dziś wieczorem są ciekawsze rzeczy do roboty.

- Co na przykład?

- Ależ... powiedzmy, upić się. Wina jaśnie pana Lorenza, choć nie pochodzą z Burgundii, są godne szacunku. Można by zaprosić do tańca jakąś piękną damę. Pragnę tylko, żebyś sobie stąd poszedł. Wiedz bowiem, że mam wielką ochotę zająć twoje miejsce u kolan tej ślicznej panny, której nikt jeszcze nie raczył mnie przedstawić...

Był to zapewne wieczór przerwanych zdań, gdyż rozległ się jakiś cichy i zachrypnięty głos, i nagle wysoka postać Wspaniałego wyrosła między dwoma mężczyznami, którzy - trzeba to podkreślić - z szacunkiem cofnęli się o krok w lekkim ukłonie:

- Oto zaniedbanie, które mogę łatwo nadrobić - powiedział Lorenzo w doskonałej francuszczyźnie. - Pozwól, madonno Fioro, że ci przedstawię hrabiego Filipa de Selongeya, kawalera Orderu Złotego Runa- jak sama widzisz - ambasadora jego wysokości księcia Karola Burgundzkiego. Mam nadzieję, messire Filipie, że oceniasz tak jak na to zasługuje zaszczyt złożenia pokłonu donnie Fiorze Belframi, jednej z największych ozdób tego miasta i córce człowieka, którego mam w wielkim poważaniu. Czy jesteś usatysfakcjonowany?

- Całkowicie, panie!

Złożył przed Fiorą ukłon, który zadowolilby cesarzową.

- W takim razie, uczyn mi ten zaszczyt i pozwól się odprowadzić do mojego gabinetu z medalionami. Musimy porozmawiać. Savaglio cię tam zaprowadzi. A ty, uroczą Fioro, uszczęśliwisz mnie tańcząc ze mną tę pive?

Jakby za sprawą czarów, atmosfera, przed momentem napięta, poprawiła się. Dwaj przeciwnicy rozstali się: Filip de Selongey odszedł z kapitanem straży pałacowej, a Luca

Tornabuoni podał ramię jakiejś młodej, rudowłosej kobiecie, która właśnie się pojawiła. Fiora udała się do sali balowej, prowadzona przez władcę. Wysoko unosił w dłoni jej szczupłą rękę, jakby chciał, aby wszyscy podziwiali jego partnerkę. Zajęli wspólnie miejsce na czele podwójnego szeregu tancerzy, gdy tymczasem muzycy stroili instrumenty.

Figury tańca, wymagające perfekcji ruchów, na krótką chwilę powstrzymały ich od rozmowy. Fiora oddawała się przyjemności tańczenia w takt muzyki z zapalem właściwym jej młodości, lecz również z odrobiną dumy. Podniecało ją to, że tańczy z władcą, którego wielu nazywało po cichu księciem, i znajduje się pod obstrzałem wszystkich spojrzeń. Mocny uchwyt dłoni partnera dodawał jej dziwnej pewności siebie. Po raz pierwszy w życiu poczuła radość z bycia piękną i podziwianą. Wiedziała, że tak jest, widząc całkiem nowy wyraz ciemnych oczu Lorenza. Spoglądał na nią tak jakby nigdy przedtem jej nie widział i poczuła, że się czerwieni pod natręctwem wejrzeniem.

- Ile masz lat? - spytał nagle Lorenzo.

- Siedemnaście, panie.

- Naprawdę? Dałbym ci więcej, pewnie dlatego, że tak dumnie nosisz głowę i patrzysz prosto w oczy. Większość dziewcząt w twoim wieku

spuszcza oczy, gdy tylko ktoś się do nich odezwie. Zawsze myślałem, że jest w tym zachowaniu sporo hipokryzji. U ciebie tego nie ma! Zachowujesz spokój we wszystkich okolicznościach... przynajmniej takie sprawiaasz wrażenie.

- Ponieważ nie zemdlałam z emocji, kiedy mnie zaprosiłeś do tańca, panie? (Roześmiała się melodyjnym śmiechem, któremu ciepły timbre jej głosu nadawał nieoczekiwany czar). Co do mojego spokoju, to nie należy zbyt w niego wierzyć. Potrafię wybuchnąć gniewem, ale również i zaczerwienić się...

- Widziałem... i było to bardzo ładne. Czy ojciec myśli wydać cię za mąż?

- Nie sądzę, aby już teraz tego pragnął. Ja również, panie Lorenzo, jeśli chcesz znać prawdę... Zresztą, tutejsze dziewczęta nie wychodzą za mąż przed dwudziestym rokiem życia.

- Dziwne z ciebie stworzenie! Inne dziewczyny już w wieku dziesięciu lat marzą o mężu, a tobie, jeśli dobrze widziałem, nie brak adoratorów. Jeśli dwaj mężczyźni są gotowi bić się, to chyba o czymś świadczy, prawda? Czy żaden z nich nie mógłby poruszyć twego serca?

- Żaden. To nie z mojego powodu Lu ca Tornabuoni i ten cudzoziemiec chcieli się bić, lecz z powodu tego jak pojmują się turnieje tutaj i w Burgundii...

- Co za nieokrzesanie! Gdybym o tym wiedział, kazałbym ich aresztować. Z piękną kobietą powinno się rozmawiać tylko o niej. Doprawdy, jestem rozczarowany.

- A ja nie - powiedziała Fiora ze spokojem. - Widzisz, panie, nie jestem pewna czy jestem adorowana jedynie dla mnie samej... Zbyt często słyszę o majątku mojego ojca, a jestem jedynaczką.

Ramię, którym Lorenzo otoczył właśnie talię Fiory, wzmocniło nieco uścisk, a jego głos nabrał surowości.

- Takie pomysły nie przystoją twojemu wiekowi! Nigdy nie powinno cię to niepokoić. Powinnaś myśleć tylko o radości bycia młodą i śliczną, o szczęściu, które cię kiedyś spotka, o urokach, jakie odkryje przed tobą miłość. Naprawdę, zaczynam sądzić, że w pałacu Beltramiego nie ma ani jednego porządnego zwierciadła...

Rozdzielili się do końcowego ukłonu i Fiora zobaczyła wprost przed sobą drwiący uśmiech Wspaniałego.

- Przyślę ci jakieś lustro. A teraz zwracam ci wolność, piękny ptaku, i idę tam, gdzie wzywa mnie polityka...

Tancerze zatrzymali się na wprost foteli, na których siedziały Lukrecja Tornabuoni, matka Lorenza i Giuliana, wysoka, majestatyczna dama w czarnych, zdobionych srebrem aksamitach, i Clarissa, rudowłosa Clarissa Orsini, żona Lorenza, w brązowym brokacie i złotej siatce. Fiora złożyła im pełen szacunku ukłon, którym zasłużyła sobie na podwójny uśmiech. Oddaliła się szukając wzrokiem Giuliana, aby zobaczyć czy był świadkiem tego co uważała za swój triumf. Ale młodzieniec, siedząc na płachcie aksamitu u stóp Simonetty, którą otaczał krąg poetów, nie zwracał najmniejszej uwagi na tańce. Patrzył na piękną genuenkę, która często pochylała się nad nim z uśmiechem. Oboje tworzyli tak doskonały obrazek dworskiej miłości sławionej w rycerskich romansach, że Fiora zapomniała o zazdrości i podzi-

wiała okiem artysty tworzoną przez nich symfonię bielei, na której tle zaznaczało się wyraźnie lśnienie klejnotów i delikatny błysk pereł. Jednakże w doskonałości młodej kobiety tkwiło coś kruchego co zaskoczyło obserwatorkę. Biała skóra Simonetty wydelikatniała ostatnio, tak że zdawała się być przezroczysta, a głęboki dekolt pozwalał nie tylko podziwiać nasadę uroczych piersi, ale również zauważyć delikatny, lecz jakby Wyraźniejszy zarys obojczyków. Ręce natomiast, z których jedną położyła na ramieniu Giuliana, były przejrzyste białe... Czyżby Simonetta była chora?

Zamiast ucieszyć się, że gdyby tak było Giuliano byłby wolny, Fiora poczuła gwałtowną i głęboką litość. Stwórca naprawdę mógłby pozwolić, aby choroba zniszczyła w pełni rozkwitu jedno z Jego najdoskonalszych dzieł? Simonetta była zbyt młoda, zbyt radosna, by patrząc na nią wspominać mroki grobowca.

Czując czyjaś obecność za plecami, dziewczyna obróciła się tak gwałtownie, że potrafiła jakiegoś nieznanego mężczyznę.

- Och! Proszę mi wybaczyć! - powiedziała po francusku. Mężczyzna zdawał się niczego nie zauważyć. Wpatrywał się uparcie w Giuliana i Simonettę.

- A jednak - powiedział - to nieuchronne. Myślisz, pani, że monna*⁷ Simonetta jest zbyt młoda, by umrzeć? I że szkoda by było...

- Skąd możesz to wiedzieć? - szepnęła Fiora w osłupieniu.

- Nie wiem, ja to czuję, słyszę. Zdarza się, że mogę słyszeć myśli ludzi. Jeśli chodzi o tę młodą kobietę, zapamiętaj sobie co mówię: zostało jej tyl-

⁷ * Skrót od madonna.

ko piętnaście miesięcy życia. Florencja pograży się w smutku, ale ty tego nie zobaczysz.

Nagły niepokój wysuszył raptownie gardło Fiory.

- Dlaczego? Czy ja także... umrę?

Ciemne oczy nieznajomego zatopiły się w oczach dziewczyny, która miała dziwne wrażenie, że przenika jej duszę na wskroś.

- Nie... może tego pożałujesz, bo będziesz daleko stąd i nie sądzę, abyś tam była szczęśliwa.

- Będę... daleko? Ale gdzie...

Przerwał jej ruchem kościstej dłoni i odszedł. Fiora zobaczyła, jak ubrany w długą, czarną szatę, podobną do tych, jakie nosili lekarze, oddala się wśród innych barwnie odzianych ludzi. Mogła śledzić z oddali jego przejście przez oświetlone sale, gdyż był to mężczyzna bardzo wysoki i jego głowa w długiej czapce, ozdobionej złotą szarfą, wystawała ponad inne. Fiora miała ochotę pobiec za nim, lecz nie mogła się ruszyć, ponieważ jego słowa zmroziły ją do głębi serca. Była w nich jakaś nie sprecyzowana groźba, która ją przerażała, albowiem wymykała się ludzkiemu zrozumieniu.

Swojski głos Chiary wyrwał ją z przygnębienia i przywołał do rzeczywistości.

- Przeprowadziłam ci tego nieszczęśnika, który nie śmie już nawet stanąć przed tobą, bo jest przekonany, że nim gardzisz. Zapewniłam go, że twoje serce nie jest aż takie twarde.

Fiora popatrzyła nie widzącym wzrokiem na przyjaciółkę i młodego Tornabuoniego, którzy zaniepokoiili się ujrawszy bladość jej twarzy. Chiara wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki, by ją podtrzymać.

- Co ci się stało? Jesteś chora? Drzysz... Przynieś jej trochę wina, Luca. Ona zaraz zemdleje.

Młodzieniec rzucił się w kierunku jednego z wielkich bufetów ustawionych w każdym rogu sali, odwracając się raz po raz, aby spojrzeć na Fiorę i nie troszcząc się o osoby, które potrącał. Tymczasem Chiara zaprowadziła przyjaciółkę do okna i posadziła ją na wyściełanej poduszkami ławie. Fiora przesunęła drżącą ręką po czole i uśmiechnęła się do dziewczyny pochyłonej nad nią z niepokojem.

- Już mi lepiej, uspokój się. Nie wiem, co mi się stało, chyba się przestraszyłam.

- Przestraszyłaś się? Ty, której nic nigdy nie przeraża? Czego, na Boga?

- Jakiegoś człowieka, którego nigdy przedtem nie widziałam; może go zauważyłaś? Jest bardzo wysoki, trochę przygarbiony. Ma twarz okoloną krótką brodą, siwe włosy i ciemne oczy. Nosi długą, czarną szatę i wysoką czapkę... Był tu przed chwilą.

- Widziałam istotnie kogoś, kto przypomina twój opis. Nie znam jego nazwiska. Dlaczego się go przestraszyłaś?

- Przepowiedział mi straszne rzeczy. Według niego Simonetta umrze w przyszłym roku. Ja natomiast będę daleko stąd i nie będę szczęśliwa.

Brazowe oczy Chiary zabłysły.

- Jasnowidz? To cudowne. Muszę koniecznie z nim pomówić, żeby mi odkrył...

Fiora energicznie powstrzymała wrywającą się naprzód przyjaciółkę.

- Zostań tu! To nie jest człowiek, którego można napastować, pytając o przyszłość. Jego spojrzenie mrozi krew w żyłach. Proszę cię: ani słowa o tym, co ci powierzyłam.

Chiara usłuchała, choć z wyrazu jej twarzy Fiora odgadła, że przyjaciółka nie jest przekonana. Na szczęście wrócił Luca z kieliszkiem wina, na które Fiora zupełnie nie miała ochoty. Wypiła jednak kilka kropel, aby sprawić przyjemność adoratorowi. Patrzył na nią jak wierny pies, stwierdzając z radością, że lekkie rumieńce wracają na policzki dziewczyny.

- Już lepiej, prawda? Czekam na następne rozkazy...

- Spróbuj dowiedzieć się, kim jest pewna interesująca nas osoba - powiedziała Chiara, obstając przy swoim pomysle.

- Jaka osoba?

Dziewczyna zaczęła opis, tak dokładny, jak to było możliwe, zważywszy że pochodził z drugiej ręki. Fiora powstrzymała ją:

- Nie męcz się! Widzę go, rozmawia z panem gonfalonie-rem Petrucchim...

Luca odwrócił się, spojrział we wskazanym kierunku i zmarszczył brwi.

- Gonfalonier sprawiedliwości jest ostatnią osobą, w rozmowie z którą ten czarownik powinien znajdować przyjemność. To właśnie strażnik praw otwiera drogę na stos...

- Czarownik? Znasz go?

- Nie znam, ale wiem kim jest - sprecyzował wyniośle Luca. - To nie to samo.

- Nieważne! Mów, skoro wiesz, zamiast pozwalać byśmy konały z ciekawości.

- Odpowiednie słowo, kiedy mowa o czcicielu diabła! -zaśmiał się szyderczo młodzieniec. - Dowiedźcie się więc, ciekawskie ślicznotki, że ten człowiek nazywa się Demetrios Lascaris. To grecki lekarz. Mój kuzyn Lorenzo wielce go poważa dla jego wiedzy. Ma nadzieję, że Lascaris, który utrzymuje, że pochodzi od cesarza Bizancjum, przywróci mu węch, którego jest pozbawiony*⁸. Ofiarował lekarzowi dom w pobliżu Fiesole. Podobno dzieją się tam dziwne rzeczy... mówią, że wywołuje się tam diabła!

W miarę mówienia Luca ściszył głos o kilka tonów, a zakończył dramatycznym szeptem. Rozdrażniło to Fiore.

- Mamy willę*⁹ w Fiesole i nigdy nie słyszeliśmy o tym greckim lekarzu. Gdy tylko ktoś wykroczy poza przeciętność, ludzie natychmiast wymyślają na jego temat niestworzone rzeczy...

Zupełnie nie umiałaby uzasadnić, dlaczego nagle stawała w obronie człowieka, który przed chwilą tak ją przeraził. Może dlatego, że wykształcona przez ojca w duchu filozofii greckiej uznała za rażące zaprawione przesadami plotki. Mężczyzna ów był nieprzeciętny, co do tego nie było wątpliwości i zdawał się posiadać dar jasnowidzenia. Nie znaczyło to, że można było go porównywać do tych licznych mających czarowników, którzy prosperowali w okolicznych wsiach.

- Może lepiej nie rozpowszechniać tego typu pogłosek -dodała. - Byłabym bardzo zdziwiona, gdyby pan Lorenzo, mający umysł tak głęboki i jasny, liczył się z jakąś demoniczną kreaturą!

⁸ *Lorenzo Medyceusz istotnie cierpiał na brak powonienia.

⁹ * Słowo użyte w znaczeniu antycznym.

- Co cię ugryzło? - zapytała Chiara. - Spójrz na tego nieszczęśnika, którego tak źle traktujesz! Ma łzy w oczach...

- Niech mi więc wybaczy. Jestem dziś zdenerwowana, trochę może zbyt drażliwa - powiedziała Fiora wstając. - Są takie dni, kiedy nic mi się nie podoba.

- Nieszczęście polega na tym - westchnął Luca - że ja zawsze trafiam na takie dni!

Fiora roześmiała się i aby pocieszyć nieco swego nieszczęsnego wielbi-cieła, pogładziła go po policzku czubkami palców.

- Platon mówi, że nikt nie może umknąć przeznaczeniu. Życzę wam miłego wieczoru! Zatańczcie tę calatę, którą właśnie zaczynają grać! Ja poszukam ojca i poproszę, żeby zabrał mnie do domu... Jestem zmęczona!

Lekkość, z jaką się oddaliła zaprzeczyła ostatnim słowom, ale tak Chiara jak i Luca wiedzieli, że daremnie próbowaliby ją zatrzymać. Z takim samym westchnieniem, choć z różnymi uczuciami, patrzyli, jak suknia z opalizującego brokatu przemknęła wśród grupki ludzi i znikła w drzwiach sali balowej.

- No cóż - westchnął młody Tornabuoni - chodźmy zatańczyć, skoro ona tego chce!

- Można to nazwać wytwornie sformułowanym zaproszeniem - rzekła Chiara z kpiącą miną. - A zresztą, czemu nie? Taki sam dobry sposób spędzenia czasu jak każdy inny!

Fiora odnalazła Francesca Beltramiego w sali muzycznej. Stojąc przy kominku, do którego czarni niewolnicy wciąż dokładali pachnących polan, rozmawiał z Bernardem Bembo, ambasadorem Wenecji, którego znał z

wielokrotnych pobytów na wybrzeżu Adriatyku. Fiora podeszła w chwili, gdy ten ostatni zabrał głos i nie śmiała mu przerywać.

- Odkąd papież Pius II zmarł przy pracy, próbując zorganizować krucjatę przeciwko Turkom, Wenecja samotnie stawia czoła niewiernym, którzy pozbawili ją niemal wszystkich kolonii w Grecji i Azji Mniejszej. Nikt zdaje się nie doceniać zagrożenia, jakie stwarza dla Zachodu sułtan pokroju Mahometa II. Ani papież Sykstus IV, zajęty jedynie rozbudową Rzymu i dostaniem urzędem swych bratanków, ani Ferrante z Neapolu, ani Sforza z Mediolanu, ani rzecz jasna Genua, która zaciera ręce, obliczając ile ziem, ludzi i statków straciliśmy. Wszyscy chcą zapomnieć, że Mahomet podbił Bizancjum, a sztandar Proroka powiewa również nad Partenonem. Tylko szerokość Adriatyku chroni papieskie państwa przed zagrożeniem ze strony Turcji, której wojska przed dwoma laty dotarły aż do Friuli.

- Wenecja dała wtedy jednak wspaniały dowód odwagi i potęgi, odpychając wroga od murów Scutari.

- No tak! Loredano, z zaledwie dwoma tysiącami pięciuset ludźmi, odepchnął dziesięć tysięcy Turków w stronę morza. Kto wie czy w tej chwili Scutari jest jeszcze w naszych rękach? Flota turecka atakuje nasze okręty prawie na wysokości Lido. A niestety, nasz doża, Piętro Mocenigo, choć ma dopiero sześćdziesiąt osiem lat, jest bardzo słaby z powodu ran odniesionych w walkach z korsarzami i janczarami Mahometa. Długo nie pociągnie, a nam przydałby się władca młody i pełen życia.

- No tak, ale wasi marynarze nie mają sobie równych, a w osobie Bartolomea Colleonego macie największego kondotiera we Włoszech...

Twarz Bernarda Bembo zachmurzyła się.

- Colleoni właśnie zmarł w swoim zamku w Malpadze. Blask jego sławy był tak silny, że kazał zapominać o jego wieku.

- Czy był taki stary?

- Miał prawie siedemdziesiąt pięć lat. Dodam, że zapisał Republice kwotę stu tysięcy złotych dukatów, aby nawet po śmierci uczestniczyć w wojnie przeciwko Turkom. Ale postawił warunek: Wenecja wystawi mu pomnik na placu Świętego Marka...

- Do licha! - powiedział Beltrami ze śmiechem - w samym sercu Wenecji.

- Ominęliśmy tę trudność: statua zostanie wzniesiona na placu Scuola di San Marco. Przybyłem nie tylko zawrzeć przymierze z panem Lorenzem, które pomoże ochronić nasze posiadłości na stałym lądzie, gdyby Turcy się do nich zbliżali. Również po to, by zamówić posąg konny u waszego największego rzeźbiarza, Verocchia. Oczywiście, jeśli Florencja mu na to pozwoli!

- Na pewno, zarówno ona jak i sam rzeźbiarz będą tym zachwyceni.

Ton głosu Beltramiego uległ zmianie, gdy przyciągnął do siebie Fiore, która czekała na zakończenie rozmowy.

- Na pewno zauważyłeś, dostojny panie, tę młodą osobę, która nam się przysłuchiwała. Pozwól, że ją przedstawię: moja jedyna córka Fiora.

Twarz weneccjanina rozjaśniła się, kiedy Fiora złożyła mu pełen wdzięku ukłon.

- Zauważyłem właśnie, a osoba ta jest tak piękna, że rozpraszała moją uwagę. Mam nadzieję, że nie mówiłem głupstw.

- Zapewniam cię, że nie. Czego chciałaś, córeczko? Czemu się już nie bawisz po tańcu z panem Lorenzem, który uczynił ci ten zaszczyt...

- Właśnie dlatego, że po tym partnerze nie odpowiadałby mi już żaden tancerz..!— Potem poprosiła ciszej. - Ojczy, chciałabym wracać do domu...

Prosząca nuta drżąca w głosie córki przekonała France-sca, że nie chodzi tu o zwykły kaprys.

- Jak chcesz, ale daj mi jeszcze kilka chwil. Wyjdziemy, gdy tylko pan Lorenzo skończy rozmawiać z Burgundczykiem. Wówczas podejdziesz do obecnego tu pana Bembo.

Wnet pojawił się Lorenzo, uśmiechnięty, uprzejmy jak zwykle, w towarzystwie Filipa de Selongeya. Burgundczyk natomiast zaczerwienił się, a jego oczy błyszczały jakby pod wpływem z trudem powstrzymanego gniewu. Podeszli dosyć blisko i usłyszano o czym mówią.

- To, co powiedziałem, nie zmienia w niczym faktu, że jesteś moim gościem, panie hrabio! Jesteś młody, a damy czekają.

Głos Filipa de Selongeya zabrzmiał równie donośnie jak niedawno trąbki na polu turniejowym:

- Wielkie dzięki, wasza wysokość, ale nie mogę uczestniczyć w balu. Jak ci mówiłem, książę Karol, mój szlachetny pan, walczy, a wraz z nim prowadzi wojnę cała Burgundia. Jestem żołnierzem, a nie bawidamkiem. Skoro nie mamy już sobie nic do powiedzenia, pozwól, że się oddalę...

- Jak sobie życzysz, panie. Zobaczymy się jeszcze.

- Czy to konieczne? - spytał Selongey arogancko.

- Bez wątpienia. Czy nie powinienem przekazać listu dla Wielkiego Księcia Zachodu, skoro uczynił mi ten zaszczyt przysłania cię do mnie? Listu... i dowodu podziwu.

- Podziwu? Mój pan nie potrzebuje go, skoro nie dostaje tego, o co prosi. Mediolańczyk okazał więcej zrozumienia wysłuchawszy propozycji księżnej Jolanty Sabaudzkiej, sojuszniczki Burgundii.

- Wbrew własnemu bratu, królowi Francji? - głos Me-dyceusza stał się ostry. - Księżna może oczywiście wyrzec się więzów krwi przy aplauzie wszystkich. Ja pozostaję wierny związkom rodzinnym. Przypominam ci, że w moim herbie są kwiaty lili! Co prawda - dorzucił z nieco pogardliwym uśmiechem - w herbie Burgundii również się one znajdują, choć ona nie zważa na to wcale... Życzę dobrej nocy, panie de Selongey! Ach, panie Bembo, szukałem cię! Zechcesz mi łaskawie towarzyszyć?

Dwaj mężczyźni skierowali się do sali balowej. Fiora i jej ojciec stali nieruchomo, aby nie przeszkadzać burgundzkiemu ambasadorowi w opuszczeniu sali. Schody we wspaniałej posiadłości medycejskiej były wąskie i strome jak we wszystkich pałacach florenckich. Filip de Selongey stał bez ruchu. Zacisnąwszy pięści najwyraźniej walczył z chęcią dogonienia Lorenza i, być może, bezwzględnej i natychmiastowej zemsty za pogardliwe słowa, które padły. Powstrzymał się jednak, wzruszył ramionami i ograniczył do powiedzenia wystarczająco głośno, aby Lorenzo go usłyszał:

- Nie zawsze wszystko będzie szło po twojej myśli, panie Lorenzo! Jego wysokość książę Karol zwycięży szwajcarskich nicponi. Uczyni z Burgundii królestwo, którym niegdyś była, a wtedy poznasz siłę jego gniewu!

Gestem przywołał dwóch mężczyzn, którzy czekali w rogu sali i zapewne należeli do jego eskorty. Zamierzał wyjść, kiedy zauważył Francesca z córką i podszedł do nich. Uśmiech rozjaśnił jego twarz, tak przed chwilą zacięta.

- Panno Fiora, jesteś właśnie osobą, którą chciałem zobaczyć przed opuszczeniem tego pałacu. Chciałem nie tyle zatańczyć, gdyż tego bym nie potrafił, ile porozmawiać z tobą przez chwilę. Sądzę, że opóźnię trochę moje odejście.

Podał jej zamkniętą dłoń, aby Fiora mogła położyć na niej swoją. Beltrami łagodnie go odsunął.

- Nie zwlekaj, panie! Wypowiedziałeś przed chwilą słowa, które czynią twą obecność tym domu niepożądaną. Nie wiem, na jaki temat mógłbyś rozmawiać z moją córką?

- Ależ... o wszystkich tych uroczych rzeczach, które mogą zainteresować młodą pannę. Chciałbym dowiedzieć się również, dlaczego jej twarz wydaje mi się znajoma. Już ją spotkałem, choć nie wiem, gdzie i kiedy... Zawstydzam mnie to głęboko. Podobnej urody nie powinno się zapominać.

Fiora już otwierała usta, żeby powiedzieć, że Burgund-czyk spotkał kiedyś z pewnością jej matkę, lecz Beltrami nie dał jej na to czasu.

- Padłeś ofiarą złudzenia, panie. Moja córka ma dopiero siedemnaście lat i nigdy nie opuszczała kraju. Chyba że chodzi o podstęp... często używany dla nawiązania rozmowy z nieznajomą, która się podoba! Dobrej nocy, panie! Wychodzimy.

Chociaż głos był uprzejmy, ton nie dopuszczał sprzeciwu. Selongeynie nalegali usunąć się z ukłonem, aby zrobić przejście. Fiora pochwyciła

ukradkiem jego spojrzenie, zarazem zamyślane i pytające. Nie odczuła tym razem irytacji, która ją ogarniała przy poprzednich kontaktach z cudzoziemcem, a przeciwnie, rodzaj żalu, że interesujące wydarzenie urywa się w połowie. Jednakże była zbyt posłuszna poleceniom ojca, by z nim dyskutować... kiedy nie byli sami.

U podnóża schodów oczekiwali służący z pochodniami, aby odprowadzić ich do domu. Tej nocy oświetlenie nie było potrzebne, gdyż ulice miasta lśniły od świateł, wypełnione muzyką i wesołością. Ucztowano nawet na placach, gdzie na rozkaz Lorenza podejmowano *popolo minuto* pospól-

TLR

stwo, wszędzie pieśniarze i komedianci wznosili chóralne śpiewy czy pokazywali sztuczki. Rozciągająca się nad świętującą Florencją noc była piękna i rozgwieżdżona.

Przed brązowymi drzwiami Baptysterium, na których złocone postacie zdawały się poruszać w blasku migających świateł, wesoła gromada studentów, terminatorów i dziewcząt otoczyła nagle kołem kupca i jego córkę, izolując ich na chwilę od służby:

- Tej nocy „sypią się pieszczoty”*¹⁰, messer Francesco -wykrzyknął jeden z chłopców, a reszta natychmiast podchwyciła chórem. - To nie pora na powrót do domu, lecz na tańce.

- Jestem już za stary, by tańczyć - rzucił wesoło Beltrami - a moja córka jest zmęczona.

- Zmęczona? Mając takie oczy?

Jakiś chłopak niosący na plecach lutnię odłączył się od gromady. Przyklęknął na jednym kolanie przed Fiorą i zaśpiewał:

„O róžo zerwana z zielonej gałązki,

Zostałaś posadzona w ogrodzie miłości...”

Była to znana piosenka i wszyscy podjęli ją chórem, a Fiora z uśmiechem pozwoliła ucałować swą rękę młodemu pieśniarzowi. Beltrami natomiast otworzył sakiewkę i wyciągnął z niej garść monet, które cisnął w stronę młodzieży.

- Noc jest długa, dzieci! Korzystajcie z niej i bawcie się na zdrowie!

¹⁰ *Florenckie wyrażenie, oznaczające, że jest się szczęśliwym

Rozległy się okrzyki na jego cześć, szybko pozbierano monety, po czym cała gromada przy dźwiękach lutni, fletów i bębenków odprowadziła ojca i córkę do pałacu. Po przybyciu do domu, za zgodą pana, służący, którzy nieśli pochodnie, napoili spragnionych i przyłączyli się do trwających aż do świtu tańców. Fiora i jej ojciec weszli na górę. Ponieważ Beltrami wyraził zamiar popracowania w swym studiolu nad niedawno kupionym greckim manuskrytem, Fiora poszła za nim. Podeszła w zamyśleniu do portretu i podniosła zasłonę, aby jeszcze raz mu się przyjrzeć.

- Już późno! - powiedział Francesco z lekkim wyrzutem. - Powinnaś iść spać...

- Proszę cię, ojczy, pozwól mi na nią jeszcze przez chwilę popatrzeć! Pomyśl, zaledwie ją poznałam! Nigdy mi nawet nie powiedziałeś jak się nazywała.

- Powiedziałem ci, że nazywała się Maria.

- Tyle kobiet ma na imię Maria! To niewystarczające.

- Jednak na razie będzie musiało ci to wystarczyć/ Kiedyś ci powiem...

- Dla ciebie oznacza to wiele lat, nieprawdaż? A ja tak bardzo chciała-bym wiedzieć... Czy ten cudzoziemiec, ten... Filip de Selongey - dodała nagle się rumieniąc - mógł ją znać?

Beltrami zamknął w dłoniach ręce Fiory.

- Nie nalegaj, moje dziecko! Nie zmusisz mnie do powiedzenia tego, co chcę zachować dla siebie, nie dręcz mnie! Idź teraz spać! Przyszła już po ciebie donna Leonarda...

Rzeczywiście, usłyszeli charakterystyczne dla niej skrobanie w drzwi, po czym guwernantka wkroczyła do pokoju.

- Nie spodziewałam się was przed świtem. Co się stało?

- Nic, to ja chciałam już wracać. Nie bawiłam się tak dobrze jak się spodziewałam - powiedziała Fiora.

- Dostojny pan Lorenzo tańczył z nią, a ona się skarży!

Leonarda nie słuchała. Zauważyła portret, który Fiora przed chwilą przyniosła, aby płomień kominka lepiej go oświetlił. Po chwili jej rozszerzone oczy zwróciły się ku Beltramiemu:

- Skąd masz ten obraz? - zapytała.

- Namalowano go dla mnie, sugerując się podobieństwem do Fiory. Jest zadziwiające, nieprawdaż?

Roześmiał się z pozorną swobodą. Leonarda wciąż nie rozumiała.

- Po cóż było to robić?

- Po prostu dlatego, że tego pragnąłem. Czy to nie wystarczy?

Z piersi guwernantki wydobyło się ogromne westchnienie, przypominające odgłos kowalskiego miecha:

- Pozostawiam to twojej ocenie, panie Francesco, ale pozwól, że powiem: mnie się to nie podoba. Kuszeniem losu... a nawet diabła jest wzorowanie się na twarzy osoby żyjącej aby namalować umarłego. Gdyby to dziecko...

- Co za brednie! Jak można podsuwać podobne pomysły dziewczynie, która i bez tego ma zbyt bujną wyobraźnię i jest zbyt ciekawska? Powiedziała, że jest zmęczona: zabierz ją spać!

Fiora śledziła krótką wymianę zdań z łatwą do odgadnięcia ciekawością. Podsunęła ojcu czoło do pocałunku i bez protestu pozwoliła się odprowadzić, ale zmieszanie Leonardy nie uszło jej uwagi. Gdy znalazła się w po-

koju, gdzie rozespana Khatoun i guwernantka zaczęły ją rozbierać przed położeniem do łóżka, zapytała nagle po francusku, aby zrozumiała ją tylko Leonarda:

- Ty też nie chcesz mi nic powiedzieć? :
- Na jaki temat?
- Na temat mojej matki. Dlaczego mam prawo znać tylko jej imię?

TLR

- Wystarczy, że będziesz się za nią modlić. Skoro twój ojciec nic ci nie mówi, to znaczy, że ma ku temu powody. Spróbuj teraz zasnąć, pani.

- Nie chce mi się spać i myślę, że z moją matką wiąże się jakaś straszna historia.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po tym, co ojciec zrobił dziś rano...

Opowiedziała, co się zdarzyło w studiolu. kiedy Francesco chciał jej udowodnić, że jest równie piękna jak ta, której wspomnienie pragnął uwiecznić.

- Zauważyłam brunatną plamę na koronce i ojciec musiał przyznać, że to była krew. Krew mojej maiki! Nie możesz mi powiedzieć, jak umarła?

Leonarda, która podczas opowiadania objawiała pewne zaniepokojenie, przeżegnała się kilkakrotnie:

- Nie!... nie licz na mnie! Powiem ci tylko tyle: twoja matka, pani, była słodkim i uroczym stworzeniem, całe życie prześladowanym przez nieszczęścia. Miłość, ofiarowana jej przez twego ojca, była jedynym prezentem jaki dostała od losu. Dlatego nie przestajemy się za nią modlić. Śpij teraz!

Chwyciwszy białe adamaszkowe zasłony przy łożu zamierzała je zaciągnąć, ale Fiora ją powstrzymała:

- Wiesz dobrze, że nie lubię spać w zamknięciu. Chciałam ci coś jeszcze powiedzieć: dziś wieczorem w pałacu Medyceuszy jakiś dziwny mężczyzna przepowiedział mi przyszłość.

- A to co znowu! Cóż ci przepowiedział? Powtórzyła jej wszystko dodając:

- Twoja przyjaciółka, Colomba, która wszystko o wszystkich wie, musiała chyba słyszeć o Demetriosie Lascari-sie? Chciałabym wiedzieć, co o nim myśli.

- Na pewno nic dobrego - zamruczała Leonarda. - To na pewno jakiś szarlatan i zły człowiek. Opowiadać dziecku podobne rzeczy! Mam nadzieję, że nie wierzysz w ani jedno jego słowo? Co do monny Simonetty, cała Florencja wie, że nie czuje się dobrze. Jako lekarz może wiedzieć o tym więcej, ale nie miał prawa mieszać cię do swoich obsesji. Gdzież mogłabyś być w przyszłym roku, wielkie nieba, jeśli nie tu czy w Fiesole?... Chyba, żeby ojciec zabrał cię w jedną ze swych podróży, i w tym przypadku być może cierpiałabyś na morską chorobę? Nic innego nie należy przewidywać, ponieważ ojciec nie zamierza jeszcze wydawać cię za męża.

- Tak myślisz? - powiedziała z ulgą Fiora, która nie pomyślała o tej ewentualności.

- Oczywiście, moja ptaszyno. Zapomnij o tym! Jutro powiem panu Francesce, aby bardziej czuwał nad tym, jacy ludzie się do ciebie zbliżają, kiedy mnie przy tobie nie ma...

Odesławszy poziewującą Khatoun na legowisko z poduszek i futer, które dziewczyna zajmowała w rogu dużej sypialni, Leonarda zgasiła świece. Tylko u wezglowia łoża postawiła nocną lampkę z pachnącą oliwą. Na prośbę Fiory zostawiła uchylone okno, aby wpuścić chłodne, nocne powietrze.

Wyciągnąwszy się w łożu, Fiora, która nie była przesadnie pobożna, wyszeptała krótką modlitwę. Czując, że ma powieki ciężkie od snu zamknęła oczy. Zaraz jednak je otworzyła. Suchy dźwięk tłuczonej szyby i

towarzyszące mu głucho stuknięcie sprawiły, że usiadła, a następnie wysliznęła się z łoża. Coś uderzyło w skrzydło uchylonego okna, tłukąc jedną z szybek i spadło na dywan.

W świetle nocnej lampki Fiora zobaczyła kamień, owinięty solidnie przywiązanym kawałkiem papieru. Z mocno bijącym sercem podniosła go i rzuciła okiem na Khatoum, ale niewolnica spała głębokim snem, zwinięta w kłębek na legowisku z poduszek. Fiora odstawiła lampkę na miejsce i usiadła na łożu. Zerwała zębami nić, którą przewiązany był dziwny liścik, po czym rozwinęła go i przeczytała. Zawierał tylko kilkanaście słów.

„Jutro będę na ciebie czekać cały poranek w kościele Santa Trinita. Czy nie mogłabyś tam przyjść na mszę? Muszę z tobą pomówić!” i podpis „F. de S.”

Czerwona i zmieszana, jakby burgundzki wysłannik osobiście wszedł do jej sypialni, Fiora obracała w palcach skrawek papieru, nie potrafiąc rozstrzygnąć, czy jest bardziej wściekła, czy podekscytowana. Oburzało ją, że cudzoziemiec miał czelność wyznaczać spotkanie, ale poczuła rodzaj dumy zmieszanej z podnieceniem na myśl o czekającej ją przygodzie. Takiej schadzce, jakie - dowiedziała się o tym słuchając pogaduszek Leonardy i Colomby - zdarzają się niektórym młodym kobietom i dziewczętom w mieście. Pytanie dotyczyło tego, czy pójdzie do Santa Trinita. Kościół był niedaleko, mogłaby iść jedynie w towarzystwie Khatoun. Leonarda udawała się tam regularnie każdego ranka na krótką mszę o świcie. Zazwyczaj nie widziała potrzeby podążać tam ponownie, jeśli jakimś cudem Fiora była w pobożnym nastroju i miała ochotę wysłuchać nabożeństwa w dzień powszedni. W swej prostoduszności dziewczyna nie wiedziała, że stawiając

pytanie w ten sposób udziela na niejednocześnie odpowiedzi. Kiedy wreszcie zasnęła, spaliwszy papier, ale odłożywszy kamień tam gdzie upadł, zdecydowała się pójść na spotkanie z Filipem de Selongeyem.

Kamień i uszkodzone okno zaintrygowały panią Leonardę, która odkryła je nazajutrz rano. Niewinne miny obu dziewcząt - w przypadku Fiory była to niewinność dobrze zagrana, a w przypadku Khatoun całkowicie autentyczna - przekonały ją. Przypisała ten incydent jednemu z pijaków, których mnóstwo pojawia się w świąteczne noce. Oczywiście, nie była tak naiwna, by nie wiedzieć, że wrzucony przez okno kamień był znanym sposobem przekazywania wiadomości, ale pomyślała, że w tym przypadku Fiora schowałaby kamień i liścik. A już całkiem uspokoiła się pomyślawszy, że nadawcą mógł być tylko Luca Tornabuoni lub inny z adoratorów dziewczyny, w czym nie widziała nic szczególnie złego.

- Poślę po kogoś, by naprawił okno zaraz po twojej kąpieli.

- Jeśli zechcesz, możesz je kazać naprawić zaraz, pani Leonardo. Chciałabym pójść posłuchać mszy w Santa Trinita.

- Czy jesteś cierpiąca?

- Gdybym była cierpiąca, zostałabym w łóżku - powiedziała Fiora z wielką godnością. - Myślę, że po tym wszystkim, co stało się wczoraj, powinnam pójść się pomodlić.

Leonarda nie nalegała, lecz obudziły się w niej podejrzenia, spowodowane tym nagłym napadem pobożności u dziewczyny, zdającej się bardziej cenić Platona, Hezjoda czy Sofoklesa niż ewangelistów. Uśmiechnąwszy się ukradkiem, gdyż byłoby raczej pożyteczne, gdyby mała zaczęła interesować się innym chłopcem niż Giulianem Medyceuszem, postanowiła pil-

nować jej po kryjomu. Tymczasem wysłała Khatoun, aby czuwała nad kąpielą.

W godzinę później Fiora, zawinięta w obszerny brązowy płaszcz z kapturem, podbitym futrem popielicy, bo raptownie się ochłodziło, zmierzała do Santa Trinità. Za nią szła Khatoun niosąc poduszkę i książkę do nabożeństwa. Po śmierci matki młoda Tatarka została ochrzczona imieniem Doctrovée, gdyż było to dnia tej właśnie świętej, ale nikt nigdy tak jej nie nazywał. Była Khatoun i pozostała Khatoun, lecz będąc ochrzczoną mogła towarzyszyć Fiorze w jej praktykach religijnych.

Santa Trinità, pod którą co roku panie i panny z Florencji uroczystie świętowały powrót wiosny, była gotyckim kościołem, surowym i szlachetnym, rozjaśnionym mnóstwem świec płonących w kaplicach. Odbijając złoto ołtarzy tworzyły one plamy światła na sklepieniach ozdobionych freskami Baldovinettiego.

W prezbiterium zaczynała się msza i Fiora zdecydowała się jej wysłuchać, zanim dowie się, co tak ważnego miał jej do powiedzenia burgundzki rycerz. Wchodząc zauważyła od razu jego wysoką, ciemną postać. Stał w drugiej kaplicy, po lewej stronie prezbiterium, przed freskami Giovanniego da Ponte. Selongey, z nosem zadartym w stronę wspaniałego grobowca Federighiego, wyrzeźbionym przez Lukę delia Robbiego, zdawał się z uwagą znawcy studiować każdy szczegół. Jednak Fiora, chowając twarz pod kapturem, zauważyła, że rzucał szybkie spojrzenia w stronę każdej wchodzącej do kościoła osoby. Odsloniła więc twarz, aby mógł ją rozpoznać i udając, że go nie zauważyła uklękła pośrodku nawy, w pewnej odległości od kilku znajdujących się tam osób...

Nigdy chyba nikt nie uczestniczył w mszy z podobnym roztargnieniem. Fiora nie modliła się, ledwie słuchała, świadoma jedynie tej obecności, którą czuła za sobą. Wiedziała, nie odwracając nawet głowy, że ten mężczyzna, o którego istnieniu jeszcze wczoraj rano nie miała pojęcia, był tu, blisko. Wywoływał w niej dziwny, niewytłumaczalny niepokój, któremu jednak bez przykrości się poddawała... Khatoun, która nie miała żadnego powodu, by się nie odwracać, szepnęła:

- Jakiś przystojny mężczyzna stoi za nami i wciąż ci się przygląda, pani!

- Wiem - odszepnęła Fiora. - Za chwilę porozmawiam z nim, lecz nie należy o tym nikomu mówić. Obiecujesz?

Nie troszcząc się o świętość miejsca, Khatoun splunęła na podłogę wyciągając rękę, co było jej sposobem składania przysięgi, odkąd zobaczyła, jak robi to dwu marynarzy nad Arnem. Fiora nie mogła powstrzymać uśmiechu, a za plecami wyraźnie usłyszała zduszony śmiech, nagle stłumiony, i zakamuflowany krótkim napadem kaszlu.

Nabożeństwo zbliżało się do końca. Kadzielnica, poruszana energicznie przez młodego diakona o włosach w nieładzie, rzuciła kilka błysków i wypuściła parę kłębow pachnącego dymu, wypełniając prezbiterium mgłą, w której znikł wielobarwny ornat księdza i cenne przedmioty liturgiczne. Tymczasem Fiora, klęcząc, kontynuowała bardziej pozorną niż prawdziwą modlitwę. Naraz dobiegł ją stłumiony głos:

- Czekam na ciebie przy chrzcielnicy, pani... Skłoniła lekko głowę, ale nie ruszyła się z miejsca, ofiarowując sobie typowo kobiecą przyjemność wystawienia na próbę cierpliwości mężczyzny, który tak rycersko prosił

ją o spotkanie. Pozwoliło jej to poczekać, aż kościół niemal całkowicie opustoszeje. Pozostał już tylko kościelny, zajęty gaszeniem świec w wielkich kandelabrach przy pomocy gasidła na długim trzonku, kiedy, przeżegnawszy się po raz ostatni, Fiora wreszcie wstała. Krok za krokiem, ruszyła wolno, wolniutko w stronę wyjścia, po czym nagle skręciła w stronę mężczyzny, czekającego na nią w cieniu kolumny. Kiedy tylko się przy nim znalazła, Selongey złapał ją za rękę i pociągnął do najbliższej, słabiej oświetlonej kaplicy.

- A ta dziewczyna, która za tobą idzie, pani? - zapytał oschle Burgundczyk nie przejmując się grzecznościowymi zwrotami.

Fiora oburzona taką impertynencją, uwolniła swą rękę.

- To Khatoun, moja niewolnica. Nie licz na to, panie, że każę jej odejść: ona nigdy mnie nie opuszcza!

- Niewolnica? Jesteście jeszcze na tym etapie i mówisz mi o tym ze spokojem w kościele? Co z was za chrześcijanie?

- Nie przypuszczam, byście mogli nas w tej dziedzinie pouczać. Nasi niewolnicy są, jak się zdaje, lepiej traktowani niż wasza służba czy chłopci. Płacimy za nich drogo, więc dbamy o nich!

- Jesteście naprawdę niesamowici i...

- Skończmy na tym, panie! Nie sprowadziłeś mnie tu chyba, żeby dyskutować o naszych zwyczajach i tradycjach? W tej kwestii nie zniosę krytyki.

- Pani, wybac mi, proszę! Nie chciałem cię urazić. Pragnąłem tylko zadać ci pewne pytanie, jeśli pozwolisz.

- Wszystko zależy od pytania - powiedziała Fiora, wciąż z rezerwą. Stała wyprostowana przed swym rozmówcą, wbijając dumne spojrzenie w oczy Filipa. Ów nagle uśmiechnął się i powiedział cicho, zmienionym głosem:

- Masz zupełnie przezroczyście oczy. Można by z nich odczytać najmniejsze drgnienie twojej duszy...

- To również nie było warte zachodu... A więc, to pytanie? Jeśli je masz rzeczywiście...

- Mam. Powiedziano mi, że twoja matka, pani, nie pochodziła stąd, lecz była szlachetną, cudzoziemską damą.

- Wiedziałam, że miałe się tu ozorami - odpowiedziała Fiora - ale nie przypuszczałam, że aż do tego stopnia. Dopiero co przyjechałeś, panie!

- I niedługo odjadę, ale nie trzeba wiele czasu, aby się kimś zainteresować!... i chcieć wiedzieć o wszystkim, co go dotyczy. Pytam cię o matkę, pani, z powodu twego podobieństwa do kogoś, kogo znałem w dzieciństwie. Kiedy miałem około dwunastu lat byłem paziem hrabiego de Charoláis, który teraz jest księciem Burgundii.

- Mów dalej, proszę!

- Jaśnie pan Karol miał wówczas jako koniuszego mężczyznę bardzo urodziwego... i bardzo smutnego. Uśmiechał się rzadko, a szkoda, bo miał uśmiech... zupełnie taki, jak twój. Nigdy nie zapomniałem tego chłopca, który zresztą nagle zniknął. Nazywał się Jan de Brévailles i pochodził z dobrej, choć zubożalej burgundzkiej szlachty. Jesteś do niego zadziwiająco podobna, na tyle, na ile dziewczyna może być podobna do chłopca.

- I pomyślałeś, dowiedziawszy się o moich losach, że ten młodzieniec należał do mojej rodziny?

- Istotnie. Dlatego zapytałem cię, jak nazywała się twoja matka, ryzykując, że wydam ci się niedyskretny.

- Chętnie bym co to powiedziała panie, gdybym wiedziała. Ale mój ojciec, zapewne w trosce o ochronę swych wspomnień... i może honoru rodziny, gdyż urodziłam się ze związku pozamałżeńskiego, nigdy nie chciał mi tego powiedzieć. Wiem tylko jedno: na imię miała Maria.

Szczególna cisza, panująca w pustych kościołach, których mury jak nieprzeniknione zapory chronią przed odgłosami z zewnątrz, cisza w obliczu boskiego majestatu i ogromnej pustki pod sklepieniem, jaka wzmacnia i odbija najmniejszy dźwięk, cisza ta zapadła między młodymi ludźmi. Fiora, przeniknięta ponownie wczorajszym wzruszeniem, znów widziała łagodną twarz młodej, jasnowłosej kobiety; Filip zaś patrzył na Fioreę.

Z drugiej strony kolumny, gdzie dyskretnie pozostała Khatoun, rozległ się jej kaszel, a jego echo zwielokrotnił kościół. Wyrwana z zamyślenia Fiora zadrżała. Otulając się szczelniej płaszczem podniosła oczy na swego towarzysza. On wciąż patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jakby zastygłej, a szydercza fałda przy ustach wydała się dziewczynie oznaką pogardy.

- Nie powiedziano ci, panie, że mój ojciec nie był mężem mojej matki? Teraz już o tym wiesz. Jestem bękartem, mówiąc brutalnie. Dodam, że u nas nie ma to większego znaczenia. Co prawda - dorzuciła z uśmiechem - my, florentczycy, jesteśmy dziwnymi ludźmi, półdzikusami...

Jej ironia zirytowała Selongeya.

- Nie opowiadaj głupstw! Nigdy nic podobnego nie powiedziałem. Zresztą u nas w znakomitych rodach nieprawie pochodzenie również nie jest cechą hańbiącą. Liczy się tylko krew ojca. Najlepszym kapitanem jaśnie pana Karola jest jego przyrodni brat, znacznie zresztą od niego starszy: Wielki Bastard Antoni...

Tym razem Fiora uśmiechnęła się wesoło, ukazując dołeczki w policzkach i wilgotną biel pięknych zębów.

- Niepotrzebnie mówisz to z taką złością, panie. Ponieważ jesteśmy zgodni, pozwól, że cię opuszczę. Moja guwernantka może uznać mszę za nieco przydługą...

- Jesteś aż tak strzeżona?

- Tyle, ile powinna nią być dziewczyna w moim wieku i mojego stanu - powiedziała Fiora surowo. - Nie powinieneś tego krytykować.

- I nie zamierzam. Ale błagam, nie odchodź jeszcze, pani. Ja...

Nagle jakby się zawahał i Fiora zniecierpliwiła się.

- Czy masz jeszcze jakieś pytania? Jeśli tak, to pośpiesz się. Nie mam czasu.

- To, co mam do powiedzenia, wymagałoby długiego wstępu, ale skoro się spieszysz...

Zanim Fiora zdążyła wykonać najmniejszy gest, wziął ją w ramiona i złożył na jej ustach namiętny pocałunek. Tracąc oddech dziewczyna poczuła, że porywa ją jakaś neodparta siła, która uczyniła ją niezdolną do najmniejszej reakcji. Podczas gdy najłżejsza zapowiedź pieszczoty ze strony jej adoratorów budziła w niej wyniosły gniew, teraz pozwalała się porwać

jakiemuś upojeniu w ramionach tego mężczyzny, którego serce biło mocno przy jej piersi.

Pachniał skórą, przestrzenią, mokrą trawą, a nawet końmi i zapach ten miał w sobie coś upajającego, tak jak oszałamiający był ten pocałunek, pierwszy w jej życiu. Rozpalał ogień w żyłach, budził boskie olśnienie w głowie.

Otwierał się przed nią nagle nowy świat, płomienny świat miłości, który w niczym nie przypominał niewinnych, dziewczęcych marzeń, i nie karmił się ani kunsztownymi wierszami, ani lekkimi westchnieniami...

Zbyt niewinna, by oddać pieśczętę, Fiora, wyzuta z sił, lecz z mocno bijącym sercem, bezwładnie zwisła w ramionach Filipa. Kiedy ją puścił, równie gwałtownie jak ją był pochwyił, omal nie upadła. Podtrzymał ją i delikatniej przytulił do piersi. Jednym palcem unosząc do góry jej brodę pocałował ją lekko w koniuszek nosa i oczy:

- Kocham cię! - szepnął z żarem, który oblał jej twarz rumieńcem. - Kocham cię i pragnę...

Oderwał się od niej i wybiegł z kościoła nie odwracając się. Wciąż pod wpływem cudownego snu, w jakim ją pograżył, Fiora opadła na kolana. Nad nią, w słabym, rozproszonym świetle dwóch świec, uśmiechał się posąg jakiejś świętej, którą z powodu zmieszania trudno byłoby Fiorze rozpoznać. Ponieważ musiała za wszelką cenę dojść do siebie, i pozwolić sercu odzyskać spokój, zaczęła machinalnie modlić się...

Khatoun uklękła tuż obok niej, wzięła jej dłoń i przyłożyła do niej policzek:

- Już późno, pani - wyszeptała. - Trzeba wracać. Fiora popatrzyła na nią lekko błędnym wzrokiem.

- Tak sądzisz? Ale ja... ja nie mam ochoty wracać. Nie teraz! Jeszcze nie!

Cichy śmieszek młodej Tatarce przypominał gruchanie gołębia.

- Wiem dlaczego. Boisz się, że będzie to można odczytać z twojej twarzy.

- Co?

- Że wiesz już, co to miłość...

- Zwariowałaś! Sądzisz, że kocham tego człowieka? Czy nie wiesz, że kocham Giuliana?

Wymawiając to imię zauważyła ze zdumieniem, że nie ma już ono dla niej żadnej barwy i brzmi głucho. To co niegdyś czuła do młodego Medyceusza zbladło jak sen, o którym rano ledwie się pamięta.

- Nie - powiedziała Khatoun - ty tylko myślałaś o miłości do niego, pani. Porwał cię ten, który przed chwilą odszedł, dobrze o tym wiesz.

Fiora nie odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach, jakby do modlitwy, ale w gruncie rzeczy chciała uniknąć spojrzenia Azjatki, mówiącej jej z takim przekonaniem o miłości, podczas gdy ona dopiero przeżywała olśnienie.



ROZDZIAŁ TRZECI

NIESPODZIANKI MIŁOŚCI

Nazajutrz rano Francesco Beltrami w towarzystwie córki zmierzał w stronę sklepu księgarza Vespasiana Bisticciego. Trzymając się pod ramię szli szybkim krokiem, gdyż temperatura spadła i było niemal zimno. Nie zmniejszało to przyjemności odczuwanej przez Fiore, która uwielbiała udawać się z ojcem - nie wypadało, by chodziła tam sama - do księgarza, gdzie spotykała się elita intelektualna miasta. Pójście do Vespaziana uważała za zaszczyt, a jej zamiłowanie do książek znajdowało tam wiele możliwości rozwoju.

Via Larga, przy której znajdował się sklep pana Bisticciego, była o tej porannej porze bardzo ruchliwa. Gospodynie domowe z koszami w dłoniach szły na targ. Damy, z głowami okrytymi welonami lub kapturami, wychodziły po mszy z kościoła San Lorenzo, sąsiadującego z pałacem Medyceuszy i oddzielonego klasztorem od Biblioteca Lau-renziana. Koziarz prowadził swoje stado, murarze ładowali kamienie na wykonany z grubych konarów wózek. Przechodzili mieszczanie w długich szatach z czarnej serży i czapkach zdobionych wstążką. W zaułku dzieciaki bawiły się nakręcanym bakiem, wydając co jakiś czas przenikliwe okrzyki.

Uniżone, pełne szacunku lub przyjacielskie ukłony znaczyły drogę Francesca Beltramiego. Odpowiadał na nie uprzejmie i dwornie, zadowolono-

ny z tych oznak popularności. W chwili gdy ojciec i córka dochodzili do domu księgarza, wypadło na ulicę stado świń i omal nie ścięło ich z nóg. Za zwierzętami biegł jakiś chłopak. Rozpoznawszy bogatego kupca, bardzo się speszył i padł na kolana na środku ulicy.

- Wybacz mi, panie Beltrami, wybacz mi proszę! Wyglądał na naprawdę przerażonego i mało brakowało, by padł na twarz:

- Ależ nieszczęśniku - powiedział śmiejąc się Francesco -jeśli będziesz klęczał w rynsztoku, świnię ci się pogubią. Biegnij więc za nimi, głuptasie, zamiast mnie przeproszać! Masz! Weź to na wypadek, gdybyś nie wszystkie odnalazł. Nie chciałbym, by twój pan cię zbił...

Podał zachwyconemu chłopcu złotego florena i ruszył z Fiorą dalej, podczas gdy radosny mały świniarczyk pomknął co sił w nogach.

- To tobie powinni byli nadać przydomek Wspaniały -powiedziała Fiora z rozczeniem. - Jesteś najszlachetniejszym człowiekiem na świecie.

- Bo dałem mu florena? Ależ Wspaniały dałby mu dwa. Wszystko jest więc tak jak być powinno.

W chwilę później dotarli do sklepu księgarza.

Vespasiano Bisticci był we Florencji wielkim specjalistą od dzieł starożytnych, a jego wysłannicy wciąż poszukiwali rzadkich manuskryptów w miastach Grecji i Orientu. On sam był mężczyzną około sześćdziesiątki, wysokim i majestatycznym, bardzo uprzejmym i niezwykle wykształconym. Miał wyraziste rysy i twarz pokrytą gęstą siecią zmarszczek, ale jego ciemne oczy skrzyły się młodością, a głos był bardzo łagodny. Pożegnał klienta, z którym rozmawiał i skwapliwie podszedł do nich.

- Witaj, panie Francesco, i ty również, Fioretto! Przyznam, że choć miałem nadzieję, że twój ojciec mnie odwiedzi, nie sądziłem, że twoja obecność uczyni tę wizytę jeszcze przyjemniejszą. Jesteś uosobieniem wiosny...

- Przez ciebie będzie próżna - zaprotestował Francesco. - Przychodzę dowiedzieć się, czy skończyłeś tę kopię *Komentarzy*, o którą cię prosiłem.

- Prawie. Woleciłem to moim najlepszym kopistom i myślę, że niedługo dam ci przepisana książkę. Dostałem też coś, co cię zainteresuje.

Oczy Beltramiego natychmiast rozbłysły.

- Co takiego? Mów szybko!

Chciał pójść za Bisticim w głąb sklepu, ale w tym momencie wpadł na mężczyznę, z którym księgarz wcześniej rozmawiał. Natychmiast go przeprosił, a gdy ten się odwrócił, Fiora rozpoznała greckiego lekarza, którego tak przestraszyła się na balu u Medyceuszy.

- Nie jesteś mi winien żadnych przeprosin, panie - powiedział swoim niskim głosem, ukłoniwszy się uprzejmie - stałem w przejściu. Kiedy tu jestem, nie zwracam uwagi na nic poza otaczającymi mnie dziełami...

- Sądzę jednak, że powinienem cię przeprosić, panie. Nasze przybycie przerwało ci rozmowę z panem Bisticim...

- To bez znaczenia; już miałem wychodzić. Przeszedłem po kopię pewnego cennego traktatu medycznego Ibn Siny, zwanego na Zachodzie *Awicenna*, którego oryginału pan Bisticci nie chce mi sprzedać.

- Powiedziałem, że to niemożliwe, panie Lascaris, ponieważ zatrzymał go pan Lorenzo; zgadza się jednak na zrobienie kopii - powiedział Bisticci. Właśnie zbliżał się niosąc dużą paczkę, owiniętą czarną materią. - Niestety polega na tym, że mój kopista z języka arabskiego leży w łóżku z

wysoką gorączką. Musiałem prosić o dość długi termin na wydanie traktatu.

- Najważniejsze, żeby powrócił do pracy - powiedział łagodnie Grek. - Teraz pójdę już i pozwolę wam porozmawiać...

Zmieszana jego obecnością Fiora odeszła na bok i udawała, że interesuje się greckim ewangelizarem leżącym na jednym z pulpitów. Demetrios miał przejść obok niej do wyjścia, upewniwszy się jednak kątem oka, że księgarz i jego klient rozsiedli się przy kontuarze z woskowanego dębu, nad którym Bisticci zapalił dużą olejną lampę, podszedł do dziewczyny.

- To bardzo poważny tekst jak na tak młode oczy! - powiedział w doskonałej francuszczyźnie. - Czytasz po grecku, panienko?

Fiora odwróciła się gwałtownie. Ten człowiek budził w niej obawę, ale nie zamierzała się wycofać.

- Owszem. Czytam również po łacinie. A ty, panie, czy zawsze czytasz w myślach, tak jak zrobiłeś to w moim przypadku ostatniego wieczoru?

- Łatwo jest odgadnąć czyjąś myśl, jeśli zrodziła się z emocji lub wtedy, gdy dusza tej lub tego, który myśli, jest całkiem czysta. Miałbym w tobie bez wątpienia wybitną uczennicę, gdybyś nie pochodziła z wysokiego stanu... Jednakże proszę cię, byś pamiętała, że gdyby nieszczęście zapukało do twoich drzwi, zawsze będę gotów pospieszyć ci z pomocą. Nazywam się...

- Wiem. Powiedziano mi, jak się nazywasz. Już drugi raz przepowiadasz mi ciężkie chwile. Nie możesz powiedzieć mi nic więcej?

- Na razie nie, bo twoje myśli są całkowicie pochłonięte miłością i również dlatego, że obecnie możesz się tylko poddać przeznaczeniu. Przypo-

mnij sobie o mnie, gdy przyjdzie pora. Pan Lorenzo podarował mi dom w Fiesole...

- My też mamy tam dom.

- Wiem o tym. Łatwo mnie zatem odszukasz. Skłoniwszy się lekko z rękami skrzyżowanymi na piersi,

grecki lekarz wyszedł, a Fiora w zamyśleniu podeszła do ojca i pana Bisticiego, zbyt zajętych, aby zauważyć jej krótką rozmowę z Demetriosem.

Księgarz ostrożnie odpakował grubą księgę, oprawioną w stary pergamin, ozdobiony srebrnymi okuciami i takim samym krzyżem, wysadzany topazami i turkusami. Fiora usłyszała jak mówił:

- Jednemu z moich wysłanników udało się zdobyć tę mowę Lizjasza i pomyślałem, że chciałbyś ją chociaż zobaczyć...

Z nieskończoną delikatnością Francesco wziął księgę, położył ją na dużym pulpicie i ze zdziwieniem popatrzył na krzyż na oprawie.

- Wspaniała! Skąd pochodzi? Widzę tu krzyż i herb opacki, jeśli się nie mylę?

- Zawsze tak samo ciekawy - powiedział Bisticci z uśmiechem. - Księga pochodzi z opactwa Einsiedeln, ale nic więcej ci nie powiem...

Beltrami, zdjęty czcią, odwracał grube, szeleszczące karty, na których jakaś zręczna dłoń umieściła obok greckiego tekstu delikatne iluminacje.

- Niezależnie od ceny, jakiej za nią zażadasz, Vespasiano, biorę ją! Fioro: to naprawdę cudowne!

Bisticci roześmiał się.

- Byłem pewien, że ją zechcesz. Zastanowię się nad ceną, ale już możesz ją zabrać.

- Nie zamówisz kopii?

- Już została zrobiona. Chcesz teraz zobaczyć, jak przebiega praca nad twoim Cezarem?

Beltrami z żalem przerwał oględziny księgi, którą Fiora delikatnie pogładziła. Poszli oboje za Bisticcim do pomieszczenia na zapleczu, którego okna wychodziły na ogród. Była to długa sala oświetlona witrażami, przed którymi znajdował się rząd pulpitów. Pracowało przy nich pilnie dziesięciu mężczyzn jak najwierniej przepisujących manuskrypty. Jedni odtwarzali tekst, inni duże, iluminowane litery, jeszcze inni miniatury. Jedni skrypcy byli młodzi, inni starsi: należeli też do różnych ras. Był tam Niemiec o białej skórze i rudych włosach, Grek z czarną brodą, Sycylijczyk brązowy jak kasztan, a nawet Murzyn z Sudanu. Brakowało tylko białego turbanu arabskiego kopisty Alego Aslama: jego miejsce było puste...

Zazwyczaj Fiora bardzo lubiła przyglądać się pracy kopistów Bisticciego, ale to drugie spotkanie z Lascarisem spotęgowało wrażenie, jakie odniosła przy poprzednim i wywołało niejasny niepokój. Toteż patrzyła niewidzącymi oczami na zręczne palce rysujące arabeski, nakładające pastelowe barwy i delikatne płatki złota. Na szczęście jej ojciec, wiszący wprost nad ramionami artystów, i całkiem pochłonięty miłością do książek, chwalił ich pracę w słowach tak gorących, że większość twarzy rozjaśnił uśmiech. Szczególnie zaś rozpromieniła się twarz starego kopisty, kończącego przepisywanie dla bogatego kupca *Komentarzy Cezara*: dostał dla zachęty sztukę złota. Wracając do sklepu Beltrami zniżył głos:

- Czy udało ci się wreszcie zdobyć ten słynny *Psalterz moguncki*, do którego Johann Faust skradł ruchome czcionki Gutenberga?

- Nie. Psalterz musi być gdzieś ukryty i nie można go odnaleźć. Nie jestem pewien czy istnieje chociaż jedna jego kopia. Dzieło, wydaje się jeszcze lepiej strzeżone niż słynna *Biblia* czterdziestodwuwierszowa, która jest pierwszym dziełem Gutenberga. Nie wiem zresztą, dlaczego...

- Kopie można chyba zdobyć, skoro ta nowa technika również temu służy? Oczywiście, nic nie dorówna dłoni artysty, ale można to traktować jako ciekawostkę i z tego tytułu się tym interesuję...

- Ja również. Myślę jednakże, że wkrótce będziemy mogli obaj zaspokoić naszą ciekawość. Trzy lata temu przybyli do Wenecji dwaj mężczyźni: Francuz Mikołaj Jen-son i Niemiec Jan de Spire i jestem pewien, że przywieźli ze sobą wynalazek Gutenberga...

- Jak to więc możliwe, że niczego jeszcze nie opublikowali?

- Bez wątpienia Kościół... a może także Wielka Rada. Nowości nie są w Wenecji dobrze przyjmowane. Zamierzam jednak wkrótce tam pojechać, żeby osobiście przekonać się, jak sprawy stoją.

- Bądź więc ostrożny! Nawet dla cudzoziemca nie jest bezpiecznie mieć do czynienia z Wielką Radą...

Do księgarni weszło dwóch nowych klientów i Bisticci gorliwie się nimi zajął, gdyż byli to Lorenzo Medyceusz i jego przyjaciel Poliziano, którzy przybyli z sąsiedzką wizytą. Wymieniono ukłony i wszelkiego rodzaju grzeczności, ale Beltrami dokładnie schował pod płaszczem manuskrypt z Einsiedeln...

- Zdażyliśmy w samą porę - szepnął do Fiory - gdybyśmy przyszli kilka minut później, ten Lizjasz mógłby mi się wymknąć...

- Czyż pan Bisticci nie powiedział, że odłożył go dla ciebie?

- To słowa handlarza. Kiedy wchodzi w grę tak ważni klienci jak Lorenzo i ja, wygrywa zawsze ten, który przyjdzie pierwszy...

- To znaczy, że drogo za niego zapłacisz?

- Oczywiście, ale to nieważne. Pieniądze są tylko środkiem do wzbogacenia życia o towarzystwo rzeczy najpiękniejszych i najrzadszych. Kiedy umrę, przejmiesz wspaniały spadek.

- Jakkolwiek byłby wspaniały, nigdy nie będzie równie cenny jak twoja obecność - powiedziała Fiora, mocniej ściskając ramię ojca. - Ja również przyczynię się do wzbogacenia naszych zbiorów dzięki temu sonetowi Petrarcki, który pan Bisticci ofiarował mi, kiedy wychodziliśmy.

- Pokaż!

Fiora rozwinęła cienki arkusz pergaminu, ozdobiony ornamentami i liśćmi laurowymi, jak to praktykowano w przypadku dzieł tego wielkiego poety, i przeczytała tekst:

„Jeśli to nie jest miłość - cóż ja czuję?

A jeśli miłość - co to jest takiego?

Jeśli rzecz dobra - skąd gorycz co truje?

*Gdy zła - skąd słodycz cierpienia każdego? ”*¹¹*

Czytając poczuła, jak się czerwieni. Poeta stawiał te same pytania, które od poprzedniego dnia dręczyły jej duszę i nie dawały zasnąć przez większą część nocy. Minuta spędzona w ramionach Filipa była boska, ale kiedy

¹¹ *S'amor non e, sonet ze zbioru *Canzoniere* w przekładzie Jalu Kurka (przyp. tłum.).

znalazła się sama, rozum i logika, tak drogie jej przyjaciółom - filozofom, próbowały pokonać i uspokoić oszołomienie jej zdobytego przez zaskoczenie serca. Khatoun w namiętym geście burgundzkiego rycerza widziała jakieś nieziemskie objawienie, lecz Fiora wmówiła sobie w końcu, że Selongey kierował się tylko chwilowym odruchem, pragnieniem zachowania przyjemnego wspomnienia z miasta, w którym nie uzyskał tego po co przyjechał.

- A jednak - nalegała Khatoun - powiedział, że cię pragnie.

- Tak powiedział, ale to nie znaczy, że poprosi ojca o moją rękę. Jestem pewna, że wyjedzie i więcej go nie zobaczymy...

Wiedziała, że nie wierzy w żadne ze swych słów, i próbowała okłamywać siebie samą. Był to sposób równie dobry jak każdy inny, by ustrzec się cierpienia, jeśli rzeczywiście Filip miałby wyjechać, nie zobaczywszy się z nią.

Tymczasem zaś chciała wiedzieć o nim wszystko. Po południu przekonała Leonardę, by odprowadziła ją do pałacu Albizzich na spotkanie z Chiarą. Nie miała z tym zresztą dużego problemu, gdyż perspektywa spędzenia godziny czy dwóch w towarzystwie rozmownej Colomby całkiem się guwernantce spodobała. Nie licząc przyjemności degustowania śliwek w cukrze, które gruba Colomba umiała przyrządzać jak nikt inny.

Niestety, Fiora niewiele się dowiedziała: wysłannik Zuchwałego zatrzymał się wraz z eskortą w najlepszej oberży w mieście, przy Croce di Malta na Mercato Vecchio. Wiódł tam królewskie życie, pijąc najlepsze

wina - które nie były dla niego wystarczająco dobre! - i dobrze jedząc. Wychodził ze swojego pokoju tylko raz czy dwa, a i to na krótko.

- Chyba interesujesz się bardzo tym cudzoziemcem? -zauważyła Chiara.

- Może dlatego, że uważam go za interesującego. Ty nie?

- Ależ tak, oczywiście, ale raczej na zasadzie ciekawostki. Wygląda niewątpliwie wspaniale, a jego twarzy łatwo się nie zapomina, lecz trochę się go boję.

- Dlaczego? Nie ma w nim nic straszego.

- Pachnie wojną. To samo wrażenie miałam spotykając w ubiegłym roku kondotiera Guidobalda da Montefeltra. Obaj należą do tych mężczyzn, którzy żyją tylko dla wojaczki i dzięki niej. Poza tym ludzie z Północy nie są tacy jak my, nie lubią tego co my lubimy...

- Twierdzi się jednak, że dwór księcia Burgundii jest najznakomitszy w Europie, a on sam jest ogromnie bogatym człowiekiem...

- W takim razie, dlaczego wysłał pana de Selongeya, aby pożyczył pieniądze od Medyceuszy? Wuj powiedział wczoraj, że księżę Karol chce zostać królem. Ciągłe wojuje; od trzech miesięcy prowadzi oblężenie miasta Neuss na terenie Niemiec. Wojna kosztuje więcej niż świętowanie...

- Czyż my nigdy jej nie prowadzimy? Zapomniałaś o oblężeniu Volterry przed kilku laty i o tym jak nasz Lorenzo potraktował zdobyte miasto?

Chiara roześmiała się.

- Rozmawiamy tak jakbyśmy rządziły miastem. Zaiste, bardzo interesujesz się panem de Selongeyem. Prawda, bardzo ci się przyglądał przedwczoraj... Widziałaś go ponownie?

- Nie - odrzekła Fiora, nie zawahawszy się przed kłamstwem, bo nie chciała się z nikim dzielić chwilą przeżyta w Santa Trinità. Tych kilka minut należało tylko do niej: jak ukryty skarb, którego nie wolno było trwonić, nawet z najbliższą przyjaciółką. Khatoun wystarczy jej do rozmów o Filipie, kiedy wróci on do swego pana, Wielkiego Księcia Zachodu...

- Spróbuj więc o nim nie myśleć: wkrótce wyjeżdża i jest wielce prawdopodobne, że już nigdy go nie zobaczysz. Przynajmniej dzięki niemu wybiłaś sobie z głowy Giuliana, i może wreszcie zainteresujesz się Lucą Tornabuonim, który usycha przez ciebie. Czyż nie byłby wspaniałym mężem?

- Dlaczego sama go nie poślubisz, skoro uważasz go za taką doskonałość?

- Przede wszystkim dlatego, że on mnie nie kocha, po drugie dlatego, że jesteśmy zbyt długo zaprzyjaźnieni, a ponadto dobrze wiesz, że jestem zaręczona z moim kuzynem Bernardem Davanzatim. Za dwa lata pobierzemy się, gdyż tak postanowiły nasze rodziny. Nie widuję go wprawdzie zbyt często, ponieważ przebywa w Rzymie, gdzie reprezentuje interesy swojej rodziny, ale wiem, że mnie kocha.

- A ty? Kochasz go?

- Nie jest mi obojętny. Nie ma więc żadnego powodu, by cokolwiek zmieniać w opracowanych dla nas planach.

Myślę, że stworzymy bardzo przyzwoite stadło - dodała Chiara z uśmiechem.

Widzieć przed sobą całe życie, wytyczone jak piękną prostą linię, było na pewno rzeczą wspaniałą. Jednakże Fiora, w świetle ostatnich doświadczeń, nie planowała już w ten sposób swojej egzystencji.

- Jesteś pewna - zapytała nagle - że pewnego dnia nie spotkasz mężczyzny, który będzie ci więcej niż nieobojętny? Który sprawi, że twoje serce zabije szybciej... i że będziesz miała ochotę pójść za nim na koniec świata?

Chiara nie odpowiedziała od razu. Jej brązowe oczy spoglądały na Fiore z czułością, ale i niepokojem. Pozwoliła, by przebrzmiało echo słów przyjaciółki. Podeszła do kredensu i wyjęła kielich z niebieskiego szkła, wypełniony śliwkami w cukrze, i postawiła go przed Fiorą, która wzięła jeden owoc. Chiara popatrzyła przez chwilę na smakołyk w delikatnych palcach dziewczyny i westchnęła:

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, to najwyższa pora, by pewien pan z Burgundii powrócił do mgieł północy.

Fiora nie zdążyła zaprotestować. Wejście Leonardy i Colomby, które zasiedziały się w kuchni, gdzie guwernantka Chiary wypróbowywała nowy przepis na nadzienie do gołębi, położyło kres rozmowie. Colomba przyszła zaproponować dziewczętom odprowadzenie Fiory do domu i wstąpienie po drodze do sklepu aptekarza Landucciego, bo pragnęła zaopatrzyć się w pomadę z melisą, nadzwyczajny środek wybielający dłonie.

- Dobry pomysł - powiedziała Leonarda - nasze zapasy także już się wyczerpały.

Ruszyły ulicami, dziewczęta przodem. Jako prawdziwe florentynki lubiły spacerować wśród gwaru i ruchu w mieście, którego mieszkańcy chętniej przebywali na zewnątrz niż w domach. Kobiety rozmawiały wyglądając z okien lub stojąc w drzwiach. Kiedy dzień miał się ku końcowi, mężczyźni wychodzili i spotykali się, aby dyskutować o sprawach miasta, opowiadać

sobie historyjki lub żartować. Kupcy i rzemieślnicy zbierali się na Starym Rynku, młodzi eleganci na moście Santa Trinità, skąd patrzyli jak dzień gaśnie w wodach rzeki. Natomiast ważne osobistości spotkać można było pod arkadami loggii dei Priori, dosłownie w cieniu Palazzo della Signoria, a Wspaniały nierzadko przyłączał się do nich. Jeśli pogoda była ładna, można było zobaczyć stoły, wynoszone przed domy, przy których zasiadano do gry w szachy. W tym czasie kobiety zajmowały się wieczornym posiłkiem lub rozmawiały, jeśli skończyły pracę. Dzieci natomiast - oczywiście tylko chłopcy - wypełniały krzykiem i zabawą ulice i place... Później, na dźwięk dzwonu na Anioł Pański, wszyscy wracali do siebie, gdyż nie powinno się ciemną nocą włóczyć poza domem.

Gdy czcigodna Florencja będzie zasypiać, otoczona murami o sześćdziesięciu ośmiu strażniczych i obronnych wieżach, strzeżona przez żołnierzy, ta druga Florencja -miasto rozrywek i zbrodni, sprzedajnych dziewcząt i zbirów - będzie zaczynać życie. Wyjdzie ze swych kryjówek i przeniknie, jak fala przyływu, ulice tylko gdzieniegdzie oświetlone latarnią, zawieszoną na bramie pałacu.

Poza murami będzie spokój łagodnych pagórków, lekki wiatr w gałęziach cyprysów, wieczorna modlitwa jakiegoś ptaka w oliwnym gaju lub winnicy San Miniato czy Fiesole, jako odpowiedź na nikły dźwięk dzwonu wiejskiego klasztoru. W mieście zaś zapanują rozpusta i śmierć, aż do chwili, gdy pianie kogutów wypłoszy ptaki nocy i zapędzi je, wylęknione i mrużące oczy, do ich podejrzanych kryjówek. A gdyby nocną porą jakiś krzyk rozdarł ciemność między kolejnymi obchodami milicji, florency mieszczanie nadal będą spokojnie spać, ufni w potęgę swego miasta, wie-

rząc, że obroni ich Santa Reparata, jego patronka: krew w rynsztoku nie uczyni lilii Florencji czerwiejszą.

Istnienia takiej Florencji ani Fiora, ani Chiara nawet nie podejrzewały, osłaniane grubymi murami pałaców, strzeżonych przez liczną służbę. Znały tylko jej przyjemne, dzienne oblicze, rozświetlone słońcem, które ogrzewało wielobarwne marmury Duomo, zachwycającej katedry Santa Maria del Fiore, która ten przydomek zawdzięczała wspaniałej kopule - dziełu Filippa Brunelleschiego.

Spacerowiczki zatrzymały się na chwilę przed klatkami z lwami umieszczonymi za siedzibą Signorii. Te królewskie zwierzęta były fetyzami miasta, które zazdrośnie ich strzegło. Wystarczyło, że któreś z nich straciło apetyt, aby ludzie dobrze poinformowani zaczęli przepowiadać bliską katastrofę; a jeśli któryś lew zdychał, Vacca, wielki dzwon Signorii, służący wyłącznie do bicia na alarm, uderzał jak w przypadku rebelii.

Przechadzając się, gwarząc i odpowiadając na liczne ukłony, dotarły wreszcie do Canta dei Tornaquinci, gdzie znajdował się sklepik aptekarza. Było to ruchliwe skrzyżowanie, z racji sąsiedztwa domu pogrzebowego, którego pracownicy, w oczekiwaniu na klientów, zabawiali się przed drzwiami w rzucanie kamykiem do celu.

Colomba pewnym ruchem pchnęła niskie drzwi na parterze zasobnie wyglądającego domu, z loggią i marmurowymi kolumnkami, na którym wielki szyld w wesołych kolorach obwieszczał: «„Pod Gwiazdami... Ser Luca Landucci, aptekarz»». Cztery kobiety zeszły do piwnicznego pomieszczenia o niebieskim, rzeźbionym i iluminowanym suficie, jako że Landucci był człowiekiem bogatym i poważanym, odgrywającym pewną rolę w za-

rzządzaniu miastem. Był również przyjacielem Francesca Beltramiego i Fiora lubiła przychodzić do niego jeszcze bardziej niż do Bisticiego, ponieważ był miły i wesoły, a w jego domu unosiły się cudowne zapachy suszonych ziół i korzennych przypraw.

Sklep, z rządkami dzbanów z zielononiebieskiej majoliki oraz flaszeczek z przezroczystego szkła, o długich szyjkach, wypełniały kamienne i brązowe moździerze, pudełka srebrne lub wykonane z egzotycznego drewna i wielkie miedziane wagi, ustawione na kontuarze z pięknego, ciemnego, wspaniale woskowanego dębu. Wnętrze emanowało porządkiem i, ogólnie, spokojem, który przystoi uczonym mężom. Tymczasem, kiedy wkroczyła tam mała gromadka, dom rozbrzmiewał odgłosami gwałtownej kłótni: dwie kobiety z wyższych sfer, sądząc po ich eleganckich strojach, sprzeczały się z zaciekłością i zapalczywością godną sprzedawczyń ryb z Mercato Nuovo.

- Ty stara oślico - krzyczała jedna - dowiesz się, kim jestem!

- Już dawno to wiem. Gdybyś była wołem a nie krową, można by było zrobić żłobek...

- Ale z ciebie jędza! Twoje usta są pełne żółci i dlatego masz taką żółtą cerę!

- Nie taką żółtą jak twoja! To prawda, że twój nieboszczyk mąż siusiał ci na nią co rano!

Damą, której dotyczyła ostatnia obelga był nie kto inny jak Hieronima Pazzi. Oszalała z wściekłości, szukając czegoś, by cisnąć w głowę swej przeciwniczki, znalazła słoję z prawoślazem. Zaatakowana ledwo się uchyliła, a naczynie roztrzaskało się na posadzce. Widząc to aptekarz odważnie rzucił się w wir walki i usiłował uspokoić kobiety przechodzące do rękoczynów.

- Wy tam, chodźcie mi pomóc! - krzyknął do dwóch subiektów, którzy oparci łokciami o kontuar podziwiali ze znawstwem całą tę scenę.

Uśluchali ślamazarnie, nie chcąc w gruncie rzeczy przerywać walki między panią Pazzi i szlachetną Cornelią Donati, zwłaszcza potyczki tak dobrze rozpoczętej. Obie kobiety nienawidziły się od zawsze z powodu miłosnej rywalizacji. Ongiś zwyciężyła Cornelia, sprzątając Hieronimie sprzed nosa mężczyznę, którego tamta pragnęła poślubić. Od owego czasu Hieronima w pewnym stopniu wzięła rewanż, gdyż Augusto Donati zdradzał żonę z każdą niewiastą, która mu się nawinęła, ale wrogość obu pań jednak nie osłabła. Gdy się spotkały, zawsze wybuchała kłótnia pod najmniejszym pretekstem. Tego dnia kością niezgody stał się niewinny słoiczek z pomadą do ust (nadmierzającym środkiem firmy Landucciego), który obie chciały nabyć, ale na nieszczęście został już ostatni.

Udało się w końcu rozdzielić wojowniczeki, z których każda straciła w walce kilka piórek. Podczas gdy łapały oddech, aptekarz uciął spór, oświadczając surowo:

- Nie sprzedam tej pomady żadnej z was! Madonna Catarina Sforza, przeświećta siostrzenica Jego Świątobliwości, papieża Sykstusa IV, właśnie

ją u mnie zamówiła, albowiem sława tej maści dotarła aż do niej. Tak więc wyślę ją do Rzymu!

Gestem pełnym dostojeństwa zabrał zapomniany na kontuarze kosmetyk i zamknął go w jednej z szaf o żelaznych zawiasach. Po czym oświadczył:

- Co nie znaczy, że Madonna Hieronima nie jest mi winna za stłuczony słoik i za prawoślaz, który już się do niczego nie nadaje. Mój skryba wypisze rachunek...

- Nie stłukłabym, gdyby ta harpia nie wyprowadziła mnie z równowagi - krzyknęła pani Pazzi. - Musi zapłacić, tak jak ja!

Mimo podbitego oka, Hieronima odzyskała całą pewność siebie. Była to piękna trzydziestopięcioletnia kobieta, która zachowała dużo świeżości. Jej pulchne ciało było wciąż apetyczne. Szeptano, że poszukiwała pociechy w swym wdowieństwie z mężczyznami dyskretnymi albo mającymi jeszcze więcej powodów, aby zachować w tajemnicy jej miłości - to znaczy ze swymi służącymi. Stary Jacopo Pazzi, patriarcha władający rodziną, miał podobno szczególnie ciężką rękę wobec tych domowników, którzy źle się prowadzili. Mówiono - w tajemnicy oczywiście - o pewnym niedelikatnym słudze, tak okrutnie pogryzionym przez myśliwskie brytany, że zmarł z ran, o jakiejś zbyt gadatliwej służącej, uduszonej i pogrzebanej w lesie z ustami pełnymi ziemi, o młodej kuzynce, której ktoś zrobił dziecko nie w porę, zmarłej z powodu upływu krwi. Jeśli to, co mówiono o Hieronimie, było prawdą, ryzykowała wiele, ale była przebiegła i umiała ująć swego teścia. Miała na niego znaczny wpływ, gdyż oboje byli ogarnięci tą samą pasją: gromadzeniem pieniędzy.

Hieronima rzuciła z gniewem monetę na kontuar i zamierzała wyjść, ale Fiora ją powstrzymała:

- Nie możesz tak wyjść, kuzynko! Poproś chociaż pana Landucciego o jakiś balsam, aby zatuszować to oko. Są takie, które czynią cuda... - powiedziała niewinnie.

Hieronima, zmierzyła wzrokiem dziewczynę, po czym rzuciła z furją, głosem jak syk żmii:

- Mój welon powinien wystarczyć. A co do ciebie, ty wstrętny bękarcie, kto ci pozwala traktować mnie jak równą sobie? Zejdź mi z drogi!

Fiora nie była osobą, która pozwalałaby się bezkarnie obrażać:

- Nie ośmieliłabyś się powtórzyć tego przed moim ojcem! Przy nim jesteś słodka jak cukierek, a teraz jesteś w domu przyjaciela mojego ojca.

- Posłuchajcie, jak skrzeczy! - zaśmiała się szyderczo Hieronima. - Prawdziwa księżniczka z tej dziewczyny, daję słowo...

- Jestem więcej niż księżniczką - córką Francesca Bel-tramiego...

- Jesteś tego całkiem pewna?

Nawet jeśli to perfidne pytanie zmieszało Fiorę, nie dała tego po sobie poznać. Podnosząc dumnie głowę rzuciła:

- Mój ojciec jest tego pewien! To więcej niż mogą powiedzieć niektórzy mężczyźni...

Cornelia Donati, która już przyszła do siebie po rozbiciu słoika stanęła u boku dziewczyny.

- Nie wdawaj się w dyskusje z tą żmiją, mała. Twój ojciec jest porządnym człowiekiem, wiadomo. Wszyscy go szanują. Nie można tego powiedzieć o Pazzich. Idź swoją drogą, Hieronimo. Mamy cię dość.

- Idę, lecz jeszcze się spotkamy, Cornelio Donati! A co do tej tutaj, bliższy jest dzień, kiedy w moim domu zdana będzie na moją łaskę i niełaskę; dowie się co to znaczy obrażać mnie publicznie.

Wyszła w poszumie welonów i sukien w kolorze fioletu -jej ulubionym - uznawała go bowiem za twarzowy dla blondynek. Obecni w sklepie spojrzeli po sobie ze zdumieniem, spowodowanym ostatnim zdaniem:

- Co też ona chciała przez to powiedzieć? - spytała Chiara. - Nie bardzo wiem, w jaki sposób mogłaby trzymać Fiorę w swoim domu.

- Chyba że chce ją wydać za swego syna? - podszeptała Cornelia...

- Tego okropnego, garbatego i kulawego karła? - oburzyła się Chiara. - Pan Francesco musiałby oszaleć... nigdy się to nie stanie.

- Jednak tego właśnie pragnie - powiedziała gruba Co-lomba. - Jej służąca powiedziała mi o tym co nieco pewnego dnia u sprzedawcy świec. Donna Hieronima uważa, że to najlepszy sposób, aby majątek pana Beltramiego pozostał w rodzinie. Wszyscy przecież wiedzą, że donna Fiora dziedziczy po ojcu...

- I jest to sprawiedliwe! - stwierdziła Cornelia Donati. -Dobrze rozumiem jednak, że Hieronima ma chrapkę na majątek, który, gdyby nie Fiora, jej przypadłby w udziale. Niełatwo jest się pogodzić z taką stratą. Tym bardziej że skoro jej nieboszczyk mąż nie był pierworodnym synem, nie może ona wiele oczekiwać po Jacopie. Stary coś pewnie zostawi temu nieszczęsnemu Pietrowi, ale dla niego i matki nie będzie to wiele...

Fiora nic nie mówiła. Zamarła z przerażenia na samą myśl, czym mogłaby się stać w rękach tej kobiety. Kobiety, która zachowywała się tak,

jakby była przekonana, że ma rację. Na szczęście Leonarda, widząc jej wzburzenie, objęła ją opiekuńczo:

- Nie zamartwiaj się, skarbie! Wszystkim zdarza się mieć marzenia niemożliwe do realizacji. Pomysł donny Hieronimy pozostanie tym, czym jest: iluzją...

Jednak ona sama również nie była całkiem spokojna. Nie spodobało jej się, iż Hieronima podejrzewała, że Beltrami w rzeczywistości nie jest ojcem Fiory. Po chwili uspokoiła się: żeby znać prawdę, Hieronima musiałaby być diabłem albo chociaż jego córką. Obiecała sobie jednak porozmawiać z Beltramim.

Pragnąc poprawić atmosferę, której wpływ na handel uznał za bardzo szkodliwy, poczciwy Landucci poczęstował damy kropelką cypryjskiego wina, aby zapomniały o nieprzyjemnych chwilach spędzonych w jego sklepie.

- Mnie to się wydało raczej zabawne - powiedziała Chia-ra.

- Mnie nie! - rzekł aptekarz. - Donna Hieronima może sobie poszukać innego dostawcy. Ja już jej nie przyjmę.

- W takim razie nie ma naprawdę powodu, żebym nie kupiła tej pomady? - spytała Cornelia, nie tracąc z oka przedmiotu sporu. - Chyba na to zasłużyłam.

- Mnie też się tak zdaje - powiedział Landucci ze śmiechem i polecił jednemu z chłopców zapakować słoiczek.

Po skończonych zakupach Fiora z Leonardą i Chiara z Colombą rozstały się. Zrobiło się późno i wprawdzie były blisko pałacu Beltramiego, ale mieszkanki pałacu Albizzich miały jeszcze przed sobą daleką drogę. Zapa-

dał zmierzch. Cornelia Donati poszła z Chiara i Colomba, a aptekarz wydał sługom polecenie zamknięcia sklepu. On sam udawał się do Signorii, aby spotkać się z priorem swojej dzielnicy w pewnej delikatnej sprawie: jego sąsiad z zakładu pogrzebowego przypisał sobie prawo do sprzedaży pewnych składników farmaceutycznych przeznaczonych do balsamowania zwłok, co należało do wyłącznej kompetencji aptekarza. Landucci musiał się spieszyć, gdyż prior, będący jego przyjacielem, już za dwa tygodnie może nie mógłby mu pomóc. Priorów bowiem wybierano tylko na dwa miesiące, co sprawiało, że Florencja żyła w ciągłym poruszeniu związanym z wyborami.

- Muszę też zobaczyć się z panem Franceskiem - zwierzył się Fiorze przy pożegnaniu - ale pójdę jutro do jego składów na via Calimala... Na pewno mi pomoże.

Rozległy się dzwony na Anioł Pański, a towarzyszył im stuk setek drewnianych okiennic, przy pomocy których kupcy i sprzedawcy zamykali sklepy. Elegancy spacerowicze z mostu Santa Trinità odchodzili, by szukać rozrywki gdzie indziej. Hałaśliwa gromadka otaczała jakiegoś niskiego i szczupłego mężczyznę, ubranego z niewiarygodną wytwornością w kaftan z białej satyny i sięgające kolan spodnie z białego aksamitu, ozdobionego srebrnymi koronkami. Peleryna, wysokie buty i beret z różowego aksamitu, przybrany długim czaplim piórem, dopełniały stroju, który wprawiał w zachwyt jego towarzyszy. W ciężkim medalionie, zawieszonym na złotym łańcuchu, z pierścieniami na palcach młody elegant szedł powoli, rozglądając się dokoła czy podziw jaki budzi jest dostatecznie duży.

Fiora również go zauważyła. Pociągnawszy nagle Leonardę za rękaw schowała się z nią za łukiem domu, który osłaniał wylot wąskiej uliczki.

- Co się stało? - zdziwiła się starsza kobieta.

- Nie widzisz, kto tam idzie? Ten pyszałek Domenico Accaiuoli z bandą wielbicieli.

- W czym ci zawinił? Sądziłam, że należy do twoich przyjaciół. Czyż nie zalecał się do ciebie?

- Czy chłopak tego rodzaju umie zalecać się do dziewczyny? Robiłby to szczerzej, gdybym była chłopcem. Bez wątpienia, chce majątnej żony, ale nie jestem nawet pewna czy umiałby jej zrobić dziecko. W każdym razie, biedaczka nieczęsto widywałaby go w swojej sypialni...

Zaskoczona Leonarda popatrzyła na Fiorę z miną kury, która nagle spostrzegła, że wysiedziała kaczątko.

- Skąd o tym wiesz? Ja ci przecież tego nie powiedziałam?

Fiora roześmiała się i mocniej przycisnęła ramię guwernantki.

- Jesteś na to zbyt przyzwoita! Chiara mi o tym powiedziała. Jej kuzyn Tomaso należy do bandy Domenica. Dziewczęta lubią sobie pogadać...

- Widzę, że jesteś bardziej wykształcona niż można było przypuszczać - powiedziała lekko zgorszona Leonarda.

- Nie rób takiej miny! Nie darzysz Domenica większą sympatią. Bądź pewna, że wyjdę za mąż tylko za mężczyznę godnego tego miana.

Natychmiast oczami duszy ujrzała potężną sylwetkę Filipa de Selongeya, a na wspomnienie o jego pocałunku poczuła znajomy dreszczyk. To odczucie wracało zawsze, ilekroć przywoływała niezapomnianą chwilę, która tak nią wstrząsnęła i już się pewnie nie powtórzy...

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu. mogłybyśmy teraz pójść do domu
- powiedziała zrzędliwie Leonarda - droga jest chyba wolna. W tej uliczce jest diabelnie zimno, nie mówiąc już o feterze latryn. Pan Domenico przynajmniej ładnie pachnie...

Wyszły z ukrycia i ponownie ruszyły w drogę.

- Bardzo ładnie - powiedziała Fiora. - Jego matka i siostry nie perfumują się tak mocno. Mężczyzna powinien oczywiście pachnieć mydłem, lecz także skórą, świeżą trawą... i nawet trochę koźmi - dodała marzycielsko, pozwalając się porwać wspomnieniom i zapominając, że nie jest sama.

- Tego również nauczyła cię donna Chiara? - spytała coraz bardziej oszołomiona Leonarda.

- Nie - powiedziała Fiora, uśmiechając się niewinnie do swego słodkiego wspomnienia. - Tak mi się tylko wydaje.

W tym czasie w dużym domu na rogu via Calimala i Mercato Nuovo, w sporej sali na pierwszym piętrze, wyłożonej z prostotą ciemnym dębem, z której Francesco Beltrami zarządzał swymi licznymi i ważnymi interesami, rozgrywała się dziwna scena. Była to jedna z tych potyczek, w których hamulec uprzejmości powstrzymuje gwałtowność uczuć i pozwala wyrażać się jej tylko w słowach. Siedząc na krytym kozłą skórą krześle o wysokim oparciu, za długim stołem, oświetlonym brązowym sześcioramiennym świecznikiem, kupiec miał za przeciwnika Filipa de Selongeya, który skrzyżowawszy ramiona na piersi stał oparty o jedną z szaf.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie niczym partnerzy w pojedynku. Rozjaśnione blaskiem świec oczy jednego zatopione były w ciemnych i zatroskanych oczach adwersarza. Od pewnego czasu panowała cisza, przerywa-

na czasami przez odgłos jadącego wozu, stuk końskich kopyt czy okrzyki bawiących się dzieci... Beltrami zdawał się słuchać zamierającego w nim echa ostatnich słów burgundzkiego rycerza. Wreszcie podniósł się z westchnieniem, podszedł do szarego kamiennego kominka i zaczął ogrzewać sobie dłonie lekko je pocierając, jakby je mył nad płomieniami...

- Opowiedziałeś mi, panie hrabio, ciekawą historię - powiedział cicho - a my we Florencji lubimy słuchać pięknych opowieści... ale nie wiem, w czym mnie dotyczy.

- Dotyczy cię w najwyższym stopniu: jest to wyraźnie wypisane na twarzy twojej córki, panie.

- Zechciej nie mieszać mojej córki do rozmowy! Zaczęła się ona, jeśli dobrze pamiętam od... kłopotu, że powracasz do księcia Burgundii bez pożyczki, o którą prosił...

- Jaśnie pan Karol nigdy o nic nie prosi! - warknął Selongey.

- Wybacz mi, panie, to słowo, które istotnie kłóci się z elementarnymi zasadami dyplomacji! Powiedzmy: którą pragnął uzyskać od banku Medyceuszy, aby opłacić we Włoszech wojska najemne. Pożyczkę, której pan Lorenzo musiał mu odmówić przez lojalność względem króla Francji Ludwika, z którym jego rodzina jest od dawna sprzymierzona. Chciałeś zawrzeć ze mną analogiczny układ. Musiałem ci więc przypomnieć, panie, że nie kieruję jakimś wielkim bankiem i...

- Nie zwiedzisz mnie, panie Beltrami! Jesteś bankierem, a także armatorem. Majątek twój, choć mniej widoczny, jest może równie wielki jak fortuna Medyceuszy. Kwestię tę uważam jednak za zakończoną. Nie wiem,

dlaczego do niej wracasz, panie. Zajmijmy się lepiej tą dawną historią, którą miałem zaszczyt ci opowiedzieć...

- I która mnie zainteresowała, jednakże...

- Dość kręactw, panie Francesco! Za bardzo czuć je kupiectwem, jak na mój gust. Odpowiedz tylko na pytanie, czy byłeś w Dijon nieco ponad siedemnaście lat temu, w dniu, kiedy na placu Morimont spadły głowy Jana i Marii de Brevailles? Weź pod uwagę, że odwołuję się do twojego honoru, który łgarstwo mogłoby spjamić... niepotrzebne kłamstwo...-

Twarz Beltramiego zastygła, stając się tragiczną maską, osłaniającą panikę, która zapanowała w jego umyśle. Od kiedy młodzieniec przekroczył próg jego domu odgadł, przeczuł, że przyniósł ze sobą nieszczęście. Trzeba było coś odpowiedzieć...

- Rzeczywiście, byłem tam - powiedział zdecydowanie. - Często zatrzymywałem się w Dijon w czasie moich podróży do Paryża i miast flamandzkich. Tak się składa, że lubię to miasto, choć nigdy nie przebywam w nim dłużej. Wyjeżdżam zawsze nazajutrz.

- Wówczas nie wyjechałeś sam, panie. Zabrałeś ze sobą noworodka; małą, porzuconą dziewczynkę, którą teraz zwiesz córką. Zdołasz temu zaprzeczyć?

Gwałtowny gniew zawładnął Beltramim, rozpraszając cały spokój, jaki narzucił sobie w czasie tych długich minut:

- A jeśli nawet tak było? Nie sądzę, by powinno cię to obchodzić! Do czego się mieszasz ze swoimi niedopowiedzeniami i pytaniami godnymi szpicla? Czego chcesz od tych nieszczęśników, którym nieco litości pozwoliłoby żyć, od tego dziecka, które przy odrobinie ludzkich uczuć miałoby

choć matkę? Uchroniłem je przed nienawiścią nikczemnego człowieka; zamierzał roztrzaskać je na hańbiącym grobie, wyznaczonym jego rodzicom przez tak zwaną sprawiedliwość! Sądzisz, że jestem tak naiwny, że nie przejrzałem twojej gry? Gdy tylko tu wszedłeś, zacząłeś mówić o pieniądzech, a zaraz później opowiedziałeś mi tę straszną historię, którą wykopałeś diabli wiedzą skąd...

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że mimo złotych rycerskich ostróg, mimo tego zaszczytnego odznaczenia zwisającego ci na piersi, jesteś zwykłym szantażystą, panie de Selongey!

Filip zbladł i machinalnie dotknął rękojeści zwisającego mu u boku miecza.

- Znieważasz mnie, panie!

- Nie. Traktuję cię tak, jak na to zasługujesz! Teraz wyjdź! Nie dostaniesz ode mnie ani florena!

Stojąc twarzą w twarz byli tak blisko siebie, że mogli słyszeć swoje nieco przyspieszone oddechy, ale Selongey nie zamierzał doprowadzić Beltrami do ostateczności. Odwrócił się, podszedł do okna, wychodzącego na prawie ciemny o tej porze plac i chwilę patrzył na przechodzących mieszkańców dziwnego miasta, w którym szlchetne urodzenie nic nie znaczyło i niekoniecznie dawało prawo do szacunku. Liczył się tylko pieniądz, a stojący naprzeciw niego mężczyzna był jednym z najbogatszych.

- Powiedziałem ci, byś wyszedł, panie! - powtórzył Beltrami głosem, w którym wyczuwało się zmęczenie...

- Nie. Źle się wyraziłem i proszę o wybaczenie. Miałem nadzieję pozyskać człowieka interesu - a nim jesteś – dla spraw mojego pana, najbardziej szlachetnego księcia na całym Zachodzie. Byłby ci za to po królewsku wdzięczny... na miarę korony, która go kiedyś ozdobi. Ale nie tylko o to przyszedłem cię prosić dziś wieczór...

- Czego więc chcesz?

- Abyś oddał mi rękę twojej córki. Chcę ją poślubić... Zdumienie odebrało kupcowi głos i odniósł nieprzyjemne

wrażenie, że ściany zaczynają krążyć wokół niego. Podeszedł do ukrytej w boazerii szafy, wyjął z niej butelkę wina z Chianti i srebrny kubek, który napełnił i opróżnił niemal tym samym ruchem. Poczul się gotowy do nieuchronnego starcia.

- Na Boga! - stwierdził Filip z półuśmiechem. - Nie przypuszczałem, że aż tak cię to poruszy!

- Zostaw w spokoju moje emocje. Chcesz poślubić Fiore? Ty, panie?

- Tak, ja!

- Przecież dałeś mi do zrozumienia, że wiesz wszystko o jej pochodzeniu, wprawdzie szlachetnym, lecz hańbiąco splamionym ręką kata?... Przy najmniej w myśl prawa twego kraju i twojej kasty.

- W myśl prawa wszystkich krajów i wszystkich kast. Sądzisz, panie, że twój majątek mógłby ustrzec ją od pogardy, gdyby tu, w tej niesamowitej republice, wiedziano, że jest owocem kazirodztwa a zarazem cudzołóstwa, które znalazły kres na szafocie, potępione tak przez Kościół, jak i przez księcia?

Francesco Belframi poczuł, że lodowaty dreszcz przebiegł mu po plecach, i odwrócił się do ognia jak do uczynnego przyjaciela. Ten demon miał rację i dobrze o tym wiedział.

- I ty, panie - powiedział zjadliwie - zaufany potężnego księcia, hrabia de Selongey, kawaler Orderu Złotego Runa, zapewne jeden z możnych twego kraju, chcesz za żonę dziewczynę, o której pochodzeniu sam mówisz, że zostało splamione. Dlaczego?

- Nie będę próbował zataić przed tobą prawdy - powiedział Selongey szorstko. - Przede wszystkim dlatego, że ją kocham...

- Coś podobnego! Widziałeś ją przelotnie dwa razy: w czasie *giostry* i w pałacu Medyceuszy...

- Spotkałem ją po raz trzeci, w kościele Świętej Trójcy. Już pierwsze spotkanie wystarczyło. Jej uroda chwyciła mnie za serce. Jakby ktoś rzucił na mnie urok...

- Sądzisz, panie, że to właśnie jest miłość? Wystarczy chwila, aby...

- Zmienić życie człowieka? Powinieneś być ostatnim, który w to wątpi. Wy tłumacz więc, dlaczego ty, panie, młody, bogaty, wolny od jakichkolwiek zobowiązań, obarczyłeś się dzieckiem ludzi, których nie znałeś, a widziałeś tylko w chwili ich śmierci? Maria de Brevailles była bardzo piękna, nieprawdaż? A ty zobaczyłeś jak umiera...

Belframi zacisnął powieki usiłując powstrzymać łzy napływające do oczu na wspomnienie tego strasznego momentu, w którym miłość jego życia została zdruzgotana. Otarł je gniewnie grzbietem dłoni...

- Mówiłeś, panie, o dwóch powodach... Jaki jest ten drugi?

- Chcę jej posagu na wyprawy wojenne księcia Karola! Zapanowała cisza, którą po chwili przerwał niewesoły śmiech Beltramiiego.

- Oto więc sedno sprawy, wracamy do pieniędzy! Ale nie dam ci Fiory, panie. Nie pozwolę ci zabrać jej do twego barbarzyńskiego kraju, który mógłby ją tylko zniszczyć. To delikatny kwiat, wyhodowany w słońcu z nieskończoną troskliwością. Zaznała dotąd jedynie radości: poznała piękno, sztukę, literaturę, a nawet nauki ścisłe. Ma umysł i serce królowej. Póki żyję, to dzieło moich rąk i mojej troskliwości nie zostanie zniszczone. Nigdy się z nią nie rozstanę.

- Ależ ja nie chcę ci jej zabrać. Nigdy nie miałem takiego zamiaru - powiedział Filip łagodnie.

- Nie rozumiem cię, panie. Co chcesz przez to powiedzieć?

- Prowadzimy wojnę i jest to wojna bezlitosna. Burgundia zwycięży lub zginie. W tych warunkach niemożliwe jest, bym zabierał ze sobą żonę. Gdzie będzie jej lepiej niż u boku ojca? Jeśli się zgodzisz, panie, weźmiemy ślub w tajemnicy, ale tak, by uniemożliwić zakwestionowanie małżeństwa. Nazajutrz wyjadę... i na pewno więcej mnie nie zobaczysz.

- Coraz mniej z tego rozumiem! Przed chwilą mówiłeś o swej miłości...

- Która jest głęboka... i namiętna, ale z powodu której niechybnie zginę. Powinienem może jaśniej wytłumaczyć brzmienie umowy, którą chcę z tobą zawrzeć? Fiora otrzyma moje nazwisko, co uchroni ją przed zawsze możliwym zdemaskowaniem. Będzie hrabiną de Selongey, ale mieszkać będzie z tobą, panie. Gdy nadejdzie czas, będzie nosić żałobę po mnie...

- A ty, panie, co z tego będziesz miał, skoro jej posag chcesz dać swemu księciu?

- Noc miłości! Jedyną noc (wspomnienie o niej zabiorę ze sobą jak skarb), która może zdejmie ze mnie urok spalającej mnie namiętności. Ogłosisz wiadomość o małżeństwie, kiedy zechcesz, panie. Raczej późno, jeśli pragniesz uniknąć urazy Medyceuszy, będących najwyraźniej wrogami Burgundii. Dlatego mówiłem o potajnym ślubie. Po mojej śmierci Fiora może ponownie wyjść za mąż, jeśli zechce...

- Twoja śmierć, twoja śmierć! Nie jest jeszcze przesądzona. Dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby umrzeć?

- Aby krwią zmyć hańbę, którą okryję mój herb poślubiając córkę Marii i Jana de Brevailles. Hańbę tę odczuję jedynie ja, gdyż nie mam żadnej rodziny. Zniknie ona wraz ze mną, a tej, która będzie moją żoną dam w ciągu kilku godzin tyle miłości, że nigdy się o tym nie dowie. Jej życie u twego boku pozostanie niezmienione, ja dostanę wszystko, czego mogłem pragnąć na tym świecie...

- Zapominasz chyba o jednym: owocem tej nocy może być dziecko.

- W takim wypadku wychowasz go, panie, aż do wieku, w którym będzie mógł nosić broń i służyć swemu księciu. Wtedy wyślesz go do zamku Selongey, czyniąc wszystko, by go uznano za dziedzica. Będę spoczywał w spokoju, gdyż będzie to znak, że moi przodkowie wybaczyli mi to co zamierzam uczynić...

Co za dziwny chłopak! Francesco poczuł się zmieszany tym połączeniem cynizmu i niewinności, tą feudalną psychiką pełną namiętności i uporu, zdolną wszystko poświęcić dla swego władcy i osobistych pragnień, gotową jednak zapłacić stosowną cenę, choćby nawet cenę życia...

- Co zamierzasz zrobić? Jeszcze nie wyraziłem zgody na twój plan, panie.

- Ale zrobisz to. Wiedz, że jestem gotów na wszystko, by dostać Fiore, żeby została moją żoną. Póki żyję nie będzie należeć do nikogo poza mną.

- Jak daleko się posuniesz? Czy aż do poinformowania wszystkich o jej prawdziwym pochodzeniu? Natychmiast rozszarpano by cię na strzępy...

- Być może, ale ty, panie, już byś się z tego nie podźwignął. Byłbyś zmuszony zamknąć ją w klasztorze. Lepiej będzie, jeśli się zgodzisz, panie Beltrami, dobrze o tym wiesz. W ten sposób będziesz pewien, że nigdy cię nie opuści. To powinno się dla ciebie liczyć... zgaduję to z wyrazu twoich oczu.

Francesco poczuł, że się czerwieni. Ten mężczyzna odgadł jego słabą stronę. Rzeczywiście, czuł niechęć na myśl o tym, że pewnego dnia jego ukochana córka odejdzie, być może daleko od niego, u boku małżonka, który nigdy nie będzie umiał jej tak kochać, jak kochał ją ojciec... Wiedział już, że burgundzki rycerz wygrał, ale jeszcze nie chciał ustąpić.

- Straszliwa jest twoja miłość, hrabio! Nie mam żadnego powodu, by przypuszczać, że moja córka mogłaby ją zaakceptować. A zmuszać jej nie będę...

- Dlaczego jej nie zapytasz? Jeśli się zgodzi...

- Wówczas i ja się zgodzę - powiedział Beltrami z powagą - wiedz jednak, zostaniesz związany przyrzeczeniem, którego nie będziesz mógł złamać w przypadku, gdybyś... kiedyś zmienił zdanie.

- Znowu mówisz jak kupiec! - powiedział Selongey z pogardliwym uśmiechem. - Wiedz, że mam tylko jedno słowo, panie Beltraml. Kiedy już je dam, nigdy go nie łamię...

- W takim razie chodźmy do mnie!

Ramię przy ramieniu szli ulicami. Francesco prowadził za uzdę konia, którego zostawił przy bramie domu kupieckiego. Nigdy tak wiele nie chodził pieszo jak po przyjeździe do Florencji, bo mieszkańcy tego miasta zdawali się woleć spacerować od wszelkich środków lokomocji. Wprawdzie ulice, środkiem brukowane, z rynsztokami po bokach, były prawie zawsze czyste, ale zdumiewał widok najmożniejszych w mieście ludzi kroczących z nie większym ceremoniałem od gminu. Zamiłowanie to musiało wynikać z ogromnego powszechnego upodobania do rozmów. Nigdy nie było wiadomo ile czasu zajmie przejście z jednej ulicy na drugą, gdyż nikt nie wiedział, kogo spotka ani ile minut mu poświęci.

Między Mercato Nuovo i pałacem na brzegu Arno Burgundczyk ponad dwadzieścia razy usłyszał, jak przechodnie pozdrawiają jego towarzysza.

- Dobrej nocy, panie Francesco! Niech Bóg ma cię w swojej opiece i niech cię nadal darzy przychylnością! Pokłon panu Beltramiemu i wszystkim, których kocha!... Formułki były różne, ale wszystkie wyrażały szacunek, a nawet przywiązanie.

- Nie wiedziałem, że jesteś tak popularny, panie - zauważył Selongey - lecz jak to się dzieje, że wszyscy mówią tu sobie „ty”?

- Czy w Rzymie mówiono sojeie „pan”? Łacina nie zna tej formy, a jest tutaj nadal językiem poetów i uczonych. Nasz potoczny język jest tylko pochodną łaciny, podobnie zresztą jak język francuski, i pan Lorenzo, który

zaczął pisać wiersze w dialekcie toskańskim, próbuje mu nadać dyplom szlachecki. Na pewno mu się to uda, gdyż jest wielkim artystą w każdej dziedzinie...

- Czy jest nim również w polityce? Wątpię w to. Poważnym błędem jest odmawiać wszechmocnemu księciu Burgunda.

- Nie chciałbym sprawić ci przykrości, panie de Selon-gey, ale jeszcze większym błędem byłoby zerwanie sojuszu z królem Ludwikiem Francuskim, który jest być może najbardziej przenikliwym politykiem naszych czasów!

- Ten godny politowania jegomość? - zapytał pogardliwie hrabia. - On nie jest rycerzem.

- Kiedy ponosi się odpowiedzialność za królestwo, które przez sto lat znajdowało się pod angielską okupacją, lepiej być wielkim dyplomatą niż rycerzem bez skazy. Królowi Ludwikowi nie brak odwagi. Wiele razy to udowodnił.

- Widzę, że bardzo go podziwiasz, panie. Czy mogę ci poradzić... jako przyszły zięć, byś zmienił swe sympatie, póki czas? W lipcu ubiegłego roku król Anglii Edward IV podpisał z księciem Karolem traktat, w którym Anglik zobowiązuje się powrócić ze swym wojskiem do Francji, a Burgundia dołączy do niego z dziesięcioma tysiącami ludzi przed pierwszym lipca tego roku. Ludwik zostanie starty na proszek, a Edward koronowany w Reims na króla Francji jak nakazuje rozsądek.

- Ale nie historia! Czy twój pan pozwoliłby Anglikowi założyć koronę Ludwika Świętego, od którego sam pochodzi? Byłby to, moim zdaniem, poważny błąd. Swego czasu uznanie młodego Henryka ze szkodą dla Karo-

la VII nie przyniosło szczęścia Filipowi Dobremu... Bóg mógłby zesłać następną Joannę d'Arc... a w każdym razie niedobrze jest się pomylić co do króla. Ludwik XI nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Bądź pewien, że pan Lorenzo doskonale zdaje sobie z tego sprawę... i odmówił pomocy twemu władcy!

- No cóż, popełnił błąd! Pomyśl, że nawet rodzona siostra Ludwika XI, księżna Jolanta Sabaudzka, jest sojuszniczką Burgundii, na korzyść której zawarła sojusz z księciem Mediolanu, waszym sojusznikiem.

- Ale nie przyjacielem! Ładnego będziecie mieli sprzymierzeńca! Galeazzo-Maria do lekkoduch, ze Sforzów mający jedynie nazwisko, i w niczym nie przypominający swego ojca, wielkiego Francesca, przyjaciela Ludwika XI. Wszystkie myśli Mediolańczyka krążą wokół jego faworyty, pięknej Lucii Marliani, a w listach pisanych do pana Lorenza mówi tylko o pewnym jasnym rubinie należącym do Medyceuszy, który pragnie zdobyć dla swej kochanki. Twojego księcia czeka wiele niespodzianek...

- Któż ich nie ma, gdy w grę wchodzi kobieta? Uświadomiwszy sobie naraz, co powiedział, Selongey zaczerwienił się i zamilkł. Dochodzili do bramy pałacu pana Beltramiego, oświetlonej przez dwie pochodnie umieszczone w żelaznych obudowach. Języki ognia wyginały się i rozdzielały na zimnym wietrze dmuchającym po ulicach. Francesco uniósł ciężką kołatkę z brązu przedstawiającą głowę lwa, która opadając wydała donośny i głęboki dźwięk. Służący otworzył drzwi; Francesco usunął się, aby przepuścić nieoczekiwanego gościa.

- Teraz pozostaje tylko dowiedzieć się, którego z nas dwóch czeka niespodzianka - powiedział poważnie.

Zbliżała się pora kolacji i Fiore czekała na ojca w wielkiej sali, gdzie przed płonącym na kominku ogniem nakryto do stołu. Siedząc przy szachownicy, wykonanej z hebanu, kości słoniowej i złota, grała z Khatoun w głębokim skupieniu, którego wymagała ta najprzemysłniej szał z gier, i nie słyszała lekkiego skrzypnięcia drzwi, otwierających się przed dwoma mężczyznami. Tylko haftująca obok Leonarda podniosła głowę, ale Beltrami gestem nakazał jej milczenie, aby przez chwilę podziwiać uroczy obrazek, jaki tworzyły zatopione w grze dziewczęta...

Ogień kładł się żywym blaskiem na lśniących warkoczach Fiory, na złotym klejnocie zdobiącym jej czoło, na załamaniach fałd sukni z ciemnoczerwonego jedwabiu. Jej czarne, lekko podwinięte rzęsy rzucały delikatny cień na aksamitne policzki, a białe zęby, którymi przygryzała smukły palec, błyskały chwilami między świeżymi wargami. Siedząca naprzeciw niej Khatoun, ubrana w tunikę i welon w wesołym, niebieskim kolorze, podobna była do małego bóstwa opiekuńczego z orientalnej baśni.

Z sercem ściśniętym nagłym niepokojem Beltrami zapragnął przedłużyć w nieskończoność minutę ciszy, tę chwilę światła, która chroniła jeszcze jego spokój szczęśliwego ojca. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, jakim płonącym wzrokiem cudzoziemiec patrzy na jego córkę. Czy to możliwe, by ledwo wyszedłszy z dzieciństwa mogła wzbudzić namietność w mężczyźnie?... Po raz pierwszy patrzył na Fiore innym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na gibkości talii, cudownej, podkreślonej lśniącą materią, krągłości piersi, jedwabistej delikatnie zaróżowionej skórze koloru kości słoniowej, smukłości dłoni przedstawiającej kunsztowną figurę... Myśl, że jakiś mężczyzna mógłby rościć sobie prawo do posiadania tego cudu wdzięku i

urody stała mu się nagle nieznośna. Poczuł gwałtowną chęć zawołania służby w celu wyrzucenia z domu zuchwałego zalotnika... ale Khatoun zauważyła obu mężczyzn i wskazała ich gestem. Fiora podniosła oczy i wstała z fotela...

- Ojciec - powiedziała z uśmiechem - zdaje mi się, że wracasz dziś bardzo późno i że...

Rozpoznała nagle Filipa, którego wysoka sylwetka wyłaniała się zza postaci Beltramiego i fala krwi zabarwiła jej policzki. Aby ukryć zmieszanie, ukloniła się lekko.

- Nie wiedziałam, że mamy gościa - wyszeptała. - Powinieneś być nas uprzedzić.

- Wizyta moja jest całkowicie zaimprovizowana - powiedział łagodnie Filip - i błagam cię, pani, o wybaczenie, jeśli cię ona zaskakuje. Bardzo możliwe zresztą, że nie zagoszczę u ciebie... bardzo długo.

- Proszę nas zostawić, pani Leonardo - rzekł Beltrami krótko. - Ty również, Khatoun...

Z niemym pytaniem w oczach obie kobiety wyszły bez słowa, zostawiając Fiorę samą z dwoma mężczyznami. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Beltrami wziął córkę za rękę i poprowadził do fotela, z którego przed chwilą wstała.

- Usiądź, moje dziecko - powiedział łagodnie. - Mamy ci do powiedzenia coś ważnego... niezwykle istotnego dla twojej przyszłości...

- Wy... macie mi coś do powiedzenia? Obaj chcecie ze mną mówić?

- Właśnie...

Beltrami poczuł ściskanie w gardle i nerwowo przełknął ślinę. Nadeszła straszna chwila, na którą musiał się zgodzić, gdyż ten mężczyzna znał jego tajemnicę... Naraz zapragnął mieć to za sobą. Wszystko było lepsze od niepewności. Zresztą Fiora prawie nie знаła Selongeya, nigdy nie zgodziłaby się go poślubić... Odmówi mu z uśmiechem, tak jak odrzucała hołdy Luki Tornabuoniego. Czyż nie spostrzegł niedawno, że zdawała się być zakochana w Giulianie? Donośnym głosem wyrzucił więc z siebie:

- Obecny ty pan Filip de Selongey przybył dziś wieczorem poprosić mnie o twoją rękę...

Zaledwie wymówił te słowa, zapragnął je cofnąć. Fiora przyjęła je z ogromnym zaskoczeniem, ale natychmiast jakiś blask pojawił się w jej oczach, blask, który sprawił mu ból.

Selongey szybko uklęknął przed nią.

- Nie ma nic, czego pragnąłbym bardziej - rzekł dźwięcznym głosem. - Twój ojciec, Fioro, nie powiedział o tym, że cię kocham i zawsze będę kochać tylko ciebie.

- Zawsze?... Tylko mnie?

- Póki będę żył! Daję na to rycerskie słowo honoru przed Bogiem, który przyjmie naszą przysięgę, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną!

Fiora spojrzała na skierowaną w jej stronę dumną twarz, w oczy, których płomień ją spalał, usta, których pocałunek miała w pamięci, dużą dłoń wyciągniętą w jej stronę. Poszukała spojrzenia ojca, ale Beltrami odwrócił wzrok. Filip dorzucił zresztą, ciszej, lecz bardziej namiętnie:

- Odpowiedz, Fioro! Czy chcesz zostać moją żoną? Ogromna radość opanowała serce dziewczyny. Była jak jedna z tych wielkich, błękitnych

fal, rozkosznych i ciepłych, w których kąpała się w Livorno pewnego letniego dnia. Sen, rozpoczęty pod surowym sklepieniem Santa Trinità, znalazł kontynuację, i tym razem nigdy, przenigdy się nie skończy! Wdzięcznym, spontanicznym ruchem podała obie dłonie Filipowi:

- Tak - powiedziała zdecydowanie - tak, chcę! Francesco Beltrami zamknął na chwilę oczy, by nie widzieć jak Filip czule całuje drobne palce dziewczyny będącej teraz jego narzeczoną. Wszystko zostało powiedziane i należało doprowadzić rzecz do końca. To dla niego przeznaczona była niespodzianka... Klasnąwszy naraz w dłonie zawołał silnym głosem:

- Wina! Niech przyniosą wina!

Czyż nie należało uczcić rychłego ślubu Fiory? Jednak po raz pierwszy, od bardzo długiego czasu, Francesco Beltrami miał ochotę płakać...



ROZDZIAŁ CZWARTY

NOC W FIESOLE

Dwa dni później, o tej samej porze, Fiora czekała z bijącym sercem na chwilę, gdy zostanie połączona na zawsze z mężczyzną, którego pokochała i który wtargnął do jej życia jak huragan. Wszystko stało się tak szybko, że trochę kręciło się jej w głowie.

Oddając swą rękę Filipowi, myślała, że odbędą się uroczyste zaręczyny, po których jej przyszedłby mąż wyjedzie, by walczyć u boku swego księcia. Wróci, kiedy wojna się skończy, żeby ją poślubić i wreszcie zabrać do swego kraju, aby przedstawić ją na dworze Wielkiego Księcia Zachodu. Wyobrażała już sobie wspaniałe wesele, godne jedynej córki bogatego Francesca Beltramiego...

Tymczasem rzeczywistość nie przypominała jej marzeń z dzieciństwa, nic nawet nie miało się odbyć zgodnie z tradycją. Nie będzie uroczystej kolacji z okazji przekazania pierścionka - symbolu wzajemnego przyrzeczenia - ani wymiany podarunków. Młodzi chłopcy nie przeciągną w poprzek ulicy wstęgi lub girlandy kwiatów, najurodziwszy z nich nie poda jej bukietu, a narzeczony nie zerwie kruchej przeszkody. Nie będzie orszaku dam, eskortujących pannę młodą aż do Duomo, ni dźwięku trąbek, obwieszcza-

jących triumf miłości z loggii del Bigallo przy Baptysterium. Nie będzie wielkiego bankietu przy dźwiękach muzyki i orzechów rzuconych na posadzkę przed weselną sypialnią dla zagłuszenia tego, co się w niej dzieje, ani żartów, śmiechów, śpiewogier ku rozweseleniu towarzystwa, ani pieśni...

Wszystko odbędzie się w wielkiej willi Beltramiego w Fiesole, w nocy, w tajemnicy, aby Medyceusze nic nie wiedzieli o tym małżeństwie, które mogło być sprzeczne z ich sympatiami i politycznymi wyborami. A poza tym Filip się spieszył. Za bardzo kochał Fiore, by zgodzić się na opuszczenie jej, nie upewniwszy się wcześniej, że żaden inny mężczyzna nigdy mu jej nie zabierze...

- Tak samo byłoby po zaręczynach - zauważyła dziewczyna - nawet jeśli jedynym zobowiązaniem byłoby dane słowo, wystarczyłoby, byś mnie poprosił, żebym czekała. Czekałabym... całe życie.

- Być może będziesz na mnie czekać całe życie. Mogę zostać zabity, Fiore, i nigdy nie wrócić. Właśnie dlatego chciałem tego ślubu, którego bliskość może cię przeraża. Odjeżdżając chcę być pewien, że jesteś moja. Czy tak bardzo żal ci przepychu ślubu w świetle dnia?

- Żałowałabym przede wszystkim, gdyby nie było ci tak spieszno. Żałowałabym, gdybyś mnie nie kochał...

Wszystko zostało powiedziane. Od godziny Belframi i jego przyszły zięć siedzieli zamknięci w gabinecie z zaufanym notariuszem. Dyskutowali nad surowym kontraktem, który Belframi zamierzał zapewnić córce. Fiora w swej sypialni poddawała się zabiegom kobiet. Leonarda o twarzy bez wyrazu i Khatoun z rękami trzęsącymi się z podniecenia ubrały ją w ob-

szerną suknię z białej satyny, całą wyszywaną złotem. W bujne, upięte do góry włosy wpięły szmaragdowe gwiazdy i wplotły cienką, złotą girlandę, a na brzegu dekoltu, między dziewczęcymi piersiami, Leonarda przypięła chimere o szmaragdowych oczach. Rozpostarte skrzydła broszy wysadzone były takimiż kamieniami. Za chwilę włożą jej na głowę długi welon, poświęcony tego ranka, zgodnie ze zwyczajem, w pobliskim klasztorze...

Odkąd powiedziano jej o ślubie Fiory, stara guwernantka prawie nie otworzyła ust, lecz długie godziny spędzała w kościele. Na wymówki Fiory, że nie cieszy się ze ślubu podopiecznej ze szlachetnym panem z Burgundii, Leonarda odpowiedziała:

- Wiem, że to wielki pan i dobrze znam zamek Selongey-ów, będący potężną fortecą i szlachecką siedzibą. Poślubisz dzielnego człowieka, u którego boku osiągniesz wysoką pozycję.

- Czy wiesz, że go kocham... i że on mnie kocha?

- Musi tak być, skoro decydujecie się na ślub za dwa dni. Wyznam, że nie bardzo rozumiem, jak twój ojciec, tak rozsądny i zrównoważony, mógł wyrazić zgodę na podobne...

- Szaleństwo? Należy sądzić, iż mój ojciec wie, że z pozornego szaleństwa może zrodzić się wielkie szczęście.

Leonarda nic nie odpowiedziała, a jej policzki zabarwił lekki rumieniec. Lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że Francesco Belframi był zdolny do czynów pozornie szalonych, i próbowała z nim porozmawiać, ale - uchylając się od wyjaśnień - kupiec był nieuchwytny, jakby uciekał. Stara kobieta wybrała więc milczenie, podczas gdy Khatoun mówiła za dwie.

Młoda Tatarka przerywała wychwalanie cnót narzeczonego i przepowiadanie młodej pani życia pełnego wzajemnej miłości tylko po to, by śpiewać przy akompaniamencie lutni wszystkie pieśni ze swego repertuaru. Bez wahania obiecała nikomu nie ujawnić tego, co miało się zdarzyć. Fiora wiedziała, że mała niewolnica raczej dałaby się zabić, niż zdradziła powierzoną jej sercu tajemnicę.

Rzeczą najtrudniejszą było dla Fiory milczenie o wszystkim wobec Chiary. Pragnęłaby przynajmniej mieć przy sobie tę uroczą dziewczynę w chwili, gdy jej małżeństwo zostanie pobłogosławione. Chciałaby dzielić z przyjaciółką całą tę radość, ogrom szczęścia wypełniającego serce, ale Beltrami okazał się nieustępliwy:

- Nie zapominaj, że Colomba ma najdłuższy język w całym mieście! Powierzyć jej tajemnicę to tak jakby podzielić się nią ze wszystkimi. Poza tym musisz pamiętać, że Albizzi byli przez długi czas bogatsi i potężniejsi niż Medyceusze, że przebywali na wygnaniu i mieszanie ich do tego małżeństwa mogłoby postawić tę rodzinę w trudnej sytuacji. Niektórzy mogliby to uznać za dziwne.

- Czy nie będę więc miała prawa nosić oficjalnie nazwiska męża? Tak bym chciała...

- Żeby wiedziano, że jesteś hrabiną? - zapytał Beltrami z uśmiechem.

- Nie. Żeby wiedziano, że jestem jego żoną...

- Przyjdzie na to pora, nie obawiaj się! Może nawet szybciej niż sądzisz. Chcę jedynie trochę odczekać, zanim powiadomię o tym Wspaniałego. Będzie to łatwiejsze, jeśli pomyśli, że wyszłaś za mąż... bez mojej wiedzy!

Tym razem Fiora zrozumiała. Znała Medyceuszy wystarczająco dobrze, by wiedzieć, do jakiego stopnia troszczą się o swoją władzę, tym bardziej że nie była im ona przyznana z mocy prawa. Dała się porwać radości z powodu rychłego połączenia z Filipem. W miarę jednak zbliżania się wyznaczonej godziny jej serce bilo coraz szybciej...

Stała pogrążona w marzeniach przy oknie. Przez nie widać było tarasowy ogród i poniżej całą Florencję, rozciągniętą jak szaroróżowy dywan u stóp starożytnego, etruskiego i rzymskiego akropolu, którym było niegdyś Fiesole. Z dawnej świetności zachował się jedynie krąg na wpół zrujnowanych murów cyklopowych i mnóstwo starych kamieni pozostałych po teatrze. Ruiny znajdowały się niemal we wszystkich ogrodach, a ogrody były wszędzie. Fiesole przestało pełnić funkcje obronne, ale pozostało miejscem wypoczynku i z pewnością najbardziej uroczą miejscowością w okolicach Florencji. Nawet kiedy w ogrodach, tak jak teraz, na początku lutego, nie było już kwiatów, pozostawała łagodna falistość terenu, podkreślona czarnymi wrzecionami cyprysów i cisów, zgaszone barwy ziemi i srebrzystych drzew oliwkowych, których poskręcane korzenie podtrzymywane były przez murki z rdzawych kamieni. Na małym rynku tego, co było już tylko dużą wsią, uroki starej, rzymskiej katedry i zwieńczonej blankami kampanieli kontrastowały z nowym, wdzięcznym pałacem.

Słońce zaszło w purpurowej, zapowiadającej wiatr poświacie. Jej odblask pozostał na dachach wieńczącego wzgórze małego klasztoru franciszkanów, w którym przechowywano ciało wielkiego świętego, Antonina, czczonego przez całą Florencję. Właśnie w kaplicy tego klasztoru wielebny opat miał nocą udzielić ślubu Fiorze i Filipowi...

Selongey, jego stajenny Mateusz de Prames, który miał być świadkiem, oraz kilku ludzi eskorty przekroczyli tego ranka bramy Florencji nie zamierzając tam powrócić. Okrężną drogą dotarli do willi Beltramiego i weszli do niej od strony pomieszczenia dla służby, gdzie mieli poczekać na ostateczny odjazd, przewidziany nazajutrz wczesnym rankiem. Tylko dwaj szlachcice weszli do domu. Fiora nie wiedziała, że w sejfie jej ojca spoczywał już weksel na sto tysięcy złotych florenów, płatny u bankierów Fuggerów w Augsburgu i stanowiący jej niemal królewski posag...

Fiora długo tak stała, patrząc jak umiera dzień, a noc powoli przesłania cudowny obraz, pozostawiając widoczne jedynie świecące punkty - ognie na murach obronnych i inne źródła światła. Stanowiły one przedłużenie nieba, na którym zapaliło się kilka gwiazd. Zapadający wieczór zaciągnął zasłonę za beztruskimi dniami szczęśliwego dzieciństwa. Nazajutrz powracający dzień oświecili nową istotą, zrodzoną z tajemniczej magii miłości.

Jak większość współczesnych jej dziewcząt, Fiora wiedziała, że to nie błogosławieństwo małżeńskie pozwala narodzić się kobiecie, lecz zespolenie dwóch ciał. Może to być bolesne, przynajmniej na początku, czasem nie do wytrzymania, zwłaszcza gdy akt miłosny jest gwałtem, jak to miało miejsce na przykład podczas niedawnego splądrowania Voltery i Prato przez florenckich najemników. Nie obawiała się niczego podobnego ze strony kochającego ją mężczyzny i oddawała mu się z radością, gdyż wystarczył jeden pocałunek, by ją zdobył.

Wejście Leonardy, choć ciche, położyło kres jej rozmarzeniu. Guwernantka przyniosła ze sobą welon, którym spowiła dziewczynę, i obszerną mantylę, aby ukryć błyszczącą suknię.

- Już pora! - powiedziała. - Chodź! Czekają na nas...

Naraz porwała Fiore w objęcia i ucałowała z wielką czułością.

- Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwa, moje jagniątko, a przede wszystkim, że pozostaniesz nią długo...

- Nigdy nie byłam tak radosna - powiedziała Fiora szczerze. - Czyż pan Filip nie ma wszystkiego co trzeba, by zapewnić mi szczęście?

- Oczywiście, ale jest żołnierzem, a to nie ułatwia sprawy. Będziesz musiała znosić długie rozstania...

- Tym cudowniejsze będą powroty! Chodźmy już, skoro na nas czekają.

Leonarda nie odpowiedziała, zadowolając się otworzeniem drzwi przed tym dzieckiem, które, jak sądziła, zna dobrze, a ono zdawało się zmieniać z minuty na minutę. To małżeństwo zdecydowanie coraz mniej się jej podobało, wiedziała jednak, że nie leży w jej mocy zatrzymanie tak gwałtownie puszczanego w ruch koła fortuny.

Cztery czarne sylwetki - Beltramiego, Filipa, jego przyjaciela Pramesa i notariusza Bonawentury - czekały pod portykiem przy wejściu. Kiedy obie kobiety dołączyły do nich, kupiec wziął córkę za rękę i ruszył w stronę wejścia do pograżonych w mroku ogrodów. Żadne światło nie rozjaśniało drogi, lecz noc nie była ciemna i pozwalała przemieszczać się bez problemów.

Opuściwszy granice posiadłości, szybko odnaleźli ścieżkę prowadzącą do klasztoru. Nie było słyhać najmniejszego dźwięku. Okolica była tak cicha, jakby wstrzymała oddech. Nie słyhać było lotu ptaka, szczekania psa ani żadnego z przedzierających się przez trawę licznych mieszkańców

pól. Sześciu wędrowców w obszernych płaszczach przypominało kawalkadę duchów... Fiorze wydawało się, że śni...

Jak we śnie, zobaczyła otwierające się drzwi małej kapliczki, ledwie oświetlonej woskową świecą stojącą na ziemi w srebrnym lichtarzu i dwiema świecami na każdym końcu starego, kamiennego ołtarza, przykrytego nieskazitelnie białym obrusem. Było ciemno i zimno. Tej nocnej mszy nie towarzyszył żaden specjalny przepych. Jedynie naczynia liturgiczne były kunsztownymi dziełami sztuki złotniczej, a ornat mnicha, udzielającego sakramentu, był jeszcze bardziej złocisty niż suknia panny młodej.

Jak we śnie, słyszała przebieg ceremonii i wyciągnęła dłoń, na którą Filip założył ciężką, złotą obrączkę. Tylko słowa księdza i pociąganie nosem Leonardy, która dała upust łzom, zakłócały klasztorną ciszę. Poczucie rzeczywistości odzyskała po wyjściu z kościoła, wraz z powrotem do domu u boku Filipa, na widok skurczonej twarzy Francesca Beltramiego, kiedy idąc do przygotowanej na noc poślubną sypialni, podsunęła mu czoło do pocałunku i błogosławieństwa... Gdy córka opuszczała go, aby spocząć nie w swym panieńskim łóżku, lecz w łożu mężczyzny, Beltrami bladej jak ściana wyglądał niczym wzięty na męki. Ale jakie tortury mogły być gorsze od tego, co przeżywał? Do upokorzenia, wynikającego z faktu, że musiał ulec szantażowi, dołączyła się paląca zazdrość. Miał ochotę zabić tego uwodziciela, który potrzebował zaledwie chwili, aby podbić serce Fiory, a teraz miał prawo wejść do jej sypialni jak do swojej i posiąść jej ciało.

Uczciwość wymagała, by zadał sobie pytanie, czy wszyscy ojcowie mają to okropne uczucie krzywdy, odczuwają to bolesne fizyczne napięcie? Wspomnienia, zachowane z innych ślubów, dały mu odpowiedź przeczącą i

poczuł wstyd z powodu myśli, które go opanowały, obrazów, podsuwanych przez rozgorączkowaną wyobraźnię. Gdyby Fiora była naprawdę jego dzieckiem, zostałoby mu to oszczędzone, ale ona nim nie była i dlatego reagował jak mężczyzna, któremu odbierano ukochaną kobietę. Czuł się tak, jakby po raz drugi utracił Marię...

Tej nocy rozsądny Francesco Beltrami wypił nieco za dużo, czekając na poranek tego triumfalnego dnia, który miał przynieść kres koszmaru. Zniechęcony Burgundczyk odjedzie wówczas bez nadziei na powrót i pozostawi mu Fiorę na resztę jego dni. Na razie zbyt trudno było mu się przyznać przed sobą samym, że tylko ta okoliczność skłoniła go do zaakceptowania niedorzecznej prośby Se-longeya. Hrabia będzie miał tylko jedną noc. Jemu -zostanie całe życie, co nie byłoby możliwe, gdyby mąż Fiory był florentczykiem...

W tym czasie w wielkiej, paradnej sypialni, lekko ogrzanej, uperfumowanej i ozdobionej kwiatami i liśćmi, Leonarda i Khatoum przygotowywały Fiorę do nocy. Zburzywszy skomplikowaną fryzurę, czesały, szczotkowały, nadawały połysk jej długim, czarnym włosom, aż stały się jedwabiste, lśniące i miękkie. Zdjęły z niej ozdoby, wspaniałą suknię, bieliznę i delikatnie wmasowały w jej tułów i nogi balsam pachnący lasem i świeżo ściętą trawą. Później wzięły ją za ręce i zaprowadziły nagą do wielkiego łoża z kolumnkami, ozdobionego draperiami z purpurowego aksamitu ze złotą frędzlą, które, masywne jak ołtarz ofiarny, zajmowało cały środek pokoju.

Położyły ją między jedwabnymi, ogrzаныmi prześcieradłami i rozpostarły na poduszce jej włosy, tak że tworzyły czarną, lśniącą aureolę. Potem

Leonarda zapaliła lampkę nocną u wezglowia, pocałowała Fiorę w czoło i zaciągnęła zasłony przy łożu, po czym wyszła wraz z Khatoun, która nuciła akompaniując sobie na lutni... Dźwięk instrumentu powoli ucichł i Fiora z sercem bijącym jak oszalała została sama w świetle lampki, rzucającej czerwone błyski...

Nie musiała długo czekać. Usłyszała lekkie skrzypnięcie drzwi, stłumiony przez dywany odgłos kroków i wreszcie szelest rozsuwanych oburącz zasłon. Fiora zamknęła oczy, ale niemal natychmiast otworzyła je z powrotem, nie chcąc tracić niczego z tej niezwykłej nocy. Ujrzała Filipa. Stojąc przy łożu, z rękami jeszcze wczepionymi w aksamitne zasłony, patrzył na nią, a jego oczy lśniły w opalonej twarzy. Nie miał na sobie nic poza krótkimi, białymi kalesonami. Drgający płomień oliwnej lampki ożywiało jego mocne, lecz nie zanadto masywne uda, lekko owłosiony tors, ramiona.

Fiora patrzyła na niego zafascynowana, myśląc, że jest jeszcze piękniejszy niż posąg Hermesa, z którego tak dumny był Lorenzo Medyceusz, gdy Filip schwycił nagle przykrywające ją prześcieradło i jednym gwałtownym ruchem odrzucił je w nogi łoża... Z rozplomienionymi raptem policzkami Fiora ponownie zamknęła oczy czekając, by przemówił, powiedział cokolwiek, żeby uczynił jakiś gest, ale Filip nie spieszył się. Wziął do ręki lampkę i unióśł ją nad nerwowo wyprężonym ciałem dziewczyny. Zauważył, że drży i uśmiechnął się:

- Czego się boisz? Zwierciadło nigdy ci nie mówiło, że jesteś piękna?... Taka piękna... taka słodka!

Odstawił lampkę i osuwając się na kolana przyłożył wargi do brzucha Fiory, którą przebiegł długi dreszcz. Poczul to i zaśmiał się lekko:

- Śliczny instrumencie - wyszeptał otulając pieśczośliwym ruchem drżące dziewczęce piersi - jaką cudowną pieśń miłosną będę mógł na tobie zagrać...

Nie zmieniając pozycji, wciąż klęcząc, pokrywał całe jej ciało lekkimi pocałunkami, muskając delikatnie różowe koniuszki piersi, wznoszące się pod jego wargami. Tymczasem jego dłonie badały łuki bioder i jedwabiste płaszczyzny napiętego brzucha. Usta poszły śladem dłoni, zsunęły się, zeszyły jeszcze niżej, aż do miękkiego runa, które delikatnie rozsunęły. Z szeroko otwartymi oczami, oszołomiona Fiora czuła, jak budzi się w niej burza, żarliwa namiętność, o której odczuwanie nigdy siebie nie podejrzewała... Całe jej ciało przyzywało tego mężczyznę, który rzeczywiście grał na nim jak na instrumencie, wydobywał z niego westchnienia i ciche jęki, domagające się jakiegoś nie znanego jej jeszcze spełnienia... Wreszcie wślizgnął się na nią i wpił w jej usta drapieźnym, głębokim pocałunkiem, pod którym omdlała z rozkoszy... Jej ciało napięło się i wygięło, jakby chciało wyrwać się spod przygniatającego je ciężaru, ale Filip łagodnie opanował jej opór i nagle poczuła, że w nią wchodzi...

Poczuła lekki ból. Jej okrzyk został stłumiony pocałunkiem. Przez chwilę Filip trwał nieruchomy, później, z rękami zatopionymi w jedwabistych falach jej włosów, których zapach go upajał, rozpoczął powoli, bardzo powoli, swój taniec miłości, do którego Fiora wkrótce namiętnie się przyłączyła... Płomienna fala rozkoszy porwała ich i uniosła, aż do końcowego paroksyzmu, który osiągnęli razem w podwójnym jęku... Później fala opadła, zostawiając ich jak rozbitków, dyszących na plaży zmiętych przeście-

radeł, splamionych kilkoma kroplami krwi... Ale Filip nie rozluźniał uścisku...

Ta nowa istota, którą przebudził dla miłości, ofiarowała mu właśnie, nie wiedząc o tym, najbardziej wzruszającą rewelację, odkrycie nieznanego obszaru jego serca. Sądził, że kocha Fiore tak, jak kochał już często. Tym razem jednak myśliwy wpadł we własne sidła i nie miał ochoty się z nich wydostać. A jednak będzie musiał to zrobić, gdy nadejdzie świt. Związany danym słowem, będzie musiał odjechać i zostawić żonę, której nie miał nadziei nigdy odzyskać, by egzystowała w oddaleniu. Nikt nie pozwolił mu niczego zmienić w umowie zawartej z Beltramim, a szczególnie ten ostatni. Wyczytał to w morderczym spojrzeniu, którym kupiec odprowadził go do drzwi sypialni Fiory...

- Kocham cię! - wyszeptał z ustami w jej włosach. - Nigdy nie dowiesz się, jak bardzo cię kocham...

- Dlaczego nie miałabym się nigdy dowiedzieć? Czyż nie będziesz mógł mi tego dowieść przez wszystkie lata, jakie są przed nami?

- Ale czy mamy przed sobą jakieś wspólne lata? Odjadę, zostawiając cię samą, ponieważ nie mogę zabrać cię ze sobą.

- Właściwie dlaczego nie możesz?

- Przecież wiesz. Nie zabiera się kobiety na wojnę.

- Może gdybyś to zrobił, zaskoczyłaby cię ona swoim zachowaniem? Myślę, że zgodziłabym się na każde niebezpieczeństwo, byle pojechać z tobą, być przy tobie bez przerwy.

- Czyżbym poślubił młodą lwicę? - spytał całując ją. - Tylko podsycasz mój żal, mój skarbie, mój kwiatuśku... moje słodkie kochanie. Ale musisz

tu zostać, choćby dlatego, by nie narażać ojca na niebezpieczeństwo. Mówi się, że gniew wspaniałego Lorenza może być groźny, tym bardziej że ma obecnie mało legalnych praw do sprawowania władzy. Anie mam najmniejszych wątpliwości co do uczuć, jakie żywi wobec mojego księcia. Gdyby się teraz dowiedział, że ojciec wydał cię za mnie, nawet nie pytając go o zdanie, to konsekwencje mogłyby być... nieprzyjemne dla was obojga.

- Będę więc na ciebie czekała - westchnęła Fiora - nawet gdyby to oczekiwanie miało trwać tylko tydzień, wyda mi się bardzo długie... Naprawdę musisz rano wyjechać?

- Nie mogę postąpić inaczej...

- Nie należy więc tracić ani chwili z tej nocy ofiarowanej nam przez przeznaczenie. Kochaj mnie! Filipie, kochaj mnie jeszcze raz i jeszcze, abym mogła żyć wspomnieniami przez wszystkie dni i wszystkie noce, które spędzę bez ciebie.

Filip tylko czekał na tę prośbę, gdyż znowu obudziło się w nim pożądanie, ale obawiał się, że dając mu upust przestraszy, a może skrzywdzi to dziecko, które tak ufnie mu się oddało. Odsunął się więc trochę.

- Nie należy się tak spieszyć, mój skarbie... Jesteś taka młoda, taka niewinna... Boję się, że cię skrzywdzę!

- Nie możesz mnie skrzywdzić, skoro to ja cię przyzywam. Tak słodko jest należeć do ciebie...

Spojrzał na nią olśniony, zachwycony... Światło lampy rzeźbiło jej ciało miękkimi cieniami, złociło cudowny zarys piersi, kładło się blaskiem na udach, krągłych, a zarazem szczupłych. Dłonią uniósł piękną, niewinną twarz o rozchylnych, zachęcających wargach i dużych, jasnych, omdlewa-

jących teraz oczach. Nigdy nie miał do czynienia z kobietą tak piękną i serce ścisnęło mu się na myśl, że rozkwitnie ona jeszcze bardziej z dala od niego:

- Chcesz? - spytał zachrypniętym głosem. - Naprawdę chcesz?...

Fiora wybuchnęła kaskadą radosnego, dziecinnego, a zarazem podniecającego śmiechu:

- Oczywiście, że chcę! Platon mówi, że rzeczy piękne dobrze jest powtarzać dwa albo trzy razy!

Zdumienie odebrało mu głos. Platon był z pewnością ostatnim intruzem, którego spodziewałby się w ślubnym łożu. Jak mógł przypuszczać, że ta urocza dziewczyna, prawie dziecko, karmiona była grecką filozofią? Jego własna kultura nie wykraczała poza *Komentarze* Cezara i poczuł się nieco urażony...

- A co Platon mówi o miłości? - zapytał, gdy tymczasem jego palce znów zaczęły przesuwac się po gładkiej skórze.

- Wcale o niej nie mówi - wydyszała Fiora, a jej oczy zaszyły mgłą... - Ale twierdzi:... „Dawaj, a będzie ci dane!” Ja... ja oddaję ci siebie na zawsze! I chcę ciebie, całego...

Posiadł ją brutalnie, jak dziewczkę w zdobytym mieście. Krzyknęła pod nim, ale zdusił jej okrzyk. Czuł, że po jej twarzy płyną łzy i pojął, że sprawia jej ból, ale poczuł z tego powodu niedobrą radość. Satysfakcję zdwajała okropna myśl, że ta dziewczyna, zrodzona z kazirodczego związku, była w końcu może jedynie wysłanniczką diabła. Miał ochotę ją zabić, aby uwolnić się od więzów, którymi niepostrzeżenie spętała jego duszę. Objął dłoń-

mi jej kruchą szyję i zamierzał je zacisnąć, kiedy otworzyła szeroko ogromne oczy o barwie chmur i wyciągnęła do pocałunku obrzmiałe usta...

- Filipie! - wyszeptała. - Mój kochany, mój panie...

- Twoim panem jest szatan! - warknął. - Bóg nie mógł stworzyć podobnego piękna...

Nagle oprzytomniała i chciała mu się wyrwać.

- Jeśli jest we mnie szatan, to ty go obudziłeś. Powiedziała to z takim bólem, że zrobiło mu się wstyd. Teraz jej łzy nie były już łzami szczęścia. Zebrał je wargami jedną po drugiej, a później długo całował drżące usta i ponownie wywołał eksplozję rozkoszy w jej ciele, zanim sam znalazł zaspokojenie.

- Wybacz mi! - szepnął wreszcie. - Wydaje mi się, że doprowadzasz mnie do szaleństwa...

- A więc oboje jesteśmy szaleni - doszła do wniosku Fiora, wtulając głowę w zagłębienie ramienia męża...

Była teraz zmęczona, ale nie chciała jeszcze spać. Będzie miała dużo czasu na sen, kiedy Filipa już tu nie będzie, gdy jej łóżko będzie puste i zimne...

- Nie miałam pojęcia - westchnęła - że miłość może dać tyle radości i chciałabym móc dać ci jej tyle, ile ty mi dajesz...

- Czy nie czujesz, jak bardzo szczęśliwym mnie czynisz?

- Może, ale przed chwilą wydawało mi się, że mnie nienawidzisz...

- Nie myśl tak... Prawdą jest, że jesteś zbyt piękna i boję się twojej urody.

- Dlaczego, skoro wszystko co moje należy do ciebie całkowicie? Och, mój kochany, naucz mnie, jak cię kochać. Naucz mnie, jak również ja mogłabym dawać rozkosz. ..

- Przyzwoitej kobiety nie uczy się takich rzeczy - rzekł z pozorną surowością.

- Po co miałabym być przyzwoitą kobietą tej nocy? Będę miała na to dużo czasu. Chcę tylko być twoją żoną...

Rozczulony pokierował jej pierwszymi gestami, ale ponieważ uczennica godna była mistrza, wkrótce cisza, wypełniona przeciągłymi westchnieniami, zapanowała pod purpurowymi kotarami, które chroniły parę kochanków niby w sercu dojrzałego owocu. I jeszcze trzykrotnie Filip posiadał to młode ciało, które zdawało się nienasycone, zanim wreszcie Fiora, niby rżona gromem, zasnęła z głową zwisającą poza łożę z długimi, mokrymi od potu włosami rozciągniętymi na dywanie. Filip, z ciężko bijącym sercem, opadł na brzuch, wciskając twarz w poduszkę, i także pogrążył się we śnie.

Świt jednak był już niedaleko. Gdzieś za miastem zapiał kogut, przyłączyły się do niego Inne ze wszystkich stron... Drzwi ślubnej sypialni ustąpiły cicho pod dłońią Leonardy. Przez chwilę przybyła stała na progu bez ruchu, zafascynowana obrazem, jaki przedstawiała w gasnącym świetle lampki czerwona muszla otwartej alkowy z dwoma nagimi ciałami, zmęczonymi miłością. Leżąca w bezwstydnym pozie Fiora przypominała martwą bachantkę. Leonarda, zmarszczywszy brwi, przeżegnała się kilkakrotnie, zanim, nie czyniąc najmniejszego hałasu, podeszła do łoża, gdzie wieki temu położyła niewinną dziewczycę... Delikatnie, starając się jej nie obudzić, podniosła młodą kobietę, która wymamrotała przez sen kilka nie-

wyraźnych słów i uśmiechnęła się. Gdy tylko Fiora spoczęła na poduszce, zwinęła się w kłębek, szczęśliwa jak kotka, która odnalazła swe posłanie. Leonarda przykryła ją i okrążywszy łożę, zbliżyła się do Filipa; położyła mu dłoń na ramieniu; potrząsnęła nim lekko, pochylając się jednocześnie do jego ucha.

- Panie - szepnęła - trzeba wstawać! Już pora...

Filip, przyzwyczajony od dzieciństwa, dzięki ciężkiej rycerskiej zaprawie, do spania byle gdzie i do budzenia się na pierwsze wezwanie, natychmiast się odwrócił i spojrzał na guwernantkę wzrokiem niemal całkowicie przytomnym...

- Co mówisz, pani? - mruknął.

- Pst!... Mówię, że wkrótce wstanie dzień. Twoja eskorta szykuje się do odjazdu. Pan de Prames właśnie je śniadanie.

- Już?... Dlaczego trzeba wyjechać tak wcześnie?

- Powinieneś to wiedzieć, panie. Żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Czyż nie tak postanowiliście z panem Fran-ceskiem?...

- Istotnie... ale to było przedtem...

Pochylił się nad Fiorą, aby ją pocałować, ale Leonarda go powstrzymała:

- Nie budź jej, panie! Tak będzie prościej...

- Chcesz, abym odjechał... bez pożegnania?

- Tak. Tak będzie lepiej dla niej... i dla ciebie! Chyba że wolisz zachować w pamięci twarz zmienioną przez łzy?

- Nie! Nie, masz rację...

Wstał lekko, nie wstrząsnąwszy łóżem. Ziewnął, przeciągając się jak długi, zupełnie nie myśląc o okryciu ciała, na którym widniały ślady dawnych ran i lekkie zadrapania pozostawione przez paznokcie Fiory. Zanim podniósł szlafrok, odwrócił się w stronę młodej kobiety, i pozwolił sobie na ostatnią chwilę kontemplacji... Z głębokimi, niebieskawymi cieniami, znaczącymi jej śliczne oczy o zamkniętych powiekach, wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek i na myśl o tym, że już jej nie zobaczy, ścisnęło go w gardle... Tak słodko byłoby spędzić przy niej całe życie, ale pakt, którego warunki sam podyktował, dawał mu tylko jedną noc... Pochyliwszy się gwałtownie, wziął delikatnie jeden z długich, czarnych pukli i przyłożył do niego usta...

- Żegnaj!... - wyszeptał - ... Żegnaj, moje słodkie kochanie!

Wyprostowawszy się zobaczył, że Leonarda z dziwnym wyrazem twarzy podaje mu nożyczki... Wziął je z uśmiechem, który do głębi poruszył starą damę. Nie przypuszczała, że ten mężczyzna, o którym nie myślała nic dobrego, może uśmiechać się jak zachwycone dziecko.

- Dziękuję - powiedział Filip.

Uciał mały kosmyk włosów i ukrył go we głębieniu dłoni, potem, zwróciwszy nożyczki Leonardzie, ubrał się i opuścił sypialnię nie odwracając się. Zostawszy sama ze śpiącą Fiorą, Leonarda zaciągnęła cicho zasłony przy łóżu, żeby światło wstającego dnia nie obudziło młodej kobiety. Później wyszła z pokoju na palcach...

Tymczasem w wielkim holu, wyłożonym białym i czarnym marmurem, Filip de Selongey zamierzał pożegnać się z oczekującym go u stóp schodów Beltramim...

Wsadziwszy głowę do miski pełnej zimnej wody, o czym świadczyły jego jeszcze wilgotne włosy, Francesco zdołał usunąć opary pijaństwa. Ale jego oczy były wciąż przekrwione, gdy patrzyły na schodzącego po stopniach Burgundczyka, obutego już i zawiniętego w obszerny płaszcz do konnej jazdy. Z gniewem zauważył, że cudzoziemiec wyglądał na człowieka, który nie zmrużył oka, a jego krok sprawiał wrażenie ociężałego... Najwyraźniej Selongey dobrze wykorzystał tę jedyną noc, jakiej żądał. Beltrami poczuł jak narasta w nim bezsensowna wściekłość. Miał ochotę biec do sypialni, gdzie jego piękna Fiora leżała może załamana, szlochająca, chora ze wstrętu, po tym jak przez tyle godzin służyła jako zabawka, zaspokajając bezlitosną lubieżność tego człowieka. Zauważył jednak Leonardę, schodzącą powoli w gęstym mroku schodów, i powstrzymał się za cenę gwałtownego wysiłku. Jedno było ważne: żeby ta bestia na zawsze zniknęła mu z oczu! Okazywaną czułością sprawi, że dziecko zapomni o tym co przecierpiało.

Usiłując opanować drżenie głosu, spytał:

- Pożegnałeś się z nią, panie?
- Nie. Śpi i nie budziłem jej. Pożegnaj ją ode mnie, panie. Powiedz jej...
- Co takiego? - warknął kupiec.

Na twarzy Filipa pojawił się jego dziwny uśmiezek, rozciągający usta tylko z jednej strony. Wzruszył ramionami.

- Nic! Nie umiałbyś...
- Niczego bym jej nie powtórzył! Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię zapomniała... i to jak najszybciej! Chciałeś jednej nocy i miałeś ją. Teraz pozostaje ci tylko dotrzymać obietnicy i dać się zabić!

- Czy przyrzekłem to? - spytał Selongey wyniośle.

- Zdaje mi się, że tak! Zapomniałeś swoich słów: po zbrukaniu twego honoru przez małżeństwo z moją córką nie masz innego wyjścia, jak tylko zmyć tę plamę własną krwią. Czy coś się zmieniło?

- Nie! Jak mógłbym przedstawić na dworze księcia Karola żonę podobną jak kropla wody do matki straconej za kazirodztwo i cudzołóstwo? Nic się nie zmieniło, ale nie wyobrażasz sobie, jak bardzo tego żałuję!

- Zdaje się, że ta noc nie była wystarczająco długa - powiedział Beltrami z sarkastycznym uśmiechem. - Może życzyłybyś sobie, żebym ci zaproponował ponowny przyjazd?

Przez chwilę Filip patrzył na niego bez słowa, bo nagle zrozumiał, ile ten mężczyzna przecierpiał i jak nadal cierpi, oddawszy mu Fioreę. Odgadł, jakie mętne osady na dnie jego duszy wzburzyło to dziwne małżeństwo. Zapewne florentczyk odkrył właśnie, że jego miłość nie była tak bardzo oj-cowska, jak to sobie wyobrażał. Filip poczuł z tego powodu raczej litość aniżeli irytację.

- Nie obawiaj się, panie! Nie będę próbował wrócić, gdyż to by mnie zgubiło. Wiedz, że w ciągu kilku godzin zaznałem więcej szczęścia, niż mogłem się spodziewać. Nigdy nie zapomnę tej nocy... i mam nadzieję, że Fiora również jej nie zapomni! A teraz żegnaj, panie Beltrami! Czuwaj nad nią!

Wciągając grube skórzane rękawice, które miał u pasa, Filip skierował się do drzwi, lecz Beltrami go powstrzymał. Spod długiej szaty z czarnego aksamitu dobył zwój opieczętowanego pergaminu i podał młodemu mężczyźnie.

- Chwileczkę, panie hrabio! Zapominasz o tym. Czyż nie jest to cena słynnej plamy na twoim honorze?

Filip zbladł i wykonał gest, jakby odmawiał. Zawahał się.

- Chciałbym cisnąć ci w twarz twój weksel, panie -warknął - ale książe Karol za bardzo potrzebuje tego złota. Bądź jednak spokojny! Suma ta, a nawet jeszcze większa, zostanie ci zwrócona po mojej śmierci jako dziedzictwo żony.

Wyrwał gniewnie zwój z rąk Beltramiego. Wsunął go pod kaftan i wybiegł, ścigany szyderczym śmiechem kupca. Minąwszy część ogrodu, szarżającego w świetle świtu, dotarł do budynków gospodarczych, gdzie czekali jego ludzie.

Leonarda, stojąca w mroku schodów - gdzie zastygła, usłyszawszy sprzeczkę dwóch mężczyzn - szybko się przeżegnała, kiedy stwierdziła, że milknie odgłos kroków dziwnego męża Fiory. Podśluchana rozmowa wiele wyjaśniała; Leonarda domyśliła się brzmienia umowy, w wyniku której popchnięto dziewczynę w ramiona nieznanego mężczyzny. Zeszła wolno po schodach i podeszła do tkwiącego na progu Beltramiego, wygrażającego pięścią w stronę pustego ogrodu.

- A więc on wiedział? - zapytała łagodnie. Francesco zadrżał i spojrzał na nią bez słowa. Jego ramię opadło bezsilnie. Wzruszając ramionami, powiedział w końcu:

- Myślisz, pani, że gdyby nie wiedział, dałbym mu Fiore? Lorenzo Medyceusz odmówił mu pożyczki, którą chciał zaciągnąć dla księcia Burgundii. Ręka mojej córki... i jej posag były ceną jego milczenia. Ładną ceną, jak widzisz!

- Człowiek o takim nazwisku i pochodzeniu miałby zniżać się do podłego szantażu? Trudno mi w to uwierzyć. Selongeyowie byli zawsze ludźmi o twardych charakterach, często trudnymi we współżyciu, ale niezwykle lojalnymi względem swoich książąt i niezdolnymi do podłości. Dlaczego więc? Dla złota? Nigdy nie byli biedni i na pewno cieszą się wszelkimi łaskami...

- To jego jedyne usprawiedliwienie: nie chciał złota dla siebie. Słyszałaś go, pani? Bogu dzięki, pojechał, nie ma go i nie będzie! Nigdy więcej go nie zobaczymy!

- Nigdy? Czyżby miał zamiar porzucić młodą żonę, w której jest bardzo zakochany...

- Nie, ale ma zamiar pozwolić się zabić na wojnie. Kocha Fiore, tak w każdym razie twierdzi, może to prawda, ale uważa, że poślubiając córkę ludzi okrytych hańbą, zniesławił swoje nazwisko.

- Poślubił córkę jednego z najznakomitszych ludzi we Florencji. Zdaje mi się, że nie musi się tego wstydzić, nawet jako Selongey? Nikt nigdy nie słyszał tu o de Brevailles...

- Bez wątplenia, ale on sądzi inaczej. To wystarczy, aby hańba była dla niego nie do zniesienia.

- Jak się dowiedział?

- Na honor, nie mam pojęcia. Mówi, że go uderzyło podobieństwo. Rodzice Fiory jako rodzeństwo byli do siebie bardzo podobni. Ich córka jest portretem obojga. Pani Leonardo, proszę, nie mówmy więcej o tym osobniku. Chcę o nim jak najszybciej zapomnieć.

- Sądysz, że Fiorze też się to uda? Oddała mu się spontanicznie, co świadczy o tym, że zabrał jej serce. A ona nie należy do dziewcząt, które kochają dwa razy, jestem tego pewna. Będzie cierpiała...

- Nie teraz! Jeszcze nie! Wie, że on musi wyjechać sam, żeby przyłączyć się do swego księcia w drodze do Neuss. Będzie na niego czekać. Dopiero, kiedy dowie się o jego śmierci będzie cierpiała. Mam tylko nadzieję, że oczekiwanie nie będzie zbyt długie: ból będzie może gwałtowny, ale za to krótszy...

- To może potrwać. Rycesz nie ma prawa popełnić samobójstwa, bo może w ten sposób utracić duszę i w jakimś stopniu honor. Musi zginąć broniąc się przed silniejszym. Jeśli wierzyć opowieściom jego stajennego, niełatwo będzie mu spotkać takiego przeciwnika... Zawarłeś dziwny układ, panie Francesco! Bóg, gdyby zechciał, mógłby go łatwo zburzyć...

- Zobaczymy. Na razie cieszymy się, że nikt nam nie zabierze naszej Fiory. Będziemy mogli nadal ją kochać i opiekować się nią.

- Czy nie będzie nigdy nosić nazwiska męża?

- Oczywiście, że będzie. Ogłosimy małżeństwo, gdy na to pozwoli koniunktura polityczna, bez obawy urażenia Medyceuszy.

- Ogłoszenie mariażu jednocześnie ze śmiercią małżonka byłoby jeszcze lepsze, nieprawdaż? - spytała Leonarda z goryczą, której nie mogła powstrzymać.

Zrozumiała, że gdyby Filip nie wymagał nocy poślubnej, ta niewiarygodna transakcja całkiem podobałaby się Franciscowi. Odkryła, że nawet najlepszy z ludzi uległ nieubłaganemu egoizmowi. Francesco musiał cierpieć piekielne męki w czasie tej nocy, oddającej Fiorę żądzom innego męż-

czynny. Teraz myślał tylko o szczęśliwym zachowaniu córki przy sobie na zawsze...

- No to doskonale! - westchnęła. - Pora jednak, abym weszła na górę, asystować przy jej przebudzeniu. Niewykluczone, że nie uzna tego poranka za tak szczęśliwy, jakim wydaje się tobie, panie...

Leonarda z trudem skrywała gniew. Iloma łzami jej dziecko okupi szczęście, które trwało zaledwie trzy dni i jedną noc? Czyżby Beltrami nie rozumiał, że przekroczywszy próg miłości fizycznej, nigdy już nie będzie taka sama? A jeśli poczęte zostało dziecko?

- Nie sądzę, by było to pożądane - odpowiedziała sobie w duchu. - Gdyby Fiora została matką, nie mogłaby nigdy zapomnieć swego kilkugodzinnego męża, a zapomnienie jest najlepszą rzeczą, jakiej można jej życzyć.

Nie wierzyła w to jednak. Powoli, wciąż z taką samą ostrożnością, weszła do sypialni, w której młoda kobieta nadal spała, i przysunęła krzesło do łóżka, aby poczekać na jej przebudzenie. Nie chciała, by Fiora otworzywszy oczy zobaczyła pusty pokój. Istotnie, budząc się dziewczyna zauważyła znajomą twarz Leonardy. Posłała jej promienny uśmiech: f - Byłaś tu? Czyżby było już tak późno?

- Prawie południe. Dobrze spałaś, pani?

Fiora szukała kogoś w tym łóżku, które nagle stało się tak duże, lecz zachowało jeszcze wgniecenie pozostawione przez drugie ciało.

- Filip! Gdzie on jest?

Leonarda wstała z krzesła i usiadła przy młodej kobiecie.

- Wyjechał - powiedziała najłagodniej jak umiała, nagle przerażona wyrazem oczu Fiory, jeszcze przed chwilą zamglonych, raptem przytomniejących i rozszerzonych.

- Wyjechał? Wyjechał, żeby...

- Żeby dołączyć do jego wysokości księcia Burgundii. Opuścił ten dom...

- A ty pozwoliłaś mi spać, pani?

Nigdy jeszcze Fiora nie spoglądała na starą przyjaciółkę oczami płonącymi gniewem.

- Nie chciał, żeby cię budzić, pani. Obawiał się, jak sędzę, tak zawsze trudnej chwili rozstania. Obciął tylko kosmyk twych włosów i zabrał ze sobą...

- Naprawdę musiał odjechać tak wcześnie? Nie mógł poczekać chociaż kilka godzin? Byliśmy tak bardzo ze sobą szczęśliwi!... Ale może nie jest daleko...

Fiora wyskoczyła z pozostającego w nieładzie łóżka i nie myśląc nawet o narzuceniu czegoś na siebie, podbiegła do okna i otworzyła je na oścież. Niebo było szare, a wiatr siekł od rana drobną mżawką, ale Fiora się tym nie przejęła.

- Filipie! - zawołała na cały głos. - Filipie! Wróć! Beltrami, który spacerował w ogrodzie, aby do końca pozbyć się oparów minionej nocy, usłyszał jej krzyki. Podniósł głowę i osłupiał: zobaczył nagą kobietę, o włosach w nieładzie, rozpaczliwie nawołującą na deszczu i wietrze. Ona nie była, nie mogła być jego córką! Ciepły i łagodny głos Fiory nie przypominał tego ochryplego ryku lwicy wzywającej samca...

Krzyki nie ustawały, bezwstydnym i wstrząsającym obrazem nie zniknął. Na oślepię, zasłoniwszy uszy dłońmi, by niczego nie słyszeć, nieszczęśnik rzucił się do ucieczki prosto przed siebie. Biegł przez kępy bezlistnych krzewów aż do niepewnego, lecz cichego schronienia w postaci małej, skalnej groty, w której zagłębieniu znajdowała się fontanna w kształcie głowy lwa. Tam, wyciągnąwszy się na wilgotnej ziemi, Francesco Beltrami opłakiwał swe stracone złudzenia.

Cudzoziemiec poprosił tylko o jedną noc, ale ta jedna noc wystarczyła mu, by zrobić z Fiory inną kobietę, jego własną. Niedysiejsze dziecko nigdy nie powróci...

TLR



ROZDZIAŁ PIĄTY

HIERONIMA

- Zmieniłaś się, Fioro... Obserwuję cię już od dłuższego czasu. Za każdym razem, gdy cię widzę, wydaje mi się to bardziej oczywiste. Dzisiaj musiałam ci o tym powiedzieć.

Fiora uśmiechnęła się do przyjaciółki. Na miłej twarzy Chiary malowało się nietypowe dla niej zatroskanie, co nadawało jej wyraz powagi.

- W czym się tak bardzo zmieniłam?

- Śmiejesz się mniej niż kiedyś. Dobrze widzę, że gdy jesteśmy razem, czasem wyglądasz tak, jakbyś myślała o czym innym. Nie odpowiadasz na pytania, które ci zadaję, albo odpowiadasz bez sensu. Ale jest coś poważniejszego...

- Poważniejszego? Co takiego, na Boga?

- Przedwczoraj, kiedy byliśmy w pobliżu Baptysterium, aby posłuchać starej śpiewogry, przechodził tamtędy Giu-liano Medyceusz z przyjaciółmi i podszedł, żeby się z nami przywitać. Zazwyczaj, gdy go widziałam, czerwieniłam się jak piwonia. Tym razem ledwie raczyłam na niego spojrzeć; sądzę, że poczuł się obrażony.

- Przejdzie mu. Po co mu zainteresowanie i uwielbienie wszystkich kobiet, skoro swymi uczuciami darzy wyłącznie Simonette? To jest próżność i nic poza tym!

- Czyżbyś go już nie kochała?

- Czy go Kocham? Sądzę, że... dosyć mi się podobał. Ale teraz już mi się nie podoba... w każdym razie już nie tak bardzo.

Zostawiając zadziwioną przyjaciółkę, Fiora podeszła do murku z grubo ciosanych kamieni, skąd rozciągała się panorama Florencji. Dwie przyjaciółki w towarzystwie swych guwernantek i Khatoun wyjechały, jak to miały w zwyczaju z nadejściem wiosny, na konną przejażdżkę do San Miniato, aby nazrywać fiołków i głogu, których zatrzesienie rosło wokół kościoła San Miniato al Monte i pałacu Biskupów. W tym poświęconym miejscu kwiaty wydawały się piękniejsze niż gdziekolwiek indziej, a całe miasto, widziane z oddali, robiło wrażenie jaśniejszego gigantycznego kwiatu. W jaskrawym wiosennym słońcu Florencja zdawała się gromadzić piękno, tak jak skąpiec gromadzi złoto: nieważne jak, byle dużo...

Fiora chciałyby odbyć ten tradycyjny spacer z Filipem, podziwiać wraz z nim widoczne za jasną wstążką Arno -pociętą mostami, niemal bliskimi zawalenia pod ciężarem zgromadzonych na nich sklepików - bezładne plamy różowych dachówek na tle brunatnożółtych, jasnoszarych lub mleczno-białych murów. Był to jakby różnobarwny kobierzec, z którego wylaniały się jak klejnoty: koralowa bulla, umieszczona na lśniącej markieterii Duomo, srebrna lilia, nigdy nie rozwijająca się do końca nad pałacem Seniorii, wieże z karneolu, o blankach przypominających motyle, oraz kampanile, podobne w wesołości swych wielobarwnych marmurów do wielkanocnych

świec. Tu i tam przebijała świeża zieleń ogrodów, w których rozchylały się już glicynie i lilie, drzewa laurowe i kamelie. Nigdzie na świecie wiosna nie była piękniejsza niż we Florencji... Słodko byłoby podziwiać ją z dłonią w dużej i silnej dłoni męża, a później, u schyłku dnia, wrócić z nim do domu w blasku zachodzącego słońca, podobnego do tego w Fiesole i stanowiącego preludium do nocy miłosnej. Filip jednak był daleko, setki mil od jej ramion, a Fiora nie potrafiła nawet powiedzieć, gdzie on przebywa.

Minęły już dwa miesiące, odkąd opuścił willę Beltramiego, dwa miesiące, które mogłyby być równie dobrze dwoma wiekami, gdyż nigdy czas tak się Fiorze nie dłużył. Po dniach, które spędziła w swoim pokoju widując tylko przynoszącą posiłki Khatoun, nie pozwalając nawet, by zmieniono prześcieradła w łożu, w którym kochała się z Filipem, opamiętała się wreszcie. Leonarda powiedziała jej, że ojciec zamierzał wyjechać do Wenecji. Nie mogła pozwolić mu odjechać nie ucałowawszy go.

Kiedy weszła do jego pokoju i zobaczyła zwracającą się w jej stronę bladą twarz o smutnych oczach, jakiej nigdy u niego nie widziała, poczuła wstyd za siebie samą i swoje egoistyczne odosobnienie. Czy musiała go karać, bo jej własne szczęście odeszło? Kierując się więc odruchem dziecięcej czułości, padła mu w ramiona. Trwali w uścisku przez długą chwilę, płacząc każde z innego powodu, lecz w płaczu tym zjednoczeni...

- A więc aż tak go kochasz? - spytał Francesco słabym, bezbarwnym głosem. - Miłujesz do tego stopnia, że... już nie kochasz mnie?

- Nie kocham ciebie? Och, ojczy, mam nadzieję, że nigdy tak nie sądziłeś? Nikt nigdy nie zajmie w moim sercu miejsca należącego do ciebie. On

to co innego... jest moim mężem. To nie to samo. Proszę cię, wybacz mi te trzy dni, ale nie chciałam, byś mnie zobaczył płaczącą...

- Ależ ty płaczesz w tej chwili, Fiore... i ja także. Nie sądzisz, że smutek jest łatwiej znieść, gdy można go z kimś podzielić?

- Dlatego właśnie wyjeżdżasz? Żeby go dzielić? Może chcesz mnie ukarać?

- Nie. Dlatego, że Lorenzo Medyceusz, odkrywszy moją przyjaźń z Bernardem Bembo, prosił mnie, żebym do niego pojechał na kilka dni. Nie prosz mnie, żebym ci powiedział po co.

Nie byłby zdolny tego uczynić. W rzeczywistości podróż ta była jedynie pretekstem, aby na jakiś czas oddalić się od Fiory. Próbował stać się znowu sobą z dala od jej przenikliwego wzroku. Pragnął nabrać pewnego dystansu i przyzwycząić się do tej nowej Fiory, którą ujrział w deszczu owego bolesnego poranka: rozplomienionej i namiętnej, oddanej ciałem i duszą innemu...

Fiora zaś przyjęła ze skrywanym zadowoleniem to krótkie rozstanie. Odgadła, że jej małżeństwo nie było miłe ojcu. Nie sprawiłoby mu przyjemności słuchanie przez cały dzień, jak córka wychwala swego idealnego męża.

Beltrami wyjechał więc, a Fiora powróciła, jak tego pragnął, do pałacu na brzegu Arno. Całym sercem opiewała swą miłość do Filipa na użytek Leonardy i Khatoun. Później uspokoiła się. Po smutku spowodowanym rozstaniem i po okresie radosnego ożywienia Fiora oczekiwała na powrót męża, oby jak najszybszy, lub przynajmniej na wiadomość. Przebywała długie godziny w ogrodzie. Słuchając nucącej dla niej Khatoun, wpatrywała

się w szeroką, złotą obrączkę z wygrawerowanym herbem Selongeyów, którą Filip wsunął jej na palec w chwili ślubu. Była za luźna, a ponieważ Fiora nie mogła oddać jej złotnikowi do zmniejszenia ani nosić publicznie, nawlokła ją na złoty łańcuszek, cienki i długi, pozwalający ukryć wisior pod suknią. Obrączka spoczywała między jej piersiami; jeśli nie mogła jej wyjąć, lubiła przyciskać do niej dłoń, aby wyczuć obecność pamiątki.

Kiedy Francesco powrócił z podróży, podsunęła mu do pocałunku pogodne czoło i życie w domu Beltramego potoczyło się jak w przeszłości. Tylko Leonarda westchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że upłynął ponad miesiąc, a młoda żona nie objawiała żadnych oznak przyszłego macierzyństwa...

Chiara uszanowała przez chwilę zamyślenie przyjaciółki. Ona sama też zresztą chciała zebrać myśli. Wykorzystała czas, by powiększyć trzymany w dłoniach spory bukiet fiołków. Uznawszy, że cisza trwa wystarczająco długo, rzuciła okiem na Leonardę i Co-lombę, które siedziały pod piną zatopione w rozmowie, mając dłonie zajęte haftem. Wsunęła ramię pod rękę przyjaciółki:

- Cóż się tak rozmarzyłaś? - spytała wesoło. - Przyglądasz się naszemu miasteczku, jakbyś je widziała po raz ostatni.

- Powinnaś powiedzieć: jakbyś je widziała po raz pierwszy. Często przyjeżdżałyśmy tu o tej porze, ale w tym roku Florencja ma szczególny urok. Nawet mury i wieże zdają się przyczyniać ogólnego piękna. Chciałabym...

- Być tu z kimś innym niż stara przyjaciółka! Tak właśnie myślałam: nie jesteś już zakochana w Giulianie, ale w kimś innym... kto jest daleko! Stawiam na pana Filipa de Selongeya!

Nieoczekiwanie wypowiedziane nazwisko, będące teraz jej własnym, wywarło na Fiorze tak silne wrażenie, że drgnęła i mocno poczerwieniała.

- Mów ciszej, proszę cię! Albo lepiej nie mów nic!

- Więc to aż tak poważne? - wyszeptała przyjemnie zaskoczona Chiara.

- Wybacz mi! Myślałam, że to tylko przelotna miłośćka, z tych, co przychodzą i przemijają z wiatrem jak twój pociąg do Giuliana. Wiesz chociaż, czy jeszcze kiedyś go zobaczysz?

- Sądzę, że tak - rzekła Fiora, uśmiechając się raczej do swoich myśli niż do przyjaciółki. - Porozmawiajmy o czymś innym! Zresztą, czy już nie pora wracać? Zerwanych kwiatów starczyłoby dla dwóch lub trzech kościołów!

Miały bowiem zwyczaj ofiarowywać co roku zebrane kwiaty kościołowi Santa Maria del Fiore, dołączając do pachnącej ofiary hojną jałmużnę dla biednych dzieci, którymi opiekowali się księża z katedry. Zamierzały więc przyłączyć się do Colomby i Leonardy, również szykujących się do powrotu, kiedy nagle Fiora zatrzymała przyjaciółkę.

- Poczekaj! - powiedziała zduszonym głosem...

- Co się stało? Źle się czujesz?

- Nie... nie, ale czuję coś dziwnego... Przed chwilą powiedziałaś, że patrzyłam na miasto jakbym je widziała po raz ostatni...

- Rzeczywiście... ale to był żart. Powiedziałam tak, bo patrzyłaś tak zachłannie... jakbyś chciała pochłonąć widok wzrokiem. A ty odpowiedziałas...

- Wiem... ale teraz zastanawiam się, czy nie miałaś racji. Coś mi mówi, że... nigdy już tu nie wrócę!

- Co za szaleństwo! Myślisz jeszcze o przepowiedni tego greckiego lekarza?

- Nie. Przysięgam, że nie... nawet o tym nie myślałam... ale miałam przeczucie, że Florencja nagle stanie mi się wroga... odrzuci mnie; mnie, która tak bardzo ją kocham!

- Bo ośmielasz się kochać cudzoziemca, podczas gdy tyłu jej synów wzdycha do ciebie? Odpędź podobne myśli! Za bardzo stroniłaś ostatnio od ludzi. Dobrze zrobiłby ci jakiś wielki bal. Mogłabyś roztoczyć cały twój urok i wielki Medyceusz znowu prosiłby cię do tańca! Spójrz! Oto właśnie to, czego ci potrzeba!

Istotnie: wesoła gromada jadących konno młodych mężczyzn, z Lucą Tornabuonim na czele, pojawiła się na małym placu przed kościołem.

- Byłem pewien, że was tu spotkam - powiedział młodzieniec, zeskakując na ziemię i zdejmując kaptur. - Czy nie o tej porze przyjeżdżacie tu zbierać kwiaty dla Madonny?

- Przyjechaliście nam pomóc? - spytała Chiara ze śmiechem.

- Zabrać to wszystko? Oczywiście. A także towarzyszyć wam aż do Duomo, aby się wspólnie pomodlić!

- Jesteś bardzo pobożny, panie Luco! - powiedziała Leonarda, przyłączywszy się do nich. - Sądziłam, że jesteś wiernym uczniem Platona, a ty mówisz o Madonnie, jakbyś chciał wstąpić do klasztoru.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru, jest czas na Platona i na modlitwy. Zdaje mi się - dodał, spoglądając czule na Fiore - że jeśli uklęknę u Jej stóp w towarzystwie pewnej dziewczyny, chętniej wysłucha mojej modlitwy...

TLR

Spodziewał się, że młoda kobieta wybuchnie śmiechem, ale odwróciła wzrok, zażenowana obrazem, który przedstawił. Pomyślawszy więc, że okazał się zbyt zuchwały, przytrzymał za uzdę konia Fiory i pomógł jej wsiąść.

- Coś mi mówi, że brak mi dzisiaj dobrych pomysłów, Fiore - szepnęła, szukając jej spojrzenia. - Chciałbym bardzo, abyś mi pozwoliła wysłać mego ojca do twojego! Wiem, że uważa cię za zbyt młodą, ale gdybyśmy byli choć zaręczeni... Czekałbym na ciebie tak długo, ile byś chciała! Nadzieja dodaje wytrwałości!

Po raz pierwszy spojrzała na niego z pewną czułością. Ponieważ sama żyła nadzieją, potrafiła zrozumieć, co czuł, ale nie miała prawa pozostawić mu najmniejszych złudzeń.

- Nie mów już o tym, Luco! Niepotrzebnie tracisz czas i serce dla mnie. Nie chcę opuszczać ojca i...

- ... i nie kochasz mnie! Widzisz, dokończyłem za ciebie. Nie ośmieliłaś się tego powiedzieć. Nawet jeśli nie kochasz mnie teraz, może kiedyś pokochasz. Sama powiedziałaś, że jesteś jeszcze bardzo młoda... Nie! już nic nie mów! Jest wiosna i świeci słońce. Pozwól mi jeszcze zachować marzenia!

Dosiadł konia i mała kawalkada, obładowana pachnącymi bukietami i gałęziami, ruszyła w stronę miasta przy dźwiękach śpiewanej przez jednego z chłopców romancy, sławiącej wiosnę. Wszyscy odśpiewali refren chórem, było dużo śmiechu, ale Fiorze nie udało się dostosować do ich nastroju. Podczas jazdy wzmagął się smutek, który ją ogarnął w San Miniato. Dołączyło do niego uczucie nieokreślonej obawy. Przesądna, jak każda praw-

dziwa fiorentynka, pomyślała, że Filip jest na wojnie, a więc w ciągłym zagrożeniu, może właśnie w tej chwili jest narażony na szczególne niebezpieczeństwo i miłość pozwala jej to przeczuwać... Wkrótce otaczająca ją wesołość stała się dla niej nie do zniesienia. Kiedy przekroczyli Ponto Vecchio, z zamkniętymi o tej porze sklepikami rzeźników, pod pretekstem nagłej słabości i nie pozwalając się odprowadzić Chiarze (czy choć jedna z nich nie powinna zawieźć kwiatów?) Fiora ruszyła z Leonardą i Khatoun do domu. Spieszno jej było do powrotu, choć nie umiała powiedzieć, jaki był powód tej niecierpliwości. Ledwo odpowiedziała na wesołe pozdrowienia Gian - Battisty di Rinalda, rzecznego przewoźnika, którego Beltrami uratował przed ruiną; Fiora była chrzestną matką jednego z dzieci tego poczciwca.

- Nie należy jej mieć tego za złe - krzyknęła Leonarda, pragnąca zatrzeć to, co ten dobry człowiek mógł uznać za zniewagę. - Donna Fiora jest cierpiąca i odprowadzam ją do domu!

- Niech Bóg ją błogosławi i wróci jej zdrowie. Będziemy w domu modlić się za nią dziś wieczorem!

- Kilka pacierzy na pewno ci nie zaszkodzi - wymamrotała Leonarda, nie spuszczać z Fiory niespokojnego spojrzenia. - Co ci się stało, moje dziecko? Rzeczywiście jesteś chora? To prawda, żeś bardzo blada...

- Tak... nie... nie wiem. Muszę wracać do domu. Chciałabym zobaczyć się z ojcem!

- Niepokoisz się, bo powiedział dziś rano, że czuje się trochę zmęczony? Myślę, że przesadzasz...

Fiora nie odpowiedziała. Co to by dało? Jeśli powiedziałaaby, że miała przeczucie, iż jakieś nieszczęście czeka na nią w pałacu, rozsądna Leonarda usiłowałaby jej to wyperswadować. Zresztą, były już na miejscu...

- Zdaje się, że twój ojciec ma gości! - zauważyła Leonarda, wskazując na muła w wykwintnej uprzęży i dwa inne, skromniej przybrane, które spokojnie czekały przywiązane do słupka. - Na Boga! Zdaje mi się, że to ekwipaż twojej kuzynki Hieronimy. Co ona tu robi? Jej wizyty nigdy nie przynoszą niczego dobrego - dodała guwernantka, pamiętająca groźby rzucone u aptekarza Landucciego.

- Istotnie - odrzekła Fiora - ale zaraz wszystkiego się dowiemy.

W podcieniach pałacu Fiora rzuciła cugle służącemu i szybko przeszła przez wewnętrzny dziedziniec, gdzie czekała dama do towarzystwa Hieronimy i jej służący. Wbiegła na schody i prawie wpadła na starego Rinalda, który był służącym Francesca Beltramiego, a przedtem jego ojca.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytała.

- W Sali Organowej, donno Fioro, ale nie jest sam.

- Wiem, kto z nim jest. Dziękuję, Rinaldo! - powiedziała lekko zaskoczona, gdyż sala ta, podobnie jak studio, była jednym z ulubionych przez kupca miejsc odosobnienia. Jako dziecko nauczył się grać na organach i od czasu do czasu muzykował samotnie w tym dużym pomieszczeniu, o ścianach pokrytych freskami i posadzce bez dywanów, co dawało wnętrzu rezonans kaplicy. To, że przyjął tam niezbyt lubianą kuzynkę było niezwykle. Jej nieoczekiwana wizyta zapewne go zaskoczyła.

Kiedy Fiora zbliżyła się do drzwi, usłyszała podniesione głosy i zwolniła kroku. Jeśli Beltrami kłóci się z Hieronima, może nie będzie zadowolony

z przybycia córki. Tak więc delikatnie, bardzo cicho uchyliła drzwi i dobiegł ją drżący z gniewu głos ojca:

- Nigdy, słyszysz, nigdy nie oddam córki twojemu synowi! Z całego serca żal mi tego nieszczęśliwego chłopca, który nie ponosi winy za swój wygląd. Ale nie można żądać od młodej i pięknej kobiety, aby wiązała się z kimś takim jak on.

- Bo jest kulawy i zniekształcony? On nie jest bękartem!

- Nigdy nikomu nie przyszło do głowy, by wyrzucać Fiorze jej nieprawe pochodzenie, a myślę, że wszyscy o nim wiedzą!

- Istotnie... ale nie wszyscy wiedzą wszystko...

Zapanowała cisza i Fiorze wydało się, że słyszy głośniejszy nagle oddech ojca. Miała ochotę wejść, lecz była do tego niezdolna, powstrzymywała ją jakaś siła potężniejsza od jej woli. Bez wątpienia była to ciekawość, a dołączył się do niej rodzaj przerażenia... W końcu Beltrami westchnął i z lekką impertynencją człowieka, któremu się ktoś naprzykrza, powiedział:

- Co znaczy „wszystko”?

- Czy naprawdę muszę to wyjaśniać? Zbladłeś, Francesco, zgadłeś, o czym chcę mówić! Nie wierzysz mi? Wzruszasz ramionami? Jak sobie życzysz: powiem jasno. Twoja droga Fiora, którą wychowujesz jak księżniczkę, nie jest twoją córką. Nigdy nie miałeś przygody z żadną damą spoza naszego kraju. To owoc kazirodczej i cudzołożnej miłości, córka ludzi skazanych na śmierć przez sąd w Burgundii z powodu ich zbrodni, a ty wyciągnąłeś ją z błota...

Gdyby dom zwał się jej na głowę, nie zrobiłoby to na Fiorze silniejszego wrażenia. Przytrzymała się najpierw ściany, a później oparcia pobliskiego krzesła, by nie upaść.

Jeszcze miała w uszach syczenie pełnego nienawiści głosu Hieronimy. Głos Beltramiego pozostał jednak chłodny:

- Naturalnie, masz dowody na to, co sugerujesz?

- Mam coś lepszego: świadka... naocznego. Kogoś, kto jest gotów powiedzieć wszystko, aby mi się przypodobać.

Beltrami zrozumiał. Jego bystry umysł skojarzył już fakty. Hieronima przebywała na ogół w Montughi, w majątku swego teścia. A Marino, którego obdarzył całkowitym zaufaniem, zarządzał położoną w pobliżu posiadłością ziemską. Marino nigdy nie pogodził się z adopcją dziewczyny; Francesco chciał mu związać język przysięgą przed ołtarzem i mnóstwem dobrodziejstw. Jednocześnie dotarły pewne pogłoski, bardzo dyskretne, prawdę mówiąc, które Beltrami odrzucił z lekceważeniem, na temat prowadzenia się tej pulchnej wdowy, szukającej pocieszenia po śmierci męża. Była jeszcze piękna i mogła oczarować mężczyznę takiego jak dawny przewodnik poganiaczy mułów...

Hieronima wzięła jego milczenie za przygnębienie i powiedziała z ironią:

- Widzę, że zrozumiałeś, piękny kuzynie. Widzisz teraz, że jestem bardzo wspaniałomyślna, proponując małżeństwo mojego syna z bękartem, który dzięki temu będzie mógł korzystać z twego majątku aż do końca swych dni. Ma szczęście, że mój Piętro zakochał się w niej i chce ją za żonę. A ja nie dopuszczę, żeby mój syn był nieszczęśliwy. Zapomni o swej

ułamności w ramionach twojej ładniutkiej czarownicy, która nie będzie miała nic innego do roboty niż dawać mu piękne dzieci...

- A jeśli odmówię?

- Nie odmówisz. Wiesz dobrze, że mogłabym choćby jutro oskarżyć cię o kłamstwo i obrazę prawa przez uczynienie florentynką tego ludzkiego śmiecia, który powinien był zostać zniszczony w chwili narodzin.

Francesco, niezdolny dłużej panować nad sobą, dał się ponieść gniewowi.

- I przedstawiś swego świadka? Zapominasz tylko o jednej rzeczy, Hieronimo. Krążą różne pogłoski na twój temat. Mówi się, że nie szanujesz swego wdowieństwa i domu teścia. Jeśli Marino Betti przyzna, że jest twoim kochankiem, dowiesz się, co znaczy osobista sprawiedliwość starego Jacopa. On nie lubi żartów, gdy w grę wchodzi honor.

- Ale byłby może szczęśliwy, gdyby w ręce Pazzich dostał się majątek tak znaczny jak twój. Już nie jest tak bogaty jak niegdyś i źle to znosi. Sądzę, że nawet pomógłby mi ze wszystkich sił... ale oczywiście nie byłoby już mowy o ślubie. Nie zgodziłby się na to. Po wyroku na ciebie, konfiskacie twego majątku, który przypadłby mnie jako twojej naturalnej spadkobierczyni, Fiora zostałaby wydana Piętrowi, aby go zabawić... Później pozbylibyśmy się dziewczyny zamykając ją w jakimś burdelu. Jak widzisz, w twoim interesie jest zaakceptowanie mojej propozycji. Obiecuję ci, utworzymy rodzinę szczęśliwą... i bez przeszłości!

- Wynoś się! Zejdź mi z oczu!

- Doprawdy, nie jesteś rozsądny. Myślę, że mając noc do namysłu zrozumiesz, co jest dla ciebie korzystne. Jutro o tej samej porze przyjdę po odpowiedź. Życzę ci dobrej nocy.

Dreszcz przerażenia ożywił Fiorę i przywrócił jej siły. Zrozumiawszy, że Hieronima zamierza wyjść, i nie chcąc, by zaskoczyła ją na podsłuchiwaniu pod drzwiami, schowała się za kotarę, starając się uspokoić oszalałe bicie serca. Zimny pot zraszał jej czoło i plecy, jakby otworzyła się przed nią przerażająca, piekielna czeluść. Rozsuwając nieco ciężką materię zobaczyła jak Hieronima niespiesznie wychodzi z Sali Organowej. Pewna zwycięstwa, pyszniła się jak paw, taksowała wzrokiem meble i cenne przedmioty z pożądlivością połączoną z tupetem, tak jakby już była ich właścicielką.

Po raz pierwszy w swym krótkim życiu Fiora poczuła chęć, by zabić, unicestwić tę wstrętną kobietę, której groźby u Landucciego teraz stały się dla niej jasne. Wyszedłszy bezszelestnie ze swojej kryjówki chwyciła ciężki brązowy świecznik i powoli podeszła do Hieronimy. Kuzynka stała, podziwiając złote przedmioty leżące na jednym z kredensów, ale - jakby przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo - nie odwracając się, wyszła raptem z sali, a w tej samej chwili nadszedł Beltrami.

Zobaczył uzbrojoną w świecznik Fiorę, gotową do rzucenia się w pościg za Hieronimę, i pojął, co jego córka chce zrobić. Krzyknął:

- Nie, Fioro! Nie rób tego!

- Ona albo my, ojczy! Nie powstrzymuj mnie! Podbiegł do niej, wyrwał jej świecznik i odstawił na jedną ze skrzyń. Zrozpaczona Fiora zauważyła, że postarzał się o dziesięć lat i miał łzy w oczach. Rzuciła mu

się na szyję i przytuliwszy się do niego, mocno zapłakała nad wszystkim, co zniszczyła, zbrukała wstrętna Hieronima. Tak połączonych uściskiem zastała ich Leonarda, szukająca Fiory.

- Co się stało? - spytała. - Właśnie minęłam Hieronimę, która wyzwała mnie od starych flader i rozkazała mi pakować manatki.

- Jesteśmy u progu katastrofy, moja biedna Leonardo - powiedział Belframi. - Ta kobieta jest kochanką Marina. Zdradził jej naszą tajemnicę i jest gotów świadczyć przeciwko mnie... Chyba że bym wydał Fiorę za syna Hieronimy!

- Ależ zdaje mi się, że Fiora już jest mężatką? Trzeba było o tym powiedzieć.

- To była ostatnia rzecz, jaką należało zrobić. Mam jeszcze słabą nadzieję, że nas uratuję opowiadając o wszystkim panu Lorenzowi, który obdarza mnie szacunkiem i przyjaźnią, a Pazzich nienawidzi. Oczywiście, małżeństwo rozwścieczyłoby go, ale nie wspomnę o nim...

Fiora odsunęła się od ojca i spojrzała na niego pełnymi strachu oczami:

- Ojczy!... Czy to prawda, że nie jestem twoją córką? Czy to prawda, że urodziłam się...

- A więc słyszałaś?

- Wszystko! Byłam tam, przy uchylonych drzwiach. Och, ojczy! To było straszne, a teraz czuję się jeszcze gorzej! Byłam taka szczęśliwa, że jestem twoją córką! Teraz jestem niczym... mniej niż niczym! Najędźniejszy żebrak ma prawo mną gardzić, bo...

- Zamilcz, Fioro! Na miłość boską, zamilcz! Dopóki nie będziesz wiedziała wszystkiego, nie możesz wydawać wyroków. Jeśli o mnie chodzi,

jesteś moją córką, bo cię chciałem, uznałem oficjalnie... bo cię Kocham! Chodź ze mną, chodź! Wejdźmy do studiola! Chcę ci powiedzieć całą prawdę przed portretem twojej matki. To smutna i bolesna historia, którą Leonarda dobrze zna, ale teraz i ty musisz ją poznać. Chodź, moje dziecko!

Otoczywszy Fiorę ramieniem, Francesco łagodnie poprowadził ją przez galerię do zacisznego, przytulnego gabine-ciku, nad którym panował uśmiech Marii de Brevailles. Leonarda poszła z nimi odesławszy Khatoun, która czekała pod drzwiami z niepokojem wypisanym na ładnej buzi, bo Fiora miała łzy w oczach:

- Poczekaj na nią w sypialni! Ja też zaraz tam przyjdę.

- Wolalbym, żebyś została z nami, Leonardo - rzekł Beltrami. - Co dwie głowy, to nie jedna.

Weszli więc razem do studiola. Francesco zdjął płachtę czarnego aksamitu zasłaniającą portret Marii, później usiadł za stołem, wskazując jedno z krzeseł Leonardzie. Fiora wołała przycupnąć na poduszce u stóp ojca.

- Odwagi, moje dziecko, gdyż opowiem ci straszną, choć zarazem piękną i wzruszającą historię. Hieronima, w swej nienawiści, zapamiętała tylko jej aspekty najokropniejsze... Czy przypominasz sobie ten hennin z koronki, który ci ongiś pokazałem i który Sandro Botticelli przedstawił na obrazie? Zauważyłaś plamy krwi, a ja nie chciałem odpowiedzieć na twoje pytania.

- Powiedziałeś, że odpowiesz na nie później, kiedy stanę się kobietą. Teraz nią jestem.

- Jeszcze się do tego nie przyzwyczałem - powiedział Francesco, gładząc jedwabiste włosy córki. - Tamtego dnia okłamałem cię. Nie miałem zamiaru powiedzieć ci prawdy, ponieważ chciałem, aby znikła ona wraz ze

mną i Leonardą. My dwoje dobrze jej strześliśmy. Zdradził ją człowiek, w którego wierność wierzyłem...

- Ludzie z Montughi i okolicy mówią, że ta Hieronima ma ogień w zardku - burknęła Leonarda. – Rozmawialiśmy o tym z Żanetą, ale jej mąż uciszał nas ze strachu przed teściem Hieronimy. Może zresztą byłoby dobrze poinformować go o prowadzeniu się jego synowej?

- Zagroziłem tym mojej kuzynce, ale nie przestraszyła się. Dobrze wie, że ten stary łobuz nie zawahałby się, musząc wybierać między jej złym prowadzeniem a perspektywą położenia ręki na moim majątku... Zadowoliby się późniejszym ukaraniem grzesznicy. Powinna o tym jednak pomyśleć. Ale dla nas już byłoby za późno.

- Ojczy - poprosiła Fiora - zostawmy na razie tę kobietę! Przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby opowiedzieć mi historię mojej matki, a wiem tylko, że zginęła tragicznie. Czy powiesz mi jak?

- Na szafocie. Została ścięta jednocześnie z twoim prawdziwym ojcem. Nazywali się Jan i Maria de Brevailles...

- Już słyszałam to nazwisko...

- Proszę cie, Fioro, nie przerywaj mi. I tak ciężko mi wracać do tych chwil, gdy wszystko się dla mnie zmieniło.

Okazując skruchę, Fiora złożyła pocałunek na dłoni ojca i trzymała ją w uścisku, podczas gdy on, patrząc na portret, zaczął swą opowieść.

- W czasie bezsennych nocy często przeżywałem szczegóły tego szarego i zimnego, grudniowego dnia, kiedy przybyłem do Dijon, stolicy burgundzkich książąt. To piękne miasto, które dobrze znałem i w którym lubiłem się zatrzymywać na odpoczynek...

Powoli głos opowiadającego, początkowo nieco zduszony, wzmocnił się i odzyskał barwę. Będąc poetą, jak wszyscy niemal florentczycy, Francesco miał dar opowiadania i zmysł ewokacji. Przed oczami słuchających go kobiet nakreślił zadziwiająco pewną kreską obraz placu wypełnionego milczącym tłumem, zaszuchanego w dźwięki żałobnego dzwonu. Drżącym z bólu głosem ukazał parę pięknych, młodych skazańców, tak promiennych w nędznym wózku kata, że zdawali się jechać triumfalnym rydwanem, sylwetkę przygnębionego, starego księdza, ponurą postać zamaskowanego kata, wzruszenie widzów i wzburzenie jego własnej duszy wobec śmierci tej uroczej młodej kobiety. Mówił o Régnaulcie du Hamelu, a wymawiając jego nazwisko poczuł w ustach gorzki smak jego nienawiści i bezlitosnego okrucieństwa. Powtórzył opowiadanie Antoniego Charrueta głosem drżącym ze wzruszenia, gdy przywoływał obraz cierniowej drogi przebytej przez Marię w domu męża i rozpaczliwych wysiłków jej matki, aby uzyskać ułaskawienie, którego dwa razy bezlitośnie jej odmówiono. W końcu powiedział, jak uratował od śmierci niemowlę, postanowił uznać dziecko za własne i jak Leonarda samorzutnie ofiarowała się zaopiekować pozbawioną matki dziewczynką.

Kiedy skończył, Leonarda płakała, lecz oczy Fiory błyszczały gniewem i oburzeniem.

- Wszyscy ci ludzie bardziej zasługiwali na śmierć niż... moi biedni rodzice! Przede wszystkim ten nędznik du Hamel i ten ojciec, który nie chciał bronić swych dzieci. I na koniec księżę Filip i hrabia de Charoláis, którzy nie chcieli się ulitować, żądając publicznej egzekucji, upodlającego grobu, tej hańby!

- Książę Filip nie żyje, Fioro. Co do hrabiego de Charoláis, jest on teraz księciem Karolem, tym Zuchwałym, któremu pan de Selongey ślubował bezwzględną wierność...

Wspomnienie nazwiska męża przywołało Fiorę do rzeczywistości.

- Filip!... wspominał o Janie de Breevailles! Znał go dawno temu. gdy był paziem hrabiego de Charolais. Zauważył moje podobieństwo do ojca... Czy... czy on też wiedział?

- Tak... I właśnie dlatego, że on wszystkim wiedział zgodziłem się na wasz ślub.

Fiora wstała tak gwałtownie, że potraçała stół, z którego spadło kilka kartek.

- Nie mów mi tylko, że użył tego samego sposobu co ta okropna Hieronima: niegodziwego szantażu?

Beltrami poszukał wzrokiem wsparcia u Leonardy. Czy po tym wszystkim, co opowiedział Fiorze, mógł wymierzyć jej jeszcze jeden cios? Była zbyt młoda, by go znieść... Ale Leonarda, otarłszy oczy, również się podniosła i stanęła za młodą kobietą, jakby obawiając się, że zemdleje ona w wyniku wstrząsu.

- Trzeba jej powiedzieć całą prawdę, panie Francesco. Jest silna. Są rzeczy, których nie powinna odkrywać sama. To byłoby dla niej jeszcze cięższe.

- Masz rację - westchnął Beltrami. - Powiem jej wszystko: to prawda Fioro, pan de Selongey użył tego właśnie sposobu. Pragnął ciebie za wszelką cenę. Powiedział mi, że gotów posłużyć się wszelkimi sposobami, nawet podłymi, by cię zdobyć. Rodzinne podobieństwo zwróciło jego uwagę, ale

co najważniejsze jest krewnym państwa de Brevailles. Zdołał się dowiedzieć, nie wiem jak, co zaszło tamtego nieszczęsnego dnia. Wiedział, że córka Marii żyje we Florencji u jakiegoś bogatego kupca, który uznał ją za własną. Kiedy cię ujrzał, od razu domyślił się, kim jesteś. O młodym koniuszym powiedział ci tylko po to, aby się zorientować, czy ty wiesz...

Fiora zapamiętała z rozmowy jedno: Filip mógłby dla niej posunąć się aż do zbrodni! Nieopisane szczęście rozjaśniło jej twarz.

- Kocha mnie więc aż do tego stopnia! Filipie! Inna może wyrzucałaby ci użycie takiego sposobu, jak ci dziękuję. To mi pozwoliło należeć do ciebie, być twoją żoną, póki śmierć nas nie rozłączy.

Beltrami nie mógł znieść pełnego ekstazy spojrzenia i namiętności dźwięczącej w głosie córki. Zazdrość poniosła go może dalej, niż pragnął.

- Nigdy go już nie zobaczysz, Fioro! Nigdy nie przyjedzie, chociaż się tego spodziewasz, żeby cię zabrać do swego zamku i na dwór swego władcy. Chciał cię tylko mieć na jedną noc, jedną jedyną, by zaspokoić żądze, które w nim budziłaś. Ale ty masz spędzić resztę życia tutaj, u mego boku!

Twarz Fiory straciła cały blask jak słońce gasnące za chmurą. Zachwiała się pod wpływem tego ciosu. Sądząc, że upadnie, Leonarda chciała ją wziąć w ramiona, ale Fiora łagodnie ją odepchnęła.

- Nie wiem jeszcze wszystkiego, nieprawdaż? Notariusz, błogosławieństwo w klasztorze, wszystko to było komedią, mistyfikacją.

- Nie. Jesteś naprawdę hrabiną de Selongey. Nic nie może zmienić tego stanu rzeczy... poza śmiercią! Twój mąż nie powróci, bo szuka jej, służąc w wojsku księcia Burgundii.

- Chce umrzeć? Ale dlaczego?

Tym razem Beltrami zawahał się. To, co miał jeszcze do powiedzenia, było zbyt okropne... ale Fiore przeszywała go surowym spojrzeniem. Powtórzyła, krzycząc niemal:

- Chcę wiedzieć, dlaczego!

Nie mogąc dłużej znieść tego straszliwego wzroku, Beltrami odwrócił głowę w stronę portretu, jakby go prosił o pomoc.

Jak we śnie dobiegł go czysty głos Leonardy:

- Musisz jej powiedzieć wszystko, panie Francesco! Trzeba przeciąć wrzód. Rana zagoi się szybciej.

Nie patrząc na Fiore Beltrami wyznał prawdę:

- Chcę wymierzyć sobie karę za to, że zbrukał swoje nazwisko poślubiając córkę Marii i Jana de Brevailles...

- Dlaczego więc to zrobił? Zakochałam się w nim do szaleństwa. Sądzę, niech mi pan Bóg wybaczy, że mogłoby mnie mieć bez tej komedii!

- Ale bez posagu! A potrzebował go, aby sfinansować wojnę swemu władcy, któremu Lorenzo odmówił pożyczki... Oczywiście odzyskam te pieniądze, kiedy będziesz wdową. Wtedy uzyskasz prawo do noszenia jego nazwiska... ale nie będzie ci wolno pojechać do jego zamku.

- A gdybym miała dziecko?

- Mieliśmy je wychować, aż do wieku, w którym mogłoby wstąpić na służbę. Wtedy mieliśmy je wysłać do Burgundii, aby otrzymało spadek i nauczyło się rycerskiego rzemiosła...

- Pod warunkiem, że byłby to chłopiec! Gdybym urodziła dziewczynkę, co mieliśmy z nią zrobić? Pewnie wrzucić do rzeki?

I Fiora, odwróciwszy się na pięcie, wybiegła ze studiola, aby schronić się w swojej sypialni. Usłyszeli jak trzasnęły za nią drzwi.

- Zostawmy ją - westchnęła Leonarda. - Na pewno będzie płakać aż do wyczerpania. W takim wypadku czułość Khatoun będzie lepszym balsamem niż wszystkie nasze tłumaczenia. Musimy jednak wrócić do donny Hieronimy. Cóż zamierzasz uczynić, panie Francesco?

- Masz rację. Trzeba zapomnieć o przeszłości i myśleć o przyszłości. Obawiam się, że niewiele będziesz spała tej nocy, pani Leonardo. Przygotujesz bagaże Fiory i twoje. Muszą być gotowe do zabrania w każdej chwili. Nie przerywaj mi, pani! Wyjedziesz z Fiorą i Khatoun pod opieką dwóch służących: Jacopa, syna starego Rinalda, i jego kuzyna Tommasa, zapowiadając, że wyjeżdżacie, aby pomodlić się w pustelni w Vallombrosa. Kiedy wyjedziecie za bramę, zboczycie z drogi, aby dotrzeć do Livorno, gdzie dostaniecie się na pokład „Santa Maria del Fiore”. Dam wam list do kapitana. Tam będziecie czekać na wiadomości ode mnie. Weźcie mało rzeczy, tyle ile potrzeba damom wyjeżdżającym na jeden dzień. Prześlę wam resztę...

- Jedziemy z samego rana?

- Nie. Poczekacie na mój powrót aż do południa. Jutro rano udam się do pałacu na via Larga, spotkam się z Lorenzem Medyceuszem i powiem mu o wszystkim, poza małżeństwem Fiory. Jest władcą, i w końcu każdy tutaj jest mu posłuszny. Poza tym lubi opowiadania o miłości. Może go wzruszę...

- W takim razie, po co wysyłasz nas do Livorno?

- Ponieważ nie jestem pewien jego pomocy. To człowiek nieodgadniomy. Raz jest chodzącą dobrocią, to znów wcieleniem najzimniejszego okru-

cieństwa. Jest wielkim politykiem, więc wybiega myślą daleko w przyszłość, i nigdy nie wiadomo, jak przyjmie czyjąś prośbę... lub spowiedź. To często zależy od miejsca, jakie ta sprawa może zająć w układanej przezeń mozaice politycznej. Być może ucieczka nie będzie konieczna, a może będziecie musiały opuścić miasto jak najszybciej. Proszę tylko, żebyście były gotowe.

- Będziemy, nie obawiaj się.

- To dobrze! Przyjdź do mnie po kolacji. Omówimy pewne leżące mi na sercu sprawy. Muszę wziąć pod uwagę to... że już nie zobaczę Fiory. Jest w takiej sytuacji, że łatwo może ściągnąć na siebie klątwę Kościoła.

- Sądziłam, że Kościół mało znaczy dla pana Lorenza -powiedziała Leonarda z sarkazmem. - Dla niego tylko filozofowie, poeci i bogowie greccy zasługują na otaczanie czcią...

- ... ale zdarza mu się szukać schronienia w jednej z cel San Marco, choć podejrzewałem, że przebywa tam tylko po to, aby swobodnie podziwiać boskie malowidła Angelica, bo za każdym razem prosi o inną celę. Pozostaje jednak faktem, że się tam udaje, okazuje wiele pokornego szacunku przeorowi i utrzymuje jak najlepsze stosunki z biskupem. Musimy być przezorni...

Po kolacji zjedzonej tylko w towarzystwie Leonardy, Francesco Beltrami zamknął się z nią w studiolu, gdzie świeca paliła się przez większą część nocy. Przed trudną do rozegrania partią najbogatszy po Medyceuszach człowiek we Florencji porządkował swe sprawy w towarzystwie spotkanej niegdyś przypadkiem starej panny, będącej teraz być może jedyną osobą na świecie (nie licząc córki), do której miał całkowite zaufanie.

Tymczasem Fiora, nie uroniwszy ani jednej łzy, leżała na łóżku z szeroko otwartymi oczami i myślała. Opowieść ojca sprawiła, że nagle legło w gruzach całe jej dzieciństwo, przekonania, marzenia i nadzieje. Sądziła, że jest córką jednego z najbogatszych ludzi w Europie, a była jedynie owocem wyklętej miłości, wierzyła w miłość mężczyzny, a mężczyzna ten chciał tylko jej ciała i posagu. Będąc zamężną, nie miała prawa nosić nazwiska męża, bo nią gardził tak, że wołał śmierć od życia u jej boku. Uważał się za nieustraszonego rycerza bez skazy, nosił na szyi Order Złotego Runa - przedmiot westchnień wielu księżąt - a tymczasem bezlitośnie wykorzystał jej miłość, niewinność i zaufanie. Wyjechał, nawet nie pocałowałszy jej na pożegnanie, wiedząc, że nie wróci, i że ta żona na jedną noc będzie go oczekiwać bez końca, aż wypłacze oczy i posiwieje. Obudził w niej namiętność, upodobanie do miłości, ale zgodził się dać jej tylko jedną noc w zamian za ogromny stos złota, które pospieszył zawieźć swemu ukochanemu władcy. I to władcy, który ongiś nie miał litości dla swego " młodocianego giermka, pozwolił mu umrzeć wraz z ukochaną na pokrytych czernią deskach szafotu!

W miarę jak płynęły godziny pełnej rozpaczny nocy, Fiora przechodziła powolną i gorzką naukę nienawiści. Khatoun, zmęczona bezowocnymi próbami wydobywania z niej choć słowa, usnęła zwinąwszy się w kłębek w nogach wielkiego łoża, z bezużyteczną lutnią w ramionach. Wydawała się tak mała, krucha i zagubiona, że Fiora wzruszona wstała, aby przykryć ją ciepłym szalem. Postanowiła swą czułość zachować dla słabych i potrzebujących pomocy.

Okolo pierwszej w nocy Leonarda weszła do sypialni na palcach myślac, ze zastanie dziewczynę śpiącą, wyczerpaną płaczem. Podskoczyła, zobaczywszy Fiorę w żółtym świetle świecy, stojącą obok łóża niczym biała zjawa...

- Nie śpisz, pani? - spytała trochę nieprzytomnie.

- Zdaje mi się, że to oczywiste...

- Chodź więc mi pomóc, Khatoun też...

- Pozwól jej spać! Dużo płakała tego wieczora...

- Można by powiedzieć, że więcej niż ty, Fioro? A jednak...

- Nie mogę płakać. Nawet chciałabym, myślę, że dobrze by mi to zrobiło, ale to niemożliwe. Mam wrażenie, że moje serce nagle wyszło - powiedziała żalonym głosem. -Może to dlatego, że już nie wiem, kogo czy co mam opłakiwać: podle zgładzonych rodziców, ojca w niebezpieczeństwie, siebie samą, bo...

- ... bo jesteś w niebezpieczeństwie tak jak on! Pofilozofujemy nad zaletami płaczu i korzyściami z niego wynikającymi innym razem. Tej nocy mamy lepsze zajęcie...

Wyszła za drzwi i wróciła, ciągnąc za sobą podróżny kufer ze skóry nabijanej gwoździami, który ustawiła pośrodku sypialni; wróciła po następny, później po trzeci i w reszcie po czwarty, dużo mniejszy, który można było łatwo przytroczyć do siodła...

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Fiora.

- Zapakować twoje rzeczy, pani. Jutro w południe wyjeżdżamy do Livorno, gdzie będziemy oczekiwać wieści od twego ojca...

Wkładając do kufrów suknie, płaszcze, bieliznę i buty Fiory, Leonarda powiadomiła ją o decyzjach Beltramego: powinna znajdować się z dala od Florencji w chwili, gdy Hieronima złoży na nią doniesienie.

Fiora starała się pomagać, ale myślami najwyraźniej była gdzie indziej. Leonarda wyrwała jej z rąk suknię i sama ją zapakowała.

- Zrobię to sama! Tak będzie szybciej!

- Ale jeśli ojciec nie przyjedzie do Livorno, to co zrobimy?

- Kapitan „Santa Maria del Fiore” otrzyma rozkazy. Jeśli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin pan Beltrami nie dołączy do nas, będzie musiał postawić żagle i zawieźć nas do Francji. To będzie długa podróż, ponieważ popłyniemy przez morze i rzekę aż do Paryża. Zamieszkamy u mlecznego brata twego ojca Agnola Nardiego, który prowadzi przedstawicielstwo firmy. A później zobaczymy... Teraz spieszymy się...

- To niepotrzebne. Nie chcę opuszczać ojca. Wyjedziemy z nim albo wcale.

Zapiawszy rzemienie jednego z kufrów, Leonarda wyprostowała się i z dłońmi na obolałym krzyżu zapytała:

- Kochasz ojca, pani?

- Co za pytanie! Oczywiście, że kocham!

- Więc bądź mu posłuszna, nie starając się demonstrować, jaka z ciebie bohaterka! Myśli, że to, co postanowił, będzie najlepsze. Nie sądzisz, że jest wystarczająco nieszczęśliwy z powodu tego demona w spódnicy, zamierzającego ukąsić go w samo serce? Nie sądzisz, że dosyć się niepokoi?

- Nie chcę pogłębiać jego trosk, ale czy nie byłoby lepiej uciec razem? Mogliśmy wyjechać wczoraj wieczorem...

- Ucieczka oznaczałaby przyznanie się do winy, a w każdym razie potwierdzenie, że się czegoś boimy. Może wcale nie wyjedziemy do Francji? To zależy od Medyceusza! Wyobraź sobie, że aby uniknąć skandalu, postanowi wydać cię za Pietra? Ojciec będzie mógł przynajmniej powiedzieć, że uciekłaś i nie wie, gdzie jesteś. Ale jeśli kuzyn Pietro wydaje ci się powabny...

- Jak możesz mówić w ten sposób? Jestem zameżna i dobrze o tym wiesz.

- Wiem przede wszystkim, że małżeństwo, szczególnie potajemne, można anulować. To często tylko kwestia pieniędzy. A mówią, że papież Sykstus IV lubi pieniądze bardziej, aniżeli to przystoi biskupowi rzymskiemu. Zrozumiałaś?

- Tak. Skończmy z tym i spróbujemy choć trochę odpocząć. Jesteś bardzo blada, Leonardo!

- Jeśli chcesz wiedzieć, padam ze zmęczenia. Rzeczywiście, chętnie przespałabym się godzinę lub dwie. Szczególnie jeśli jutro trzeba będzie spędzić pół dnia na koniu.

Pakowanie było skończone. Zostawiły tylko ubrania na następny dzień. Rzeczy potrzebne w podróży włożyły do małego kuferka. Pozostałe wepchnęły do składziku obok sypialni Fiory. Przed wyjściem Leonarda wzięła młodą kobietę w ramiona, aby ją ucałować, ale nie od razu ją puściła:

- Co sprawia ci większy ból, Fiore? - zapytała poważnie. - Odkrycie twego pochodzenia... czy postępowanie męża?

- Trudno to porównywać. Kochałam moją matkę nie znając jej, i sądzę, że kocham ją jeszcze bardziej za wszystko, co wycierpiała. Co do Filipa de Selongeya... och! Chciałabym go ujrzeć martwego!

- A jednak będziesz płakała w dniu, kiedy dowiesz się, że został zabity. Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że on kocha cię bardziej, niż sądził, i że złapał się we własne sidła?

- Zawsze ci wierzyłam... ale tym razem musiałabym mieć oczywisty dowód! Nie jestem pewna, czy wybaczyłabym mu... Idź spać.

Leonarda zamierzała już wyjść, ale Fiora ją powstrzymała.

- Poczekaj chwilę, proszę!

Palcami, które nawet nie zdrzżały, wyciągnęła łańcuszek zawieszony pod koszulą, odpięła go, zdjęła złotą obrączkę otrzymaną od Filipa i podała starej panie:

- Zrób z nią, co zechcesz! Nie mam już ochoty jej nosić...

Leonarda spojrzała jej głęboko w oczy i zapewne wyczytała z nich całkowite zdecydowanie, gdyż wzięła obrączkę bez słowa i wyszła.

Pozostawszy sama, Fiora położyła się, lecz mimo zmęczenia nie mogła zasnąć. Po wyjściu Leonardy lęk, który opanował ją w San Miniato, wrócił z taką siłą, że Fiora musiała walczyć ze sobą, aby nie pobiec za guwernantką i nie poprosić, by pozwoliła jej spać przy sobie, jak to często robiła, gdy podopieczna była dzieckiem. Ku jej własnemu zaskoczeniu powstrzymała ją duma. Czy po tym, co usłyszała wieczorem, mogła jej pozostać choć odrobina miłości własnej?

Wstała, wypila odrobinę wody z miodem, podeszła do okna, by popatrzeć na rozciągającą się nad miastem noc, rozgwieżdżoną jak królewski

płaszcz. Posłuchała przez chwilę znajomych odgłosów, kroków milicji na bruku, skrzypienia wiosł na rzece, krzyku morskiego ptaka, klasztornego dzwonu zapowiadającego jutrznię. Myśl, że jutro na pewno już ich nie usłyszy, była nie do zniesienia; Fiora odkryła, że przywiązała się do tych drobiazgów. Jeśli Lo-renzo nie okaże się wspaniałomyślny i nie postąpi jak prawdziwy przyjaciel (czego się obawiała), jutro będzie spała w jakiejś przydrożnej oberży, a następnej nocy na pokładzie statku. Tego samego „Santa Maria del Fiore”, który niegdyś przywiózł ją wraz z mamką i Leonardą z Francji. Może wkrótce znowu uniesie ją w nieznane, co Fiore trochę przerażało, ale tylko dlatego, że bała się stawić temu czoło bez pomocnej dłoni ojca. Gdyby Francesco był przy niej, wszystko stałoby się od razu łatwiejsze...

Nagle przypomniała sobie przepowiednię Demetriososa. Lekarz powiedział, że kiedy śmierć zabierze Simonettę, Fiora będzie daleko i nie będzie szczęśliwa. Naraz stało się to dla niej oślepiająco oczywiste. Wyjedzie, może na zawsze, a skoro miałyby nie być szczęśliwa, to znaczy, że nie będzie przy niej ojca...

- Nigdzie nie pojedę! - postanowiła głośno. - Leonarda może mówić, co chce; zostanę z ojcem. Co będzie, to będzie! Już nic gorszego stać się nie może...

Pokrzepiona podjętą decyzją wróciła do łóżka, w którym wciąż spała niczego nieświadoma Khatoun. Zamknęła oczy... i natychmiast zapadła w sen.

Kiedy się obudziła, było już bardzo późno. Zbeształa Khatoun za to, że pozwoliła jej tak długo spać.

- Tak rozkazała pani Leonarda! - broniła się mała. Fiora nie słuchała. W nocy obiecała sobie porozmawiać z ojcem, zanim pójdzie on do pałacu Medyceuszy. Mając nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, wybiegła z pokoju. Spotkany w galerii Rinaldo, niosący stos ubrań do oczyszczenia, poinformował ją, że Francesco wyszedł przed godziną... Zaczęła więc szukać Leonardy, ale ta była w kuchni, a Fiorę obowiązywał zakaz schodzenia tam samej -mogła to czynić tylko wtedy, gdy pobierała u guwernantki lekcje obowiązków dobrej gospodyni i odkrywała tajemnice prowadzenia dużego domu. Poza tym zdążyła założyć na koszulę tylko lekki szlafroczek i była boso.

Pomyślawszy, że nie pozostaje jej nic innego, tylko wykonać poranną toaletę, wróciła do sypialni. Ubrana będzie mogła z większą godnością obwieścić swoją decyzję, że poczeka, niezależnie od wszystkiego, na powrót ojca. Żałując, iż nie zdążyła z nim porozmawiać przed jego wyjściem, Fiora umocniła się w postanowieniu, że nie wyjedzie. Myślała, iż nie jest jeszcze za późno...

Zrozumiała, że się myliła i że było już o wiele za późno, gdy kilka minut potem grupa wyjących i gestykujących ludzi przyniosła do pałacu ciało Francesca Beltramiego. Jakaś nieznana ręka wbiła mu sztylet w plecy, kiedy rozmawiał z klientem w ulicznym zamęcie Mercato Nuovo.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

REQUIEM DLA SZLACHETNEGO CZŁOWIEKA

Mężczyźni niosący ciało Francesca umieścili je na łożu, gdy tymczasem służba z wielkim trudem usiłowała usunąć rozgadany i podniecony tłum. Pałac rozbrzmiewał głośnymi lamentami i pogróżkami, zupełnie szczerymi, bo ten zamożny kupiec był szanowany za bogactwo, kochany za miłosierdzie.

Nigdy nie tracąca zimnej krwi Leonarda podziękowała ze szczytu schodów zebrany, wezwała wszystkich tych dobrych ludzi do modlitwy i w końcu rozkazała, by podano im przedniego wina dla pokrzepienia w głębokim bólu, któremu dawali wyraz. Kazała również rozdać trochę pieniędzy żebrakom. Przybyli opuścili domostwo, sławiąc szczodrość pań z domu Beltramiego i oplakując okrutną stratę, jakiej doznała.

Guwernantka szybko wróciła do Fiory. Dziewczyna, klęcząc przy łożu, szlochała rozpaczliwie, z twarzą wciśniętą w aksamitną narzutę, na której spoczywał ojciec. Młoda kobieta nie była jednak sama w pokoju. Leonarda zobaczyła wysokiego, chudego mężczyznę w długiej szacie z czarnego aksamitu: o luźnych rękawach i wysokim, prostym kołnierzu, zapiętym cenną złotą agrafą. Jarmułka z tego samego materiału przykrywała jego siwe wło-

sy łączące się z krótką brodą. Ze skrzyżowanymi ramionami na piersi patrzył bez słowa na Fiore, szanując jej ból. Słyszając wchodzącą Leonardę, zwrócił się w jej stronę.

- Zostałem, bo mam coś do powiedzenia - rzekł w odpowiedzi na nieme pytanie starej panny, ku jej zaskoczeniu po francusku. - Byłem świadkiem zbrodni...

- I nie zatrzymałeś mordercy, panie? Czy nie to przede wszystkim należało uczynić?

- Nie. Przede wszystkim należało się upewnić, czy messer Beltrami istotnie znajdował się poza zasięgiem ludzkiej pomocy. Jestem lekarzem, ta młoda dama mnie zna - dodał Demetrios, wskazując ruchem brody Fiore. - Zbrodniarz musiał śledzić swą ofiarę. Wykorzystał gwałtowną kłótnię między kilkoma sprzedawczyniami drobiu i ryb, która przekształciła się w bijałkę i wywołała zbiegowisko. Nie widziałem, jak uderzył, ale nagle zobaczyłem nóż wbity w plecy twego pana. Zaatakowany nawet nie krzyknął. Morderca zaś zniknął w tłumie, zapewne przeciskając się między ludźmi i straganami, bo niektóre z nich były poprzewracane. Ale odnajdę go... dzięki temu!

Greki wyciągnął z rękawa nóż o szerokim, spiczastym ostrzu i rękojeści z wypolerowanego rogu, bez żadnych cech charakterystycznych, na który Leonarda spojrzała z odrazą.

- Wyciągnąłem ten nóż z rany; pozwól, bym go zatrzymał, pani. Nie sądzę, aby oglądanie go było przyjemne dla donny Fiory...

- Ja również tak myślę. Ale dlaczego chcesz go zatrzymać, panie? Wkrótce na pewno przyjdzie burmistrz. Czy to nie jemu należałoby go oddać?

- Nie wiedziałby, co z nim zrobić, gdy tymczasem ja sprawię, że przemówi. Narzędzie zbrodni może powiedzieć więcej, niż przypuszczasz, pani.

- W takim razie weź go! Jeśli ci się uda zatrzymać tego nędznika, wszyscy będą cię błogosławić...

Nie odpowiadając, zawinął ponownie nóż w chusteczkę i ukrył w rękawie. Potem podszedł do Fiory, zbyt pogrążonej w bólu, by zauważyła jego obecność. Pochylił się i położył na jej ramieniu dłoń, pod której mocnym uściskiem młoda kobieta wyprostowała się. Zwróciła w jego stronę zmienioną od płaczu twarz i niewidzące spojrzenie.

- Czego chcesz ode mnie?... Czy nie mogę płakać w spokoju?

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział Demetrios w dialekcie tokańskim, gdyż i ona posłużyła się tym językiem. - Przypomnij sobie! Powiedziałem ci, że jeśli będziesz potrzebowała pomocy, możesz mnie wezwać...

- Przypominam sobie. Grecki lekarz? Mówią, że jesteś uczonym, ale nie możesz wskrzesić mojego ojca, a nic poza tym mnie nie obchodzi.

- Istotnie, nie jestem Bogiem, ale moja moc jest większa niż sądzisz. Jak powiedziałem, nie masz czasu na płacz. Musisz prędko uciekać, gdyż grozi ci niebezpieczeństwo ze strony pewnej kobiety...

Fiora podniosła się i stanęła naprzeciw niego.

- Skoro wiesz wszystko, to pewnie możesz sprawić, aby ta kobieta mi nie szkodziła? Czyż nie dopięła swego? Jestem pewna, że to ona nasłała mordercę...

- Nie mogę zatrzymać wydarzeń, które już zaczęły się toczyć. Zresztą, jestem w tym mieście obcy. Znam jednak jego niestałość. Jutro możesz mieć tylu wrogów, ilu dziś masz przyjaciół. Wyjedź więc! Choćby po to, by mieć czas do namysłu.

- Miałyśmy wyjechać w południe - powiedziała Leonarda.

- Ja postanowiłam nie wyjeżdżać bez ojca - rzekła Fiora, ocierając machinalnie oczy i twarz. - Wybacz, że zmieniłam zdanie, droga Leonardo, ale właśnie cię szukałam, aby ci o tym powiedzieć, kiedy... to się stało. Teraz może już nie będę mogła wyjechać. Mówisz, że miasto może obrócić się przeciwko mnie? Być może, ale zrobiłoby to na pewno, gdybym wyjechała, pozostawiając obcym ciało ojca. Jako kochająca córka chcę oddać mu ostatnią posługę... i pomścić go!

- Jeśli przytrafi ci się nieszczęście, jak zdołasz doprowadzić zemstę do końca? Uciekaj!

- Nie. Zostanę. Później, kiedy mój ojciec będzie mógł spocząć w pokoju, na pewno wyjadę, gdyż nie tylko tutaj mam rachunki do wyrównania.

Przerwało jej wejście starego Rinalda. Zapowiedział on przybycie gonfaloniera sprawiedliwości, który w chwilę później wkroczył do pokoju. Cesare Petrucchi był niskim i krępy męczyzną około sześćdziesiątki, noszącym z rozmyślnym majestatem szkarłatną szatę przynależną jego stanowisku. Urodzony w bardzo starej rodzinie, pochodzącej z Sieny, zdołał dzięki uporowi i całkowitemu brakowi skrupułów wspiąć się aż do Signo-

rii, gdzie, jak wiadomo, utrzymywał się zastraszając innych. Trzymał signorów w garści od czasu pewnej rady, kiedy to nie mogąc uzyskać rozstrzygnięcia zawilej sprawy, kazał sobie przynieść klucze od sali i usiadł na nich zapowiadając, że nikt nie wyjdzie, dopóki wynik głosowania nie będzie właściwy.

Zgodził się jedynie karmić kolegów aż do chwili, gdy położą kres swym wątpliwościom...

Fiora wiedziała, że nie lubił jej ojca, któremu zazdrościł majątku. Choć nie ośmielał się formułować konkretnych oskarżeń, byłby szczęśliwy, mogąc mu cokolwiek zarzucić. Wiedziała również, że nie doczeka się u niego współczucia czy jakiegokolwiek pomocy, i że Francesco Beltrami gardził nieco gonfalonierem sprawiedliwości, a w każdym razie nie ufał mu.

Petrucchi wszedł, poprzedzony przez straż ubraną w zielone opończe w kolorze Signorii. Fiora ukłoniła się, jak przystało, i czekała, aż przemówi. Dostojnik najpierw oddał pokłon zmarłemu, a potem podszedł bliżej, aby mu się przyjrzeć.

- Czy schwytano mordercę? - spytał z powagą.

- Nie, dostojny panie - odpowiedziała Fiora. - Wszyscy w tym domu pokładają teraz całą nadzieję we florenckiej sprawiedliwości, której jesteś uosobieniem!

- Możesz być pewna, że stanie się zadość sprawiedliwości, której się domagasz. Czy twój szanowny ojciec, niech go Bóg ma w swojej opiece, miał jakichś wrogów?

- Czy nie ma ich każdy bogaty człowiek? Nie przypuszczaliśmy jednak, by mógł się znaleźć ktoś tak nikczemny, aby śmiertelnie ugodzić człowieka, który przez całe życie starał się czynić dobro. Człowieka...

Głos jej załamał się. Ta przymusowa protokolarna komedia była dla niej nie do zniesienia. Nie można było tego uniknąć, gdyż „dostojny pan” należał do ludzi, którzy przywiązywali wielką wagę do zewnętrznych przejawów swego stanowiska. Petrucchi, nie przejmując się bólem Fiory, zwrócił się do Demetriosia Lascarisa, który niewzruszenie, z dłońmi w rękawach, mierzył go wzrokiem:

- Co ty tu robisz? - spytał cierpko urzędnik. - Czy należysz do rodziny? Czy jesteś bliskim przyjacielem?

- Ani jednym, ani drugim, dobrze o tym wiesz, dostojny panie - odpowiedział lekarz z nutą sarkazmu w głosie. - Przybyłem tutaj, porwany przez tłum, którego okrzyki zresztą jeszcze możesz usłyszeć. - Istotnie, z zewnątrz dobiegał zgiełk świadczący o tym, że przed pałacem Beltramiego wciąż gromadzili się ludzie. - Tak się składa, że byłem na Mercato Nuovo, kiedy messer Beltrami został ugodzony nożem, i chciałem udzielić mu pomocy. Niestety, okazało się to zbędne, gdyż zginął na miejscu. Poza tym...

- Może powinniśmy cię przesłuchać? - przerwał Petrucchi. - Jesteś cennym świadkiem...

- Ale nie będę mógł powiedzieć nic więcej niż wszyscy inni tam obecni. Pomyślałem, że dostojny pan Lorenzo byłby szczęśliwy wiedząc, że znalazł się jeden z jego przyjaciół, aby natychmiast pocieszyć sierotę, której ból budzi szacunek. W tej chwili donna Fiora bardziej potrzebuje przyjaciół niż urzędników.

Słyszając to podwójne odwołanie się do konwenansów i do potęgi Medyceusza, Petrucchi zrobił się tak czerwony jak jego szata. Wymamrotał kilka niewyraźnych słów współczucia i oddalił się z godnością. Jego stateczne kroki, mające wyrażać powagę prawa, odezwały się echem w galerii i uci- chły. Fiora chciała pozostać sama; zwróciła się do Lascarisa:

- Dziękuję! - powiedziała szczerze. - Nie wiem, dlaczego tak się mną interesujesz, ale jestem ci wdzięczna... podobnie jak za to, co powiedziałeś temu zarozumiałemu osobnikowi.

- Nadal nie chcesz posłuchać mojej rady?

- Nie chcę ani nie mogę. Moja przyszłość jest w rękach Boga...

- Od dawna wiem, że nikt nie może zmienić swego przeznaczenia, a jeszcze trudniej jest zawrócić człowieka z obranej drogi. A co dopiero kobietę... Pamiętaj jednak o tym, co powiedziałem: wezwij mnie w sytuacji ostatecznej...

Uklonił się i zniknął jak cień, pozostawiając Fiore w rozterce. Naprawdę nie wiedziała, co o nim myśleć. Ten człowiek posiadał dar odgadywania przyszłości, ale nie umiał przewidzieć jej szczegółów. Nie rozumiała, w jakim celu tak się interesował właśnie nią, jedną z wielu młodych florentynek. Nie umiała zaufać temu dziwnemu osobnikowi ani obdarzyć go szczerą sympatią. Było w Demetriosie coś, co ją jednocześnie pociągało i odpychało. Ale co?

Leonarda wyszła, aby wydać kilka poleceń. Gdy wróciła, zastała Fiore patrzącą z bólem na podłużny, nieruchomy kształt, tak biały na purpurze łoża; widmo, dwie godziny wcześniej będące inteligentnym, pełnym życia

mężczyzną, człowiekiem pragnącym walczyć o szczęście tej, którą uczynił swą córką...

Leonarda łagodnie wzięła ją za rękę.

- Chodź, moje dziecko. Zajmę się wraz ze służbą toaletą twojego ojca. Ty też musisz się przygotować, bo czeka cię długi i ciężki dzień, podobnie zresztą jak jutro i pojutrze. W twojej sypialni, gdzie jest Khatoun, ułożyłam wszystkie potrzebne rzeczy... Odpocznij trochę! To ci się przyda.

W godzinę później Fiora, spowita od stóp do głów w matową czerń, w welonie na zaplecionych włosach, oczekiwała przy zwłokach ojca w pokoju obitym czarną materią na zapowiedzianą wizytę władcy Florencji.

Zgodnie z panującym w Republice zwyczajem, który stanowił, że wszyscy obywatele są równi wobec śmierci, Francesca Beltramiego ubrano w skromny strój ze zwykłej białej etaminy podbitej taftą i czapkę bez żadnych ozdób. Żadnych klejnotów, najmniejszych oznak bogactwa. Pod ciało wsunięto obowiązkowy siennik, ułożony na wielkim purpurowym łożu, wyglądającym w żałobnym wnętrzu jak ogromna plama krwi, od której odbijała bladość twarzy zmarłego. Tylko dwie bardzo grube świece płonęły po obu stronach łoża, będącego teraz katafalkiem. Miały nie gasnąć aż do chwili pogrzebu, kiedy to ciało, przykryte jedynie białym płótnem, zostanie odprowadzone do grobu. Jedynym odstępstwem od prawa, stanowiącego że miejscem ostatniego spoczynku powinno być cmentarzysko komunalne, był fakt, że trumna Beltramiego, najpotężniejszego wśród uprawiających sztukę calimala, miała zostać złożona w należącym do cechu kościele Orsanmichele.

Fiora już nie płakała. Płonący w niej ogień osuszył łzy i nie pozwalał im płynąć. Kiedy wszedł Wspaniały w towarzystwie swych przyjaciół, Poliziana i Ridolfiego, młoda kobieta padła mu do stóp:

- Sprawiedliwości, panie Lorenzo! Sprawiedliwości dla mego ojca, zamordowanego w centrum twego miasta! Ja, jego córka, nie zaznam spokoju, póki morderca nie znajdzie się w twoich wszechwładnych rękach!

Pochyliwszy swą wysoką postać. Wspaniały schwycił wyciągnięte doń błagalnie dłonie.

TLR

- Ja, Lorenzo, nie zaznam spokoju, póki morderca nie zawiśnie głową w dół na balkonie Signorii! Wstań, Fioro! Twój ojciec był jednym z najlepszych ludzi w mieście i moim przyjacielem. Obiecuję ci zemstę...

Trzymając wciąż Fiozę za rękę, podszedł do ciała i przez chwilę na nie patrzył. Płomień świecy rzeźbił profil Francesco, który w chwili śmierci zdawał się odzyskiwać młodość.

- Kto chce szczęśliwym być, niech się spieszy - wyszeptał - gdyż nikt nie jest pewny jutra! Francesco miał wszystko, czego trzeba do szczęścia, ale znalazła się ręka zbrodnicza, by podle zadać mu cios w plecy, jemu, który nigdy nikogo nie skrzywdził. Kto to mógł zrobić?

- Właśnie to powiedziałaś, panie: to jakiś podły nędznik, działający na pewno z czyjś rozkazu.

- To znaczy?

- Można dać komuś broń do ręki, jeśli samemu nie śmie się zadać ciosu. Mówią, że w gorszych dzielnicach nie brak łajdaków, a kupić tam można wszystko, nawet życie ludzkie. Najważniejsze jest, ile się zapłaci...

Lorenzo spojrział na Fiozę, mrużąc z uwagą krótkowzroczne oczy:

- Czy masz na myśli kogoś konkretnego? Wiesz, że bezpodstawne oskarżenie to poważna sprawa i może być ścigane przez prawo?

- Toteż nie będę nikogo oskarżać, dopóki nie zdobędę pewności. Ale wtedy...

- Wtedy to już będzie moja sprawa - przerwał surowo Lorenzo. I dodał łagodniej: - Jesteś teraz sama, Fioro, i zbyt młoda, by żyć samotnie. Twój ojciec nie chciał cię jeszcze wydawać za męża, ale teraz potrzebny ci będzie towarzysz życia. Tym bardziej że dziedziczysz nie tylko wielką fortunę, ale

i skomplikowane interesy. Francesco nie zajmował się jedynie uszlachetnieniem płócien. Miał również bank, okręty, z których dwa znajdują się w Wenecji. Nie mówiąc o „Santa Maria del Fiore”, jego osobistym okręcie, zakotwiczonym w Livorno, mieście, z którego, jak wiem, chciał zrobić wielki port handlowy, kopalnię ałunu w Volterra, jak również przedstawicielstwa w Paryżu, Londynie, Bru-gii... i może jeszcze coś? Na czele tych przedstawicielstw powinien stanąć mężczyzna... Mój młody kuzyn, Luca Tornabuoni, jest w tobie bardzo zakochany. Czy zechcesz o tym pomyśleć... później, kiedy twój ból nie będzie tak silny?

- Później... może. Na razie nie chcę wychodzić za mąż. Zaskoczona była stanowczością, z jaką wypowiedziała to kłamstwo. Nawet się nie zaczerwieniła, pozwalając Wspaniałemu mieć nadzieję na to niemożliwe małżeństwo z jego kuzynem, ale była też nieco zaszokowana pośpiechem, z jakim Lorenzo wysunął kandydaturę Luki. Smutek był dla* niego jedną sprawą, a interesy drugą, i pragnął, rzecz jasna, by małe królestwo Beltramiego dołączyło do ogromnych dóbr jego rodziny.

Skłoniwszy się ponownie przed zwłokami przyjaciela, Lorenzo pożegnał się z Fiorą i skierował do drzwi, ale nagle zawrócił.

- Czy masz powody, by jako jedyne dziecko Francesca lękać się o swoje życie?

- Aż do tego ranka nie miałam obaw - odpowiedziała młoda kobieta. - Teraz już sama nie wiem.

- Lepiej powziąć wszelkie środki ostrożności. Przyślę ci Savaglia z kilkoma strażnikami.

- Dziękuję, ale czy to konieczne? Nie można pilnować tego domu bez końca. Jestem otoczona wiernymi sługami. Tak w każdym razie sądzę...

- Jednak obecność uzbrojonych ludzi powinna zniechęcić twoich ewentualnych wrogów, a my zyskamy czas na odnalezienie mordercy. Nie wychodź aż do pogrzebu, który odbędzie się pojutrze. Naturalnie, wszyscy przyjdziemy...

- Dziękuję ci z głębi serca. Twoja opieka i przyjaźń są mi drogie, panie Lorenzo...

- Mogłyby się okazać niewystarczające, by cię ochronić, jeśli szybko nie znajdziesz męża...

Nie powiedział nic więcej, ale Fiora wiedziała, że jest uparty. Będzie obstawał przy swoim i pewnego dnia trzeba będzie powiedzieć mu prawdę. Jednakże miał rację mówiąc, że interesami Beltramiego powinien kierować mężczyzna i Fiora pożałowała swojej ignorancji. Gdyby była chłopcem, ojciec już od dwóch czy trzech lat wprowadzałby ją w swoją pracę, aby później mogła przejąć spuściznę po nim. Lecz ona, tak wykształcona w innych dziedzinach, niewiele wiedziała o trudnych pertraktacjach handlowych. Nagła, przedwczesna śmierć ojca uczyniła ją bezbronną...

- Pan Lorenzo jest mądry i chce tylko twego szczęścia - usłyszała za sobą spokojny głos Leonardy...

- Pod warunkiem, że to szczęście będzie w zgodzie z interesami jego rodziny. Inaczej mówiąc - że poślubię Luce...

- Co jest w tej chwili niemożliwe, ale może znalazłoby się jakieś wyjście. Dlaczego nie poprosić pana Lorenzo, aby "znalazł kogoś mądrego i godnego zaufania do prowadzenia twoich interesów? To by mu pochlebilo i

odsunęło na jakiś czas jego plany małżeńskie. Zresztą, żałoba nie pozwoli ci w ciągu najbliższych miesięcy zapalić ślubnych pochodni.

- To mądra rada. Jak tylko ojciec... opuści ten dom na zawsze, porozmawiam z Lorenzem Medyceuszem.

Posępny protokół żałobny został już ustalony. Po mieście krążyli obwieszczający zgon posłańcy. Zatrzymywali się na skrzyżowaniach, aby zawiadomić o śmierci Francesca Beltramiego, gdy tymczasem urzędnicy zakładu pogrzebowego wybierali płaczki spośród biedoty z gorszych dzielnic. Rozdawano nędzarzom obszerne czarne szaty z kapturem, uszyte tak, aby później można było z nich zrobić porządne ubrania. Pogrzeb zaplanowano bez żadnej pompy, gdyż nie wypadało traktować pochówku jak świątecznej zabawy. Cały splendor ceremonii polegał na doborze uczestników, na tradycyjne przyjęcie przewidziano tylko dwie potrawy.

Do domu zmarłego napływali goście. Wciąż przybywali przyjaciele i zwykli ciekawscy, gdyż wiadomość o śmierci kupca rozeszła się jeszcze przed jej oficjalnym ogłoszeniem. Wieść obiegła miasto lotem ptaka i ludzie tłoczyli się na ulicy, aby oddać hołd zmarłemu. Niektórzy nie mieli nigdy okazji wejść do pałacu Beltramiego i przybyli, by po prostu zaspokoić chęć zobaczenia jego bogactw. Na szczęście dla Fiory kapitan Savaglio, wyznaczony przez Lorenza do pilnowania domu, prowadził selekcję odwiedzających, zresztą nie bez pewnej brutalności.

- Gdybym nie pilnował porządku - powiedział do Leonardy, czyniącej mu z tego powodu wyrzuty - wszystkie dziwki i wszyscy sutenerzy z miasta defilowałiby w tym domu. Zakładają na zmianę porządne ubrania, które sobie nawzajem pożyczają, a później przychodzą z minami świętoszków,

bo to wspaniała okazja do zobaczenia bogactwa domu. Na nieszczęście dla nich znam ich prawie wszystkich!

W ślad za Wspaniałym przybył spiesznie Luca Tornabuoni. Fiora, z góry nastawiona na obronę, oczekiwała wielkich miłosnych przysiąg, a nawet natychmiastowych oświadczeń, ale młodzieniec, oddawszy hołd zmarłemu, skłonił się jej głęboko i powiedział tylko:

- Wezwij mnie, pani, jeśli potrzebować będziesz pomocy wiernego przyjaciela, który ogromnie chciałby choć trochę ukoić twój smutek.

Była mu wdzięczna za te słowa i spontanicznie podała mu rękę.

- Dziękuję, Luca! Będę o tym pamiętać...

Ku jej zaskoczeniu zaraz potem przyszli Simonetta i Marco Vespucci w towarzystwie kuzyna Ameriga. Jak zwykle jasna i promienna, mimo czarnej sukni włożonej przez szacunek dla zmarłego, „Gwiazda Genui” ucałowała Fiorę z serdecznością i ciepłem, które ją wzruszyły.

- Będziesz się czuła bardzo samotna w tym wielkim pałacu, pani - powiedziała. - Może zamieszkałabyś ze mną przez jakiś czas? Rzadko ze sobą rozmawialiśmy, ale wiedz, że masz we mnie starszą siostrę lub przynajmniej przyjaciółkę...

Fiora oddała jej pocałunek szczerze, a nawet z pewnym zawstydzeniem. Tak kiedyś nienawidziła tej cudownej kobiety, w której uparcie widziała rywalkę jeszcze dwa miesiące temu!... albo raczej dwa wieki temu! Nic już nie stało na przeszkodzie, by żona, choćby wzgardzona, Filipa de Selongeya została przyjaciółką Simonetty. Poczwała nagle wielki smutek na wspomnienie przepowiedni Greka, pragnąc z całego serca, aby okazała się ona błędna...

Marco Vespucci poparł zaproszenie żony, ale kuzyn Amerigo, jak zawsze z głową w chmurach, spowodował lekkie zamieszanie, odwracając się tyłem do Fiory, aby z czcią ucałować dłoń Leonardy, która powstrzymywała wybuch śmiechu. Simonetta, wznosząc do sufitu wzrok wyrażający przygnębienie, uratowała sytuację, wyprowadzając roztargnionego kuzyna z żalobnego pokoju.

Chiara, którą wuj zabrał wczesnym rankiem do swej winnicy w San Gervaso, wpadła jak bomba, wlokąc za sobą grubą Colombę i służącego uginającego się pod ciężarem kufra z ubraniami.

- Zostaję z tobą! - oświadczyła Fiorze całując ją. - Będę mieszkać z tobą, dopóki nie będziesz miała mnie dosyć. Nie próbuj mi w tym przeszkodzić! Coś mi mówi, że możesz potrzebować pomocy, i to już niedługo.

Nie czekając na odpowiedź, uknęła przy łożu i pogrążyła się w głębokiej modlitwie. Z sercem ogrzanym tą spontaniczną czułością, Fiora przez chwilę patrzyła na modlącą się przyjaciółkę, a później wróciła do męczącego obowiązku przyjmowania, mimo rosnącego znużenia, kolejnych odwiedzin. Wiedziała jednak, że najgorsze ma dopiero przed sobą. Jeśli nie zdarzy się cud, będzie musiała wkrótce przyjąć znienawidzoną Hieronimę, co do której była przekonana, że to ona kazała zabić ojca... Fiora miała jedynie nadzieję, iż w związku z żalobą dama ta nie ośmieli się domagać odpowiedzi na sformułowaną w przeddzień skandaliczną propozycję małżeństwa. Ale nie знаła Hieronimy...

Przyszła wraz z zapadnięciem zmroku, a echo pałacu powielalo okrzyki i szlochy jej hałaśliwej rozpaczy, wywołując u Fiory gęsią skórę. Fiora wyszła z pokoju, gdzie już od godziny Sandro Botticelli, siedząc w kąciu z

oczami zamglonymi przez łzy, szkicował w milczeniu ostatni wizerunek człowieka, który od początku wierzył w jego talent. Oczekiwała w galerii nadejścia swej nieprzyjaciółki, chcąc bronić jej wstępu do pomieszczenia, gdzie spoczywał ojciec.

Na widok Hieronimy, spowitej w żałobne materie jak matrona ze starożytnego Rzymu i z twarzą ociekającą łzami, poczuła mdłości. Chciała krzyknąć, rozkazać, by wyrzucono za drzwi tę potworną hipokrytkę, ale Chiara powstrzymała ją.

- Nawet jeśli masz rację myśląc to, co myślisz, musisz ją przyjąć.

- Nie chcę, żeby zbliżała się do ojca!

- Nie możesz jej tego zabronić. Należy do rodziny. Nie powinnaś dawać żadnego pretekstu do krytyki.

Fiora bez słowa, tłumiąc gniew, powitała przybyłą skinieniem głowy i sama otworzyła przed nią drzwi pokoju, do którego tamta wpadła krzycząc:

- Gdzie jesteś, Francesco! Mój kuzynie... mój bracie! Nigdy nie dowiesz się, jak bardzo byłeś mi drogi, jak bardzo...

- Przeciwnie, myślę, że tam gdzie jest teraz, mój ojciec doskonale wie, co sądzić o naszych uczuciach! - powiedziała oschle Fiora, nie mogąc dłużej milczeć. - Pohamuj nieco wyrażanie swego... bólu, kuzynko! Ojciec nie lubił uzewnętrzniania uczuć.

- Mówisz o czymś, o czym nie masz pojęcia! My, florent-czycy, lubimy dawać wyraz naszym radościom i smutkom. Ale aby to zrozumieć, trzeba stąd pochodzić...

Uklęknęła przy łożu, zasłaniając w ten sposób Botticellemu głowę zmarłego. Malarz z westchnieniem odłożył węgiel. Musiał tak czekać dobry

kwadrans. Modły Hieronimy, mieszające się z wzywaniem duszy Francesca, przedłużały się, irytując w najwyższym stopniu Fiorę, stojącą z drugiej strony łoża. W końcu Hieronima pochyliła się, złożyła pocałunek na zimnym czole i wyrecytowała melodramatycznym tonem:

- Spoczywaj w spokoju, Francesco! Przejmuję twoje brzemię! Od tej pory ja czuwać będę nad wszystkim, co było ci drogie, przysięgam ci to!

Wstała z trudem, całkiem zaplątana w żałobne welony. Lodowate spojrzenie Fiory śledziło każdy jej ruch:

- Zbędna przysięga, kuzynko! Nikt tutaj o nic cię nie prosi, a już najmniej mój ojciec!

- Jestem najstarsza w rodzinie. Od tej pory ja jestem jej głową i będę umiała to udowodnić. Niemniej zgadzam się pozostawić ci wybór w kwestii przyszłości. Wolisz zamieszkać pod moim dachem czy też żebyśmy, ja i moja rodzina, przeprowadzili się tutaj?

Bezczelność Hieronimy odebrała Fiorze głos, ale nienawiść i chciwość, lśniące w ciemnych oczach tej kobiety, ożywiły ją.

- Ani jedno, ani drugie. Jak śmiesz decydować o tym, co do ciebie nie należy i, co więcej, o mojej osobie?

- To, co jeszcze do mnie nie należy, wkrótce będzie moje. Co do ciebie, księżniczko, pora, żebyś zeszła na ziemię. Niedługo będziesz już jedynie posłuszną żoną mojego syna Pietra... zgodnie z tym, co postanowiliśmy z kuzynem!

- Jak śmiesz wypowiadać podobne kłamstwa, gdy on jeszcze jest tutaj? Sądzisz, że nie wiem, co zostało powiedziane wczoraj w Sali Organowej? Ojciec z pogardą odniósł się do tego związku, który go obrażał...

- ... ale na który nie mógł się nie zgodzić. Był na to zbyt inteligentny. Jak tylko skończy się żałoba, ogłosimy zaręczyny.

- Nigdy! Nie możesz mnie do tego zmusić! Zwrócę się do pana Lorenza!

Hieronima nagle wybuchnęła śmiechem.

- Twój jaśnie pan nic na to nie poradzi. Jesteśmy jeszcze republiką, mimo ważnych min, jakie przybiera. Będzie musiał ustąpić przed wolą większości! Zobaczysz, zobaczysz... - powtarzała ze śmiechem.

Odkładając papier i węgiel, Botticelli blady z gniewu rzucił się, by wyciągnąć ją z pokoju.

- Oszalałaś? - zagrzemiał. - Ośmielasz się śmiać i odgrażać w pokoju zmarłego? To nie przynosi szczęścia, donno Hieronimo, powinnaś bardziej bać się gniewu bożego!

- Puść mnie, przeklęty pacykarzu! Wołanie o karę niebios pięknie pasuje do ciebie, żyjącego jak tobie podobni, w grzechu i rozpuście!

- Pewnie właśnie z tego powodu kościoły i klasztory wciąż składają u nas zamówienia. Wyjdź, nie czyniąc więcej hałasu, donno Hieronimo! Nikogo tu nie przekonasz, a zakłócasz spokój zmarłego!

Gniewnym ruchem Hieronima wyszarpnęła ramię z dłoni malarza, uporządkowała toaletę. Zmierzywszy wszystkich ciężkim od grózb spojrzeniem, przekroczyła drzwi, szeroko otwarte przez Leonardę.

- Wkrótce znowu będę się śmiała, jeszcze głośniejsze niż dzisiaj, tutaj, w tym domu, i nikt mi nie przeszkodzi! Jeszcze się spotkamy, Fio! I to niedługo!

- Już drugi raz tak się odgraża - zauważyła Chiara -śledząca tę scenę bez słowa. Jakże ma do tego prawa?

Fiora nie odpowiedziała od razu, wahając się jeszcze przed zwierzeniem dramatu swego pochodzenia. Badała wzrokiem miłą buzię przyjaciółki, próbując odgadnąć jej ukrytą naturę. Czy Chiara lubiła ją wystarczająco, by przejść nad tym do porządku dziennego, czy też odsunie się ze wstrętem? I nagle podjęła decyzję. Warto było zaryzykować tę próbę. Jeśli córka szlachejnych Albizzich jej nie sprostą, Fiora będzie po prostu trochę bardziej samotna w obliczu nieszczęścia, w którym z dnia na dzień bardziej się pograżała. ¹ - Chodź! - powiedziała. - Dowiesz się... Zapaliła świeczkę od płomienia jednej z dwóch gromnic i wyjęła klucz do studiola z kuferka, w którym ojciec miał zwyczaj go chować. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na białą powłokę, skrywającą niegdyś duszę tak dzielną i szlachetną, poprowadziła przyjaciółkę przez galerię słabo oświetloną palącymi się na dziedzińcu pochodniami w żelaznych uchwytach.

Drzwi otworzyły się bez skrzypnięcia, ukazując lśnienie cennych markieterii. Fiora wpuściła Chiare, zamknęła starannie drzwi i podeszła do portretu. Jedną ręką zdjęła osłaniający go aksamit, a drugą oświetliła jasną twarz, która naraz jakby ożyła...

- Ależ - powiedziała Chiara - to ty!... A jednak to nie jesteś naprawdę ty... Może z powodu tych jasnych włosów. ..

- To ja pozowałam, zresztą nie wiedząc w jakim celu. Portret przedstawia moją matkę, Marię de Breailles.

- Sądziłam, że nie znasz nawet jej imienia.

- Tak było. Poznałam je całkiem niedawno. Teraz, jeśli chcesz, opowiem ci jej historię. Po to cię przyprowadziłam... Chcesz?

Zamiast odpowiedzi Chiara usadowiła się na jednym z foteli, splótła dłonie i czekała, gdy tymczasem Fiora zapalała jedną po drugiej świecę w wielkim lichtarzu.

- Po co tyle światła? - spytała Chiara.

- Ponieważ otworzę przed tobą krwawą otchłań. Jej mroki będą dzięki temu mniej gęste, nawet dla mnie. Pomyśl, że ojciec opowiedział mi o wszystkim zaledwie wczoraj. Teraz wydaje mi się, że zawsze wiedziałam...

- Czy naprawdę masz ochotę mówić? Jeśli wolisz, możesz to jeszcze zachować dla siebie.

- Nie. Powiem ci, ale nie usiądę przy tobie. Stanę tam, przy oknie, tak żebyś mnie nie widziała. Później... kiedy skończę, możesz opuścić ten pokój i ten dom, nie odwra- cając się, jeśli to uznasz za stosowne!

- Ależ...

- Nic nie mów! Póki nie wiesz wszystkiego, nie masz pojęcia, co będziesz myślała później, a ja chcę zostawić ci swobodę. Dodam tylko, że jeśli odejdziesz, nie będę miała ci tego za złe!

Fiora oddaliła się powoli od kręgu światła. Jej czarna suknia wtopiła się w mrok pokoju. Chiara, poruszona, ścisnęła mocno dłonie i zamknęła oczy, czując lęk, którego nie umiała opanować. Ciepły i spokojny głos Fiory dobiegł ją jakby z mroku dziejów.

- Wszyscy tutaj myślą, że przyszedłam na świat w ukryciu, wśród cienkich prześcieradeł, w jakimś francuskim zamku. Nic bardziej błędnego!

Otworzyłam oczy na słomie, w więzieniu w Dijon, gdzie moja matka czekała na śmierć... i nie jestem córką Francesca Beltramiego.

Nie zwracając uwagi na okrzyk zdumienia przyjaciółki, Fiora z zadziwiającą wiernością odtworzyła opowieść ojca, nie pomijając najmniejszego szczegółu. Opowiadana tym młodym głosem, na przemian stłumionym i dźwięcznym, tragiczna historia Marii i Jana de Brevailles nabrała barw o rzadkiej intensywności. Ze wzrokiem utkwionym w portrecie Chiara ledwie śmiała oddychać, zawieszona na tym głosie w mroku. Wskrzesał przed nią płomień niezniszczalnej namiętności, płonący w szarzyźnie ponurej codzienności, ucieczkę ku nierealnemu życiu we dwoje, pościg, wreszcie wyrok śmierci i egzekucję z całą jej podłością, przeciwko której wyrosła nagle, wielka, wszechogarniająca miłość pewnego podróżnego. Młodej florentynce zdawało się, że słucha jednej z tych fantastycznych historii przedstawianych w ulicznych śpiewograch, ale tchnącej niekłamana prawdą. Głos Fiory ucichł, lecz czar trwał jeszcze przez chwilę. Później zapadła cisza, tak głęboka, że stała się dla opowiadającej nie do wytrzymania. Ze ściśniętym gardłem czekała na werdykt, którego teraz się obawiała.

Chiara nie reagowała. Z zastygłą twarzą patrzyła w pustkę szeroko otwartymi oczami. Milczała. Nagle zerwała się z miejsca, a serce Fiory przestało bić... Zamiast jednak iść do drzwi, Chiara podeszła do przyjaciółki.

- Dlaczego myślałaś, że odwrócę się od ciebie?
- To chyba całkiem oczywiste?
- Nie dla mnie. Odpowiedz mi najpierw na jedno pytanie: co czujesz, gdy myślisz o swoich rodzicach? Wstyd?

- Nie... och, nie! Wielką litość, połączoną z czułością. Mam prawie tyle lat co moja matka w chwili śmierci i trudno mi wyobrazić sobie, że jestem jej córką. Rodzice są mi tak bliscy jak brat i siostra. Ludzi, którzy skazali ich na śmierć, nie mogę wspominać bez gniewu: nikczemnego męża, ojca, który nie tylko oddał córkę podłemu człowiekowi, ale w dodatku nie przeciwstawił się wyrokowi śmierci. I w końcu tych bezlitosnych władców, a szczególnie księcia Karola, któremu Jan de Brevailles służył wiernie, kochał jak...

Ugryzła się w język. Prawie powiedziała: „jak kocha go Filip”... Nie chciała mówić o mężczyźnie, z którym była związana małżeństwem opartym na kłamstwie, i szybko się poprawiła:

- Wobec wszystkich winowajców odczuwam tylko nienawiść i pragnienie zemsty...

- Zemsty? W jaki sposób? Księżę Filip nie żyje, a nie wiesz nawet, czy żyją jeszcze pan du Hamel i twój dziadek.

- Nie nazywaj go w ten sposób! Nie ma do tego żadnego prawa. Póki żyję, Francesco Beltrami pozostanie dla mnie ojcem, jedynym, jakiego znałam i pokochałam. Sądzę jednak, że pewnego dnia, może już niedługo, pojedę do Burgundii, aby wyrównać rachunki. Jeśli Bóg jeszcze nie zdecydował o ich życiu, sama się tym zajmę. Zresztą, pozostał jeden winny: księżę Karol!

- Oszalałaś? Chcesz zadzierać z księciem, uważanym za potężniejszego od wszystkich innych? Tak ci zależy, żeby umrzeć jak twoja matka?

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Najpierw muszę się zemścić na nędzniku... - lub nędznicy - co kazał zabić mego ojca. To sprawa najważniejsza! Później przyjdzie kolej na innych.

Chiara zadrżała, jakby chłód śmierci wpadł nagle do tego eleganckiego i przytulnego gabinetu.

- Smutek sprowadza cię z właściwej drogi, Fioro! Zostaw wymierzenie sprawiedliwości tym, do których ono należy! Lorenzo Medyceusz nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić, by morderca pana Beltramiego pozostał bezkarny, możesz mu zaufać. A jeśli chodzi o tę nieszczęsną historię, od siedemnastu lat zatajoną w sercu twego ojca, lepiej zrobiłabyś myśląc o niej jak najmniej, i jestem pewna, że gdyby jeszcze żył...

- Zastanów się, co mówisz! Zapomniałaś o kuzynce Hieronimie? Czy sądzisz, że mając taką broń przeciwko mnie nie będzie chciała się nią posłużyć? Przed chwilą, jak ojciec, nie wyraziłam zgody na małżeństwo z jej synem... i słyszałaś, co mówiła.

- To prawda. Zapomniałam. Zostaje ci zatem tylko jedno wyjście. Dostrzegł je twój ojciec: powiedzieć o wszystkim Lorenzowi! Myślę, że ci pomoże.

Fiora wzięła aksamitną narzutę i ostrożnie zasłoniła nią portret...

- Posłucham twojej rady. Zaraz po pogrzebie poproszę Wspaniałego o audiencję.

Cała Florencja wyległa na ulice, kiedy nazajutrz Francesco Belframi, okryty białym całunem, opuścił swą siedzibę i udał się w ostatnią podróż na noszach, niesionych przez sześciu mężczyzn, najważniejszych w sztuce całimania. Orszak żałobny, zgodnie z prawem, był skromny: ciało poprzedzało

sześciu mnichów niosących świece, za którymi szło około dwudziestu sumiennych płaczków w prowizorycznie zszytych czarnych strojach. Za nimi kroczyła wysoka, ciemna postać Fiory w otoczeniu Leonardy i Chiary, a za nią służba i ci, którzy w różnych majątkach pracowali dla wielkiego kupca. Żadnej muzyki, żadnych śpiewów, tylko z szarego nieba, po którym pędziły chmury, przecinanego szybkim lotem jaskółek, spływał zgodny, żałobny dźwięk wszystkich florenckich dzwonów. Tak postanowił Wspaniały... Aby wszyscy mogli uczestniczyć w ceremonii religijnej, rozkazał również, by odbyła się ona w Duomo, zanim ciało zostanie przeniesione do kościoła Orsanmi-chele, gdzie zostanie pochowane.

Tłum, tłoczący się wokół drogi, był niejednorodny, ale wokół wspaniałego Baptysterium w okolicach wielobarwnej katedry zgromadzili się wszyscy najważniejsi w mieście ludzie: sztuki wyższe: calimala, wełna, jedwab, banki, prawnicy, aptekarze i kuśnierze, każda z własnym sztandarem; sztuki niższe: rzeźnicy, kowale, szewcy, cieśle, oberżyści, bednarze, sprzedawcy oliwy, soli i serów, płatnerze i wreszcie piekarze, tworzący najmniej cenniejszy, bo najdostępniejszy cech w mieście... W loggii de Bigallo, naprzeciw południowego wejścia do Baptysterium, stała w komplecie cała Signoria. U wejścia do Duomo, odziani w czarny aksamit, w asyście rodziny i przyjaciół, stali Lorenzo i Giuliano Medyceusze. Nie brakowało ani jednego poety, filozofa czy malarza! Byli tu Sandro Botticelli oraz Verocchio i jego uczniowie: Perugino, Leonardo da Vinci, oraz terminatorzy mieszający farby, czyszczący pędzle i troszczący się o zaopatrzenie ekipy. Był też... ale nie sposób wymienić wszystkich.

Kościół przedstawiał sobą wspaniały widok. Przed otwartymi szeroko wrotami katedry, w głębi której migotał las świec, złote kapy, purpurowe szaty, lśniące mitry biskupa i przeorów wielu klasztorów tworzyły bajeczny fresk, przywodzący na myśl niebywałą wspaniałość raj, ku któremu wznosiła się dusza Francesca Beltramiego.

Ze szczytu strzelistej kampanili, której wspaniałych barw nie mogła zgasić nawet panująca tego dnia szaruga, spływał dźwięk dzwonów. Wewnątrz kościoła rozbrzmiewał głęboki głos organów, do których dołączyć miał za chwilę, po wniesieniu zmarłego do sanktuarium, śpiew trzydziestu młodych kantorów.

Niosący trumnę ruszyli już w ślad za wchodzącym do środka klerem, kiedy nagle jakaś kobieta, spowita w czarne welony, wyrosła przed nimi szeroko rozłożywszy ramiona:

- Stójcie! Człowiek, którego wnosicie do tego świętego miejsca, umarł w stanie grzechu! Nie może przekroczyć tego progu, dopóki wszyscy nie poznają prawdy!

- Hieronima! - jęknęła Fiora. - Mój Boże, co ona chce zrobić?

- Domyślam się - szepnęła Leonarda. - W każdym razie nie brak jej tupetu! Przecież to, że pan Francesco zmarł bez spowiedzi jest zapewne jej sprawką!

- Jestem tego pewna! Niestety, nie mamy żadnego dowodu, aby ją oskarżyć, i ona o tym wie...

Tymczasem w tłumie powstało poruszenie i rozległ się pomruk, trudno powiedzieć co wyrażający - gniew czy zgorszenie. Kapitan Savaglio, idący

za Fiorą wzdłuż tłumu, rzucił się, by odepchnąć wicherzycielkę, choć energicznie broniła się wrzeszcząc:

- Nie zamkniecie mi ust! Trzeba uczynić zadość sprawiedliwości i położyć kres zgorzeniu!

- Uspokój się, kobieto, i zejź mi z drogi! - zagrział Savaglio. - Twoje zachowanie jest gorszące i świętokradcze! Jeśli jest tu ktoś, kto ma prawo domagać się sprawiedliwości, to jest nim ten zmarły, podle zakatrupiony...

W chwili gdy gestem wzywał na pomoc swych ludzi, zbliżył się do niego gonfalonier sprawiedliwości.

- Zostaw tę kobietę! Zgodnie z prawem, a poczytujemy je sobie za zaszczyt, w naszym mieście każdy obywatel ma prawo swobodnie się wyowiadać.

- Swobodnie, owszem, ale nie w każdej sytuacji!

- Takie jest również moje zdanie - odezwał się ochrypłym głosem Lorenzo Medyceusz, który z kolei wmieszał się do rozmowy. - Jesteśmy tu, by pożegnać jednego z nas, jednego z najlepszych, i twoje zachowanie jest niestosowne! Odejź, Hieronimo Pazzi. Jeśli chcesz złożyć skargę, wysłuchamy jej, ale później! Nie wolno kazać zmarłemu czekać przed domem bożym!

Hieronima wiedziała jednak dobrze, że wśród ludzi byli i tacy, którzy zazdrościli Franscescowi Beltramiemu i nienawidzili go, oraz że mówiąc o zgorzeniu obudziła niezdrową ciekawość zebranych. Krzyknęła najgłośniej jak umiała:

- Ten umarły jest moim krewnym. Mimo to zwracam się przeciwko niemu o sąd ludu, bo posłużył się kłamstwem i podstępem! Nie zasługuje

na otaczający go przepych. Zdradził Florencję i splamił godność obywatela naszej republiki, podając za swą córkę istotę urodzoną w najbardziej hańbiących okolicznościach!

- Czy zamilknieš?! - zagrzmiął Lorenzo. - Czy cnotliwe oburzenie, które wydaje mi się nieco spóźnione, jako że Fiora Beltrami była niemowlęciem, kiedy Francesco ją tu przywiózł, nie wynika raczej z wielkiej ochoty na przejęcie interesującego spadku?

- Odkryłam to oszustwo dopiero niedawno i...

- Brednie! Wszyscy wiemy, że donna Fiora narodziła się ze związku Francesca ze szlachetną francuską damą!

- Twierdzisz, że mówię brednie, a ja twierdę, że powtarzasz kłamstwa! Mój kuzyn Beltrami znalazł tę dziewczynę na zakrwawionym szafocie, na którym jej rodzice straceni zostali za podwójną zbrodnię kazirodztwa i cudzołóstwa!

Wrzasnęła tak głośno, że Lorenzo mimo woli odsunął się, jakby oddech tej kobiety niósł woń piekieł. Gonfalonier Petrucchi skorzytał z tego, by zabrać głos, świadom nieuchwytnej zmiany zachodzącej w świadomości zebranych, we florenckim tłumie, namiętym i niestałym, zdolnym wysłać wieczorem na szafot osobę rano jeszcze uwielbianą. Te nastroje były jak krótkie i szybkie fale, zrywające się nagle na spokojnym morzu, jak dreszcze zapowiadające gorączkę i zwiastujące burzę...

- Donno Hieronimo - powiedział - twoje oskarżenie jest poważne i rozumiesz, że Signoria nie może go przyjąć bez dowodów. Czy masz te dowody?

- Tak. Zdobyłam zeznania człowieka obecnego w Dijon, w Burgundii, w dniu podwójnej egzekucji, gdy mój kuzyn zaadoptował tę... tę nędznicę! Zresztą jest tutaj inny świadek: ta kobieta - dodała, wskazując palcem Leonardę -przywieszona przez niego, aby opiekowała się istotą, którą powinno się było raczej wrzucić do rynsztoka, niż ukrywać pod pięknym imieniem florentynki. Stoi tam, obok ciała mego nieszczęsnego kuzyna, szczycąc się mianem córki, które może zawdzięczać jedynie jakiejś diabelskiej machinacji. ..

Tym razem tłum zawrzał. Hieronima wiedziała, co robi mówiąc o uprawianiu czarów i z niedobłą satysfakcją poczuła, że wygrywa. Przy odrobinię szczęścia pospólstwo ogarnie gorączka, rzuci się na nienawistną Fiore, zasłaniającą teraz twarz rękami, by niczego już nie widzieć, i rozszarpie ją na kawałki... Jednakowoż Lorenzo, początkowo zaskoczony, nie zamierzał pozwolić, by kierowała nim histeryczna kobieta ani by o tym, jaka jest jego powinność, decydowali poddani, uznający jego władzę, gdyż dzięki niemu się bogacili. Poza tym od zawsze nienawidził Pazzich, obawiając się ich jak zarazy.

- Dosyć! - zawołał. - Powiedziałem już i powtarzam: podobna scena przed kościołem to skandal, pogrzeb człowieka zawsze szanowanego i podziwianego nie powinien stanowić pretekstu do wymierzania sprawiedliwości. Nawet jeśli Francesco Beltrami, być może w wyniku porywu serca, postąpił wbrew prawom naszego miasta, osądzimy to później... Na razie...

- Wybacz mi, proszę - przerwał Petrucchi - ale co masz na myśli mówiąc „później“?

- Myślę o chwili, gdy Francesco Beltrami spocznie w oczekującym go grobie.

- Zgadzasz się więc, by zaraz potem ta, którą zwiemy córką, guwer-nantka, oskarżycielka i jej świadek zostali zaprowadzeni do Signorii w celu przesłuchania i konfrontacji?

Wspaniały zawahał się. Jego ciemne oczy obieżyły grupę przyjaciół, strażników i wszystkie twarze wyrażające identyczne oczekiwanie. Zobaczył Fiorę we łzach, podtrzymywaną przez pobladłą Leonardę i Chiare Al-bizzi o oczach błyszczących z gniewu, ale zewsząd dobiegały okrzyki:

- Sprawiedliwości! Trzeba postąpić zgodnie z prawem! -a nawet, nie-stety - Śmierć czarownicy!

Wspaniały zrozumiał, że nic nie zyska, przeciwstawiając się prośbie gonfaloniera sprawiedliwości. Dobrze wiedział, iż władzę zawdzięcza woli większości i że sprawa tej miary byłaby świetnym pretekstem do buntu.

- Zgoda! - powiedział wreszcie. - Stanie się tak, jak stanowi prawo naszego miasta.

- W takim razie, strażnicy Signorii, pojmijcie te kobiety i zaprowadźcie do pałacu, gdzie oczekiwać będą na dalsze decyzje!

Zrozumiawszy natychmiast, że odebrane jej zostanie prawo do odpro-wadzenia ukochanego ojca na miejsce wiecznego spoczynku, Fiora zbun-towała się.

- Chcę - zawołała - być obecna na pogrzebie ojca! Był tym, co miałam na świecie najdroższego...

- Skoro nie był twoim ojcem - zaśmiał się szyderczo Petrucchi - nic tu po tobie!

- Zostałam adoptowana zgodnie z prawem ustanowionym przez Signorie.

- Zdaje się jednak, że na podstawie fałszywego oświadczenia. A my nie lubimy fałszywych oświadczeń!

- Możliwe. Jednakże przyjmujecie jak słowa Ewangelii oskarżenia kobiety, która jeszcze wczoraj prosiła mego ojca o zgodę na moje małżeństwo z jej synem! Hańba mego pochodzenia nie zdawała się jej zbyt przeszkadzać wobec majątku, który miała... nadal ma nadzieję uzyskać!

- Czy to prawda? - surowo zapytał Hieronimę Lorenzo.

- To kłamstwo! - wrzasnęła Hieronima. - Wierutne kłamstwo! Należę do szlacheckiej rodziny...

- Chciałaś, żebym weszła do twego domu jako synowa. Twoja ostatnia wizyta, w przeddzień śmierci mego ojca, odbyła się przy świadkach. Mimo pogroźek ojciec nie zgodził się wydać mnie za Pietra... a nazajutrz został zabity! Hieronima zawyła, jakby u jej stóp pojawił się wąż.

- Ośmielasz się mnie oskarżać, nędzna larwo? Wkrótce wrócisz do błota, z którego cię wyciągnięto!

- Nikogo nie oskarżam - powiedziała Fiora. - Nie moja wina, że wzięłaś to do siebie! Przyrowadź swego świadka! To Marino Betti, intendent w naszej posiadłości. Ojciec wierzył w jego wierność, obsypał go dobrodziejstwami, a on, jak głosi fama, został twoim kochankiem!

Wściekła, gotowa bić się przy wszystkich z tą podłą kobietą, obrzuciła błotem nieskalany całun jej ojca, Fiora zamierzała rzucić się na przeciwniczkę z pazurami, ale Lorenzo schwycił ją wpół i zmusił, by się uspokoiła.

- Gniew cię zaślepia, Fioro. Musisz teraz zrozumieć, że wszystko, co zostało tu powiedziane, jest niezwykle poważne i mimo najlepszych chęci nie możemy już pozostawić spraw ich własnemu biegowi. Stań dobrowolnie przed sądem priorów! Będę przy tym, możesz być pewna!

- A więc ty również odmawiasz mi prawa do pozostania przy nim aż do końca? - spytała z bólem, wskazując na ciało wciąż podtrzymywane na ramionach sześciu dostojników, jakby zamienili się w kamień.

- Pozwól, ja cię zastąpię! Kiedy wszystko wróci do normy, będziesz mogła modlić się na jego grobie, ile zechcesz...

Spojrzała mu prosto w oczy z ledwo widocznym uśmiechem.

- Czy po tym co tu usłyszałeś, panie Lorenzo, wciąż jeszcze pragniesz, bym poślubiła twego kuzyna? - szepnęła tak, by nie tylko on ją usłyszał. - Luca twierdzi, że mnie kocha... jednak zostawił mnie samą przed walką, od której *zależy* moje życie...

Fiora mówiła tak nie bez powodu. Dochodząc do Duomo zauważyła Lucę Tornabuoniego stojącego po lewej stronie Giuliana Medyceusza. Patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości, jednakże teraz zniknął. Lorenzo poszukał wzrokiem młodego człowieka i nie widząc go nagle się zaczerwienił:

- Wybacz mi - powiedział cicho. - Możliwe, że się pomyliłem... Być może nie było go tutaj.

- Nie umiesz kłamać, panie Lorenzo...

- Istotnie, był tutaj - odezwał się nagle spokojny głos Demetriososa, który pojawił się za Wspaniałym. - Widziałem jak nagle odszedł, kiedy ta kobieta

powiedziała o twoim pochodzeniu, donno Fioro. Przypomnił sobie, że jeden z jego koni jest cierpiący i wymaga opieki...

- Co więc robimy? - zniecierpliwił się Petrucchi. Fiora zwróciła się w jego stronę, przywoławszy do siebie

Leonardę.

- Każ nas zaprowadzić do Signorii... dostojny panie! Będę tam oczekiwała na decyzję szlachejnych priorów. Nie zapomnij jednak zażądać, by ta kobieta przedstawiła swego świadka!

Świadek nie znajdował się naturalnie zbyt daleko. Wszedł z tłumu ze wzrokiem wbitym w ziemię i stanął obok, jak mówiono, kochanki. Fiora zawołała do niego z sarkazmem:

- Nie boisz się, że duch mojego ojca będzie cię prześladować nocami, wierny Marino? Na twoim miejscu nie byłabym z siebie dumna...

Mężczyzna nie odpowiedział, wydawał się zamknięty w sobie. Lecz oto już strażnicy Signorii otaczali jego i Hieronimę oraz Fiorę i Leonardę. Duchowni, zdezorientowani niedawnymi zajściami, pojawili się ponownie przed kruch-tą, aby zająć miejsce na czele orszaku. Niosący trumnę z widocznym zmęczeniem ruszyli naprzód. Fiora, wsparta nieruchomo na ramieniu Leonardy, patrzyła jak w marmurowym portalu znika biała postać ojca, którego musiała pozostawić samego, odartego z jedynej prawdziwej miłości, jaką kiedykolwiek dane mu było w kimś wzbudzić.

Strażnik dowodzący żołnierzami czekał, aż kościół się wypełni, ale świątynia nie zdołała pomieścić ogromnego tłumu i zostawiono wrota otwarte. Fiorze, nie bez trudu, udało się odesłać Chiarę. Dziewczyna oburzona tym co zobaczyła i usłyszała zaciekle odmawiała opuszczenia przyja-

ciółki. Zażądała, by ją również doprowadzono do Signorii jako świadka i być może Fiorze nie udałoby się jej odesłać, gdyby jej wuj Giorgio Albizzi nie przyszedł po nią:

- Chodź! - rozkazał oschle. - Twoje miejsce jest gdzie indziej.

Fiora, mimo iż była dzielna, poczuła łyzy napływające do oczu wobec tego przejawu zimnej pogardy. Albizzi był przyjacielem Francesca, a jednak przy pierwszym oskarżeniu odsunął się, zabierając Fiorze jedną z najwierniejszych sojuszniczek. Przez wilgotną mgłę spoglądała za znikającą w tłumie zapłakaną twarzą przyjaciółki. Gapie patrzyli teraz z ciekawością, zastrzeżoną zazwyczaj dla dzikich zwierząt w klatce.

Fiora zapytała szorstko dowodzącego strażą:

- No i co? Na co czekasz, by nas zabrać?

Ta wspaniała istota zachowywała się tak władczo, że osłupiały żołnierz złapał się na tym, że odpowiedział:

- Tak jest!

Ruszyli poprzez rozstępujący się przed nimi tłum. Przez otwarte wrota Duomo wypadł przecinając powietrze burzliwy powiew *Requiem*.

Po chwili wahania większość zebranych ruszyła za nimi, uważając, że przyszłe wydarzenia będą znacznie ciekawsze od pogrzebu. Odległość z Duomo do Starego Pałacu, siedziby Signorii, mającego prawie dwieście lat, nie była duża i przez via Calzaiuoli szybko ją przebyto. Fiora, wsparta na ramieniu Leonardy, czuła narastanie absurdalnego przekonania, że opuściła świat przyjemny, miły i starannie urządzone dla innego - groźnego i obcego, pełnego wrogich twarzy i gardeł miotających obelgi. Wszyscy ci ludzie, jeszcze wczoraj witający ją komplementem, uśmiechem, czy nawet jakimś

wierszem, przekształcili się we wrogów; gdyby nie otaczający ją żołnierze, może chętnie by ją ukamienowali.

- Dlaczego - szepnęła Leonarda, starając się nie słyszeć obelg znaczących ich drogę - im nie powiedzieć, że już nie jesteś z tego miasta, pani, ale w wyniku małżeństwa jesteś szlachetną damą z naszej Burgundii?

- Ponieważ nie mam żadnego świadectwa zawarcia małżeństwa. Nie wiem, gdzie ojciec je schował.

- Ja wiem. Twój ojciec, w noc poprzedzającą jego śmierć, powiedział mi o wielu rzeczach...

- Z których może nie będziesz mogła zrobić użytku. Nie wiem nawet, co się z nami stanie, a o ciebie obawiam się najbardziej.

- Bo mogę opowiedzieć tę historię inaczej niżli Hieronima? Nie obawiaj się, pani, umiem się bronić. Ponadto szczerze wierzę, że możesz liczyć na pana Lorenza. Zdecydował się stanąć po twojej stronie w, imię naszego Francesca.

- I dlatego nie mogę ujawnić małżeństwa z Filipem. Ryzykowałabym utratę ostatniego, najpotężniejszego obrońcy. Może wiesz, pani, gdzie jest Khatoun? Nie widziałam jej, odkąd opuściliśmy dom...

- Pewnie jeszcze tam jest. Nie chciała uczestniczyć w pogrzebie pana Francesca, bo obawia się żałobnych obrządków prawie jak samej śmierci...

- To nawet lepiej. Wstrętna Hieronima, która nigdy nie była wystarczająco bogata, by kupić sobie niewolnicę, byłaby zdolna już jutro sprzedać ją na publicznej licytacji, albo co gorsza oskarżyć ją również o czary...

Przybyli na miejsce. Przed nowymi więźniarkami wznosiła się przytłaczająca sylwetka Palazzo Vecchio z występami z surowego kamienia, for-

tyfikacjami oraz wysoką i smukłą wieżą Arnolfa, przypominającą nieco nierozkwitłą lilię. Bramą otwartą przez giermków w zielonych strojach weszły na wąskie schody wiodące do Sali Rady, gdzie wkrótce miał się rozstrzygnąć los Fiory i tych, którzy pozostali jej wierni.

Przekraczając próg wielkiej sali, Leonarda przeżegnała się i Fiora prawie machinalnie zrobiła to samo. Teraz trzeba będzie walczyć aż do końca.

TLR



CZĘŚĆ DRUGA

KOSZMAR

TLR



ROZDZIAŁ SIÓDMY

GORZKI CHLEB

Cela była smutna i szara. Całe jej wyposażenie stanowiły: słomiany materac z dziurawym kocem, położony na dwóch drewnianych krzyżakach, krucyfiks na ścianie, której pierwotna biel ucierpiała z powodu wilgoci, stołek do siedzenia, drugi stołek, służący jako podstawka pod miskę, dwa szorstkie ręczniki oraz nocnik pod łóżkiem. Wnętrze tak bardzo przypominało więzienie, że Fiora odwróciła się, by zaprotestować, ale drzwi, przebite zakratowanym okienkiem, już się zamknęły i usłyszała obracający się w zamku klucz.

Posiedzenie w wielkiej sali Signorii było niesłychanie burzliwe. Przed priorami i gonfalonierem sprawiedliwości, tworzącymi rodzaj trybunału, Hieronima powtórzyła swoje oskarżenie, poparte przez Marina, który nie śmiąc podnieść oczu, doniósł, co zobaczył pewnego ponurego dnia w Dijon. Ale na swój zaprawiony żółcią sposób: Francesco Belframi zabił jakoby męża Marii de Brévailles, aby odebrać mu dziecko. Wtedy zabrała głos Leonarda. Nakreśliła wizerunek niewiarygodnie złego Régnaulda du Hame-la, co dodało blasku promiennemu obrazowi wyklętych młodych kochanków. Opowiedziała o wzruszeniu Francesca Beltramiego, jego gniewie

wywołanym decyzją zabicia kilkudniowego dziecka. Mówiła o starym księdzu, chrzcie Fiory w gospodzie „Złoty Krzyż” i staraniach podjętych przez florenckiego kupca. Próbował zagwarantować dziewczynce, którą od razu pokochał, przyszłość, jaką powinno się zapewnić wszystkim dzieciom przychodzącym na ten zbyt surowy dla nich świat. Miał zaufaie do Marina, który -mimo szczodrości Francesca - podle go zdradził dla kobiety hańbiącej się romansem z nim. Tak, Francesco chciał, aby dziecię jego serca było nim w oczach wszystkich, a oświadczając, że tak jest w istocie, skłamał tylko częściowo: czyż nie było ono naprawdę dzieckiem szlachetnie urodzonej damy?... Wreszcie, ta zręczna bestia, Leonarda Mercet -po raz pierwszy Fiora usłyszała nazwisko guwernantki -zakończyła przemowę wezwaniem, by na głowę wiarołomnego sługi spadły wszystkie gromy Pana i wszystkie przekleństwa niebios. Przepowiedziała mu bezsenne noce, dwanaście plag egipskich i na koniec wieczne potępienie -co dało jej osobistą satysfakcję ujrzenia, jak ten nędznik kuli się pod wpływem jej słów i traci kontenans, aby wreszcie paść na kolana.

Z kolei zabrał głos Lorenzo Medyceusz, broniąc gorąco zmarłego przyjaciela i niewinnej młodości jego córki z wyboru. Napiętnował chciwość donny Pazzi i to, że po odrzuceniu przez Fiozę propozycji małżeństwa z jej synem głośno domagała się osądzenia czynu nie krzywdzącego jej samej. Niestety, popełnił błąd, potępiając jednocześnie wszystkich nienawistnych mu Pazzich, i Petrucchi cierpko przywołał go do większego umiarkowania.

Dla Signorii, w której skład wchodziło wielu przyjaciół Medyceuszy, lecz również kilku ich wrogów, sprawa była niejasna i trudna do osądzenia. Tym bardziej że mieszał się do niej kler. w osobie opata klasztoru San

Marco. Jako dobry dominikanin, przeor zaciekle zwalczał Szatana i jego protegowanych. Dla bezkompromisowego mnicha dziecko zrodzone z kazi-rodczego i cudzołożnego związku nie mogło być niczym innym jak diabelskim pomiotem i nie mógł temu zaradzić żaden chrzest, a woda święcona stanowiła jedynie kolejne świętokradztwo.

Jego grzmiący głos zrobił wrażenie na „dostojnych panach”, z których wielu było ludźmi prostodusznymi. Fiora przez chwilę zastanawiała się z przerażeniem, czy nie szykowano dla niej stosu przed Palazzo Vecchio... Hieronima, ośmielona nieoczekiwaną pomocą, znowu ruszyła do ataku, ja-dowitsza niż kiedykolwiek, błagając priorów, aby nie pozwolili na dalsze trwanie pod niebem Florencji tego skandalu, mogącego ściągnąć na nią nie-szczęście i klątwy.

Tego już Fiora nie mogła znieść. Pałająca gniewem, stanęła przed nie-przyjaciółką i lodowatym głosem publicznie oskarżyła ją, że kazała zamor-dować kuzyna i chciała zguby jego córki, aby uzyskać bajeczny spadek. Wywołało to tumult, wrzawę, oszałamiający zamęt. Obrońcy jednej i dru-giej strony obrzucali się obelgami i niemal przeszli do rękoczynów. Petruc-chi musiał przywołać strażę, aby zaprowadzić nieco spokoju na sali, która, prawdę mówiąc, niejedno widziała od bohaterskich czasów gwelfów i gibe-linów. We Florencji bójki lubiano niemal tak samo jak zabawy, konne prze-jażdżki, wielkie procesje i sztuki piękne. Był to sposób na udowodnienie, że mimo potęgi Medyceuszy Florencja była jeszcze republiką.

Kiedy udało się zaprowadzić względną ciszę, priorzy, po krótkiej nara-dzie z Lorenzem, wreszcie podjęli decyzję. Wobec niemożności rozstrzy-gnięcia nietypowej sprawy, postanowili, że całość majątku zmarłego Fran-

cesca Beltramięgo zostanie wzięta pod sekwestr w oczekiwaniu na definitywny wyrok. Jednocześnie zarządzono mianowanie administratora, wybranego przez bank Medyceuszy, aby zapewnić ciągłość interesów zmarłego kupca i tym samym nie narażać na bezrobocie jego licznych pracowników. Co do Fiory, która rzuciła oskarżenie nie mając dowodów, stwierdzono, że powinna podlegać karze więzienia, jak dał jej to do zrozumienia Lorenzo, marszcząc brwi. Mimo tego ostrzeżenia posunęła się za daleko, i Wspaniała, mimo swych wpływów, miałaby kłopot z wyciągnięciem jej z tego, gdyby przyrzy zdecydowali się zastosować prawo z całą surowością. Na sali zapanowała niepewność, nie trwająca jednak długo. Opat z San Marco wznowił oskarżenia, popychając przed sobą jakiegoś mnicha, noszącego jak on biały habit, czarny szkaplerz i srebrny krzyż dominikanów.

- Pozwólcie, dostojni panowie - powiedział przez nos -że przedstawię wam brata Ignacia Orteę, pochodzącego z naszego zgromadzenia w Valladolid w Kastylii. Podróżował po chrześcijańskim świecie jak kiedyś nasz święty fundator, aby głosić Ewangelię i tropić zasadzki Szatana. Fray Ignacio, będąc specem w dziedzinie diabelskich sprawek, pragnie zaproponować wam rozwiązanie, mogące zadowolić wszystkich...

Nowo przybyły był mężczyzną w średnim wieku, wysokim i lekko zgarbionym. Był prawie łysy, a jego wysokie, wypukłe czoło dominowało nad niskim łukiem brwi. Miał potężny nos, surowe usta i oczy, których wyrazu nie można było dostrzec za przymkniętymi powiekami. Jego obecność miała w sobie coś przytłaczającego i ponurego, co wszyscy odczuli w mniejszym lub w większym stopniu. Poproszony o zabranie głosu, wystąpił

z rękami głęboko schowanymi w szerokich białych rękawach; skłonił się jak człowiek czujący swą wyższość nad obecnymi i czekał.

- Witamy cię więc podwójnie serdecznie, Fray Ignacio -rzekł najstarszy z priorów, pełniący funkcję przewodniczącego. - Słuchamy cię z szacunkiem.

Przybysz spojrział najpierw na Hieronimę, później na Fiore, na której twarzy zatrzymał na chwilę wzrok, po czym w płynnym dialekcie toskańskim, dziwnie jednak ostrym w jego ustach, powiedział:

- Te kobiety za bardzo się nienawidzą, aby można było wydobyć z nich prawdę, lecz istnieje sposób jej wykrycia w sposób oczywisty. Proponuję odwołać się do sądu bożego. Poddajmy obie próbie wody! Zapanowała głęboka cisza. We Florencji, gdzie niezależność myślenia i idee filozofii greckiej zdobyły takie wpływy, że często niepokoiły Kościół, nie stosowano ordaliów, uważanych za praktyki z innego stulecia. Zaraz zresztą Lorenzo zaprotestował. Widząc jego zirytowane spojrzenie, wszyscy mogli stwierdzić, że hiszpański mnich przypadł mu do gustu nie bardziej niż jego słowa:

- Czy nie moglibyśmy, zanim dojdziemy do tej ostateczności, obdarzyć pewnym zaufaniem ludzi ponoszących odpowiedzialność za porządek i sprawiedliwość w tym mieście: naszych sędziów, bargella*¹² i gonfaloniera Petrucchio? Uważam, że są w stanie ujawnić mordercę Francesca Beltramiego... albo morderców, jeśli to był tylko wykonawca.

¹² *Szef policji

To pochlebstwo rozładowało atmosferę, gdyż priorzy poczuli się usatysfakcjonowani, że podkreśla się ich zalety, tak jak na to zasługiwały. Lorenzo, zachęcony ich wyrażającym aprobatę potakiwaniem, zamierzał mówić dalej, aby wykorzystać swoją przewagę, ale nagle Hieronima ukłękła przed bratem Ignaciem.

- Jeśli o mnie chodzi, gotowa jestem poddać się sądowi Najwyższego i sądzę, wielebny ojcze, że masz całkowitą rację. Tylko Bóg może mnie oczyścić z hańbiącego zarzutu, który nie zaskakuje mnie jednak w ustach tej kreatury!

Fiora straciła oddech ze zdumienia wobec bezczelności nędznicy. Czyżby wzgardziła Bogiem do tego stopnia, by brać Go na współnika swej zbrodni? Podniósłszy się, Hieronima z triumfem zwróciła się do niej:

- Twoja kolej, ty nic niewarta dziewczyno! Co masz do powiedzenia?

W ten sposób wezwana Fiora łagodnie odepchnęła usiłującą ją zatrzymać Leonardę, podeszła spokojnie, lecz zamiast przed cudzoziemskim mnichem, ukłękła przed Signorią:

- Ja również zgadzam się poddać sądowi bożemu i głośno powtarzam moje oskarżenie: mój ojciec, którego mi nikt nie przeszkodzi tak nazywać, został zabity z rozkazu tej kobiety. Dziękuję czcigodnemu bratu Ignaciowi, że pozwoli mi w ten sposób dostarczyć brakującego dowodu.

Nagle ogarnął ją wielki spokój. Oczywiście wiedziała, że akceptując or-dalia, zgadzała się na niemal pewną śmierć. Za dwa lub trzy dni, w koszuli i mocno skrępowana sznurami uniemożliwiającymi jakikolwiek ruch, zostanie wrzucona do Arno w porze przyływu, z niewielką szansą wypłynięcia na powierzchnię; przynajmniej będzie mogła połączyć się z ojcem w innym

życiu, bo obecne już jej nie pociągało. Jedyna osoba zdolna ją obronić odeszła: ukochany znieważył ją, porzucił bezpowrotnie. Całe miasto, które jeszcze wczoraj uśmiechało się do niej i przypochlebiało jej, obróciło się przeciwko niej z tą okrutną radością, jaką ludzie przeciętni witają upadek istoty dotąd uprzywilejowanej. Pocieszała się jednym: umrze, zgoda, ale Hieronima podzieli jej los. Chyba że... w podstępnym umyśle kuzynka uknuła jakiś sposób, aby uchronić się od utonięcia. Ale jaki?

Wspaniały najwidoczniej zadawał sobie to samo pytanie. Nie spuszczał Hieronimy z oka i podobnie jak Fiora, nie rozumiał, co też mogło popchnąć tę kobietę do uchwycenia się propozycji hiszpańskiego mnicha jak jakiejś wyjątkowej szansy? Z powodu zgody obu kobiet na sąd boży znowu wybuchła wrzawa. Wszyscy mówili jednocześnie i trudno było zaprowadzić porządek. Tylko Lorenzo i dwaj mnisi czekali nieporuszeni, aż zgiełk ucichnie. Wreszcie członkowie Signorii doszli do porozumienia, że po upływie trzech dni obie kobiety zostaną wywiezione na środek rzeki w osobnych łodziach i wrzucone do wody przez kata, po uprzedniej spowiedzi i wysłuchaniu mszy. Decyzja Signorii zależeć będzie, rzecz jasna, od wyniku próby. Tymczasem zaprowadzone zostaną do klasztoru dominikanek Santa Lucia, by mogły oddać się rozmyślaniom i modlitwie do dnia sądu.

Fiora ukryła rozczarowanie. Miała nadzieję, że pozwolą jej czekać na ostatnią chwilę w domu, w swojskim otoczeniu, ale nawet tego jej odmówiono. Jak w przypadku jej ojca, podróż podjęta rano miała być ostatnią... Doprawdy, Bóg był czasami bardzo okrutny i młoda kobieta nie miała żadnej nadziei na zbawczy cud.

Ze łzami w oczach ucałowała rozpaczliwie szlochającą Leonardę, której nie zezwolono na towarzyszenie wychowanemu przez nią dziecku. Guwernantka uzyskała jedynie pozwolenie na przebywanie w pałacu Beltramiego aż do rozstrzygnięcia próby. Wtedy miano zadecydować o jej losie.

- Nie obawiaj się - szepnął Lorenzo Medyceusz - któremu udało się zbliżyć do Fiory, zaopiekuję się nią, jeśli...

Nie śmiał dokończyć zdania, że przy swym sceptycyzmie nie oczekiwał wiele po interwencji niebios.

- ... i wezmę ją do swego domu - dokończył. Ale Leonarda miała na ten temat inne zdanie.

- Jeśli pozwolisz, panie, aby moje dziecko straciło życie w wyniku tego głupiego sądu - oświadczyła po francusku - nie zostanę ani chwili dłużej w tym niegodziwym mieście i aż do końca mych dni modlić się będę, aby Bóg zesłał na nie wszelkie nieszczęścia!

- Poczekajmy najpierw na wynik jego sądu... - westchnął nieustraszony Lorenzo.

Żołnierze szykowali się już, aby poprowadzić obie przeciwniczki do klasztoru. Po raz ostatni Fioreta uściskała trzymającą się jej kurczowo Leonardę.

- Dbaj o mój dom i domowników. Opiekuj się Khatoun. Jest bezbronna jak kocię...

Na zewnątrz zebrał się tłum, który, nie wiadomo jakim sposobem, wiedział już o wszystkim. Długie oczekiwanie sprawiło, że był jeszcze bardziej wzburzony niż w czasie pogrzebu Beltramiego; wśród drwin, a nawet obelg, kobiety dotarły do klasztoru w pobliżu bramy San Niccolo. Podczas

tego okropnego przemarszu Fiora nie dostrzegła jednej przyjaznej twarzy. W kącie loggii dei Priori ujrzała wysoką sylwetkę Demetriosą Lascarisa, który odprowadził ją wzrokiem tak długo, jak to było możliwe, ale nie uczynił najmniejszego znaczącego gestu. Fiora, przypomniawszy sobie pomoc, którą jej proponował, gdy wcale tego nie potrzebowała, pomyślała, że ten mężczyzna, choć cudzoziemiec, był taki sam jak wszyscy: troszczył się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Zresztą, nie miał naprawdę żadnego powodu, by szczególnie się nią interesować... Co nie zmieniało faktu, że to ostatnie rozczarowanie było dla Fiory szczególnie przykre. Kiedy zamknęła się za nią ciężka brama klasztoru Santa Lucia, miała wrażenie, że zstąpiła do grobu...

Siedząc na nędznym posłaniu, Fiora przeżywała wciąż od nowa wydarzenia tego strasznego dnia. Czowała się zmęczona i obolała, jakby obito ją kijem. Ta cęła stanowiła ostateczne rozczarowanie. Wiedziała z wcześniejszych wielokrotnych tu pobytów z Chiarą (której daleką kuzynką była przeorysza, matka Maddalena degli Angeli), że siostry i damy szukające schronienia w klasztorze dysponowały pokoikami pozbawionymi wprawdzie wygód, ale niezwykle czystymi, ozdobionymi świętymi obrazkami i z widokiem na wirydarz z kwitnącym ogrodem pośrodku. Wąskie, zakratowane okienko jej celi wychodziło na boczne podwórze ze śmietnikiem i latrynami. Pochodzący od nich smród był trudny do zniesienia i z dwojga złęgo Fiora wolałaby zamknięcie w prawdziwym więzieniu, gdyż umieszczenie jej w tym ohydnyim miejscu dobitnie świadczyło o braku szacunku.

Ostatnie złudzenia, jeśli jeszcze je miała, ulotniły się, gdy o zmroku siostra serwitorka przyniosła jej kromkę czerstwego chleba, dzbanek wody i

miszkę kapuśniaku, w którym pływał kawałek zjełczałej słoniny. Fiora odepchnęła miszkę ze wstrętem:

- Kuchnia klasztorna nie poczyniła postępów od mojej ostatniej wizyty - zadrwiła. - Myślałam, że mam prawo do innego traktowania?

- Widzicie, jaka księżniczka! - zawołała siostra, dziewczyna o czerwonej, wąsatej twarzy. - Matka przełożona jest bardzo uprzejma, zgadzając się przyjąć i żywić taką diabelską córkę jak ty! Powinnaś jej za to podziękować na kolanach.

- Aha! Więc teraz jestem diabelską córką? A przecież zostałam ochrzczona. Kiedy tu przychodziłam, nie szczędzono mi pochlebstw i słodkich słówek jako córce bogatego Francesca Beltramiego. A teraz powinnam na kolanach dziękować za zupę, której nie chciałyby świnię? Idź powiedzieć matce przełożonej, że pragnę z nią mówić!

- Nie tak łatwo dostać się do matki przełożonej! Poszła do kaplicy, by połączyć się w modlitwie z tą świętą kobietą przyslaną do nas razem z tobą, i która będzie cierpiała z twojej winy

Nazwanie Hieronimy świętą kobietą było szczytem wszystkiego! Fiora spojrzała na zakonnicę z jawnym wstrętem i wzruszyła ramionami.

- Czy ja nie mam prawa również się modlić? Zaprowadź mnie do kaplicy!

- Czarownice zawsze udają, że są bardziej katolickie niż papież. Nasze siostry nie chcą zostać zbrukane twoją obecnością, więc jeśli chcesz się modlić...

Grubym, drżącym z gniewu palcem wskazała wiszący na ścianie krzyż.

- Możesz to zrobić tutaj! Nasz Pan jest wszędzie, ale oczywiście takie jak ty umieją się modlić tylko na aksamitnych poduszkach, wśród woni kadzideł...

- Wynoś się - powiedziała Fiora ze znużeniem - i zabierz tę wstrętną zupe. Wystarczą mi chleb i woda.

Ze złym uśmieszkiem siostra upuściła miskę, która rozbiła się ochlapując czarną suknię Fiory.

- Powiem, że ty to zrobiłaś - powiedziała złośliwie. - Mam nadzieję, że zostaniesz wychłostana!

- Nie radzę twoim siostrom tego robić, bo inaczej za trzy dni, kiedy stanę przed Signorią, powiem, jak byłam traktowana przez osoby, którym mnie powierzono. Zresztą i tak to zrobię. Opowiem jak różnie traktowano mnie i kobietę, która zabiła mego ojca. Byłabym zaskoczona, gdyby pan Lorenzo był z tego zadowolony.

Siostra wyszła, trzasnąwszy drzwiami, nie zapominając jednak dokładnie ich zamknąć. Pozostawszy sama, Fiora usiadła na łóżku. Była zdecydowana umrzeć, ale czy jej ostatnie dni musiały upłynąć wśród brzydoty, brudu i podłości? Czy świadomość nadchodzącej śmierci nie jest wystarczająco ciężka, gdy się ma zaledwie siedemnaście lat?

Choć starała się oderwać od dóbr tego świata, jej natura pozostawała żywotna i domagała się swego. W^rgryzła się więc łapczywie w chleb, niezbyt twardy, i wypila kilka łyków czystej, chłodnej wody. Poczula się nieco mniej nieszczęśliwa, lecz było jej zimno. Okno było tylko otworem w ścianie i żadna szyba nie chroniła celi przed chłodem z zewnątrz. Deszcz, który zaczął padać w chwili jej przybycia do klasztoru, uderzał teraz wściekłymi

porywami, miotany gwałtownym, północnym wiatrem. Przenikał do więziennej - bo tak ją trzeba nazwać - celi, powiększając kałużę tłustej wody z rozbitej miski.

Fiora miała ochotę pozbierać szczątki naczyń i jedzenia, zanieczyszczające podłogę, ale powstrzymała ją duma. Nie do niej należało wykonanie pracy służącej. Zamierzała chronić swą godność, na ile było to możliwe. Po ordaliach stanie się to, co spodoba się Opatrzności, nie wykazującej zbyt wielkiego zainteresowania jej osobą. Ale jednego była pewna: będzie walczyć o sprawiedliwość, póki jej starczy sił.

Isokrates napisał: „Nie należy tracić odwagi, kiedy w słusznej sprawie trzeba stawić czoło niebezpieczeństwu”. Wspomnienie tego zdania podniosło ją na duchu. Drodzy jej filozofowie greccy zawsze wiedzieli, co trzeba powiedzieć, i znacznie lepiej pasowali do jej wojowniczego usposobienia niż pełne rezygnacji zasady Ewangelii. Platon mówił, że należy nie odwracając się uciekać przed złymi ludźmi, gdy tymczasem Chrystus polecał kochać bliźniego swego jak siebie samego. Fiora nie była w stanie żywić do Hieronimy siostrzanych uczuć. Jeśli ma umrzeć za trzy dni, umrze nienawidząc i nigdy nie umiałaby przebaczyć, jak nie przebaczyłaby nigdy prześladowcom swej matki, lub człowiekowi, który z przywiązania do swego księcia wyrządził jej tyle zła.

Łagodne dźwięki dzwonu na Anioł Pański spływały na jej zbuntowaną duszę nie przynosząc uspokojenia. Fiora nie miała nawet ochoty modlić się, ponieważ było jej zimno, zawinęła się więc w koc i próbowała zasnąć. Zmęczone ciało domagało się spoczynku: w kilka chwil po zamknięciu oczu głęboko spała.

Zapewne w wyniku strachu przed oczekującym ją sądem, pogrzyła się w sennym koszmarze. Ujrzała się stojącą bosą i w koszuli na brzegu wzburzonej, cuchnącej siarką rzeki, mało przypominającej znajome fale. Na drugim brzegu stał Filip de Selongey: wyciągał do niej ramiona i wołał ją. Chciała rzucić się w jego stronę, ale przytrzymały ją więzy, coraz liczniejsze, coraz cięższe sznury, ciągle wiązane przez okrutne ręce. A Filip wciąż nawoływał... Popchniętą gwałtownie, pochłania woda. Udało się jej wypłynąć na powierzchnię i fale ją unosiły, ale na drugim brzegu Filip śmiał się z niesłychanych wysiłków, które czyniła, by do niego dopłynąć. Podał rękę podchodzącej do niego kobiecie bez twarzy, o której jednak Fiora wiedziała, że jest bardzo piękna. Śmiali się oboje, a później odwrócili się i odeszli objęci. Fiora próbowała krzyknąć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust, wypełnianych się wodą.

Obudziło ją potrząśnięcie. Jeszcze dysząc w wyniku złego snu usiadła. Dniało. Przy jej łóżku stała zakonnica, ale nie serwitorka, lecz wysoka szczupła i nienagannie ubrana siostra. W wąskim owalu otoczonym przez biały barbet widać było twarz w nieokreślonym wieku, nie pozbawioną pewnego piękna, wynikającego z regularności rysów, lecz bez śladów jakiegokolwiek słodyczy, która łagodziłaby ich surowość...

- Wstań - rozkazała dominikanka - i chodź ze mną! Fiora machinalnie usłuchała, a gdy wyszły, zobaczyła, że gruba siostra, poznana poprzedniego dnia, myje na kolanach posadzkę. Kiedy przechodziły obok, podniosła głowę i splunęła z taką nienawiścią, że Fiorą wstrząsnął dreszcz.

- Dokąd mnie prowadzisz? - spytała Fiora, ale nie otrzymała odpowiedzi. Wysoka, białoczarne postać szła przed nią krokiem tak posuwistym,

że powodował tylko lekki ruch sukni; młoda kobieta odniosła wrażenie, że podąża za duchem. Przeszły kilka korytarzy, minęły słabo oświetloną kaplicę, z której dobiegały zestrojone głosy siostr śpiewających podczas porannego nabożeństwa i dotarły do znajomej Fiorze klauzury. Tam przewodniczka otworzyła przed nią drzwi celi znajdującej się w kącie najodleglejszym od kaplicy:

- By ci oszczędzić grzechu donosicielstwa, wielebna matka postanowiła umieścić cię tutaj, aż do dnia sądu. Oczywiście, nie będziesz stąd wychodzić, ale na posianiu znajdziesz czyste ubranie w miejsce twojej brudnej sukni...

- Podziękuj ode mnie wielebnej matce - szepnęła Fiora i dodała: - Mogę również mieć nadzieję na udział w nabożeństwie?

- Nie żądaj zbyt wiele! Żadna z naszych siostr nie chce się do ciebie zbliżyć i wyjdiesz stąd dopiero na ordalia. Okaż skruchę!

- Z jakiego powodu?

- Jeśli ty nie wiesz, wie to Bóg! Myślę jednak, że dobrze wiesz. To wielki grzech oskarżyć niewinną osobę!

- Niewinną? Cóż ty o tym wiesz?

- Biedna kobieta! Wystarczy spojrzeć, jak leży krzyżem w naszej kaplicy, modląc się ze łzami i błagając, by światłość spłynęła wreszcie na twoje zatwardziałe serce; chcąc upewnić się, że jej dusza jest zupełnie czysta...

- Modli się za mnie? - spytała Fiora ze zdumieniem.

- Nie robi nic innego. Dlatego mówię: okaż skruchę! Po tym ostatnim wezwaniu zakonnica wyszła i zamknęła drzwi nowej celi równie starannie jak serwitorka, zostawiając Fiorę w gniewie i z uczuciem obrzydzenia.

Nigdy nie przypuszczała, że hipokryzja Hieronimy może osiągnąć takie szczyty. Szukała wokół siebie czegoś, na czym mogłaby wyładować wściekłość, lecz nowa cela, choć wygodniejsza i czystsza, była równie skromnie wyposażona jak poprzednia.

Jeden z kątów zajmowało łóżko, prawdziwe łóżko, choć wąskie jak koka, z cienkimi kolumnienkami i białymi firankami, leżał na nim habit i biały welon nowicjuszek. Były dwa stołki i mały kuferek, na którym umieszczono dzbanek na wodę i miednicę. Nad kuferekiem nieznana ręka, zainspirowana dziełem FraAngelica u dominikanów w San Marco, nakreśliła bardziej nieudolnie niż on śmierć świętej Łucji przed prefektem Syrakuz, Paschasiuszem. Męczennica klęcząc patrzyła w niebo, przeraźliwie zezując, a stojący przy niej kat podrzynał jej gardło, z którego tryskała struga krwi, namalowana złotą farbą dla podkreślenia, jak bardzo była cenna. Fiora wiedziała, że życie świętej przedstawione w serii fresków ozdobiło niektóre cele zakonne, w innych zaś opowiadano życie Chrystusa i świętej Agaty, na której grobie na Łucję spłynęła łaska.

Powodowana ciekawością, wiedząc, że siostry ślubowały ubóstwo, Fiora zdjęła przybory toaletowe i otworzyła kuferek, ale wnet go zatrzasnęła z dreszczem obrzydzenia: zawierał bowiem dyscyplinę, pas z żelaznymi okuciami i włosiennicę, przeznaczone do umartwiania ciała i pokuty za grzeszne myśli... Zastanawiała się, czy wszystkie cele zawierają podobne przyrzędy i w wyniku takiej dewiacji kobiety uważające się za poślubione Bogu słodczy, miłości i miłosierdzia posuwają się do stosowania takich środków. Jakie zranione miłości lub stłumione namiętności spowodować mogły uciekanie się do fizycznego bólu dla zatarcia wspomnień? Czy miłość, jaką

poznała w ramionach Filipa, pozostawiała tak nieznosne ślady? Czy może w przypadku tych, które wstąpiły do klasztoru jako dziewice, był to wyraz żalu, że niczego podobnego nie zaznały?

Fiora niczego nie żałowała. Gdyby dane jej było przeżyć ordalia, nie próbowałaby nigdy zastosować dyscypliny czy włosienicy, aby wygnać wspomnienie zaznanych pieszczot. Jej dziwny mąż chciał tylko jednej miłosnej nocy i dał jej tę noc, noc niezapomnianą. Nigdy nie będzie usiłowała zatrzeć wspomnienia o niej, przeciwnie. Jeśli chciała zemsty, to przede wszystkim za metody użyte dla uzyskania tej nocy... i sumki w złocie jako jej konsekwencji. Za to, że Filip nie zawahał się obudzić miłości młodej dziewczyny wiedząc, że zdobywszy ją porzuci na zawsze. Załatwił interesy swego władcy, zaspokajając jednocześnie własne pożądanie. Natomiast w bajkę, że chciał z tego powodu umrzeć, Fiora nie wierzyła. Pan de Selongey za bardzo kochał życie, by myśleć o jego utracie. Był zbyt dobrym kochankiem, żeby na zawsze zrezygnować z miłości... Będzie obdarzał inne kobiety pocałunkami i pieszczotami... Choć ta myśl powodowała, że zaciskała zęby w besilnym gniewie - Fiora jej nie odrzucała. Sądząc z faktu jak sprytnie umiał pokierować zręcznym kupcem, przypuszczać należy, że nie obciąża siebie sumienia wspomnieniami o małżeństwie, nawet tak hańbiącym. Tak łatwo było zapomnieć tę, którą z beztroską skazał na powolne usychanie bez męża, bez dzieci, w jałowym przepychu florenckiego pałacu. Zapewne przez długi czas nic nie będzie wiedzieć o tragicznym losie efemerycznej hrabiny de Selongey, a może nie pozna go nigdy...

Nagle młodej kobiecie, rozgorączkowanej z gniewu i bezsilności, przyszedł do głowy pomysł: być może został jej sposób, jeden jedyny, by obró-

cić wniwecz intrygę małżonka: Filip odebrał jej królewski posag w formie weksla do realizacji w banku Fuggerów w Augsburgu i być może jeszcze nie podjął pieniędzy. Za dwa dni, zanim ją wprowadzą związaną do łodzi, ujawni w obecności Medyceuszy to obrażające ich małżeństwo. Poprosi, by jeśli nie jest za późno, nie realizowano weksla. W ten sposób zemści się jednocześnie na Filipie i na tym Zuchwałym, dla którego ośmielił się ją poświęcić! Będzie mogła umrzeć w spokoju!

Bóg jeden jednak wiedział, jakie przerażenie czuła na myśl o śmierci. Rodzaj stanu łaski, jakiego zaznała w chwili, gdy w ślad za Hieronima postanowiła poddać się sądowi bożemu, ulotnił się bez śladu. Teraz stanęła twarzą w twarz ze sobą: siedemnastoletnią dziewczyną, tryskającą zdrowiem i, jak mówiono, piękną. Ogromnie chciała żyć, oddychać świeżym wiosennym powietrzem, czuć pieszczotę słońca na skórze, śmiać się z przyjaciółką-rówieśnicą, czytać piękne książki, słuchać akordów lutni i śpiewu poetów... kochać, nawet jeśli dla niej słowo to oznaczało nienawidzić. Na pewno nie chciała gnić powoli na dnie poźółkłej od zimowego mułu rzeki, przepływającej pod oknem jej sypialni... Nagle z serca na wargi spłynęła jej modlitwa.

- Panie, jeśli mam rację, spraw żebym nie umarła!

Jakby chcąc udowodnić sobie, że wciąż jeszcze żyje, poddała się ogarniającej ją potrzebie działania, nawet jeśli ciasnota celi nie pozwalała jej na wiele. Nalała wody do miednicy, zdjęła, a raczej zerwała cienką, czarną suknię cuchnącą kapustą i umyła się względnie starannie. Nie było to wcale łatwe przy użyciu tak małej ilości wody i zwykłego mydła z łoju i popiołu drzewnego, które miało niewiele wspólnego ze wspaniałymi, pachnącymi

pastami sprowadzanymi przez aptekarza Landucciego z Wenecji, ale ablu-
cje podniosły ją na duchu. Następnie znalezionym grzebieniem rozczesła i
długo wygładzała gęste, ciemne włosy, w których pozostał lekki zapach
drogich perfum, wtartych przez Khatoun przy czesaniu. Nie była z tego za-
adowolona, bo nie należało przywoływać obrazów przyjemnej przeszłości,
więc starając się myśleć o czymś innym zaplotła włosy w gruby warkocz i
opuściła go na lewe ramię. Wreszcie założyła przygotowany dla niej biały
strój. Suknia z wełnianej materii, tkanej w klasztorze, była szorstka, ale
przynajmniej idealnie czysta i ostatecznie dość przyjemna w noszeniu.

Dźwięk dzwonów zwabił Fiore do okna wychodzącego na arkady wiry-
darza. Zobaczyła długą, czarno-białą procesję zakonnicych udających się do
kaplicy. Stapały cicho w sandałach z plecionego sznurka. Żadna nie zwró-
ciła głowy w jej stronę, aż znikły za drzwiami kaplicy, intonując *Veni Cre-
ator...*

Echo ich głosów trwało nawet po zamknięciu drzwi. Fiora została przy
oknie nasłuchując i przyglądając się czystej świeżości wewnętrznego ogro-
du, obsadzonego drzewami laurowymi, cytrynowymi i cisami otaczającymi
obramowane bukszpanem grządki, na których siostry uprawiały rośliny
lecnicze. Pośrodku znajdowała się kamienna misa z małym wodotryskiem,
z której piły ptaki. Był to obraz tak piękny, uspokajający i słodki, że Fiora
kontemplowała go przez dłuższą chwilę. Był to zapewne jeden z ostatnich
widoków, jakie mogła podziwiać, ale przynajmniej nasyci oczy pięknem,
aż do końca. Później pozostanie jej już tylko wznieść je ku niebu i za-
mknąć... na zawsze. Ale, rzecz dziwna, im bardziej Fiora próbowała pogo-
dzić się z losem, tym mniej jej się to udawało.

Dzień był długi. Spędziła go niemal wyłącznie na obserwowaniu ogrodu i lotu gołębi. Widok ten stracił wiele ze swego uroku, gdy zobaczyła Hieronimę, wciąż w żałobnych draperiach, spacerującą pod ramię z matką Madaleną, jakby się znały od dawna... I nagle przypomniała sobie, co powiedziała Chiara w czasie jednej z wizyt: przełożona dominikanek była wprawdzie kuzynką Albizzich, ale jej matka pochodziła z rodu Pazzich. To właśnie w tym pokrewieństwie upatrywać należało przyczyn pobłażliwego traktowania, jakim cieszyła się jej przeciwniczka. Należała nadal do florenckiej szlachty, podczas gdy Fiorze odmawiano prawa do miana córki Francesca Beltramiego. Jedną przyjmowano jak przyjaciółkę, a w drugiej widziano tylko więźniarkę.

Jednakże groźba publicznego ujawnienia niegodnego traktowania, z jakim się spotkała, przyniosła owoce nie tylko w postaci zmiany pokoju. Kiedy w południe przyniesiono posiłek, nie był on wprawdzie wystawny, ale całkiem przyzwoity: klopsiki, kluski, kromka białego chleba. Tylko woda była taka sama... Fiora pochłonęła wszystko myśląc, że głód nie jest dobrym towarzyszem w walce i że lepiej jest się bić będąc w pełni sił. Myśl ta towarzyszyła jej przez resztę dnia, ale kiedy zapadł wieczór, znów pojawił się strach. Tak dobrze byłoby mieć teraz przy sobie jakąś przyjaciółkę, by się jej zwierzyć. W klasztorze, gdzie jeszcze niedawno uśmiechano się do niej, żadna twarz nie chciała zwrócić się w jej stronę. Gorzej: nikt nie chciał nawet się do niej zbliżyć.

Siostry znowu były w kaplicy, by śpiewać kompleta, ostatnie wieczorne nabożeństwo, kiedy nagle ta sama zakonnica, która przyszła po nią rano,

pojawiła się znowu, równie zimna i pełna dystansu, trzymając w dłoni świecę.

- Załóż na głowę ten welon! - rozkazała wskazując białą materię, którą Fiora nie uznała za stosowne się okryć – i chodź ze mną!

- Dokąd idziemy?

- Zobaczysz! Ale bądź mniej arogancka! Tam gdzie cię zaprowadzę, należy zachowywać się skromnie, nie patrzeć hardo i nie zadzierać nosa do góry!

- Od najwcześniejszego dzieciństwa uczono mnie trzymać głowę prosto... w każdych okolicznościach!

Zakonnica wzruszyła ramionami, wyszła z celi i ruszyła galerią wirydarza, przeciwległą do tej, która prowadziła do kaplicy. Fiora szła za nią. Przeciąg kładł płomień świecy, zresztą zbędnej: noc spowijająca wewnętrzny ogród była wystarczająco jasna, by odnaleźć drogę. Fiora, pozostająca od rana w zamknięciu, z rozkoszą oddychała wonią świeżości. Nie szły jednak daleko: jedynie na drugą stronę wirydarza. Siostra otworzyła drzwi i wpuściła swą towarzyszkę. Dwie kobiety znalazły się na progu dość dużej sali o romańskim sklepieniu, wspartym na ciężkich, okrągłych filarach. Za stołem oświetlonym pięcioramiennym świecznikiem siedziały dwie osoby, nieruchome w czarno-białych fałdach niemal identycznych szat: matka Maddalena degli Angeli i hiszpański mnich z San Marco: fray Ignacio Ortega.

- Dziękuję, sostro Prisco! - powiedziała przeorysza. - A ty, Fioro, zbliż się. Obecny tu nasz czcigodny brat Ignacio pragnie zadać ci kilka pytań.

Odpowiadając nie zapominaj, że jest on wysłannikiem Ojca Świętego, papieża Sykstusa, niech go Bóg zechce zachować w zdrowiu i świętości.

Fiora ukloniła się milcząco. Zastanawiała się, co robił wysłannik papieża w nocy w żeńskim klasztorze. Nie bardzo też wiedziała, co takiego mógłby mieć jej do powiedzenia, pamiętając wszak, że to on zaproponował sąd boży, pomyślała, że musi być ostrożna.

Zapanowała chwila ciszy. Siedząc wygodnie w fotelu z ciemnego drewna mnich patrzył spod w półprzymkniętych powiek na stojącą przed nim wysoką i szczupłą, białą postać, wyprostowaną i pełną godności, nie zdradzającą ani strachu, ani nadmiernej pewności siebie. Płomienie świec rzeźbiły delikatne rysy twarzy i zapalały złote blaski w dużych, szarych oczach przysłoniętych białym welonem, spod którego ześlizgiwał się na jedno ramię gruby, lśniący warkocz. Fray Ignacio przygryzł wąskie wargi, a później zwilżył je czubkiem języka. Po czym z westchnieniem porzucił wygodną pozycję i oparł się łokciami na stole.

- Twierdzisz, że nazywasz się Fiora Beltrami? - spytał, rzuciwszy okiem na jakieś leżące przed nim papiery.

- Nigdy nie nazywałam się inaczej. Czcigodna matka, tu obecna, może to potwierdzić: zna mnie od dawna.

- Zdaje się, że czcigodna matka została przez ciebie oszukana, podobnie jak wszyscy w tym mieście, i że nie masz żadnego prawa do tego nazwiska.

- Mam prawo, które przyznała mi Signoria, kontrasygnując akt adopcji przedstawiony przez mego ojca.

- Jednakże ten akt adopcji był falsyfikatem, jako że twój... ojciec świadomie oszukał Signorię. W rzeczywistości jesteś córką dwojga nędzników, których boska sprawiedliwość na pewno zepchnęła na dno piekła.

- Tylko sam Bóg może wiedzieć, na czym polega jego sprawiedliwość, a ja wierzę przede wszystkim w Jego miłosierdzie.

Głos Fiory był pełen zdecydowania, tak jak jej postawa. Podniósłszy pomarszczone powieki fray Ignacio wpatrywał się w nią, jakby siłą spojrzenia usiłował zmusić ją do uległości. Fiora spotkała jego oczy o nieokreślonym kolorze i nie spuściła wzroku. Zapadłe policzki hiszpańskiego mniacha lekko poczerwieniały.

- Wygodna postawa! Czy dlatego, że obawiasz się tej sprawiedliwości? Przecież łatwo zgodziłaś się poddać wyrokowi sądu bożego? Co prawda, zostałaś do tego trochę przymuszona... Nie ty zgodziłaś się pierwsza, lecz ta, którą oskrzyłaś. Jeśli jest ona niewinna, a wszystko na to wskazuje, umrzesz. Czy nie obawiasz się śmierci?

- Skłamałabym mówiąc, że się jej nie boję. Mam siedemnaście lat, czcigodny ojcze... Lecz jeśli mam rację, nie umrę. Umrze natomiast Hieronima i to ją należałoby zapytać, dlaczego tak łatwo się zgodziła...

- Właśnie dlatego, że jej sumienie jest tak czyste jak jej dusza - zawołała matka Maddalena - i dlatego, że pokłada całkowitą ufność w Bogu. Nie jestem pewna, czy to samo można powiedzieć o tobie!

Podniósłszy rękę w uspokajającym geście, fray Ignacio położył kres interwencji przeoryszy.

- Zostawmy to na później. Kto jest twoim spowiednikiem?

Fiora zawahała się. Spowiadała się dosyć rzadko: czasem u proboszcza z Santa Trinità, czasem u księdza z Orsan-michele i nie umiała powiedzieć, którego woli. Zależało to od pory i nastroju, a ponieważ nie popełniła nigdy ciężkiego grzechu, bezcelowe wydawało jej się powierzenie najintymniejszych myśli osobie niemal nieznanemu. Szczerze przyznała się do tego podwójnego uczestnictwa w jej życiu duchowym. Zrozumiała natychmiast, że ogromnie zgorszyła brata Ignacia, który zmarszczył wielki nos:

- Co? Nie masz duchowego przewodnika?

- Zawsze miałam zaufanie do mądrości i prawości mojego ojca. On był moim przewodnikiem duchowym...

- Człowiek umiejący tak dobrze kłamać? Istotnie, wcale nie zbliżył cię do Kościoła. To temu ostatniemu powinnaś była zostać powierzona zaraz po urodzeniu, byś mogła odpokutować, wśród dobroczynnych rygo rów jakiegoś klasztoru, zbrodnię twego poczęcia i ciężki grzech, do którego zmycia nie mógł wystarczyć chrzest...

- Ojciec mój nie sądził, bym musiała płacić w ten sposób za coś, czego nie zrobiłam. Chciał, żebym uważała się zawsze za taką dziewczynę jak inne, żebym była szczęśliwa...

- I niewątpliwie dlatego - przerwała matka Maddalena - wychował cię według bezbożnych zasad starożytnych filozofów. Ich ideologia zatruwa miasto, gdzie poświęca się laickim pismom, sztukom, zabawom i przyjemnościom to co należne jedynie Bogu.

- Papież wie o tym wszystkim, droga siostrze, i napawa go to wielką troską. Duchowy nieład we Florencji martwi go tym bardziej, że godny pożałowania przykład idzie z góry. Bracia Medyceusze nie przykładają wagi do

wiary chrześcijańskiej i honoru kobiet. Cudzołóstwo i rozpusta szerzą się bez przeszkód na dworze. Na wysokie stanowiska powołuje się ludzi z niskich sfer, gdy tymczasem odsuwane są od nich osoby od dawna przyczyniające się do bogactwa i dobrej sławy miasta... Ale Bóg o nich nie zapomina!

Fiora ze zdumieniem patrzyła na mnicha, który zdawał się być pogrążony w transie. Z oczami utkwionymi w sklepieniu, jakby oczekiwał, że rozstąpi się ono przed niebieskim gromem, wstał i oparty pięściami o stół wyrzaskiwał swą fanatyczną wściekłość... i nienawiść do Medyceuszy...

- Czy sądzisz, że nadejdzie dzień, gdy Antychryst nas opuści? - spytała matka Maddalena ze łzami w oczach, złożonywszy dłonie.

Fray Ignacio powrócił raptownie na ziemię i stał pot perlący się na łysej czaszce.

- Taką nadzieję ma Jego Świątobliwość i zostałem wysłany tutaj tylko po to, by wesprzeć go moim wzrokiem i słuchem. Jestem obcy, a więc bezstronny. To co zobaczyłem do tej pory sprawia, że żałuję, iż potężna machina Inkwizycji, tak sprawna, gdy była w naszych rękach, została ostatecznie powierzona dominikanom, zupełnie się o nią nie troszczącym. Tymczasem dobrze byłoby, by odzyskała znaczenie w tych okolicach. Zresztą królowa 'Izabela Kastylijska, przez którą zostałem wysłany do Rzymu, pragnęłaby, żeby papież zgodził się wprowadzić tę instytucję w królestwach wciąż zdobywanych na niewiernych Maurach... Ale zdaje się, że oddalamy się nieco od sprawy tej dziewczyny. Patrzy na nas okrągłymi oczami, które będzie musiała nauczyć się spuszczać!

- No właśnie, wielce szanowny bracie. Czy to nie najlepszy przykład wychowania bez Boga?

- Czytanie książek nigdy nikomu nie przeszkodziło kochać Boga i służyć mu - zaprotestowała Fiora z oburzeniem. - Sądzę, że jestem równie dobrą chrześcijanką jak...

- Może jak ja? Zapominasz się, Fioro!...

- Skończmy z tym, siostró - uciął oschle fray Ignacio. -Zamierzam ratować jej duszę, jeśli nie jest za późno. Powiedziałaś przed chwilą, że obawiasz się śmierci, grzeszna dziewczyno? Chętnie w to wierzę, bo jesteś istotnie młoda... i piękna, nawet jeśli twoja uroda jest dziełem szatana. Zadam ci więc proste pytanie: chcesz żyć?

- Będę żyła, jeśli Bóg tego zechce i jeśli rzeka mnie nie pochłonie - odpowiedziała spokojnie Fiora.

- Jesteś odważna, przyznaję... chyba, że liczysz na pomoc... Tamtego?

- Jakiego tamtego?

- Nie udawaj niewiniątka, bo twoje oczy nie mają w sobie nic niewinnego. Mówię o tym, którego przywołują czarownicy i czarownice. Wszystko wskazuje na to, że jesteś jedną z nich. Widziałem takie jak ty, uśmiechające się na widok stosu...

- Wezwałeś mnie tylko po to, aby mnie obrazić? -zawołała Fiora z oburzeniem. - Nie jestem czarownicą i nie była nią moja biedna matka, której jedyną zbrodnią była zakazana miłość!

- Nie radzę ci wspominać jej zbyt często! Ale zgoda, chcę ci wierzyć: nie jesteś czarownicą - powiedział mnich głosem nagle zmienionym, rów-

nie słodkim i ujmującym, jak poprzednio twardym i ostrym. - Jesteś tylko owieczką zgubioną przez złych pasterzy. Proponuję ci ratunek.

- Czy możesz więc uchronić mnie od wrzucenia do wody, chociaż całe miasto oczekuje tego z niecierpliwością?

- Widzę, że nie masz żadnych złudzeń co do tego, czego możesz oczekiwać od swych dawnych przyjaciół? - powiedział fray Ignacio z uśmiechem. - Nie, nie mogę uratować cię od ordaliów. Jediną osobą mogącą to zrobić jesteś ty sama.

- Ja?

- A któż inny? Wystarczy tak niewiele: przyznaj w mojej obecności, tu i teraz, że niesłusznie oskarżyłaś... może pod wpływem żalu - widzisz, jak staram się cię zrozumieć! - tę biedną kobietę... Uchwyciła się, jak ostatniej deski ratunku, zaproponowanej przeze mnie straszliwej próby. Nie może więc być winna. Przyznaj, że się pomyliłaś, a ja postaram się uspokoić tych ludzi...

- Jeśli się zgodzę, co stanie się ze mną później?

- Najpierw zostaniesz w klasztorze, polecona opiece matki Maddaleny. Tak będzie ostrożniej, bo jak sama mówisz: zacni florentczycy widzą w tobie jedynie... diabelski pomiot. Nie mogłabyś odzyskać dóbr twego ojca: Medyceusz będzie bardzo szczęśliwy mogąc je zatrzymać. Zostałabyś zhańbiona, wtrącona do rynsztoka...

- Dlaczego miałabym tu zostać? Mogłabym wyjechać z Florencji!

- Ależ wyjedziesz z Florencji. Kiedy nastroje trochę się uspokoją i zostaniesz nieco zapomniana, zabiorę cię do Rzymu, gdzie na moją prośbę przyjmie cię Jego Świątobliwość. Będziesz mogła wtedy wybierać między

jakimś przyjemnym klasztorem a służbą u którejś szlachetnej damy. Na przykład u siostrzenicy papieża, hrabiny Katarzyny... Na pewno przyjmie z dobrocią młodą kobietę, niegodnie opuszczoną i obrabowaną przez Medyceuszy.

Fiora - początkowo zdezorientowana przyjacielskim tonem hiszpańskiego mnicha, nie pojmując, w jakim celu przekonuje ją, by zrezygnowała ze swego oskarżenia -nagle zrozumiała. Prowadząc dochodzenie na temat rzekomego zdeprawowania Lorenza i Giuliana oraz ich malwersacji, fray Ignacio zamierzał uczynić ją jednym z pionków w swej grze. Choć mało interesowała się polityką, wiedziała o niej wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że Sykstus IV, śmiertelny wróg Medyceuszy, pragnął ofiarować Florencję swemu siostrzeńcowi Girolamowi Riario, mężowi Katarzyny Sforzy, i starał się skupić wokół siebie wszystkich wrogów władcy tego miasta. Fiora dołączyłaby w Rzymie do Francesca Pazziego, pokonanego w czasie *giostry*. Szeptano, że papież interesuje się jego sprawami finansowymi i że przekazał do Rzymu, z błogosławieństwem starego Jacopa, większą część rodzinnego majątku. Tymczasem jawne uznanie Hieronimy za czystą i niewinną stanowiłoby obelgę dla Lorenza, próbującego bronić Fiory... i z całą pewnością tej pierwszej udałoby się uzyskać przyznanie jej przez Signorię znacznej części majątku Beltramiego.

Widząc, że młoda kobieta milczy, fray Ignacio zniecierpliwił się:

- No więc? Co masz teraz do powiedzenia? Sądzę, że moja propozycja jest bardzo wspaniałomyślna?

- Ja też tak sądzą - powiedziała przeorysza. - Zgadzam się udzielić ci tutaj schronienia; będziesz traktowana jak protegowana Kościoła...

Fiora przyjrzała im się kolejno: jej, o oczach jeszcze wilgotnych od głupiego rozczulenia, jemu, z tym jego irytującym tikiem ust, które na zmianę przygryzał i oblizywał. Budzili w niej jednakowe obrzydzenie.

- Dziękuję wam obojgu... bardzo serdecznie za szlachetne zainteresowanie dla mojej osoby, ale wolę poddać się sądowi bożemu. Mam nadzieję udowodnić, że mam rację!

Fray Ignacio zerwał się z fotela jak wystrzelony z katapuły.

- Szalona dziewczyno! Podpisujesz swój wyrok śmierci! - wrzasnął, a jego towarzyska wzniosła oczy i ręce do nieba.

- Skąd ta pewność, czcigodny ojcze? Mogę przeżyć próbę wody.

- Ale nie ognia! Miałem rację: jesteś czarownicą i jeśli na nieszczęście rzeka wyrzuci cię żywą, skażę cię na stos! Pewnego dnia skażę też na stos Medyceusza i jego bandę. Wiem, że ma przy sobie jakiegoś greckiego lekarza, czarnoksiężnika i jasnowidza, będącego z pewnością współnikiem szatana! Kiedy papież położy rękę na tym przeklętym mieście, wszyscy oni spłoną... ale ty spłoniesz przed nimi na największą chwałę Boga!

Nie panował już nad sobą i w falującym świetle świec wykrzywione i spienione z gniewu usta i płonące oczy nadawały jego twarzy demoniczny wygląd.

-Będzie jak Bóg zechce. Pozwól, by on sam troszczył się o swoją chwałę. Na pewno zna się na tym lepiej niż ty!

- To twoje ostatnie słowo? Odmawiasz?

- Odmawiam. Pozwól mi wrócić do celi. Robi się późno... I chciałabym pomodlić się w spokoju.

- Świętokradztwo! Po ogniu na ziemi czeka cię ogień piekielny!

Krzyczał tak głośno, iż obawiając się zapewne, że usłyszy go cały klasztor, matka Maddalena pospiesznie wezwała kłaśnieciem siostrę Priscę. Zakonnica zapewne nie znajdowała się daleko, gdyż pojawiła się natychmiast. W chwilę później Fiora ruszyła za nią z powrotem do swojej celi. Zaledwie się tam znalazła, usłyszała wychodzące z kaplicy siostry. Fiozę dobiegł szelest ich kroków i szepty: dziewczęta z klasztoru Santa Lucia zastanawiały się zapewne, dlaczego matka przełożona nie wzięła udziału w wieczornym nabożeństwie. Potem nie słychać już było żadnego dźwięku oprócz wściekłego ujadania psa i nieco później nawoływania wartowników na murach.

Podczas nieobecności Fiory przyniesiono kolację. Składała się z makaronu z serem i sosem bazyliowym. Była jednak zimna. Fiora zjadła trochę, ale uznawszy potrawę za kleistą, zadowolili się wodą. Chociaż nic nie robiła przez cały dzień, czuła się zmęczona, a przede wszystkim zmęczony był jej umysł... Miała nadzieję, że kiedy zamknie się za nią klasztorna brama, zazna chociaż trochę spokoju. Tymczasem odkąd znalazła się w tym przybytku, stworzonym dla modlitwy i medytacji, napotykała tylko niegodziwość, małostkowość, pogardę. Tego wieczora musiała stawić czoła parze fanatyków, zdecydowanych użyć wszelkich środków, aby posłużyć się nią w realizacji swych intryg. Mnich zagroził jej nawet stosem. Nie ugięła się, mimo strachu, jaki w niej budził, i była z tego zadowolona...

Pomyślała, że zostały jej już tylko dwa dni, i serce ścisnęło jej się z powodu nieubłaganie uciekającego czasu. Czy jej życie, rozpoczęte w jednym więzieniu, musiało zakończyć się w innym? Pomyślała o swej matce i jej przejściach. Jakże Maria musiała cierpieć duszą i ciałem podczas ciężkich godzin porodu, pilnowana przez bezlitosnych więziennych strażników, ma-

jąc straszliwą świadomość, że mała istotka, będąca częścią jej samej, zostanie jej zaraz odebrana, i z pewnością wkrótce skazana na śmierć! Całe dni, całe noce agonii i miecz kata jako jedyna nadzieja. Ale przynajmniej mogła znaleźć oparcie w miłości, w ostatniej godzinie wziąć za rękę ukochanego, gdy tymczasem Fiora płakała całkiem osamotniona. Inaczej wyglądałoby wszystko, gdyby Filip, w którym nie udawało jej się zobaczyć ojca, kochał ją naprawdę tak jak Jan kochał Marię!

Pewnego dnia jej dziwaczny mąż dowie się, że Fiora, której ślubował miłość, opiekę i trwanie przy niej na dobre i na złe, umarła w opuszczeniu. Czy poświęci jej choć trochę żalu, uroni choć jedną łzę? Nie, Selongeyowie nie powinni płakać. Poczujecie raczej wielką ulgę. Zniknie powód do wstydu, plama na honorze... Będzie mógł wesolutko zająć się inną kobietą... która może już zastąpiła ją w jego życiu i myślach?

Fiora nie mogła się modlić. Bóg był zbyt odległy, zbyt obojętny, skoro pozwalał, by nad niewinną osobą zawisł ciężar niezasłużonego przekleństwa. Zaś przedstawicielom jego chwały i dobroci, których umieścił na drodze swej ofiary, dużo brakowało do słodczy Ukrzyżowanego i Jego czulej Matki... I płacząc Fiora usnęła.

Następny dzień był ponury. Wczesnie rano inna siostra serwitorka zabrała pełną jeszcze miskę i pospiesznie posprzątała celę, ze wzrokiem przez cały czas uparcie wbitym w ziemię, nie odpowiadając na żadne z pytań Fiory.

Przez cały dzień nie pojawił się nikt więcej. Stwierdziwszy, że nie przyniesiono jej nawet jedzenia, Fiora pomyślała, że postanowiono zastosować wobec niej surowy rygor więzienny, co było oczywistą konsekwencją jej

zachowania poprzedniego dnia przed tym swego rodzaju sądem, złożonym z przeoryszy i hiszpańskiego mnicha. Pogodziła się z tym, żałując jedynie, że kiedy wybije godzina ordaliów, stanie przed próbą osłabiona.

Spędziła cały dzień leżąc zwinięta w kłębek na łóżku. Od rana padał uporczywy, drobny deszcz, zatapiając ogród, z którego odleciały ptaki. W miarę upływu czasu Fiorze było coraz ciężej na duszy.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu ta sama co rano siostra przyszła o zmroku z chlebem, wodą i dużą miską gęstej zupy, pachnącej świeżymi warzywami. Ku jej jeszcze większemu zaskoczeniu serwitorka przemówiła:

- Jest gorąca, jedz szybko!

Ton był niemal przyjazny i Fiora poczuła ciepło koło serca. Była to pierwsza osoba w tym przybytku zwracająca się do niej jak do istoty ludzkiej.

Podziękowała z uśmiechem, ale tamta nie posunęła się aż do jego odwzajemnienia. To było jednak bez znaczenia. Z apetytem, właściwym dla swego wieku, Fiora rzuciła się na zupę. Wydawała się jej smakowita, choć miała trochę niecodzienny, trudny do określenia smak. Dziewczyna nie miała zresztą zbyt wiele czasu, by się nad tym zastanawiać; zaledwie przełknęła ostatnią łyżkę, miska wypadła jej z rąk. Jej oczy zamknęły się i Fiora zapadła w głęboki sen...



ROZDZIAŁ ÓSMY

MEGIERA

Fiora otworzyła oczy i zobaczyła wewnątrz tak różniące się od tego, w którym zasnęła, że natychmiast zamknęła je z powrotem sądząc, że jeszcze śni, lecz ciężka i obolała głowa, suchość w ustach i okropne mdłości przywołały ją do trudnej jawy. Ponownie uniosła powieki i spróbowała się podnieść, ale głowę jej przeszył nagle ostry ból; opadła z jękiem na posłanie. Leżąc nieruchomo przyglądała się, niczego nie rozumiejąc, nieprawdopodobnemu wnętrzu, w którym się znajdowała.

Przypominało łaźnię, z racji wielkiego drewnianego cebra, ustawionego na pokrytej kafelkami podłodze, przeciętej rowkiem odprowadzającym wodę do dziury w ścianie. Był tu również kosz żarowy, zresztą wygaszony, nad którym sufit, pokryty chropawym tynkiem, poczerniał od dymu. Izba przypominała również więzienie, gdyż znajdowało się tu tylko jedno, wysoko umieszczone okienko, a także i sypialnię, bo dość wygodne łoże, w którym leżała Fiora, mogłoby pomieścić trzy lub cztery osoby. Prześcieradła i koce były czyste, a w osłaniających łoże kotarach, uszytych z materiału w wielkie, krzykliwe, czerwono-żółte wzory, nieco wystrzępionych, migotały tu i ówdzie lśniące nitki, oznaki dawnej świetności. Na zielonym,

oblężącym z farby, wielkim kufrze stał żelazny, pokryty zaciekami z wosku kandelabr z sześcioma płonącymi świecami, oświetlającymi ścianę, naprzeciw której znajdowało się łóżko. A ścianę tę pokrywało malowidło...

Bez wątplenia prymitywnie, bo wiele mu brakowało do młodych geniuszy, chluby Florencji, ale za to z wielkim realizmem i prawdziwą orgią kolorów, jakiś nieznany malarz ukazał miłosne igraszki pulchnej nimfy i postawnego satyra. Przerażona Fiora oblała się rumieńcem i zamknęła oczy mocno je zaciskając, by nie widzieć nieprzyzwoitego obrazu.

- Jeśli zamierzasz udawać, że śpisz - powiedział jakiś przepity głos - to nie jest to dobry sposób!

Otworzywszy ostrożnie oczy, Fiora nie ujrzała już malowidła. Zamiast niego zobaczyła rodzaj monstrum: istotę zbudowaną jak lancknecht, o ochryłym głosie, rękach jak maczugi, barkach tragarza i muskularnych ramionach. Obserwowana z pozycji leżącej, figura ta wydała się Fiorze olbrzymia i niemal równie szeroka jak wysoka. Jednakże trzeba było ustąpić wobec oczywistej prawdy - istota była kobietą! Świadczyły o tym piersi, sterczące jak lufy armat pod jaskrawozieloną, jedwabną suknią i długie, rude włosy otaczające twarz o rozmiarach reszty, która może nie byłaby pozbawiona pewnej urody, gdyby zetrzeć z niej warstwę szminki i gdyby oczy były większe; przypominały bowiem dwa zielone kamyki, i tyleż co w kamieniach było w nich ciepła. Całości dopełniała masa błyskotek, lśniących przy każdym ruchu właścicielki.

- Nie udaję, że śpię - powiedziała Fiora - ale chciałabym wiedzieć, gdzie jestem.

- To proste: jesteś u mnie.
- Co to znaczy: u ciebie? A kim ty jesteś?

Kobieta oparła się o kolumny łoża, które zadrżało pod wpływem wstrząsu, wywołując u Fiory ponownie przeszywający ból.

- Nie musisz wiedzieć, co to znaczy u mnie! Nazywają mnie Pippa albo Wielka Pippa, albo też Megiera. Pewnie nigdy o mnie nie słyszałaś, bo obracamy się w różnym towarzystwie.

- Nie... nigdy. Jak się tu znalazłam? Wczoraj wieczorem zasnąłam w klasztorze.

- Nie wczoraj - przedwczoraj wieczorem. Już myślałam, że nigdy się nie obudzisz... Coś mi się zdaje, że siostrzyczki trochę przesadziły ze swoim proszkiem...

- Proszkiem? Ale dlaczego?

Pippa wybuchnęła rżącym śmiechem, pokazując zęby, które mogłyby zapewne mleć zboże.

- Z czystej dobroci. To święte kobieciny, wiesz? Pewnie pomyślały, że wrzucenie cię do wody byłoby marnotrawieniem pięknego towaru.

- Chcesz powiedzieć, że to one przyniosły mnie tutaj?

- Nie przesadzaj! Wyobrażasz sobie siostrzyczki przychodzące tutaj? - zarżała.

- Litości! - jęknęła Fiora - bądź cicho! Strasznie boli mnie głowa... i niedobrze mi! Zdaje mi się, że mam watę w ustach.

Pippa zamilkła, zmarszczyła brwi i położyła łapę na czole młodej kobiety:

- A nie mówiłam: trochę przesadziły. Zaraz coś z tym zrobimy!

Wróciła po chwili niosąc dużą glinianą filiżankę z parującym płynem o przyjemnym zapachu. Włożyła naczynie w dłonie Fiory, po czym chwyciła ją pod ramiona i posadziła.

- Wypij wszystko! Wiem, że to gorące, ale nie szkodzi. Fiora bohatercko spróbowała parzącego płynu. Ziółka, gorzkie mimo dodanego do nich miodu, zawierały dużą dawkę cytryny, mięty i jakiejś innej, nieokreślonej substancji. Po wypiciu całej zawartości była czerwona po korzonki włosów i pocila się jak w saunie. Nie zwracając uwagi na jej protesty, Pippa położyła ją z powrotem i przywalała wszystkimi kołdrami znajdującymi się w drewnianym kufrze.

- Dobra! - powiedziała z zadowoleniem. - Za godzinę przyjdę zobaczyć, jak się miewasz. I nie próbuj wstawać!

W godzinę później łoże było przemoczone, a Fiory nie bolała już głowa ani nie było jej niedobrze. Umierała natomiast z głodu, i kiedy kobieta wróciła z suchymi prześcieradłami, zapytała, czy nie mogłaby dostać czegoś do jedzenia. Pippa wybuchnęła śmiechem.

- Zdaje się, że czujemy się lepiej? No i dobrze. Nie znoszę jak ktoś u mnie choruje. Zaraz ci przyniosę jedzenie. Na razie wstań. Trzeba to wszystko zmienić!

Fiora wstała i stwierdziła, że wciąż jeszcze ma na sobie koszulę otrzymaną w klasztorze i że koszula ta jest mokra jak cała pościel.

- Zdejmij to! - poleciła Pippa, rozpalając błyskawicznie ogień w koszu żarowym, rzucając do niego jakieś pachnące zioła i zabierając się do łóżka. Sprawiało to wrażenie trzęsienia ziemi.

- A ci założę? - zapytała Fiora, rozglądając się za jakimś odzieniem.

- Na razie zdejmij, później zobaczymy! No już, szybko!

Fiora zdjęła koszulę i wyciągnęła rękę po jedno ze zdjętych przez Pippę prześcieradeł, aby się nim okryć, ale kobieta powstrzymała ją brutalnie:

- Stój spokojnie! Muszę w końcu zobaczyć, jak wyglądasz na golasa. Ładna buźka to niezła rzecz, ale reszta powinna być równie dobra... Stój spokojnie, do cholery! Nie zmuszaj mnie, żebym poszła po bat!

- Bat? - zawołała Fiora z oburzeniem. - Zabraniam ci dotykać mnie! Wyobrażasz sobie, że na to pozwolę? Nie znam cię i chcę stąd wyjść!

Nie przejmując się swym mocno niekompletnym strojem rzuciła się do drzwi, ale Pippa złapała ją za ramię i Fiora poczuła się jak w imadle.

- Stoisz spokojnie czy nie? - zagrzmiała kobieta. - Tutaj robi się tylko to, co mówię, i wychodzi wtedy, kiedy każę! Zrozumiałaś?

Fiora skręcała się w jej straszliwym uścisku, który sprawiał ból. Chcąc nie chcąc musiała stanąć i poddać się ocenie Pippy, powstrzymując łzy wściekłości. Tamta odsunęła się na kilka kroków, aby obejrzeć ją od stóp do głów, po czym podeszła, wzięła w dłonie jej piersi, by sprawdzić ich jędrność, dotknęła brzucha, pomacała pośladki, pogładziła uda i na koniec westchnęła, rzucając Fiorze znoszoną koszulę z czerwonego jedwabiu:

- Byłabym naprawdę ostatnią idiotką, gdybym nie zabiła na tobie majątku! Na Belzebuba, naprawdę królewski z ciebie kasek! Klient będzie zadowolony, ale musisz na siebie uważać...

- Klient? - powtórzyła Fiora z osłupieniem. - Jaki klient? Co to za dom? Czego chcesz ode mnie?

Pippa rozparła się przed nią, z rękami na biodrach przewyższając ją o głowę.

- Klient to ten, który umieścił cię tutaj, u Pippy najszlachetniejszej sutenerki między Morzem Tyrreńskim a Adriatykiem! Chce pozbawić cię dziewictwa i sypiać z tobą, póki mu nie przejdzie ochota! Albo póki nie skończą mu się pieniądze a mam nadzieję, że to nastąpi szybko, bo teraz kiedy cię zobaczyłam, nie mam zamiaru sprzedać cię byle komu. Mam już nawet pewien pomysł...

Wbrew temu, czego Pippa się spodziewała, fakt odkrycia całej okropności jej położenia ożywił odwagę Fiory.

- Wyobrażasz sobie, że pozwolę, byś robiła ze mną co zechcesz? - zawołała. - Nie wiesz, kim jestem...

- Chcesz powiedzieć: kim byłaś? Bo teraz jesteś niczym, Fioro Beltrami, nawet mniej niż niczym: zbiegłą zbrodniarką, czarownicą ściganą przez Kościół i ludzi bargella. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

- Oczywiście, że chcę!

- No to słuchaj! Wczoraj rano siostry z Santa Lucia stwierdziły, że im uciekłaś przez kuchenne podwórze i przeszłaś przez mur po drabinie. Znalezione twój welon pod drabiną. Wszyscy myślą, że dałaś drapaka, bo miałaś stracha przed sądem bożym. Co oznacza, że nieźle z ciebie ziółko. Ponieważ zwiłaś, Signoria wydała na ciebie wyrok. Był tam przeor z San Marco z jakimś hiszpańskim mnichem i zażądali, gdybyś została odnaleziona, wtrącenia cię do Stinche*¹³ na okres oczekiwania na sąd... i stos! Czy teraz rozumiałaś?

¹³ *Florenckie więzienie.

Pod Fiorą ugięły się kolana; upadła na stertę porzuconych na posadzce kołder. Tak, pojęła diabelską intrygę podstępnie uknutą przeciwko niej. Z pewnością przez Pazzich - starego Jacopa i jego podłą synową. Zrozumiała, dlaczego Hieronima tak żarliwie domagała się ordaliów: wszystko ukartowano, zanim odbyła się gorsząca scena na dziedzińcu przed Duomo. Pozyskano współników, na czele z przeorem z San Marco i bratem Ignaciem Ortegą - czyż nie przybył on z Rzymu, gdzie Francesco Pazzi był w łaskach? Fiora odkryła z goryczą, iż potęga Medyceuszy to kolos na glinianych nogach, łatwo było ją zniszczyć, oddziałując na pospólstwo, tego potwora o stu tysiącach głów i zmiennych poglądach, a nawet na Sig-norie, choć Lorenzo umieścił w niej wiernych mu, jak sądził, ludzi. Fiora już została uniesiona przez tę gwałtowną zawieruchę. Następny podmuch mógł porwać samych Medyceuszy, gdyż ród Pazzich, choć trzymany na dystans i na wpół zrujnowany, potrafił jeszcze działać i wygrywać.

Stojąc nad Fiorą ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, Megiera napawała się zwycięstwem nad piękną istotą, która wydawała jej się kompletnie załamana. Ale jej nie znała. Nagle Fiora podniosła się i stanęła na przeciwko niej.

- Skoro wszyscy myślą, że uciekłam, to czyż nie ryzykujesz zbyt wiele przechowując mnie tutaj? - zapytała chłodno.

- Nie sądzę, żeby ryzyko było tak duże. Kto wpadłby na pomysł, by szukać córki Francesca Beltramiego w takim domu? W każdym razie gra jest warta świeczki. Powiedziałam przed chwilą, że liczę na ciebie, by zwiększyć moją fortunę...

- Sprzedając mnie przychodzącym do ciebie mężczyznom? Zapominasz o jednym: wiele osób we Florencji mnie zna: ktoś mógłby...

- Rozpoznać cię? Uważasz mnie za idiotkę? Oczywiście, ale chyba nie myślisz, że poza człowiekiem, który cię chce, będę pozwalać byle komu sypiać z tobą ryzykując, że jakiś pijak rozpruje ci brzuch nożem? Nie jesteś towarem dla pijanego marynarza! Jeśli chcesz wiedzieć wszystko, ci którzy cię tutaj przyprowadzili chcą, żebym cię później zawiozła do Ankony i sprzedała dyskretnie... ale drogo jakiemuś tureckiemu piratowi.

- Do Ankony? W państwie papieskim? Czy to możliwe?

- Bardziej niż myślisz. Nasz obecny Ojciec Święty nie przejmuje się jakimiś tam krucjatami. Lubi przede wszystkim złoto. Zresztą, nie zawsze wie co dzieje się za jego plecami... Ale nie martw się, nie pojedziesz tam. Nie będę ryzykować niepewnego, nielegalnego handlu z jakimś Turkiem, skoro w Rzymie pewien kardynał gotów dać za ciebie tyle złota, ile wazysz...

- Kardynał? - spytała Fiora z przerażeniem.

- Dlaczego nie? To mężczyzna, a ten jest nawet bardziej męski niż inni. Nazywa się Rodrigo Borgia, jest kardynałem-wicekanclerzem, prawdziwym bykiem! Zobaczysz...

- Niczego nie zobaczę - zawołała Fiora. - Czy naprawdę sądzisz, że tu zostanę?

-Nie możesz zrobić nic innego!

- Zabiję się więc!

- Nie będziesz miała okazji. Będziemy cię pilnować, moja śliczna. A teraz skończmy z tym gadaniem. Zdaje się, że byłaś głodna?

- Uroki rozmowy z tobą odebrały mi apetyt...

Pippa chwyciła brutalnie twarz Fiory i ścisnęła ją boleśnie:

- Nie kpij sobie ze mnie! Możesz tego pożałować!

- Akurat! Powiedziałaś, że nie należysz do tych co niszczą towar...

- Są inne sposoby niż bat. Na przykład papryka umieszczona w odpowiednim miejscu. Połóż się teraz. Przyniosę ci jedzenie, a później będziesz dalej spała. Nie ma nic lepszego na ładną cerę niż dobry sen i odpowiednie odżywianie się. Jutro będziesz musiała się podobać...

Fiora jednak już nie miała ochoty spać. Krążyła po pomieszczeniu szukając jakiegoś wyjścia, choćby dziury, by wyslizgnąć się i odzyskać wolność. Pippa powiedziała wprawdzie, że na zewnątrz ryzykowałyby jeszcze cięższym więzieniem i straszliwą śmiercią, ale wszystko było lepsze niż zostać wydaną na łaskę jakiegoś nieznajomego.

Niestety, ucieczka wydawała się trudna, jeśli nie niemożliwa. Ciężkie drzwi o żelaznych zawiasach i okazałym zamku były nie do sforsowania. Ponadto przy ich otwieraniu słychać byłoby szcęk zewnętrznych zamków. Przejście tędy było więc niemożliwe, chyba żeby zdecydować się na walkę z Megierą, a to zakrawało na szaleństwo: nikt nie podejmie walki z górą...

Okienko, przez które spojrzała stojąc na stołku, wychodziło na wewnętrzne podwórko - rodzaj studni - robiące wrażenie ślepego. Widok z okienka upewnił ją, że pokój znajduje się na parterze, jak zresztą podejrzewała, gdyż przez otwór odprowadzający wodę wpadało nieco światła dziennego. Żeby wyjść, trzeba byłoby przepiłować albo wyrwać choć jeden z trzech zagradzających przejście żelaznych prętów. Na wszelki wypadek Fiora potrząsnęła nimi kolejno; zauważyła, że jeden z nich trochę się rusza.

Nagle usłyszała szcęk zamka, więc szybko wskoczyła do łóżka, aby nie być zaskoczoną w trakcie próby ucieczki. Rjppa zastała ją leżącą i uśmiechnęła się szeroko.

- Czyżbyś umiała zachować się rozsądnie? Jeśli tak, jakoś się dogadamy. Masz, przyniosłam ci kurczaka z szafranem, biały chleb i smażone w cukrze śliwki! Jutro dostaniesz chianti - doda ci rumieńców i rozgrzeje trochę krew...

Ustawiła miskę na kolanach Fiory i - ku jej wielkiemu zaskoczeniu - zarzuciła jej na ramiona serwetkę (rzadkość, widywaną wtedy tylko w kilku bardzo wyrafinowanych domach!) dodając, że dzięki temu nie zabrudzi pościeli. Potem przyglądała się, jak Fiora bierze elegancko końcami palców kawałki drobiu, ledwie dotykając złocistego sosu:

- Widać, że zostałam dobrze wychowana! - skomentowała. - Prawdziwa księżniczka, dla której odpowiednim miejscem będą najpiękniejsze pałace. Szkoda, że nie nauczono cię także miłości, ale po jutrzejszym wieczornym spotkaniu, być może niezbyt dla ciebie przyjemnym, nauczę cię dawać rozkosz mężczyźnie, nawet jeśli on nie ma na to ochoty. Jestem pewna, że okażesz się zdolna...

Fiora zamknęła bramy pamięci przed wciąż palącym wspomnieniem swej nocy poślubnej. Filip był cudownym nauczycielem, ale nie chciała tego tutaj wspominać. Zgłębi domu dobiegły jakieś krzyki i Pippa wybiegła z pokoju, by zobaczyć, co się dzieje, wrzasnąwszy, że w tej norze nie może mieć nawet pięciu minut spokoju. Kiedy wróciła kilka minut później, trzymała w nieubłaganym uścisku masę szarawych łachmanów, z których dobiegały jęki. Rzuciła ją na podłogę przy łożu:

- Łaziło to od pewnego czasu wokół domu. Nie wiesz przypadkiem, kto to jest?

Stos szmat poruszył się, rozsunał i pojawiła się twarz Khatoun. Z jej czoła sączyła się krew.

Fiora krzyknęła i w jednej chwili znalazła się na kolanach przy małej Tatarce, której twarz się rozjaśniła.

- Khatoun! - zawołała. - Co ci zrobili?

Chciała wziąć ją w ramiona, przytulić i otrzeć płynącą po twarzy krew, ale Pippa brutalnie ją odepchnęła.

- Nie dotykać! Najpierw odpowiadać na moje pytania! Kto to jest?

- Nazywa się Khatoun. Mój ojciec kupił jej matkę. Tatarkę, gdy była w ciąży. Urodziła się w pałacu i jest moją towarzyszką od zawsze.

- Niewolnica, co?

- Tak, ale nigdy jej tak nie traktowałam. Bardzo... bardzo ją lubię. Trzeba ją opatrzyć, widzisz przecież, że jest ranna.

- Sama jest sobie winna! Broniła się jak wściekła kotka, kiedy Beppo, mój braciszek, złapał ją za kark. Nawet go podrapała. No to ją rąbnął. Teraz chcę wiedzieć, czego tu szukała?

- Najpierw ją opatrz! - zawołała Fiora. - Widzisz przecież, że umiera!

Rzeczywiście, Khatoun próbowała wstać, ale siły ją opuściły, upadła na posadzkę, twarzyczka jej pozieleniała, a nozdrza się zacisnęły... Nie odpowiadziawszy Fiorze, Pippa wzięła niewolnicę na ręce i położyła na łożu, gderając, że łachmany, w które była ubrana, zapaskudzą jej pościel. Megiera niewątpliwie umiała skutecznie działać. W oka mgnieniu, pod czułym nadzorem Fiory, przemyła ranę, posmarowała ją papką hamującą krwawie-

nie, i podsunęła pod nos rannej flakon soli, chyba wyjątkowo skutecznych, bo Khatoun ocknęła się z omdlenia kichając.

- Dobra! - powiedziała Pippa. - Widzisz, że nie umarła! A teraz musi gadać!...

- Trochę cierpliwości! - oburzyła się Fiora. - Daj jej coś do picia! Trochę wina!

- Rozkazuje mi, słowo daję! - wrzasnęła Megiera, ale poszła po karafkę z winem i dała odrobinę Khatoun, która choć zdawała się śmiertelnie zmęczona całkiem odzyskała zmysły.

Tatarka opowiedziała, jak nazajutrz po pogrzebie pana udała się w łachmanach żebraczki pod klasztor Santa Lucia. Jej zdolność przeczuwania, wyostrzona jak instynkt wiernego psa, podpowiadała jej, że Fiora jest w niebezpieczeństwie w tym „świętym” przybytku. Stała tam, oddalając się tylko po to, by kupić coś do zjedzenia za rzucane jej przez przechodniów drobne monety...

- Nie miałaś kłopotu z cechem żebraków? - zapytała Pippa. - Trochę mnie to dziwi: miejsca pod kościołami i klasztorami to stanowiska dla wybranych. Na ogół trzeba za nie płacić...

- Nikogo nie widziałam - powiedziała Khatoun podnosząc na olbrzymią niewinność oczy. - Może stały żebrak był chory?

- Mało prawdopodobne! To solidna rasa. Są żywi albo martwi. Nic pośredniego. Ale opowiadaj dalej!

Drugiej nocy czuwania mała niewolnica zobaczyła, jak wśród głębokich ciemności otworzyła się brama. Podeszli zamaskowani mężczyźni i odebrali długi, ciemny ładunek, który jeden z nich wziął na ramię. Odeszli cicho, a

Khatoun szła za nimi aż do domu, do którego weszli. Była pewna - choć nie umiała wytłumaczyć, dlaczego - że nieśli Fiorę. Zrozumiała, że miała rację, kiedy dotarły do niej pewne pogłoski, iż sąd się nie odbędzie, gdyż oskarżycielka uciekła. .. Od tej chwili była pewna, że Fiora znajduje się w domu, do którego weszli dwaj mężczyźni...

Z lśniącymi nadzieją oczami Fiora śledziła zachłannie opowieść młodej Tatarki, ale przez ostrożność nie ośmieliła się zadać cisnącego się jej na usta pytania. Zadała je Pippa, niedbale, jakby chodziło o rzecz bez znaczenia, bawiąc się długą szpilką wyciągniętą z bujnych włosów.

- Jak to możliwe, że nie wezwałeś nikogo na pomoc? Nikomu o tym nie powiedziałaś?

Khatoun spuściła oczy, a na jej policzki barwy kości słoniowej powoli spłynęły łzy:

- Wróciłam do pałacu, żeby uprzedzić o wszystkim i prosić o pomoc, ale nie mogłam się do niego zbliżyć. Wokół , pełno było żołnierzy powstrzymujących zgromadzony tłum. Motłoch krzyczący: „Śmierć!... Śmierć czarownicy!". Wewnątrz byli inni. Przetrzęsali wszystko i... rabowali. Słysząc było trzask wyrzucanych na podwórze mebli... To było straszne! Nie wiedziałam już, dokąd iść... kogo szukać. Pomyślałam o donie Chiarze, ale portier mnie wygonił. Wróciłam więc tutaj, by spróbować... sama nie wiem czego.

Fiora ze ściśniętym gardłem słuchała słów objawiających jej całkowitą ruinę i kres wszelkich nadziei. Nie miała nawet czasu odczuć żalu, tak okrutnego, z powodu śmierci ojca. Wiedziała, że rozpacz powróci później - czuła gniew, bezsilną wściekłość. Odebrano jej wszystko, zostawiając je-

dynie honor, a za kilka godzin utraci i ten atut. Zostanie znieważona, upodlona, niewiarygodnie zhańbiona, ciśnięta w błoto, z którego zacny Francesco chciał wyciągnąć niewinne niemowlę... Wreszcie wybuchnęła:

- A Lorenzo?... Lorenzo Medyceusz, władca Florencji, co robił, gdy mnie szukano, by mnie zabić, gdy rabowano mój dom... gdy masakrowano zapewne moją starą Leonardę? Gdzie był Wspaniały, Wszechpotężny? W swoim ogrodzie w Badii czy Careggii? Patrzył jak kwitną drzewa laurowe i układał wiersze opiewające piękno natury? A może czytał jakąś rzadką książkę? Mój ojciec miał cudowne książki... może zadbał, aby je zabrać do własnej biblioteki?

Krzyczała, podobna do starożytniej płaczki, wylewając gorzkie łzy... Pippa żywo położyła jej na ustach swą wielką dłoń.

- Cicho bądź! Chcesz, żeby nas wszystkich powiesili? W domu jest pełno ludzi. Dziewczęta pracują, przychodzą już klienci.

- Czego się obawiasz? - spytała Fiora z goryczą. - Medyceusze nie są wcale tacy potężni...

- Ale mają wszędzie szpiegów. Dzięki temu są najsilniejsi, i dzięki złotu! Nie mają bardziej błękitnej krwi niż ja, i Lorenzo dobrze o tym wie, więc poślubił rzymską księżniczkę, żeby wyłuskać z niej książęce nasienie. No, uspokój się! Jeśli cię to pocieszy, powiem, że cię rozumiem. Trudno przełknąć taką pigułkę.

- To chyba oczywiste.

- Zgoda, ale przecież nie wszystko straciłaś. Została piękna buźka... i ciało. Kiedy cię nauczę posługiwania się nim, zobaczysz do czego można

dzięki niemu dojść. W Rzymie zbijesz fortunę i może nawet uda ci się zemścić. Teraz więc kładź się i śpij! Jeśli zaś o nią chodzi...

- Co z nią zrobisz? - zawołała Fiora, nastawiona obronnie, otaczając Khatoun ramionami.

- Myślałam, żeby ją zabić, bo tylko umarli nie mówią, ale mam lepszy pomysł...

- Jaki?

- Odwinąć ją z tych szmat, żeby zobaczyć, co jest pod spodem! Tatarska niewolnica to łakomy kąsek! Co ona umie?

- Śpiewać, tańczyć, grać na lutni... Zabraniam ci jednak wystawiać ją na targ niewolników. Należy do mnie i jestem do niej bardzo przywiązana. Jeśli nas rozdzielisz, nic ze mnie nie będziesz miała. Znajdę sposób, by się zabić.

Nie odpowiedziawszy, z westchnieniem znużenia Pippa podniosła Khatoun i zaczęła ją rozbierać. Przypominała jakąś rudą małpę obierającą świeży orzech. Zbyt zmęczona, by choć próbować zrozumieć, o co jej chodzi, Khatoun pozwalała jej na to, lecz chwiała się na nogach, a oczy same się jej zamykały, mimo wysiłków, które czyniła, by trzymać je otwarte. Megiera, zdając się tego nie zauważać, poddała ją takiemu samemu badaniu, jakie przeszła Fiora. Ta ostatnia czekała niecierpliwie na jego koniec, ale nagle drgnęła nie wierząc oczom i uszom: w głaszczących delikatnie dłoniach Pippy, Khatoun zaczęła jęczeć, więc się, całkiem już rozbudzona, mimo że jej na wpół wywrócone oczy zamykały się. Mruczała jak kotka pod wpływem tych dotknięć, które były pieszczotami. Nagle z dłońmi wczepionymi w piersi osunęła się na rozstawione kolana, gdy tymczasem palce Pippy

szukały najintymniejszego miejsca jej ciała. Khatoun wygięła w łuk młode ciało o barwie kości słoniowej, dysząc jak spragnione zwierzę, a po chwili osunęła się z krzykiem i skręciła w długim spazmie... Pippa wstała z kłęczek, jakby to co się stało było najnormalniejszą rzeczą na świecie:

- Ta mała powinna umieć coś więcej niż taniec i gra na lutni! Nigdy się z nią nie kochałaś?

- Zwariowałaś? - zawołała z oburzeniem. Kochać się można tylko z mężczyzną... i to mężczyzną, którego darzy się uczuciem!

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć! Kobiety mogą sobie oddawać wielkie przysługi, bardzo zresztą przyjemne, pozwalające zapomnieć o brutalności mężczyzn. Rzadko który umie dawać rozkosz. Większość zachowuje się jak rajtarzy w zdobytym mieście. Gdy tymczasem inna kobieta... Chcesz, żebym ci pokazała?

- Nie, dziękuję! - powiedziała Fiora, patrząca teraz z odrobiną niesmaku na nieruchome ciało Khatoun, które tak łatwo, bez stanu przejściowego, przeszło od lubieżności do snu. Miała wrażenie, jakby jej mała niewolnica została zbrukana.

Pippa wybuchnęła śmiechem, pochyliła się, bez widocznego wysiłku podniosła Khatoun i rzuciła ją na łóżko.

- Nie rób takiej miny! To co się stało, jest całkiem naturalne, szczególnie dla dziewczyny z Azji. Zatrzymaj ją tej nocy! Jutro zagonię ją do pracy. Jest tak wykończona, że nawet nie będzie pamiętać co się stało...

Zamierzała wyjść, ale jeszcze się odwróciła.

- A właśnie! Ty też jutro wieczorem pracujesz. To może nie być zabawne. Ale pomogę ci!

Tej nocy Fiorze nie udało się zasnąć. Dom, w którym trwała orgia, rezonował jak bęben; w głowie młodej kobiety huczało od wrzasków. Słyszała wszystko: pijackie śpiewki, krzyki, śmiechy i rżenie budzące odrazę. Około godziny drugiej ktoś mocno kopnął jej drzwi, ale zamek był solidny i nikt nie wszedł. Słyszała też przekleństwa i jęki bólu i zrozumiała, co Pippa miała na myśli mówiąc o brutalności mężczyzn... Obróciwszy się na bok, zobaczyła śpiącą głęboko Khatoun i poczuła, jak ogarnia ją litość. Jednocześnie miała sobie za złe, że przez chwilę nią pogardzała. Biedna mała, okazała tak wielkie oddanie, dobrowolnie naraziła się na zimno, deszcz, zmęczenie, strach i niebezpieczne nocne spotkania, aby spróbować, choć tak słaba i biedna, wyrwać swą panią straszному przeznaczeniu. Myśl, że jutro Megiera odda ją na pastwę potworom, których śmiechy i przekleństwa słyszała, przerażała ją. Obawiała się tego bardziej niż własnego losu, gdyż czuła teraz w sobie jakąś siłę, której istnienia nigdy dotąd nie podejrzewała. Nienawiść i chciwość Hieronimy wyrwały ją z przyjemnego i eleganckiego świata, aby wtrącić między ludzkie bestie. Wiedziała teraz, że jeśli chce żyć, musi walczyć, i to każdą bronią. Tym bardziej, jeśli chciała zaspokoić pewnego dnia żądzę zemsty ściskającą jej serce, jak chwasty o śmiertelnych zwojach duszą stopniowo słabsze rośliny, nie mające innej ochrony poza ręką ogrodnika. Lecz żaden uczynny ogrodnik nie uwolni tego serca, stworzonego jedynie do miłości, a teraz powoli usychającego, chyba że znowu zostanie podlane wodą czułości. Jedyne, który byłby zdolny sprawić ten cud zupełnie się nią nie przejmuje i nigdy nie zainteresuje...

Pianie koguta sprowadziło ciszę do domu Pippy. Fiora usłyszała, jak wychodzi ostatni pijak. Przeróżliwie fałszywym głosem kaleczył jej ulubio-

ną piosenkę: „Chodziłem szukając kwiatu do zerwania, Na swej białej twarzy masz tak piękne, pani...”

Romanca, śpiewana czkającym głosem, była ledwie rozpoznawalna. Odzwierciedlała przemianę życia Fiory: w karykaturę, koszmar, pośmiewisko, kloakę, z której nie wiedziała, jak się wydostać... i w jakim stanie! Teraz przynajmniej miała towarzyszkę w nieszczęściu - Khatoun. Nagle znikł dystans - przyjmując, że taki w ogóle istniał! -między nią i młodą niewolnicą. Stała się dla niej siostrą, bardziej może kruchą i wymagającą ochrony, ale z którą możliwe stawało się opracowanie planu ucieczki, ponieważ Khatoun przynajmniej wiedziała, gdzie znajduje się dom Pippy.

Fiora zasnęła dopiero o pierwszym brzasku dnia, gdy rozbrzmiewała już jedynie chrapaniem mieszkańców... Obudziło ją trzaskanie drzwiami i szum lejącej się wody. Pippa, niedbale ubrana w rodzaj peniuaru z jaskrawoniebieskiego jedwabiu, była zajęta napełnianiem szaflika wodą z wiader przynoszonych spoza drzwi. Najwyraźniej przydać się miało łazienne wyposażenie dziwnego pomieszczenia: Pippa przygotowywała kąpiel.

Fiora obserwowała ją spod spuszczonej rzesy. Zauważyła, że była zbudowana jak mężczyzna, z wyjątkiem marmurowobiałych piersi wylaniających się chwilami spod odzienia. Węzły mięśni bez grama tłuszczu napinały się na jej ramionach i barkach. Biała skóra zdawała się być równie gładka jak skóra dziecka, poza jednym z ramion, na którym widniała paskudna blizna, ślad po ciosie nożem - świadectwo trybu życia nie pozbawionego niebezpieczeństw.

Uznawszy, że wody jest wystarczająco dużo, Pippa zanurzyła łokieć, by sprawdzić temperaturę. Odeszła na chwilę i wróciła z pudełkiem, z którego

zaczepnęła garść zawartości i rzuciła na żar w koszu. Znajomy zapach żywicy sosnowej i liści laurowych wypełnił pokój. Leonarda, biegła we florenckich zwyczajach, wkładała je zawsze do prania, by nadać przyjemny zapach bieliźnie. Ale tego dnia nie chodziło o pranie.

Nie upewniwszy się nawet, że Fiora się obudziła, Pippa wyjęła ją z łóżka i zanurzyła w wodzie aż po ramiona.

- Czy nie prościej byłoby powiedzieć mi, żebym wstała i weszła do kąpieli? - zaprotestowała Fiora.

- Nie jestem pewna. Są ludzie, którzy nie lubią się myć. W ten sposób unikam dyskusji.

- Ja lubię się myć, Khatoun także. Mamy dużą łaźnię. Kapałam się tam codziennie!

Pippa sapnęła z powątpiewaniem:

- Czy trochę nie za często? Codzienna kąpiel musi chyba niszczyć skórę?

- Widzisz przecież, że nie. Słyszałam też, że Zafolina, słynna kurtyzana, o którą ubiegają się najbogatsi mężczyźni w mieście, kąpie się czasem dwa razy dziennie!

Tym razem Pippa była szczerze zdumiona. Zgodnie z jej osobistą etyką było nie do pomyślenia, by córka Francesca Beltramiego mogła choć wiedzieć o istnieniu kurtyzan. Fiora wytłumaczyła jej więc, że Zafolina była tak dobrze wychowana, dyskretna, pobożna i szlachetna, że nierzadko przyjmowano ją w najlepszych domach. Podziwiano jej toalety i biżuterię, lubiano przysłuchiwać się, jak mówi i śpiewa. Nie miało to nic wspólnego...

- Z tym, co się dzieje tutaj? - uzupełniła Pippa, jednocześnie namydlając energicznie młodą kobietę. - No i właśnie takie życie będziesz prowadziła, jeśli zrobisz to co mówię. Tylko, że jeszcze piękniejsze, bo w Rzymie, a śpiewać będziesz dla papieża! Będziemy bogate jak królowa Raba...

- Saba - poprawiła machinalnie Fiora, ale Megiera jej nie słuchała. Myjąc energicznie włosy nowej podopiecznej, Pippa śniła na jawie, widząc się już zarządzającą interesami Fiory, obsypywanej złotem i klejnotami przez całe Święte Kolegium leżące u jej stóp. Ale, prawdę powiedziawszy, młoda kobieta nie słuchała jej.

Rozmyślała oddając się całkowicie prostej przyjemności wynikłej z gorącej i pachnącej kąpieli, tak potrzebnej. Przyjemności nie zaznawanej od wielu dni, gdyż zgodnie ze zwyczajem nie udawano się do łaźni, jeśli przez dom przeszła śmierć...

Po kąpieli, w której Fiore zastąpiła Khatoun, z poleceniem, by radziła sobie sama, Pippa owinęła ją w prześcieradło i posadziła tyłem do paleniska, by wysuszyć jej włosy.

- Przyjdę za chwilę zrobić ci masaż i natrzeć wonnościami! - oświadczyła, opuszczając pokój ku wielkiemu zadowoleniu Fiory.

Dziewczyna natychmiast podeszła do Khatoun, zajętej maniakalnie starannym namydleniem się.

- Nigdy nie zdołam podziękować ci za to co zrobiłaś -powiedziała. - Czy możesz mi teraz powiedzieć, gdzie jesteśmy?

- W dzielnicy San Spirito, po drugiej stronie Arno. Budynek znajduje się za domem sprzedawcy świec, mniej więcej pośrodku małej uliczki prowadzącej do wielkiego, nie dokończonego pałacu...

- Pałacu Pittich? Którego budowę musieli przerwać?

- Właśnie. Wchodzi się tu przez długi korytarz i żadne okno nie wychodzi na ulicę. Nad drzwiami jest czerwona latarnia.

- To oznacza, że niełatwo będzie wydostać się stąd, a może nawet będzie to możliwe. Kto by nas tu szukał?

- Jest jednak ktoś, kto wie... - Khatoun zniżyła głos o kilka tonów i poruszyła trochę wodą w szafliku, żeby się dokładniej splukać. - Stary żebrak, którego spotkałam w pobliżu klasztoru. Był bardzo dobry, bardzo szlachetny. Ta kobieta miała rację: nie wolno żebrać bez pozwolenia innych, ale on mi pozwolił. Wziął mnie pod opiekę i był ze mną, gdy przyniesiono cię tutaj...

- Powiedziałaś mi, dlaczego znalazłaś się pod klasztorem Santa Lucia?

- Tak.

- I pomógł co mimo wszystko?

- Tak, ale później poradził mi, żebym wracała do domu. Nie chciałam. Wtedy odszedł. Ostrzegał, że jeśli tu zostanę, złapią mnie... Fiora ze smutkiem wróciła na swoje miejsce przy ogniu. Nikła nadzieja, jaką poczuła, rozplynęła się w powietrzu jak ten żebrak. Czuł litość dla Khatoun, i to wszystko! Pokładać jakąkolwiek nadzieję w osobie żyjącej w nędzy zakrawało na czyste szaleństwo. Trzeba było znaleźć inne wyjście. Ale jakie?

Wróciwszy Pippa umyła Khatoun włosy i wyjęła ją z wody. Wyciągnęła zatyczkę z szaflika, by go opróżnić, po czym położyła Fiorę na łożu i zaczęła namaszczać ją pachnącą oliwą, podczas gdy Khatoun się suszyła. Zmarszczywszy nos Fiora wciągnęła zapach wydobywający się z dłoni Megiery.

- Co to za zapach? Zazwyczaj używałam kompozycji irysa, werweny i odrobiny jaśminu.

- Co z pewnością ładnie pachnie, ale w miłości musi być niewiele war-
te. To jest olejek narodowy, na tyle drogi, że nie powinnaś się krzywić.
Kiedy nauczysz się nim posługiwać, doprowadzisz mężczyzn do szaleń-
stwa...

Fiora raptownie chwyciła dłoń, którą Pippa zbliżała do jej brzucha.

- To będzie... dziś wieczorem?

- Chodzi ci o przyście tego, który ma na ciebie chętkę? Tak. Nie pytaj
jak się nazywa: nie powiem ci. Sama zobaczysz...

- A ona? - spytała Fiora, wskazując brodą niewolnicę. - Naprawdę wy-
ślesz ją do piekła, które słyszałam ostatniej nocy, pijaków i dzikusów?

- Nie martw się. Dam ją komuś, kto będzie umiał ją docenić. Taki dro-
biażdżek jak ona ma swoją wartość i można z niego wyciągnąć sporo pie-
niędzy. A w dodatku lubi miłość...

- Nie boisz się, że zostanie rozpoznana i tym śladem dotrą do mnie? Ta-
tarskie niewolnice są taką rzadkością, że moja jest znana. Zostaw ją przy
mnie. Zabierzesz ją razem ze mną do Rzymu. Kardynał Borgia jest z pew-
nością wystarczająco bogaty, by ją kupić, albo może ja zapłacę ci za nią,
gdy zarobię dużo złota...

Dużo Fiorę kosztowało mówienie tym językiem kurtyzany, ale by ura-
tować Khatoun przed okropnym losem, gotowa byłaby pertraktować z sa-
mym diabłem.

- Nie może zostać z tobą dziś wieczorem - powiedziała Pippa naciera-
jąc energicznie ramiona i piersi swej pensjonariuszki. - Poza tym spędzi,

być może, przyjemny wieczór. Klient, któremu ją dam, jest hojnym panem i nie pochodzi stąd. Nie ma więc obawy... Fiora zrozumiała, że nic nie wskóra, i zamilkła pozwalając kontynuować masaż. Ciało jej pachniało teraz jak sklep Landucciego, kiedy otrzymywał dostawę perfum. Po chwili zapytała z goryczą:

- Czyja też mogę się spodziewać przyjemnego wieczoru? Pippa przerwała pracę. Wycierając machinalnie ręce w ubranie westchnęła:

- Nie. Wyglądasz na odważną dziewczynę, więc powiem ci prawdę, zawsze lepiej wiedzieć, czego się spodziewać. Czekają cię trudne chwile, bo... on jest nie całkiem normalny. Będę przy tobie... a w każdym razie niedaleko, aby zapobiec najgorszemu. Najlepiej zrobisz myśląc o tym, co ci obiecałam: o przyszłej fortunie!

Zaiste, złoto zdawało się stanowić dla tej kobiety dobro najwyższe, cel życia. Fiora, sądząc przez chwilę, że być może zdoła zmiękczyć jej serce, zrezygnowała. Opłacono Pippę, by wykonała paskudne zadanie. Traktowała więźniarkę z pewną łagodnością jedynie dlatego, że ujrzawszy ją uświadomiła sobie, iż okazując jej pewne względy będzie mogła wyciągnąć z niej dużo więcej złota niż przypuszczała.

Dzień dłużył się, wypełniony wciąż nowymi zabiegami pielęgnacyjnymi, lekkim posiłkiem i kilkoma godzinami odpoczynku. Kiedy zapadła noc, Megiera ubrała Fiorę -jeśli można to było nazwać ubraniem - w szeroką, całkiem przezroczystą tunikę z białego muślinu; we włosy wpięła gałązki jaśminu i kilka pączków kwiatu pomarańczy. Khatoun, ubrana w odsłaniającą piersi suknię z czerwonego jedwabiu, z cekinami we włosach, zniknęła...

- Wyglądasz prawie jak panna młoda! - powiedziała Pippa podziwiając swoje dzieło. - To mu się spodoba. Chłopak lubi przede wszystkim dziewczęce. Zabawianie się z nimi sprawia mu największą przyjemność i kilka już mu dostarczyłam. Później dość szybko przestają go interesować, ale ty to co innego: jesteś taka piękna!

Fiora już chciała powiedzieć, że nie jest dziewicą, ale pomyślała, że to jej nie uratuje. Skoro ten mężczyzna zadał sobie tyle trudu, to znaczy, że mu z jakiegoś powodu zależało na zawładnięciu nią. Daremnie próbowała odgadnąć, kim okaże się nieznajomy. Miała tylko nadzieję, że choć zapewne brutalny będzie zdolny do jakichś uczuć. Starając się nie tracić odwagi, czekała wpołleżąc na rozesłanym łożu, w łagodnym świetle świec, wydobywającym blaski z jej włosów i pieszczącym aksamit skóry.

Gdy Pippa otworzyła drzwi i wpuściła „klienta”, Fiora wydała okrzyk przerażenia. Skoczywszy w kąt łoża schroniła się w zasłonach, okręcając je wokół siebie. Wchodzącym był Piętro Pazzi, okropna kreatura, garbata i kulawa, wydana na świat przez Hieronimę, która zamierzała doprowadzić do ich małżeństwa.

Miał dopiero dwadzieścia lat, ale w rzeczywistości był bez wieku, bo rozpusta naznaczyła już jego ziemistą twarz. Miał długi, spłaszczony na końcu nos, włosy rzadkie i przylizane, duże uszy, wystającą brodę i małe czarne oczka, z których jedno zamykało się co chwila w wyniku nerwowego tiku, unoszącego całą połowę twarzy. Tylko olśniewająco białe zęby można było uznać za ładne.

Dotychczas Fiora litowała się z całego serca nad tak nieurodzivym chłopcem, któremu ironia losu kazała przyjść na świat w mieście, gdzie

piękno miało ogromne znaczenie. Nigdy zresztą nie widziano go wśród rówieśników, odnoszących się do jego kalectwa z okrucieństwem, kpina i szyderstwem. Dziewczęta, jeśli pozwalało im na to nazwisko lub majątek, uciekały przed nim. Chiara go nienawidziła, i nawet się go bała. Mówiła, że spłodził go diabeł i wystrzegano się odwiedzania pałacu Beltramiego, jeśli wiedziała, że gościł tam młody Pazzi. Było to zresztą rzadkością, gdyż prawie nie opuszczał posiadłości swego dziadka w Montughi, gdzie - jak mówiono - zajmował się alchemią i hodowlą złych psów.

Przerażenie Fiory zdawało się go bawić, bo wybuchnął śmiechem.

- Cóż to, czy to całe przyjęcie zgotowane ukochanemu przez piękną narzeczoną? Można by przypuszczać, że się mnie boisz?

Ten sarkastyczny ton sprawił, że Fiore znowu poczuła gniew, stłumiony chwilowo przez strach. Nie opuszczając schronienia za zasłonami odparła:

- Dobrze wiesz, że nigdy się ciebie nie bałam. Zdaje mi się nawet, że zawsze byłam dla ciebie uprzejma...

- Z pewnością! Uprzejma... tak. Odmówiłaś jednak poślubienia mnie. Twoja uprzejmość nie sięgała tak daleko, nieprawda?

- Nie można oddać komuś ręki nie dając serca. Przykro mi, Piętro, ale nie kocham cię.

- Niech ci nie będzie przykro: ja też cię nie kocham... Nawet sądzę, że cię nienawidzę, lecz chciałem cię mieć dla siebie.

- Bądź szczery! Pragnąłeś raczej posagu, a w przyszłości majątku mego ojca...

- Nie doceniasz siebie! - powiedział z rechem, który podziałał jak tarka na napięte do ostateczności nerwy młodej kobiety. - Oczywiście,

chciałem tego majątku i zgodnie z prawem należy do mnie, bo ty jesteś niczym. Ale chciałem przede wszystkim ciebie, by nauczyć cię żyć na mój sposób; podporządkować moim pragnieniom, wszystkim kaprysom. Ach, jakie piękne życie wiodłabyś przykuta łańcuchem dzień i noc do mego łóżka, jak suka... Chyba nigdy nie widziałaś moich psów?... Szkoda... Są piękne i silne, i liżą moje ręce oczekując pieszczot. Żyłabyś z nimi, dzieląc ich jadło... Zamówiłem już nawet piękną, skórzaną obrózkę na tę ładną szyjkę. Jacyż szczęśliwi byłibyśmy wszyscy razem! Widziałem cię już śpiącą nago na dywanie w mojej sypialni przy Molochu, moim ulubionym brytanie, idącym do mnie, gdy tylko strzelę z bata... Widzisz ten bat?...

Spod czarnego płaszcza, zarzuconego niedbale na ramiona, wyciągnął długi, pleciony, skórzany rzemień i strzelił z niego.

- Ale nie jest jeszcze za późno, wiesz? Najpierw poślubię cię na mój sposób na tym burdelowym łóżku... a później zobaczymy jak zrealizować ten piękny sen... Chodź teraz, moja śliczna, chodź do swego pana!

Był szalony, to nie budziło wątpliwości. Z oczami wysadzonymi z orbit i ustami, z których spływała nitka śliny Piętro był straszliwy, demoniczny...

- Nigdy! - krzyknęła Fiora, tracąc głowę. - Zabraniam ci zbliżać się do mnie!

- Zabraniasz mi? Zabraniasz czegoś swemu panu? Pożalujesz tego... Powiedziałem do mnie! Do nogi i na kolana!

Przerażona obrotem wydarzeń tej sceny, Pippa próbowała interweniować:

- Trochę cierpliwości, panie! Użyjesz bata później, kiedy trochę się do ciebie przyzwyczai - powiedziała głosem, któremu usiłowała nadać uspokajający ton.

jające brzmienie. - Pomyśl, że masz przed sobą słodkie, małe dziewczę, niewinną dziewicę. Jeszcze nie zaznała radości związku z tobą... Najpierw ją posiadź! Jestem pewna, że później będzie łagodna... i uległa!

Piętro spojrzał nieprzytomnie. Odetchnął głęboko dwa czy trzy razy i opuścił bat:

- Masz rację. Odbędziemy najpierw zaślubiny! Przyrowadź mi ją!

Pippie nie trzeba było tego powtarzać. Mimo rozpaczliwej obrony Fiory, wyrwała ją z prowizorycznej kryjówki i zmusiła do położenia się na łożu, gdzie młoda kobieta natychmiast zwinęła się w kłębek. Serce biło jej w piersi jak oszalałe, gdyż Piętro z okrzykiem wściekłości znowu złapał bat i chłostał jej ramiona i plecy, którymi się do niego odwróciła. Biłby ją dalej, ale Pippa - rozumiejąc, że byłby zdolny zabić jej cenną pensjonariuszkę - przytrzymała jego ramię.

- Radziłam ci trochę cierpliwości, panie! Nie warto jej bić: poplamiałaby cię krwią. Potrzymam ci ją!

- Trzymaj ją więc dobrze! Jest gotowa mnie podrapać!

- Nie obawiaj się! Będę jej pilnować. Rozbierz się tylko! - i cicho szepnęła Fiorze do ucha: - Na miłość boską, leż spokojnie! Może cię zabić!

Przywołanie przez Pippę boskiego miłosierdzia w podobnym miejscu i chwili najlepiej świadczyło o jej niepokoju. Sama nie potrzebowała niczyjej pomocy: łatwo złamała opór nieszczęśnicy, rozciągając ją w poprzek łoża i solidnie przytrzymując za ramiona. Piętro tymczasem zdjął obszerny płaszcz i rzucił w kąt:

- Nigdy się nie rozbieram, żeby rozdziewiczyć panienki. Uważają ten strój za przyjemniejszy. Bardzo je podnieca!

Jego kaftan usiany był małymi, żelaznymi kolcami, które - nie powodując poważniejszych ran - kaleczyły skórę jego towarzyszek.

- Do wszystkich diabłów! - sapnęła Pippa ze zdumieniem. Dobrze wiedziała, że syn Hieronimy nie był normalny, a w swym domu widziała wielu okrutnych mężczyzn, ale ten ją zadziwił.

Widząc, że się zbliża, Fiora zamknęła oczy i nerwowo ścisnęła nogi, ale zwyrodnialec rozsunał je jednym pchnięciem kolana i wszedł w nią brutalnie... Natychmiast jednak się wycofał drapiąc piersi i brzuch młodej kobiety, która nie mogła powstrzymać jęku:

- Ona już nie jest dziewicą! - ryknął.

- Nie jest dziewicą? - powtórzyła osłupiała Pippa. - Musisz się mylić, panie! Zrobiłeś to zbyt gwałtownie!

- Nie jestem szalony i wiem czy dziewczyna jest niewinna czy nie! Tej już ktoś używał... i ona mi powie, kto! Słyszysz, ty mała dziwko? Ze swoimi wielkopańskimi manierami nie jesteś więcej warta niż dziewczyny szwendające się w tawernach nad rzeką! No mów!

Rzucił się na nią i chwyciwszy za gardło, zaczął ścisnąć. Pippa krzyknęła:

- Jak ma mówić, kiedy ją dusisz? Puść ją... Mówię, żebyś ją puścił! Złapała go za nadgarstki. Nagłe, nie wiadomo skąd, pojawił się mężczyzna odziany w łachmany nadające mu wygląd nietoperza, tak wielkiego i czarnego, że przez chwilę myślała, że to diabeł we własnej osobie. Ledwie spostrzegła błysk sztyletu, który dwukrotnie wbił się w plecy Pietra...

Garbus krzyknął i osunął się na łożo. Jego ręce zwolniły uchwyt, w samą porę dla tracącej oddech Fiory. Pippa, klęcząca z drugiej strony łoża,

aby lepiej unieruchomić młodą kobietę, wstała z trudem. Jej przerażony wzrok przenosił się z trupa na mężczyznę w łachmanach. Przybyły- jedną ręką, bez widocznego wysiłku, złapał zabitego za kołnierz kaftana, zdjął z Fiory straszliwy ciężar i rzucił z odrazą na podłogę jak coś plugawego. Odślonił ciało młodej kobiety pokryte drobnymi zadrapaniami, z których sączyła się krew. Fiora oddychała z trudem przez zaciśnięte nozdrza...

- Nieźle narozrabiałeś! - szepnęła Pippa patrząc z przerażeniem na rosnącą plamę krwi na plecach Pietra. -A przede wszystkim, kim jesteś?

- Kimś, kto kazałby cię powiesić... a może nawet spalić, gdyby ten potwór zabił donnę Belframi w twoim domu. Wystarczy, że przetrzymywałaś w zamknięciu kobietę porwaną siłą z klasztorowego schronienia - powiedział spokojnie Demetrios, delikatnie dotykając posiniaczonej szyi Fiory, aby upewnić się, że nic nie zostało złamane. - Byłaś jego współniczką. Trzymałaś ją za ramiona, kiedy ją dusił.

- Nie pozwoliłabym mu tego zrobić! Przysięgam na...

- Nie przysięgaj, Pippo! To strata czasu. Lepiej zrobisz zajmując się nią. Do pięknego stanu ją doprowadził!

Grecki lekarz wyciągnął spod brudnego odzienia mały flakonik i przysunął go do pobladłych ust Fiory; kilka kropel spłynęło do ust dziewczyny i jej ciałem wstrząsnął długi dreszcz. Wreszcie otworzyła oczy i spojrzała z ogromnym zaskoczeniem na pochylającą się nad nią brodatą twarz. W ostatniej chwili powstrzymała okrzyk, gdyż Demetrios położył jej szybko palec na ustach:

- Lepiej ci?

- Tak - szepnęła. - Tak... dziękuję!

Pippa zakrzętała się. Zerwała z Fiory resztki, muślinowej tuniki, zmyła jej ciało wodą pomarańczową, po czym wzięła nieco pomady z małego słoniczka i rozprowadziła na wszystkich skaleczeniach, przemawiając do ofiary uspokajająco, stale śledząc kątem oka dziwnego gościa:

- No, już dobrze, moja gołąbko! To nic takiego! Prześpisz się, a jutro już nie będzie śladu!

- Zgoda na spanie - powiedział Demetrios - ale nie tutaj! Ubierz ją w cokolwiek. Zabieram ją!

Pippa raptem odzyskała werwę. Zerwała się na równe nogi, stanęła twarzą w twarz z Grekiem i wzięwszy się pod boki napięła mięśnie, wspaniała i groźna:

- Nikogo nie zabierasz! Już mi wystarczająco zaszkodziłeś, zabijając dobrego klienta. Zatrzymuję ją dla siebie, zrozumiałeś? Kim ty w końcu jesteś? Zwykłym żebrakiem, a ja mam tu kilku niezłych chłopaków, którzy mi pomogą. Poza tym, mogę wezwać straż. Powiem prawdę: zabiłeś szlachcica, i powieszają cię! Właściwie dlaczego miałabym zaraz ich nie wezwać?

Zamierzała zawołać, ale Demetrios wyciągnął rękę i skierował rozczapierzone palce w stronę oczu kobiety, która czknęła i znieruchomiała z otwartymi ustami. Nie zmieniając pozycji Grek uczynił krok do przodu, a Pippa krok w tył i tak szli, aż sztywna jak deska uderzyła plecami o ścianę. Czarne oczy Demetriosa, którymi ją przeszywał, płonęły jak świece.

- Nikogo nie zawołasz. Pippo - powiedział spokojnie, nie spuszczać jej z oczu. - Wprost przeciwnie, będziesz mi posłuszna... Słyszysz mój głos?

- Tak... tak, słyszę twój głos! Mów! Będę ci posłuszna! -głos jej był zupełnie zmieniony, odległy...

- Więc posłuchaj: ubierzesz tę młodą kobietę i odprowadzisz nas do drzwi. Później zawołasz swojego brata. We dwoje zanieście ciało nad rzekę i wrzucicie do wody, obciążwszy uprzednio jednym lub dwoma dużymi kamieniami, Później wróćcie do domu. Dopiero wtedy się obudzisz, ale zapomnisz o wszystkim, co się tu stało. Powiesz, że Fiorze udało się uciec podczas bijatyki między jakimiś pijakami...

Cała jego siła zdawała się być skoncentrowana w spojrzeniu i dłoni przygważdżającej Pippę do ściany. Wymawiał każdą sylabę z osobna, jakby chciał je wbić do umysłu kobiety. Ona miała szeroko otwarte oczy i stała zupełnie nieruchomo. Wyglądała jak wielki posąg i Fiorze patrzyła na nią ze zdumieniem. Demetrios po krótkiej chwili ciszy zapytał:

- Zrozumiałaś moje rozkazy?

- Tak.

- Wypełnisz je, o niczym nie zapominając?

- O niczym nie zapominając...

- No to już, zaczynaj! - dodał mocnym głosem i powoli opuścił ramię.

Pippa zachwiała się, jakby zabrakło jej podpory, i przystąpiła do dzieła wykonując dziwne, prawie automatyczne ruchy. Nie śmiejąc się poruszyć Fiorze założyła ubranie klasztorne, które wyjęła z kufra: koszulę, białą suknię nowicjuszki, sandały z plecionego sznurka. Demetrios podniósł czarny płaszcz zdjęty przez Pietra i podał, by owinęła nim młodą kobietę, której następnie podał rękę.

- Chodź - powiedział. - I nie obawiaj się! Tak jak jej rozkazałem, odprowadzi nas do drzwi...

Rzeczywiście, Pippa, obojętna, jakby była sama, zapaliła świecę w lichtarzu i skierowała się do drzwi. Ale Fiora stawiała opór prowadzącej ją do wyjścia ręce.

- A Khatoun? Nie mogę odejść bez niej!

- To ta mała Tatarka, tak ci oddana? Gdzie ona jest? Fiora wykonała niejasny gest.

- Nie wiem. Gdzieś w tym domu... z jakimś mężczyzną... cudzoziemcem. Pippa powiedziała, że zamierza dać ją komuś, kto będzie umiał ją docenić... Trzeba ją znaleźć!

Demetrios zmarszczył brwi.

- To niemożliwe tej nocy. Dom jest duży, nie zdołamy go całego przeszukać. Poza tym nie mogę uspić dużej grupy osób, tak jak tę kobietę. Musimy odejść bez niej.

- Nie! - powiedziała Fiora. - Nie chcę jej opuścić. Bóg jeden wie, co by się z nią stało, gdyby została sama z bandziorami!

- Wątpię, żebyś mogła wiele uczynić w jej obronie. Bądź spokojna, Pippa zbyt dobrze zna wartość handlową ładnej dziewczyny. Zresztą, jutro przyślę po nią. Megiera nie potrafi zbyt długo opierać się działaniu złota i dostanie je. Teraz już chodź, musimy się spieszyć!

Pippa czekała na progu jak dobrze wyszkolona służąca. Ruszyła przed nimi niosąc świecę, aby ułatwić drogę. Przeszli pogrążony w mroku korytarz, wychodzący na wewnętrzne podwórko, to samo, które widać było z okna pokoju-sauny. Przechodząc obok schodów usłyszeli krzyki i śmiechy.

Były tak bliskie, że uciekinierka poczuła strach na myśl, że jakieś drzwi może otworzyć jeden z ludzi, którzy wewnątrz urządzali prawdziwe bachanalia.

- Nie bój się - szepnął Demetrios. - Z nią nie mamy się czego obawiać. Zresztą, ominęła dużą salę... Jesteśmy już prawie na zewnątrz... Na końcu ostatniego korytarza Pippa otworzyła drzwi i wypuściła przyprowadzonych. Później zamknęła drzwi. Fiora z niezmierną radością spojrzała na ciemnoniebieskie, usiane gwiazdami niebo, od którego odcinał się mieniącą wstęgą zarys domów wzdłuż uliczki. Całą pierśią wdychała wilgotne powietrze, niosące zapach ryb, oliwy i płonącego drewna i ścisnęła mocniej dłoń Demetriososa:

- Jak ci dziękować... - zaczęła, ale ją uciszył.

- Później będziemy mieli dużo czasu na rozmowy. Poszukajmy schronienia na resztę nocy. O świcie, kiedy bramy zostaną otwarte, zawiozę cię do mnie, do Fiesole...

- Dokąd idziemy?...

- Do przyjaciela, któremu zawdzięczam to przebranie... i kilka innych rzeczy...

Wyszli z uliczki, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, upewniwszy się wpierw, że kroki milicji oddalają się, a nie przybliżają. Przed nimi wznosiło się coś na kształt ruin, a co w rzeczywistości było nie dokończoną budowlą: wielkim pałacem złożonym jedynie z parteru i części pię-

tra. Robił duże wrażenie z powodu ogromnych, ledwo ociosanych kamieni, tworzących surową całość*¹⁴.

Mieszkańcy dzielnicy omijali go z daleka, gdyż miał złą opinię. Jeden z najbogatszych ludzi we Florencji, Lucia Patti, zamówił jego plany u Brunelleschiego, genialnego architekta, który wznosił Baptysterium i nakrył Duomo olbrzymią, koralową kopułą. Chciał, żeby pałac stał się największym, najbogatszym w mieście, dorównującym jego nieokiełznanym ambicjom. Po śmierci Cosima, dziada Lorenza, Patti sprzysiągł się z Soderinim, ówczesnym gonfalonierem sprawiedliwości, aby wyrwać władzę ze słabych rąk syna Cosima, Pietra. Spisek się nie powiódł, a zrujnowany Pitti zmarł na wygnaniu, z dala od ukochanego miasta. Jednak lud, którego nie zadowolilo tak zwyczajne zakończenie, utrzymywał po cichu, że szczątki Luki Pittie-go, zamordowanego przez Medyceuszy, zostały pogrzebane pod jego nie dokończonym pałacem. Ponieważ legendy mają długie życie, kobiety żegnały się przechodząc obok posepnych murów i wielkich pustych łuków, otwierających ślepe oczy prostokątnych okien na ciemne czeluści. Nikt nie ośmieliłby się zabrać żadnego z tych porzuconych kamieni, jak mówiono - przeklętych. Sytuacja taka trwała od trzydziestu lat... Jednak Demetrios pociągnął swą towarzyszkę prosto w stronę opuszczonego placu budowy, nie zważając na okazywaną przez nią obawę.

- Na dziewczynie, której umysł został oświecony przez grecką filozofię nie powinna robić wrażenia głupia legenda! - powiedział, aby dodać jej otuchy...

¹⁴ *Dalsza budowa pałacu została podjęta sto lat później przez Kosmę I Medyceusza.

Trzymając się razem obeszli wokół plac, natrafili na zarys ogrodu, który powinien był rozciągać się na pagórku, i zagłębili się w jeden z otworów drzwiowych. Idąc po omacku Demetrios natrafił w ciemnościach na ścianę z desek, spod której sączył się nikły promień światła, i zastukał w nią według umówionego kodu. Zachrypnięty głos zapytał ze środka:

- Kto tam?
- Mendici!*¹⁵

Coś, co pełniło rolę drzwi, otwarło się, ukazując pomieszczenie mające być zapewne pokojem dla służby. Światło pochodziło z małego ogniska, rozpalonego wprost na klepisku. Zaś osobą witającą nowo przybyłych był mały, chudy jak szkielet mężczyzna, o twarzy ozdobionej rzadką brodą i okolonej długimi włosami. Rzucił okiem na gości i z powrotem ukucnął przy ognisku, mieszając w glinianym garnku.

- Zdaje się, że ci się udało?

- Tak. Dzięki tobie, Bernardino. Ale już był najwyższy czas. Musiałem zabić Pietra Pazzię. To ona kazała porwać Fiorę i byłby ją udusił, gdybym nie przyszedł. O tej porze Pippa i jej brat zapewne wrzucają go do Arno, obciążony kamieniami u szyi, żeby nie wypłynął.

- Jednego łotra mniej! - zgodził się starzec. - Witaj, panienko! Jesteś u przyjaciela... Znasz mnie, często okazywałaś mi miłosierdzie.

Rzeczywiście, przypominała sobie tego starego człowieka, który zebrał zawsze u wrót Duomo, śpiewając jakąś starą pieśń żałobną... - Dziękuję ci - powiedziała - ale... sądziłam, że jesteś ślepy i głuchy?

¹⁵ *Żebracy.

Roześmiał się cicho i wyjaśnił z dumą, że trzeba wielkiego doświadczenia, by pokazywać tylko białka oczu, ale nie jest trudno udawać głuchego.

- Teraz możesz trochę się przespać, bo pewnie tego potrzebujesz. Oto moje łóżko - powiedział wskazując na jeden ze stosów szmat służących mu za meble w jego mieszkaniu. - Obudzę cię, kiedy kur zapieje...

- Przyjmując mnie u siebie ryzykujesz życiem. Przypuszczam, że wiesz o tym?

- Ryzykuję mniej niż przypuszczasz, dziewczuszko. Nie sugeruj się nędznym otoczeniem, w którym żyję, gdyż dysponuję potęgą, jakiej pozazdrościłoby mi wielu książąt. Członkowie cechu żebraków, najliczniejszego ze wszystkich, wszędzie wokół Morza Śródziemnego i jeszcze dalej rozpoznają się dzięki jednemu słowu: „Mendici”. Króluję we Florencji nad prawdziwymi lub fałszywymi kalekami, rzezimieszkami, żebrakami wszelkiej maści. Tworzą oni prawdziwą armię, której ciosy choć zadawane w ciemnościach, są groźne. Jeżeli w mieście narastają zamieszki, jesteśmy zawsze w centrum niepokoju. Jednak, widzisz, to drogie mi życie zawdzięczam towarzyszącemu ci człowiekowi, gdyż jego wiedza uratowała mnie. A Bernardino zawsze spłaca długi... Śpij teraz i zasłoń uszy; Grek i ja musimy porozmawiać...

Wyciągnięta na stosie cuchnących szmat jak na najmniejszych poduszkach, zapomniawszy o podrapanym ciele i obolałej szyi, Fiora natychmiast zapadła w głęboki sen. Kilka kroków od niej, przycupnąwszy naprzeciwko siebie po dwóch stronach ogniska, grecki lekarz i król żebraków rozmawiali po cichu o potajemnych sprawach aż do świtu. Kiedy rozległo się pianie

koguta, Demetrios wyjął z łachmanów garść florenów i włożył ją w łapska swego towarzysza. Potem wstał i przeciągnął się.

- Myślisz, że ci się uda? - zapytał.

Tamten wzruszył ramionami i z lubością przesypał złoto z jednej dłoni do drugiej:

- To dziecinnie łatwe. Za dwie godziny wiadomość, że dziewczyna nie uciekła z klasztoru, lecz została porwana obiegnie place przed kościołami i targi, równie szybko jak jesienny wiatr.

- Jesteś pewien, że ani ty, ani twoi bracia nie ryzykujecie wpadnięcie w ręce bargella?

- Nie można powstrzymać wiatru. Zrywa się, choć nie wiemy, dlaczego ani skąd pochodzi, i cichnie, ale my będziemy czuwać, by nie stało się to zbyt szybko. Nie obawiaj się zatem!

Demetrios skinął głową, uśmiechnął się i poszedł obudzić Fio-ry. W godzinę później, przebywszy całe miasto wśród jadących na targ wozów z warzywami i drobiem, przekroczyli przy powszechnej obojętności, nie zwróciwszy na siebie nawet uwagi strażników, bramę w Pinti. Poszli wzdłuż muru klasztoru Kamedułów i cudownego ogrodu w Badii, zbudowanej przez Cosima Medyceusza.

Poranne powietrze było lekkie, czyste i przejrzyste, a tęczowe światło zapowiadało słoneczny dzień, ale serce Fio-ry, choć uwolnione od strachu, przepełniał smutek, gdy tak szła u boku Demetriososa w kurzu drogi, którą tyle razy niegdyś przemierzała kłusując na koniu, czyjadąc na mule wśród wesołego brzęku dzwoneczków. Tam na górze była jej posiadłość. Widziała wysoki brązowy dach cichego domu wśród drzew laurowych, gdzie Filip

dał jej kilka godzin szczęścia, i mrużyła oczy jak nocny ptak wypuszczony nagle na słońce. Nic nie miało już tej samej barwy, tego samego wyglądu co kiedyś. Niczym upadła królowa, dziś żebraczka, czuła się obco w pejzażu, który kochała każdym włóknem ciała, całą czułością serca, i który jej już nie poznawał.

Obserwujący ją kątem oka Demetrios, widząc że potyka się w wyrwie pozostawionej przez ostatnie deszcze, przytrzymał jej ramię i już nie puścił:

- Stok jest stromy i droga wydaje ci się gorzka, Fiero Beltrami, ponieważ spadłaś z wysoka i twoje rany jeszcze krwawią. Wiedz, że kto chce osiągnąć szczyt góry, nie może uniknąć wdrapania się po zboczu.

- Myślisz, że istnieje jeszcze jakiś szczyt dla mnie? Jestem zmęczona, Demetriosie...

- Powiedziałem, że krwawisz, ale blizny sprawią, że skóra jest grubsza. Ulecę cię i wtedy będziesz mogła znowu dostrzec horyzont. Odkryjesz, że chcesz kochać i być kochaną.

- Nigdy! Nigdy więcej nie pokocham! Zbyt wiele jest goryczy w moim sercu, by doń wróciła miłość. Jedyne czego chcę, to pomścić ojca, matkę i siebie samą. Pomyśl, że zabrano mi wszystko, mój dom został ograbiony, zniszczony. Może zabito moją opiekunkę z dzieciństwa, moją drogą Leonardę, o której ledwo śmiałam myśleć w domu Pippy...

- Mogę cię zapewnić, że nikt nie został zabity, kiedy zajęto pałac Beltrami. Służba uciekła albo została rozpedzona. Żebrak Bernardino zasięgał języka. Twoja Leonarda znalazła schronienie.

- Gdzie? Na pewno zamknięto przed nią wszystkie drzwi, nawet drzwi Colomby, guwernantki Chiary. Chyba że pojechała do swojej siostrzenicy,

Żanety, która poślubiła farmera z Mugello? Och, gdybym mogła się upewnić!

- Odnajdę ją, nie obawiaj się! Co się zaś tyczy zemsty, jest rzeczą naturalną, że o niej myślisz.

- Myślę tylko o niej! Ale nie mam niczego, by ją zrealizować, prócz dwojga rąk - dodała z goryczą, wyciągając przed siebie dłonie o szczupłych palcach i połamanych paznokciach, które wydawały się niewiarygodnie kruche wobec ciężkiego zadania.

- Nie mogłabyś mi zaufać? Znajdziemy razem broń, której ci brakuje. Zachowaj nadzieję! Wiem, że przed tobą długa droga i sporo niespodzianek. Mam ci wiele do powiedzenia...

Fiora spojrzała na swego towarzysza z ciekawością.

- Jesteś dziwnym człowiekiem i dostrzegam to nie po raz pierwszy. Nie zapomniałam o twojej przepowiedni na balu w pałacu Medyceuszy...

- Ani, mam nadzieję, o mojej obietnicy, że ci pomogę, jeśli będziesz tego potrzebować!...

- Nie zapomniałam o niej... ale w nią nie wierzyłam; wybacz! Uratowałam mnie od losu gorszego niż śmierć i nigdy nie zdołam ci się za to odwdziaczyć. Lecz przyznam, że trochę się ciebie boję. Skąd bierze się twoja dziwna władza? Wczoraj jednym gestem zmieniłeś Megierę w posłuszną służącą i...

- Pst! Pomówimy o tym później. Nigdy nie wiadomo jak daleko wiatr może zanieść słowa... Wiedz jedno: łatwo opanować umysł osoby pod wpływem emocji...

Kontynuowali wędrówkę milcząc. Demetrios zszedł z głównej drogi i wybrał ścieżkę wspinającą się między kamiennymi murkami, podtrzymującymi ziemię pod winoroślą i drzewami oliwkowymi. Słońce wstępowało na niebo. Roztaczało wiosenne ciepło nad pagórkami, przebitymi tu i ówdzie wrzecionami czarnych cyprysów. Słychać było pogwizdywanie kosa siedzącego wysoko w srebrzystym listowiu starego drzewa oliwkowego. Fiora zatrzymała się na chwilę, by go posłuchać, a zarazem odpocząć. Pot zraszał jej czoło i górną wargę, bolały ją pokryte kurzem nogi w sznurkowych sandałach.

- Dlaczego idziemy tędy? - zapytała. - Czy ta droga nie jest dłuższa?

- Przeciwnie, jest krótsza, jeśli idzie się do mnie. A poza tym... pozwala ominąć pewien dom, który jest ci zapewne podwójnie drogi. Czy nie tam zostałaś małżonką hrabiego de Selongeya, wysłannika Zuchwałego?

Usłyszawszy te słowa, Fiora - jak rażona gromem - podniosła na swego towarzysza przerażone spojrzenie i niemal się przeżegnała.

- Aby o tym wiedzieć, musisz być diabłem we własnej osobie! - szepnęła.

Grecki lekarz zaczął się śmiać, co ją trochę zgorszyło, jakby ten ludzki odruch był nie na miejscu u osoby tak szczególnej, którą mimo woli uważała za twór pozaziemski.

- Nie - powiedział spokojnie. - Po prostu wiem zawsze to co potrzebuję wiedzieć. A teraz ruszajmy w dalszą drogę, proszę! Oboje potrzebujemy czystego odzienia, odrobiny odpoczynku... i szklanki chłodnego wina!



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

LEKARZ Z BIZANCJUM

Dom greckiego lekarza wznosił się w pewnej odległości od miasteczka Fiesole, na końcu alei cyprysów, tworzących wokół przybywającego dwie ściany zieleni. Zbudowany dwa wieki wcześniej, podczas bratobójczych walk gwelfów i gibelinów, był niewielkim kasztelem, niegdyś zapewne wzmacniającym obronność starożytnego etruskiego miasta. Miał wysokie, czerwone mury, których blanki osłonięto rozległym, lekko spadzistym dachem. Czworokątna wieża, również przykryta dachem, podkreślała obronny charakter budowli, lecz otaczające dom ogrody w niczym nie ustępowały zieleni w najbogatszych posiadłościach i łagodziły surowy wygląd starych murów, czyniąc je wręcz przyjemnymi.

Wielkie pnie, u stóp których leniwie sączyło się źródło, ocieniały duże, kwadratowy zbiornik i tworzyły oazę spokoju. Na jej terytorium swobodnie rozrastały się rzędy oleandrów i drzew bobkowych, krzewy dzikiej róży, wielkie niebieskie i czarne irysy, kępy lawendy, duże białe piwonie, granaty o purpurowych kwiatach, drzewa cytrynowe i pomarańczowe w wielkich donicach z czerwonej gliny. Na rozległych grządkach, otoczonych sznurami bukszpanu, uprawiano wszelkie rośliny lecznicze i zioła potrzebne lekarzowi. Rosły tam również drzewa owocowe: czereśnie, śliwy, gru-

sze. Za niewielkim wzgórzem położony był duży warzywnik, dochodzący aż do zabudowań sąsiedniej fermy. Na zapleczu domu, w cieniu starej, lecz jeszcze bujnej winorośli, znajdował się rodzaj tarasu, utworzonego z dawnego muru. Taki był dom, który Demetrios zawdzięczał hojności Lorenza.

- Jako jego lekarz mam także pokój w pałacu na via Larga, i w innych rezydencjach, lecz Wspaniały wie, że lubię swobodę i życie na uboczu. Dlatego dał mi ten dom. Nie jest wystarczająco wielki ani piękny, by budzić pożądlivość, ale czuję się w nim dobrze i pracuję w spokoju, tym bardziej że tutejsi ludzie wyrobili mi opinię czarownika i trzymają się z daleka. Prawdą jest, że na krańcu mojego ogrodu znajduje się droga prowadząca do Fontelucente...

Fiora nie potrzebowała wyjaśnień na ten temat. Jak wszyscy okoliczni mieszkańcy, wiedziała, że groty w Fontelucente udzielały schronienia wspólnocie czarowników, równie sławnej jak ta z Norcji koło Spoleto. Beltrami nigdy nie pozwalał swej córce udawać się na spacer w tamtym niebezpiecznym kierunku. Nie знаła więc domu Demetrio-sa, choć nie był on odległy od willi Beltramiego.

Jakiś mężczyzna otworzył przed podróżnymi ciężką bramę nabijaną żelaznymi, zardzewiałymi ćwiekami. Był tak samo niski i krępy jak Demetrios był nadmiernie wysoki i chudy. Miał kwadratową, wyrażającą odwagę twarz o złamanym nosie, grubą szyję, potężne ramiona, mocno zarysowane usta. Był znacznie młodszy od swego pana, i mógł mieć trzydzieści pięć lat. Czarne, sztywne i rzadkie włosy dopełniały obrazu postaci, która powitała ich radośnie, z równie widoczną ulgą:

- Myślałem, że nigdy nie wrócisz, panie! - powiedział. - Jego wysokość Lorenzo przysłał po ciebie dwukrotnie...

- Co odpowiedziałeś?

- To co kazałeś: że pojechałeś do Prato, by tam dotknąć Świętej Przepaski balsamem, który zrobiłeś na bóle krzyża madonny Lukrecji, matki jego wysokości...

- A za drugim razem?

- Że jeszcze nie wróciłeś...

- Doskonale - pochwalił Demetrios z półśmiechem. - Fioro - dodał kładąc dłoń na ramieniu swego sługi - przedstawiam ci Estebana z Toledo w Hiszpanii. Tam go spotkałem przed kilkoma laty. Jest jednocześnie moim asystentem, majordomusem, ogrodnikiem, wykonawcą mojej woli, a czasem również moimi oczami i uszami... Nie znasz go, ale on cię dobrze zna. Pewnej nocy zobaczył kilka osób wchodzących do pobliskiego klasztoru i wychodzących z niego... w innej kolejności. Wraz z Sarnią, egipską niewolnicą, wypożyczoną mi z pałacu Medyceuszy, i na szczęście niemą, stanowią całą służbę w tym domu.

Esteban skłonił się z lekkością, nieoczekiwaną u mężczyzny o tak ciężkiej budowie, po czym klasnął w dłonie. Pojawiła się wysoka dziewczyna o śniadej cerze, ubrana w ciemnoniebieską tunikę, ściągniętą na biodrach jaskrawoczerwoną szarfą, i ukłoniła się.

- Oto donna Fiora - zwrócił się do niej Grek. - Masz jej służyć równie dobrze jak mnie. Jest wyczerpana, brudna i głodna. Wiesz, co masz zrobić. Spalisz ubrania, które ma na sobie i opatrzysz, tak jak cię nauczyłem, rany na jej ciele. Ty zaś, Fioro, musisz odpocząć, a przede wszystkim dać odpo-

cząć twemu umysłowi. Śpij tak długo jak będziesz miała ochotę. Nie ma lepszego lekarstwa.

Ukloniwszy się ponownie, Sarnia wzięła młodą kobietę za rękę. Przeszły przez salę wejściową będącą dużym, bielonym wapnem pomieszczeniem bez żadnych ozdób, poza malowanymi na niebiesko i czerwono belkami sklepienia. Podłoga zrobiona była z małych cegiełek, na ścianach wisiała uprzęż końska, uzdy, kantary, baty, a pod nimi leżały na podłodze narzędzia ogrodnicze... Z sali tej, zapewne ongiś wartowni, wchodziło się na małe podwórko, przez które wiodła droga do właściwego budynku. Sarnia poprowadziła swą towarzyszkę do dużej kuchni. Wnętrze pachniało ragout, gotującym się w garnku nad ogniem, warkoczami cebuli, czosnku, papryki oraz wiązkami tymianku, liści laurowych, majeranku i rozmarynu wiszącymi u powały.

Wiedząc, że wszelka rozmowa byłaby trudna lub wprost niemożliwa, Fiora w milczeniu poddała się zabiegom toaletowym. Sarnia rozebrała ją rzucając ubranie w kąt, by je później zniszczyć. Posadziła dziewczynę w wielkiej misce, gdzie umyła ją, obficie polewając, szybko wytarła, założyła koszulę z cienkiego płótna i aksamitne kapcie, nieco za duże, lecz wygodne. Po czym podała do stołu dużą miskę baraniego ragout z ziołami, gruby plaster sera i ciasteczka z masą migdałową, wszystko podlewane szlachetnym chianti, które przywróciło rumieńce uciekinierce z dzielnicy nędzy i rozpusty.

Fiora dosłownie pochłonęła ten smaczny posiłek i wyraźniej poczuła zmęczenie ciała i umysłu. Potulnie pozwoliła się zaprowadzić do sypialni na piętrze, w której zwróciła uwagę tylko na jedno: oczekujące ją śnieżno-

białe łóżko z odchyłoną kołdrą. Z uczuciem szczęścia wślizgnęła się do pachnącej lawendą pościeli i zasnęła ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.

Sarnia przez chwilę została przy niej, a stwierdziwszy, że zasnęła, zaciągnęła zasłony przy łóżku. Wróciła do kuchni, gdzie z kolei Demetrios i Esteban usiedli do stołu. Grecki lekarz, po pobieżnej toalecie w ogrodowej fontannie, zamienił łachmany na jedną ze swych ulubionych szat z czarnego aksamitu.

Podczas gdy Esteban kroił leżący na stole bochenek chleba na cienkie kromki, Demetrios nalał sobie kubek wina. Pił powoli, z widocznym zadowoleniem człowieka, który od dawna nie smakował niczego podobnego:

- Nasi przyjaciele, żebracy, są bardzo gościnni, ale ich codzienne pożywienie nie osiąga takiego poziomu. Dobrze jest wrócić do domu...

Z apetytem zabrał się do podanego przez niewolnicę ragoût, wypił jeszcze szklankę wina i zwrócił się do Este-bana:

- Wykonałeś moje polecenia?

- Tak, panie... Tamtego dnia, kiedy te dwie kobiety odesłano do klasztoru Santa Lucia, podszedłem do mężczyzny, którego mi pokazałeś...

- Do Marina Bettiego, który nie zważając na przysięgę opowiedział pani Pazzi historię pobytu Beltramiego w Burgundii?

- Bądź spokojny, nie myliłem się. Zaczepiłem go. W tym tłumie rozgadanych ludzi wyglądał na zdezorientowanego. Udałem więc jego wielbiciela. Wyraziłem mu podziw za to, że wypełnił obowiązek obywatela Florencji, a nawet chrześcijanina, ujawniając oszustwo popełnione przez Beltramiego, i czyniąc to wbrew własnym interesom, gdyż w ten sposób tracił

intendenturę, przynoszącą z pewnością sporo pieniędzy... Moje słowa zdawały się go podnosić na duchu, tym bardziej że inni raczej odsuwali się od niego. Wyszliśmy razem... Esteban przerwał, żeby się napić.

- I co dalej? - zapytał Demetrios.

- Poszliśmy do tawerny dla marynarzy na brzegu rzeki i postawiłem mu wino. Wypił kolejno dwie szklanki, niczym bardzo spragniony. Oczywiście stale dolewałem, usiłując coś z niego wyciągnąć, ale odpowiadał monosylabami, a w jego wzroku, utkwionym w pustce nad moim ramieniem, czaił się stach. Znowu zaczął pić, tym razem wolniej. Zamówiłem więc chleb, szynkę i ser mówiąc, że niedobrze jest pić na pusty żołądek, a on zgodził się ze mną. Zabraliśmy się do jedzenia. Wyjąłem mój nóż, a on swój. Miał on mniej więcej taki kształt jak mój nóż, który mi powierzyłeś...

- Nóż mordercy!

- Tak, ale ten, zamiast z rogu, miał rękojeść drewnianą. Wypiliśmy jeszcze i udałem, że jestem pijany.

- A on?

- To były poganiacz mułów: ma mocną głowę. Jednak chwiał się trochę i pomyślałem, że nadszedł właściwy moment. Zacząłem wymachiwać rękami i nóż spadł pod stół. Schyliłem się, by go podnieść i zamieniłem na przyniesiony przeze mnie. Nie od razu zauważył zmianę. A potem nagle spostrzegł ją. Zbladł jak ściana, myślałem że oczy wyjdą mu z orbit. Wstał gwałtownie i chwycił broń, by mnie uderzyć, ale miałem się na baczności i uchyliłem się od ciosu. Dziеляcy nas stół przewrócił się i znaleźliśmy się twarzą w twarz, obaj uzbrojeni. Patrzył na mnie oszalałym wzrokiem, a ja czekałem. Zacząłem się śmiać i powiedziałem: „Opowiadano mi, że ludzie

stąd okropnie boją się duchów. Coś mi mówi, że nie będziesz już sypiał tak dobrze jak niegdyś. Zdradzony i zamordowany pan to chyba wyjątkowo spragniony zemsty duch?". Nie myślałem, że moje słowa wywrą na nim tak wielkie wrażenie. Jeśli kiedykolwiek widziałem przerażenie na twarzy mężczyzny, było to właśnie wtedy. Cofnął się, jakby duch stał między nim a mną, a potem wziął nogi za pas i uciekł, jakby gonił go sam diabeł.

- A ty co zrobiłeś?

- Pozwoliłem mu zwiać... i zapłaciłem za szkody - zakończył Esteban filozoficznie. - Przez chwilę chciałem biec za nim i zabić go, ale na środku ulicy...

- Dobrze zrobiłeś. Życie tego nędznika należy do tej, która śpi tu nad nami...

- Bez wątpienia, ale to dama i nie bardzo wyobrażam ją sobie wymachującą nożem. Zauważ, że jestem gotów to zrobić zamiast niej!

- Ona się nie zawaha, jest spragniona zemsty. Horoskop, który jej postawiłem powiedział mi, że w tej pięknej, młodej kobiecie, stworzonej do miłości i spokojnego szczęścia, które dać może majątek w połączeniu z wszelkimi wdziękami, drzemie bezwzględna Nemesis. Pomyśl, że tamtej podłej i pazernej kobiecie wystarczył tydzień, by pozbawić ją wszystkiego, począwszy od ojca i majątku, a skończywszy na kobiecej dumie i szczęściu. Odnalazłem ją u Pippy (sutenerki z przedmieścia San Spirito) w chwili gdy garbus Pietro Pazzi zamierzał ją udusić, uprzednio zgwałciwszy. Zabiłem tego zgniłka... A propos Pippy, osiodłasz konia i pojedziesz do niej. aby odkupić, małą tatarską niewolnicę imieniem Khatoun, należącą do donny Fiory. Została pojmana, gdy próbowała uwolnić swą panią. Zabierz złoto!

- Po co? Mam miecz i sztylet. To chyba wystarczające środki perswazji...
- Wolę złoto. Megiera może być silniejsza od ciebie! Jest niebezpieczna i ma wielu protektorów. Zresztą pewnie umiera ze strachu, odkąd jeden z Pazzich został zabity w jej domu. Jeśli podburzy przeciwko tobie swoich ludzi i klientów, możesz nie dać sobie rady. Przed odjazdem osiodłaj mojego muła. Wspaniały wystarczająco długo na mnie czekał. A właśnie, nie wiesz gdzie on jest?
- Był w Badii, ale musiał wrócić do pałacu, by przyjąć emisariusza króla Anglii Edwarda.

Jak zawsze, gdy pozwalała na to pogoda, Lorenzo Medyceusz przebywał w swoim ogrodzie. Będąc w tym samym stopniu poetą co mężem stanu, lubił dawać wypoczynek oczom i umysłowi wśród obfitej zieleni, posłuchać śpiewu ptaków mając nad głową jedynie nieskończony lazur nieba. Na ograniczonej przestrzeni, wyznaczonej murami miejskiego pałacu, jego ogrodnicy przycinali ulubiony bukszpan (który woleli od innych roślin) na kształt psów, jeleni, słoni. Była tam nawet galera z rozwiniętymi żaglami. Ta fantazyjna zieleń otaczała prawdziwe arcydzieło: *Judith* Donatella wznoszącą się na wysokim granitowym cokole. Pod wiodącą do ogrodu kolumnadą widniały trzy rzymskie sarkofagi, a wśród nich zręcznie odrestaurowany starożytny *Marsjasz* i cudowny *Dawid* Donatella.

Przybywszy tam Demetrios zatrzymał się pod kolumnadą i poszukał schronienia *Marsjasza*. Wspaniały nie był sam: naprzeciwko niego i *Judith*, o którą się opierał, widać było biały habit i czarny szkalperz brata Ignacia. Nie chodziło tu zresztą o sekretną rozmowę, gdyż głos mnicha roz-

brzmiewał jak trąba wzywająca na sąd ostateczny: chciał być słyszany przez wszystkich. Demetrios, ukryty za posągiem satyra, nie musiał więc wcale nadstawiać ucha:

- Czy dotarła do ciebie wieść, przyniesiona nie wiedzieć skąd, i obiegająca od rana miasto? - wykrzyknął Hiszpan. - Dziewczyna, która miała zostać poddana ordaliom, uciekła z klasztoru Santa Lucia, podobno tego nie zrobiła. Nie ukrywam, nieco mnie to zaskoczyło: mówią, że została porwana.

- Słyszałem o tym. Moja matka, madonna Lukrecja, przyniosła mi tę wiadomość po powrocie z porannej mszy. Ale sam mówisz, że ta wieść jest niepewna. Trudno więc brać ją pod uwagę.

- Mówią u nas, że nie ma dymu bez ognia...

- U nas też tak mówią, ale nie wiesz, bo nie pochodzisz stąd, że żaden lud nie ma większej wyobraźni niż florentczycy. Lubią oni wszystko co niezwykle, fantastyczne, i umieją równie dobrze opowiadać stare historie jak i wymyślać nowe...

Chuda sylwetka mnicha w białym habicie jeszcze bardziej zeszywniała.

- Wydaje mi się, że zbyt lekceważąco podchodzisz do tej sprawy! Czy nie uważasz, że należy przeprowadzić poszukiwania?

- Kazałem już szukać Fiory Beltrami. ale bez skutku. Signiora również, także bez rezultatu. Biedna mała, zapewne opuściła miasto...

- Nazywasz biedną małą tą, którą ja nazywam czarownicą! To diabelskie stworzenie ma w mieście, a może nawet w twoim pałacu, opiekunów, którzy wyciągnęli ją poza zasięg sprawiedliwości boskiej i ludzkiej.

Ciemne oczy Wspaniałego przeszły błyskawica.

- W moim pałacu? Sugerujesz, że jestem inicjatorem porwania i ukrywam ją tutaj?

Wobec gniewu wibrującego w ochrypłym głosie Lorenzo, fray Ignacio wycofał się szybko.

- Wybacz, źle się wyraziłem; zastrzegam, że kieruje mną jedynie pragnienie służenia Bogu. Nie mówiłem o tobie. W twoim pałacu jest wielu ludzi i nie możesz wiedzieć dokładnie, co robią twoi liczni przyjaciele... Przyjaciele nie zawsze stosowni wielkiego księcia...

- Nie jestem księciem, lecz jedynie pierwszym obywatelem tego miasta. Mamy tu republikę, bracie Ignacio! Mam więc prawo wybierać przyjaciół, jacy mi się podobają!

- Nie baw się w grę słów. Nawet jeśli nie jesteś księciem, twoja żona jest księżniczką, a synowie będą książętami. Nie wypada, by wysoko urodzone dzieci, przeznaczone do wielkich zaszczytów, były wychowywane z dala od religii chrześcijańskiej. Tymczasem dałeś im na nauczyciela jakiegoś nędzarza nie wiadomego pochodzenia, mówiącego po grecku i stawiającego im za wzór demony nazywane przez starożytnych bogami...

- Czy nie moglibyśmy pozostać przy jednym temacie? -zapytał Lorenzo ostrym tonem. - O czym właściwie chciałeś ze mną rozmawiać, mnichu? O ewentualnym porwaniu ten nieszczęśnicy, którą prześladujesz z taką nienawiścią, nie wiem doprawdy dlaczego... czy o wychowaniu moich dzieci?

- Chciałem rozmawiać o twoim mieście - odparł fray Ignacio z emfazą - mieście, które zapomina o Chrystusie i z większym zapalem słucha piosenek, niż Jego słów. O twoim mieście, które prowadzisz do zguby. Jest to przedmiotem najwyższej troski Jego Świątobliwości...

- Pozwól, że ci przerwę, mnichu! Jego Świątobliwość, jak mówisz, troszczy się przede wszystkim o to, by Florencja i jej okolice wpadły w ręce jego siostrzeńca, Riaria, byłego celnika. Stąd bierze się ogromne zainteresowanie, jakim ją darzy.

- Biada ci, Lorenzo Medyceuszu, jeśli nie zdecydujesz się usłuchać wezwania Boga, które ci przynoszę! Papież Sykstus IV przysłała mnie...

- Papież dysponuje czterdziestoma kardynałami, armią biskupów i proboszczów, dlaczego więc wysłała właśnie ciebie, Hiszpana, by przekazać swoje słowa?

- Aby ocenić, co może wobec tego grzesznego miasta moja odwaga i żarliwość w służbie Bogu, zanim wyśle mnie do mojego kraju, gdzie czeka mnie ogromna praca. Tak przynajmniej myślę. Królowa Izabela Kastylijska, martwiąc się zamętem wywołanym w jej królestwie przez Żydów i *conversos*, zwróciła się, za moim pośrednictwem, o pomoc do Jego Świątobliwości.

Sarkastyczny uśmiech wykrzywił usta Lorenza i sprawił, że jego długi nos niemal dotknął podbródka.

- Wydaje mi się, że królowa Izabela ma poważniejsze zmartwienia niż stan Kościoła. Koronowana na królową Kastylii, wbrew woli połowy grandów, nie uznała za stosowne objąć sakrą księcia małżonka Ferdynanda Aragońskiego. Jest teraz w stanie wojny z królem Portugalii Alfonsem V, żonatym z córką - podobno nieślubną - zmarłego króla Kastylii Henryka IV, którego Izabela jest tylko siostrą. Jak widzisz jestem informowany na bieżąco... jak zresztą o wszystkich wydarzeniach w Europie.

- Przypuszczam, że masz wszędzie szpiegów, ale źle cię oni informują. Królowa Izabela przedkłada Boga ponad wszystko. Zamierza w Jego imieniu odzyskać wszystkie dobra, na których Maurowie trzymają jeszcze swe czarne łapy, i ma nadzieję ustanowić wreszcie w swych królestwach Świętą Inkwizycję...

- Której szefem chciałbyś zostać! Przyznaję, że zdajesz się być do tego stworzony... ale Florencja nie potrzebuje Wielkiego Inkwizytora. Dlatego, fray Ignacio, proszę cię, abyś przestał mieszać się do naszych spraw. A jeszcze lepiej zrobisz, jeśli wrócisz do Rzymu. Dam ci dla papieża list zaświadcający o twojej żarliwości i zdolnościach.

- Odjadę, kiedy córa nieprawości zostanie poddana sądowi bożemu. Każ przeszukać miasto, ulica po ulicy, dom po domu... nie zapominając o domach przyjaciół i... swoim własnym! Znajdź ją, a będę zadowolony... na razie, tylko Kościół wie jak należy traktować istoty tego rodzaju.

- Ją... czy jej majątek?

- Mój habit powinien mnie uchronić przed tego rodzaju insynuacjami. Co mnie obchodzi majątek?

- Ciebie może niewiele, ale bardzo interesuje on bliskiego przyjaciela naszego Ojca Świętego, niejakiego Francesca Pazziego.

- Nie znam tego człowieka.

- Tym lepiej dla ciebie. W każdym razie... gdybyś go kiedyś spotkał, powiedz mu, że majątek Beltramiego nigdy nie wzbogaci Pazzich, niezależnie od tego, czy Fiora zostanie odnaleziona, czy też nie!

- Donna Hieronima ma do niego wszelkie prawa!

- Donna Fiora została oficjalnie adoptowana. Na podstawie falsyfikatu, być może, ale jest to zagadnienie prawne, wymagające długiej dyskusji, nie wiadomo o ile możliwe do rozstrzygnięcia. Tymczasem bank Medyceuszy podejmie się opieki nad tym majątkiem. Pod kontrolą Signorii, oczywiście - dodał Lorenzo z uśmiechem, który przypadkowy obserwator uznałby może za diaboliczny.

Twarz brata Ignacia stanowiła jeszcze mniej przyjemny widok. Pożółkła bardziej, jakby żółć, wypłynąwszy ze swych naturalnych dróg, dostała się do krwi mnicha. Oczy mu rozbłysły i wzniosł do nieba ramię odsłonięte przez szeroki rękaw.

- Uważaj, byś nie nadużył boskiej cierpliwości, Medyceuszu! - zagrzemiał. - Pewnego dnia...

Ukazanie się Demetriososa odebrało mu głos. Sądząc, że uwolni Lorenza od towarzystwa Hiszpana, grecki lekarz zdecydował się opuścić kryjówkę za *Marsjaszem*. Lorenzo uśmiechem dał mu do zrozumienia, że jego przypuszczenia były słuszne.

- Powiedziano mi, że przysyłałeś po mnie, panie. Jesteś cierpiący?

Po czym z ceremonialnym ukłonem zwrócił się do mnicha:

- Wybacz, że ci przerwałem, święty mężu. Świadczy to tylko o tym, jak mi spieszno nieść pomoc potrzebującym. Co mówiłeś?

Fray Ignacio opuścił wygrażające ramię i wsunął dłonie w rękawy, ale jego oczy, którymi spojrzał na natręta, miały twardość granitu. Z grymasem obrzydzenia rzucił:

- Oby pewnego dnia piorun uderzył w to gniazdo heretyków! Jak śmiesz zwracać się do sługi bożego, czarownika, wysłanniku szatana? Precz! Sam twój oddech psuje powietrze...

- Odejść powinien ten, któremu coś nie w smak - powiedział spokojnie Lorenzo. - Żegnam się, bracie Ignacio!

Wyraźnie odprawiony, dominikanin odszedł bez pożegnania międląc w zębach przekleństwa. Obaj mężczyźni patrzyli jak przechodzi przez kolumnadę, później przez *cortile* i wreszcie przez bramę pałacu.

- Co za paskudny ptaszek! - mruknął Demetrios. - Po co tu przyszedł?

Lorenzo wybuchnął śmiechem, młodym i wesołym, ale tak grzmiącym, że spłoszył parę różowo-szarych turkawek siedzących na ramieniu *Judith*.

- No, Demetriosie! Wiesz to równie dobrze jak ja! Sądzisz, że nie zauważyłem cię przed chwilą, kiedy schowałeś się za *Marsjaszem*? Zresztą, dobrze zrobiłeś.

Odsuwając się od posągu, o który się opierał, zacisnął mocniej na biodrach skórzany pas, podtrzymujący ciężkie fałdy długiej szaty z brązowego aksamitu, obszytej futrem kuny. Wziął lekarza pod ramię:

- Wejźmy do środka, przyjacielu. Ten mnich odebrał dziś ogrodowi cały urok. Chodźmy do mojego studiola...

Ramię przy ramieniu mężczyźni wspięli się po stromych schodach wiodących na piętro. Lorenzo szedł patrząc pod nogi i nic nie mówiąc. Lekarz szanował jego milczenie, odgadując myśli kłębiące się pod tym wysokim, inteligentnym czołem. Wspólnie przemierzali sale recepcyjne wypełnione dziełami sztuki, ogrzane cennymi gobelinami i różnobarwnymi dywanami, pochodzącymi z odległych rynków Orientu. Wreszcie doszli do dużego

pomieszczenia ze stojącymi wokół dębowymi szafami o solidnych, żelaznych zawiasach. Te, które zostawiono otwarte ukazywały wewnątrz pełne książek oprawnych w aksamit lub hiszpańską skórę, bogato zdobionych. Mały człowieczek w nieokreślonym wieku, ubrany jak kanonik i w okularach na końcu nosa, pracował przed jedną z szaf siedząc na krześle ozdobionym markieterią. Podniósł oczy na wchodzących mężczyzn, uśmiechnął się i chciał wstać, ale Lorenzo powstrzymał go ruchem dłoni:

- Zostań, Marsile! Przyjmuję raczej przyjaciela niż lekarza i twoja mądrość może nam być bardzo pomocna.

- Jest ona w całości na twoje usługi - powiedział człowieczek siadając. Marsile Ficino, filozof platonik, lekarz i kanonik kościoła San Lorenzo, skupiał te trzy funkcje i wywiązywał się z nich dość niezwykle, żyjąc jak sybaryta, pozostawiając medycynę innym i głosząc filozofię Platona z ambony. Należał do najbliższych przyjaciół Wspaniałego.

Władca usiadł przy stole, na którym lśnił wspaniały wazon, wyciosany w ametyście i wysadzany perłami. W dalszym ciągu nic nie mówił, ale Demetrios zauważył zmęczenie, z jakim oparł się o stół.

- Cierpisz, panie - powiedział. - Czy możliwe jest, byś potrzebował pomocy lekarza, ty, taki młody i silny? Jeśli tak, wybacz spóźnienie, z jakim przybyłem!

- Bolało mnie trochę gardło, ale czuję się już lepiej. Powiedziano mi zresztą, że jesteś w świętej misji dla mojej matki - dodał z drwiącym uśmiechem. - Uznałeś za stosowne przytknąć przepaskę Przenajświętszej Panny do pewnego balsamu przeciwko bólom krzyża? Ty, który nie wie-

rzysz ani w Boga, ani w diabła? Mam nadzieję, że mój wuj Paolo, profesor katedry w Prato, dobrze cię przyjął? Takiego niedowiarka jak ty!

- Poleciałem, by udzielono takiej odpowiedzi, jeśli byś pytał o mnie. Nie wiedziałem, którego sługę wyślesz z wezwaniem. Wiara w cuda jest zawsze dobrze widziana przez pospólstwo...

- Mądrze pomyślane! Zatem gdzie byłeś, skoro nie byłeś w Prato?

- Pracowałem w obronie słusznej sprawy, podczas gdy mój służący tropił mordercę Francesca Beltramiego.

Lorenzo drgnął i zerwał się z błyskiem w oku.

- Znalazł go?

- Tak. To Mario Betti, intendent Beltramiego, ten który go zdradził dla pięknych oczu Hieronimy. Domyślałem się tego zresztą.

- Masz dowody?

- Nie, ale jestem całkowicie pewny...

Demetrios opowiedział o spotkaniu w tawernie na brzegu rzeki.

Nie zabił go, bo uważał, że nie jego rzeczą jest wymierzanie sprawiedliwości - dodał.

- Nie mając dowodów, członkowie Signorii nigdy nie zgodzą się go zatrzymać. Za bardzo byli zadowoleni mogąc wydać pałac Beltramiego na łup swym zbirom i gdyby nie ja, już położyliby łapę na tym bajecznym spadku. Każdy domaga się części dla siebie.

- Esteban nie myślał o takiej sprawiedliwości, lecz o tej, którą ma prawo wymierzyć córka ofiary!

- Fiora? - powiedział Lorenzo wzruszając ramionami. - Trzeba by jeszcze wiedzieć, co się z nią stało. Od rana krążą na ten temat najróżniejsze pogłoski. Mówiono, że uciekła, co mnie zdziwiło. Teraz mówi się o porwaniu^ a niedawno złożyła mi wizytę młoda Chia-ra Albizzi. Domagała się sprawiedliwości dla przyjaciółki i krzyczała jeszcze głośniej od hiszpańskiego mnicha. Posunęła się nawet do stwierdzenia, że według niej Fiora Belframi została zamordowana, podobnie jak jej ojciec.

- Wierna przyjaciółka - westchnął Demetrios - to wielki dar niebios! Taka postawa wymaga odwagi, gdy całe miasto stało się spragnioną krwią sforą, gnającą śladem rannej łani.

- Póki filozofowie nie będą królami miast - zacytował Marsile Ficini - nie będzie końca nieszczęściom ludzi...

- Krwiożerczość i miłość do pieniędzy są chorobami nieuleczalnymi, jest się filozofem czy nie! - powiedział Demetrios. - Platon nie zawsze ma rację. Mała Albizzi zaś miała słuszość, obawiając się najgorszego: donna Fiora rzeczywiście omal nie została zamordowana...

- Kiedy? Przez kogo? Skąd o tym wiesz?

- Kiedy? Ostatniej nocy. Przez kogo? Przez Pietra Pazziego. Gdzie? - zapomniałeś zapytać. U Megiery...

Lorenzo zerwał się z krzesła. Jego twarz oblała się purpurą.

- U tej kobiety?... Ale co...

- Co ukochana córka Francesca Beltramiego robiła w takim miejscu? Dobre pytanie, na które z przyjemnością odpowiem, gdyż to ja, zabijając garbusa, przeszkodziłem mu w uduszeniu donny Fiory! Usiądź, panie, by

uniknąć zawrotu głowy, gdyż otworzę przed tobą krąg piekła zapomniany przez Dantego...

Przyciągnąwszy sobie zydel i rozsiadłszy się na nim, Demetrios nakreślił przed oczami słuchaczy obraz kalwarii Fiory od chwili, gdy wyrwano ją z żałobnego smutku, aby zmusić do obrony własnego życia. Zrobił to bez emfazy, w zdaniach krótkich, precyzyjnych, i tym bardziej porywających. Wiedział, że wyobraźnia słuchaczy uczyni resztę. Przed końcem opowieści Lorenzo tak gwałtownie odsunął krzesło, że upadło na cenną posadzkę, i nie bacząc na podniesienie go, zaczął przemierzać pokój dużymi krokami, ze spuszczoną głową i rękami splecionymi na plecach. Kiedy Demetrios zamilkł, wybuchnął:

- Zakonnice z Santa Lucia zdolne do wydania osoby powierzonej ich opiece! Pazzi knują podłe spiski w moim mieście, pod moim nosem! Fiora, tak piękna, tak czysta... skazana na nierząd!

Raptem przerwał swój niespokojny spacer i stanął przed Grekiem:

- I naturalnie, ona jest u ciebie?

- A gdzie miałyby być? Mam tylko nadzieję - dodał Demetrios z uśmiechem - że nie powiesz o tym twojemu przyjacielowi, bratu Ignaciowi? Wrzuciłby nas obu na ten sam stos...

Ze spojrzenia Lorenza, zrozumiał, że się zagalopował.

Przeprosił, tłumacząc swe słowa wzburzeniem, które odczuł przed chwilą, słuchając hiszpańskiego mnicha. Na koniec dodał:

- Pozostaje ci jeszcze tylko powiedzieć, co mam z nią zrobić.

Lorenzo nie odpowiedział. Zastanawiał się. Głos zabrał kanonik-filozof.

- Intryguje mnie jedna rzecz, Demetriosie, i proszę cię o wybaczenie, jeśli wydam ci się niedyskretny. Jesteś już człowiekiem w podeszłym wieku, naukowcem dalekim od szaleństw młodości. Czemu tak interesujesz się tą dziewczyną? Dla jej urody? Byłoby to zrozumiałe u Greka...

- To prawda, że nie lubię patrzeć, jak ktoś niszczy dzieło sztuki. Ale w przypadku donny Fiory chodzi o coś innego... Wiesz, że obserwuję gwiazdy i zdarza się, że miewam pewne niewytłumaczalne wizje przyszłości. Właśnie taką wizję miałem, kiedy podczas *giostnj* spotkałem tę dziewczynę...

- Co ujrzałeś? - zapytał Ficino z ciekawością.

- Wolę o tym nie mówić. Udało mi się uzyskać informację o dacie i miejscu jej urodzenia i postawiłem na tej podstawie horoskop. W niektórych punktach okazał się on zbieżny z moim. Uzyskałem pewność, że w najbliższym czasie Fiora utraci opiekuna i będzie potrzebować pomocy. Postanowiłem związać się z tą gwiazdą - jej światło jest na razie przyćmione, ale może pewnego dnia zapłonie wielkim blaskiem...

Zbliżywszy się, Lorenzo wysłuchał słów Greka. Położył mu dłoń na ramieniu.

- Skoro znasz jej przeznaczenie, dlaczego pytasz mnie, co masz z nią zrobić?

- Nie wiem wszystkiego... ty jesteś władcą. Znasz teraz prawdę. Dlaczego jej nie uniewinnić? Beltramiemu zarzucić można jedynie kłamstwo, całkiem zresztą naturalne, ale ona jest zupełnie niewinna. Nie dość się nacierpiała?

- Jeśli przez uniewinnienie rozumiesz umożliwienie jej powrotu do pałacu, odzyskanie dóbr i powrót do dawnego stanu rzeczy, jest to niemożliwe. Lud by na to nie pozwolił. Uważa ją za diabelski pomiot. Trzeba by jej strzec dzień i noc. A poza tym... Jestem mniej niż niegdyś pewien lojalności świętej pamięci Beltramiego...

- Jak to możliwe? - oburzył się Marsile Ficino. - Był najszlachetniejszym, najszczerzym i najuczciwszym człowiekiem, jakiego znam... po tobie!

- Jak więc to wytłumaczysz?

Lorenzo wziął z szafy malachitową szkatułkę, otworzył ją i wyjął zwój pergaminu; rozwinął go i trzymał przed sobą oburącz.

- Angelo Donati, któremu za zgodą Signorii powierzyłem tymczasową administrację interesów Beltramiego, otrzymał od banku Fuggera w Augsburgu prośbę o spłatę weksła, wydanego przez Francesca Beltramiego panu Filipowi de Selongey, papierów o wartości stu tysięcy złotych florenów. ..

- Do licha - powiedział Ficino - piękna sumka! Królewski okup!

- Za jakiego zakładnika? Najdziwniejsze jest to, że na prośbę Selongeya suma ta została przelana bezpośrednio do skarbu księcia Karola Burgundzkiego. Oto dlaczego wątpię dziś w lojalność Beltramiego. Wiedział o moim

ściłym sojuszu z królem Ludwikiem Francuskim, a tymczasem przyczynił się - i to na wielką skalę - do wzbogacenia skarbu wojennego jego wroga, który tym samym jest i naszym. Gdyby Zuchwały zrealizował swoje marzenia o imperium, natychmiast wybuchłaby wojna między nami a Sabaudią i Mediolanem, jego sojusznikami, którzy staliby się wszechpotężni... Ja nazywam to zdradą!

- Nie osądzaj, dopóki nie masz w ręku wszystkich danych - powiedział Demetrios. - Na pewno musi być jakieś uzasadnienie... zupełnie proste, choć na razie nieznane. Zaufaj zmarłemu, którego kochałeś, i powiedz, co zdecydujesz o losie córki!

- Zatrzymaj ją u siebie! Tam będzie najbezpieczniejsza! Niech pod żadnym pozorem nie opuszcza posiadłości i postara się, by nikt jej nie zobaczył. W Fiesole wszyscy ją znają. Co do przyszłości, zobaczymy: muszę się zastanowić!

Ton jego głosu był oschły i Demetrios pomyślał, że niezręcznie, a nawet niebezpiecznie byłoby nalegać. Wiedział, że Lorenzo potrafi być nieubłagany okrutny, jeśli czuje się zdradzony, a głębie jego duszy są zadziwiająco mroczne. Wstał i skłonił się głęboko:

- Powtórzę twoje słowa donnie Fiorze, ale czy zanim odejdę mogę cię prosić o łaskę?

- Proś!

- To biedne dziecko niepokoi się o niejaką Leonardę, piastunkę, do której jest bardzo przywiązana. Kobieta owa zniknęła w dniu splądrowania pałacu. Możliwe, że donna Chiara Albizzi wie coś na ten temat, lecz nie mogę pójść do niej, gdyż mogłoby to wzbudzić podejrzenia jej rodziny...

- Zapytam, co wie Chiara. Odejdź w pokoju!

Kiedy mówił te słowa, ciszę pałacu zakłóciły dźwięki muzyki i wesołej piosenki, którym towarzyszył stukot kopyt końskich i dzwonków mułów. Wspaniały orszak zablokował ulicę i tłoczył się przy wjeździe do pałacu Medyceu-szy. Giuliano i jego przyjaciele wrócili z wyprawy na wieś i dzięki nim via Larga wypełniła się zadziwiającym, kolorowym freskiem. Ich różowe, białe, koralowe, bladoniebieskie i żółte stroje wyglądały jakby wiatr porwał ze wszystkich florenckich ogrodów płatki kwiatów i złożył je w sercu miasta. Konie i muły miały czerwoną lub niebieską, lamowaną złotem uprząż; młode kobiety trzymały wielkie bukiety białego bzu, otaczającego je zmysłowym zapachem. Twarze przybyłych tchnęły wiosenną świeżością i uśmiechały się do Giuliana i promiennej, delikatnej Simonetty, którzy patrzyli tylko na siebie nawzajem... Flety i wiole zdawały się grać jedynie dla nich.

Schodząc ze schodów, Demetrios objął spojrzeniem gwarną gromadkę, zwrócił uwagę na nieobecność Chiary Albizzi, w czym nie było nic dziwnego, skoro dziewczyna wróciła po południu do pałacu. Stwierdził natomiast obecność Luki Tornabuoniego, wielce urodziwego w krótkiej żółtej tunice wyszywanej srebrem, z czarnymi lokami lśniącymi w promienach zachodzącego słońca. Swymi względami i uśmiechami obdarzał jasnowłosą dziewczkę o niebieskich oczach, która śmiała się wodząc mu przed nosem pachnącą gałęzią bzu... Wszyscy zsiadli z koni i Grek zauważył, że pomagając swej towarzyszce, Luca przytrzymał ją w uścisku nieco dłużej niż to było konieczne.

Pod wpływem nagłego impulsu Demetrios podszedł do pary młodych i zwrócił się do dziewczątka:

- Nie pozwól, by ten chłopiec zabrał ci serce, panienko, gdyż jest najbardziej niestały pod słońcem!

Młody Tornabuoni poczerwieniał z gniewu.

- Przychylność Lorenza nie daje ci prawa do obrażania mnie.

- Obraziłem cię, mówiąc prawdę? Kochałeś inną, jeszcze przed tygodniem, ale płomień twej miłości nie przetrwał ani godziny, choćby godziny, na wietrze nieszczęścia. I ty twierdzisz, że jesteś mężczyzną... Strzeż się, by los nie zadał ci kiedyś ciosu, żebyś nie ujrzał jak odwracają się od ciebie przyjaciele!

Pod wpływem przenikliwego spojrzenia lekarza Luca z purpurowego stał się trupioblady.

- Co chcesz powiedzieć? Jesteś czarownikiem? Masz dar odczytywania przyszłości?

- Być może, to nieważne. Ty też jesteś nieważny. Żyj nadal wygodnym życiem, mój chłopcze, do niczego innego się nie nadajesz! W każdym razie - dodał z sardonycznym uśmiechem - ona cię nie kochała.

Odwróciwszy się na pięcie, poszedł po konia uwiązanego do jednego z dużych, żelaznych pierścieni umieszczonych w tym celu na murach pałacu. Odczuwał okrutną przyjemność ze zgaszenia radości tej beztroskiej pary. Ich szczęście podziałało na niego jak jeszcze jedna obelga pod adresem Fiory, która - odarta ze wszystkiego - nie miała już nawet przeszłości i czekała, aż durny tłum raczy ją zapomnieć. Była to z jego strony forma złożenia jej hołdu.

Nie był również zadowolony z reakcji Lorenza. Odniósł wrażenie, że weksel bankierów z Augsburga przyszedł w chwili odpowiedniej, by usprawiedliwić wzięcie pod kontrolę fortuny będącej osobistą własnością Fiory. Marino Betti na torturach na pewno przyznałby się do zbrodni i za-denuncjował Hieronimę. Lorenzo nie chciał go nawet zatrzymać, obawiając się reakcji Signorii, a jeszcze bardziej ludu, którego zmienność i okrucieństwo znał dobrze. Z tą obawą łączyło się zapewne ukryte zadowolenie z możliwości zarządzania dobrami, które pozostałyby poza jego wpływami. Demetrios nie miał wątpliwości, że Wspaniały bał się oklaskującego go i kadzącego mu tłumu. Wiedział, że kiedy Lorenzo pieszo przemierzał ulice - wkładał kolczugę pod szaty z aksamitu i cienkiego płótna. Był pierwszym obywatelem miasta uważającego się za wolne, a nie tyranem w poddanym mu kraju, nawet jeśli miał takie instynkty...

Puściwszy wolno wodze, Demetrios ponownie przejechał stępą przez via Larga. Była to pora zamykania sklepów i pogaduszek. Na progach domów zatrzymywały się małe grupki ludzi. Inni - przede wszystkim mężczyźni - kierowali się pojedynczo lub w większym towarzystwie na place, gdzie mieli nadzieję spotkać stałych rozmówców. Demetrios odpędził ruchem dłoni jakąś przedwczesną muchę, zapowiadającą gorące lato, ale gest jego przeszedł w ukłon: księgarz Bisticci dawał mu znaki, stojąc na progu swego sklepu. - Masz dla mnie nowiny?

- Tak... i to doskonale! Znalazłem młodego Araba o wspaniałym charakterze pisma. Traktat Ibn Siny jest więc kopiowany. Dostaniesz go za miesiąc lub dwa!

Demetrios okazał żywą radość, której tak naprawdę nie czuł. Zbyt długo czekał na tę książkę... a poza tym, gdzie będzie za dwa miesiące? Przeczucie, grające czasem rolę daru jasnowidzenia, podpowiadało mu, że zameczek pod szczytem wzgórza opustoszeje, a on sam będzie daleko. Ale gdzie?... Zresztą, niezbyt się tym przejmował, bo od wczesnej młodości jego życie było ciągłym błakaniem się w poszukiwaniu wiedzy. Wkroczenie Fiory w jego egzystencję pozwalało mu wreszcie uwierzyć w możliwość spełnienia starego marzenia: ujrzenia u swych stóp trupa ostatniego z książąt burgundzkich, tych wielkich książąt zachodu, zadziwiających świat świętością, potęgą i pychą, których buta zabiła jego brata Teodozjusza w takim samym stopniu jak turecki kat wbijający go na pal! Jego braciszka! Jedyną istotę, którą kiedykolwiek kochał!

Było między nimi piętnaście lat różnicy i po śmierci rodziców zostali sami w wielkim pałacu w Fanar, w Bizancjum, miejscu urodzenia Teodozjusza. Demetrios przyszedł na świat na wyspie Kos, ojczyźnie Hipokratesa, w posiadłościach swego ojca. Tam też zrodziło się jego powołanie.

Kiedy w 1453 roku sułtan Mahomet II zaczął oblegać mury Bizancjum, Demetrios miał trzydzieści pięć lat a Teodozjusz dwadzieścia. Pierwszy był już uczonym lekarzem, drugi należał do złotej młodzieży, jak przystało na potomka bogatej i starej rodziny, która niegdyś sięgała aż po tron, i starszy uśmiechał się pobłażliwie na widok szaleństw młodszego. A później trzeba było walczyć. Zrobili to, każdy na swój sposób: Teodozjusz - w srebrnym hełmie gwardii cesarza Konstantyna, któremu był oddany całym sercem, Demetrios - w urządzonym pod własnym dachem szpitalu dla dzieciątów rannych przynoszonych każdego dnia...

Szturm Turków tego smutnego ranka 23 kwietnia, gdy wystraszeni Bizantyjczycy spostrzegli pływające już w Złotym Rogu galery wroga, przeszedł jak burza nad pałacem-szpitałem. Demetrios dołączył do ostatnich obrońców.

W dniu 29 maja, w pobliżu bramy Świętego Romana, widział upadek Bazyleusa*¹⁶, który z zewnętrznych oznak władzy cesarskiej zachował jedynie swe purpurowe *campagia* i trzewiki ozdobione dwugłowym orłem. Udało mu się odciągnąć od niego Teodozjusza, który chciał umrzeć razem z władcą.

Przewyciężywszy tysiąc trudności, opuścili płonące miasto, by dotrzeć na statku do Wenecji, na której wieść o katastrofie kładła się śmiertelnym całunem. Cały chrześcijański Zachód wyrażał swe oburzenie i domagał się wojny przeciwko sułtanowi, a głośniejsze i energiczniejsze od innych domagał się tego książę Filip Burgundzki. Teodozjusz, marzący o zemście, przyprowadził starszego brata na dwór burgundzki, gdzie przyjęto ich niezwykle uroczyście. Na cześć uciekinierów z Bizancjum urządzono przyjęcia i zabiegano o ich względy, szczególnie młodszego, bo Demetrios wyczuwał całą sztuczność tego poruszenia. Ale Teodozjusz wierzył w szczerą gospodarkę. Uwierzył w nią jeszcze mocniej, gdy obaj bracia mieli okazję uczestniczyć w Lille w najwspanialszym święcie, które przeszło do historii pod nazwą: Ślubowanie Bażanta...

Nawiązywało ono do pradawnego obyczaju: kiedy panowie i rycerze zobowiązywali się do wykonania jakiegoś znaczniejszego czynu i chcieli

¹⁶ *Cesarz.

nadać swej przysiędze szczególną wagę, mieli w zwyczaju składać ją, używając do tego jakiegoś szlachetnego ptaka. W czasie uroczystej uczy przynoszono upieczonego i przybranego w pióra ptaka. Jeden z rycerzy kroił go, tak że każdy z zaprzysiężonych otrzymywał jedną część, zawierając w ten sposób tajemne przymierze z towarzyszami broni, w którym odnaleźć można było wspomnienie Ostatniej Wieczerzy i Okrągłego Stołu.

Dzień 17 czerwca 1454 roku był świadkiem Święta Bażanta, do którego użyto najwspanialszych kostiumów i dekoracji oraz najosobliwszych maszynerii. Na wspaniałego ptaka, noszącego naszyjnik ze złota i drogich kamieni, ksiązę Filip, jego syn Karol, kawalerowie Orderu Złotego Runa i najwięksi panowie złożyli przysięgę wyruszenia na krucjatę przeciwko Mahometowi II i wydarcia mu Bizancjum...

Płaczący z radości Teodozjusz, omamiony zachętami Burgundczyków, zapragnął bezzwłocznie ruszyć w drogę powrotną, by obwieścić dobrą nowinę ludowi z krwi jego przodków, i przygotować go do walki. Demetrios, choć nękany najgorszymi przeczuciami, wyjechał razem z nim. Miesiącami przemierzali ziemie i wyspy greckie głosząc jak nową Ewangelię nadejście krucjaty, ale ona nie nadchodziła... Teodozjusz nie chciał przyjąć do wiadomości oczywistej prawdy: Ślubowanie Bażanta było jedynie okazję do wspaniałej zabawy. Książę Filip i jego syn nie mieli ochoty opuszczać swego królestwa, aby szukać zwady z odległym wrogiem, nawet jeśli uważali go za Antychrysta. Sprawili jedynie przyjemność sobie samym, wskrzeszając dawne rycerskie tradycje, do których obaj głosili wielkie przywiązanie. Nic ponadto!

Teodozjusz nadal pokładał ufność w uroczystej przysiędze, której pogwałcenie oznaczało splamienie honoru. Zamieszkawszy z bratem w Atenach, czekał na nadejście krzyżowców. Nawoływał do oporu i zachowania nadziei. Niestety! Zamiast świetnych wojsk krucjaty ujrzał znowu niezwykłych Turków. W 1456 roku padły Ateny, a Teodozjusz dostał się do niewoli. Demetrios, zajęty opatrywaniem rannych w innym punkcie miasta, nie był wtedy przy nim. Dopiero później zobaczył brata skazanego na okrutną śmierć, bo nawet jako więzień nadal zapowiadał, że Wielki Książę Zachodu przybędzie wkrótce, aby ukarać wrogów Chrystusa. Demetrios był bliski obłędu. Gdy zapadła noc, zaszytował Teodozjusza, skracając jego cierpienia, i uciekł. Od tego właśnie dnia przestał wierzyć w Boga i poprzysiął zemstę na tych, z których winy jego młodszy brat umarł w takich męczarniach. Ale Burgundia była daleko, bogata i potężna, jej książąt dobrze strzeżono, a Demetrios nie miał nic poza sakwą do schowania potrzebnych narzędzi lekarskich.

Przez wiele lat Demetrios starał się zdobyć coraz większą wiedzę, gdyż dzięki niej chciał uzyskać tajemniczą moc. Szukał jej wszędzie: w Egipcie i piaskach Arabii, w Afryce i w ostatnim mauretańskim królestwie Hiszpanii, wśród Żydów w Toledo, gdzie poznawał sekrety Kabały, na słynnym uniwersytecie w Montpellier (gdzie przetrwało wspomnienie o wielkim Arnoldzie de Villeneuve i Guyu de Chauliac); zgłębiał również ciemne kryjówki czarowników i magów. Studiował ruch gwiazd i jego związki z ludzkim przeznaczeniem. Dzięki postom - częstokroć przymusowym - rozwinął dar jasnowidzenia i nauczył się od pewnego żydowskiego lekarza z Malty dziwnej władzy spojrzenia połączonego z nieugiętą wolą. Pomyślawszy

wtedy, że ma tę tak upragnioną moc, wsiadł wraz z Estebanem, którego poznał w Kastylii, na statek do Marsylii. Burza wyrzuciła ciała obu podróżnych w głębi Zatoki Genueńskiej, bez grosza przy duszy, i w dodatku chorych. Znalazł ich jakiś kupiec, ugościł, a Demetriosą poinformował, że kuzyn Greka, Konstantyn Lascaris, słynny gramatyk, związany jest z dworem księcia Mediolanu o mógłby z pewnością pomóc tak znakomitemu lekarzowi.

Kuzyn Konstantyn okazał się bardzo uprzejmy, ale najwyraźniej nie chciał, by rodzina Lascarisów w Mediolanie się rozrosła. Uzyskał więc od swego księcia piękny list polecający - który zresztą sam napisał - do Lorenza Medyceusza, zawsze chętnie przyjmującego wygnańców greckich o wielkiej kulturze.

Demetrios był zmęczony. Pragnął odpoczynku. Znalazł go we Florencji, gdzie Wspaniały potraktował go jak przyjaciela i ulokował zgodnie z jego pragnieniami, nawet je przekraczając. Grek czuł się dobrze w swoim zamczku w Fiestole. Pracował nad dziełem na temat krążenia krwi, w którym stanowczo obalał teorie wszechpotężnego Galena, ukochanego dziecka Kościoła, który wyniósł jego dzieła do poziomu dogmatu wiary. Kto nie zgadzał się z poglądami lekarza z Pergamonu, ryzykował oskarżenie i herezję. Jednak w przesiąkniętej humanizmem Florencji Demetrios nie obawiał się gromów Kościoła. Z zapalem oddawał się pracy naukowej i wobec tej pochłaniającej go pasji zatarło się nieco jego pragnienie zemsty. Potem poznał Fiore i wysłannika Zuchwałego, którego obecność obudziła starą nienawiść. Szpiegował Burgundczyka, obserwował jego krótki romans z młodą florentką, której przyszłość ujrzał w swych wizjach.

Odkrycie tajemnicy jej pochodzenia potwierdziło jedynie to, czego dowiedział się z układu gwiazd w chwili urodzenia dziewczyny. Kierując się intuicją, porównał uzyskane wyniki z horoskopem Karola Burgundzkiego. Zrozumiał wtedy, że być może Fiora była bronią, której nie miał już nadziei znaleźć. I postanowił uratować ją za wszelką cenę...

Przenikliwy krzyk ulatującego z krzaków gawrona wyrwał Demetriosia z gorzkiego zamyślenia. Oprzytomniał i zobaczył, że jest już na drodze do Fiesole, a bramy miasta pozostały w oddaleniu. Ostatnie, fiołkowo różowe i pomarańczowe, odblaski słońca zapowiadały już noc. Lekarz popędził trochę konia. Spieszno mu teraz było wrócić do domu, gdyż od co najmniej trzydziestu sześciu godzin nie zaznał odpoczynku.

Zastał Fiorę w cieniu winorośli, na tarasie. Nosiła tunikę z purpurowego jedwabiu, należąca do Samii. Demetrios wyciągnął z tego wniosek, iż należałoby jej załatwić jakieś ubrania, jednocześnie stwierdzając mimo woli, że ten prosty strój znakomicie harmonizował z jej doskonałą urodą. Z włosami związanymi skromnie wstążką podobna była do młodej Greczynki.

Esteban siedział przy niej i zdawał się pozostawać pod jej urokiem. Młoda kobieta rozmawiała z nim w dialekcie kastylijskim; były wywiadowca był czuły na wszystko co przypominało ojczyznę, ukochaną mimo przebytych w niej cierpień. Słyszając, co mówią, i widząc łzy w oczach Fiory Demetrios zrozumiał, że Esteban zdaje sprawozdanie z wyprawy do Pippy i że misja ta musiała zakończyć się niepowodzeniem.

- Nie przyprowadziłeś jej? - zapytał. - Megiera odmówiła? Przecież powiedziałem ci co trzeba zrobić.

- Megiera niczego nie odmówiła. Dałaby mi nawet swoją duszę, gdybym ją o to poprosił, tak bardzo miała ochotę na zapłatę, ale tatarskiej dziewczyny już u niej nie ma. Klient, z którym spędziła noc, tak się w niej zakochał, że zechciał ją kupić. Ponieważ ofiarował ładną sumkę, Megiera dała się przekonać. Tym bardziej że wcale jej nie zależało na dalszym przetrzymywaniu tak kompromitującego świadka...

- Mówiła o jakimś cudzoziemcu - powiedziała Fiora. - Podała chociaż jego nazwisko i powiedziała dokąd jechał?

- Do Rzymu, ale jego nazwiska nie zna. Wie tylko, że to lekarz, zwany ser Sebastiano... Dodała także, że dziewczyna... robiła wrażenie szczęśliwej, wyjeżdżając z tym mężczyzną, który jest młody... i niebrzydki!

Fiora nic więcej nie powiedziała. Czowała się zdezorientowana... Czy to możliwe, żeby Khatoun znalazła szczęście w takim miejscu jak dom Pippy? A może, czując się opuszczona przez Fiorę, rozmyślnie złapała się ostatniej deski ratunku, jaka się nawinęła?

- W każdym razie - westchnął Demetrios, jakby czytając w jej myślach - nie możemy ruszyć w pościg. Poza tym, skoro się zgodziła, czemu nie dać jej szansy bycia szczęśliwą?

- Czy można wierzyć w opowieść takiej kobiety jak Pippa? - spytała Fiora.

- Dlaczego nie? Nie miała powodu kłamać, skoro proponowano jej złoto. Chodźmy teraz na kolację! Jestem... bardzo zmęczony.

Zmęczenie nie pozwoliło mu nawet opowiedzieć Fiorze co zaszło między Marinem Bettim a Estebanem. To mogło poczekać... Już od dawna nie czuł się tak zmęczony. Po raz pierwszy zrozumiał, że nie jest już młody...

Fiora długo siedziała w ogrodzie. Przespawszy część dnia nie odczuwała senności, a noc była wspaniała. Długo patrzyła na gwiazdy, których język znał Demetrios; przy jej niewiedzy pozostawały jedynie cudownym widowiskiem. A jednak chciałaby spytać, która z gwiazd należała do niej... i czy zbliży się pewnego dnia do gwiazdy małej Khatoun, jej ostatniej przyjaciółki. Dopiero utraciwszy ją, stwierdziła, jak bardzo była jej bliska.

TLR



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ZSTĄPIENIE DO PIEKIEŁ

- Co ze mną zrobisz? - spytała Fiora.

Zajęty pisaniem przy wielkim stole, zavalonym mniej lub bardziej zakurzonymi księgami oraz papierami, pokrytymi cyframi i dziwnymi rysunkami, Demetrios podniósł oczy i spojrzął na młodą kobietę.

- Już się nudzisz?

- Nie. Nie chciałam ci się wydać niewdzięczna, ale nie mogę siedzieć bez końca w twoim ogrodzie i przyglądać się przelatującym ptakom albo w kuchni obserwować Sarnię przygotowującą posiłki. Muszę coś robić. Choćby po to, by spróbować zapomnieć, że z osób, które kochałam nikt mi nie pozostał.

- Wczoraj - westchnął Demetrios - zadałem panu Lorenzowi pytanie sformułowane przez ciebie przed chwilą.

- I co odpowiedział?

- Żebyś nie ruszała się stąd pod żadnym pretekstem i zważała, by nie zobaczył cię nikt z okolicy.

Fiora z rozdrażnieniem wzruszyła ramionami. Nic nie robić... czekać! Tymczasem pałała chęcią ruszania śladem swych wrogów, przejścia do ataku...

- Przypomnij sobie swoje słowa! Czy nie obiecałeś dać mi broni potrzebnej do pomszczenia moich bliskich?

- Obiecałem i dotrzymam słowa. Ale wiedz jedno: najważniejszym orężem jest cierpliwość. Obawiam się, że jesteś młoda, impulsywna. Przypominasz ptaka, którego dopiero co zamknięto w klatce, aby go uchronić przed kotem: nie rozumie tego, trzepoce się kalecząc o pręty. Ty wiesz, że jesteś w niebezpieczeństwie. Daj więc umysłom czas na uspokojenie się!

- A Hieronimie czas na triumf?

- Dlaczego nie? Nie ma niczego niebezpieczniejszego od triumfu! On zaślepia, osłabia możliwości, usypia obronę, utwierdza w złudnym poczuciu bezpieczeństwa... Pozwól tej kobiecie uwierzyć w zwycięstwo i bezkarność! Łatwiej będzie ci ją dosięgnąć. Już została ugodzona, nawet jeśli jeszcze o tym nie wie, ponieważ straciła syna... Na tym polega cierpliwość: czekać! Czekać w cieniu, w mroku nocy, w małej uliczce. Ja sam robię to już prawie dwadzieścia lat!

- Na co czekasz?

- Na to co ty: na zemstę! Pytałaś, dlaczego zainteresowałem się tobą, kiedy cię poznałem i chciałem ci pomóc? Przypuszczałaś może, że mam dwuznaczne intencje, że pociąga mnie twoja uroda?

- Nigdy niczego podobnego nie przypuszczałam! - odparła Fiora, wzruszając ramionami.

- I miałaś rację. Nic do ciebie nie czuję: ani pożądania, ani miłości. Może teraz nieco sympatii, bo jesteś dzielna. Zaofiarowałem swoją pomoc, bo wiedziałem, że będziesz jej potrzebowała. Jednocześnie uczyniłem to z

ukrytym zamiarem późniejszego uzyskania twojego wsparcia w realizacji moich własnych planów. Gwiazdy powiedziały mi, że jest to możliwe.

- Gwiazdy? - Aż do tego stopnia zajmują się one ludźmi?

- Nie zajmują się, ale istnieją, a ich pozycja w chwili narodzin i jej zmiany pozwalają wtajemniczonym wiele odczytać z tej wielkiej księgi, jaką jest niebo. Spójrz!

Demetrios pogrzebał w szafie stojącej za oparciem katedry i wyjął zwój pergaminu. Dwa z nich rozwinął na stole i przycisnął różnymi przedmiotami.

- Oto mój układ gwiazd, a oto twój. Miałem kłopoty z uzyskaniem dokładnej daty twojego urodzenia i nie mogłem odkryć jego godziny. Dlatego też twój horoskop jest niekompletny i trochę niejasny, ale widać zasadnicze linie. Dostrzegam pewną jego zbieżność z moim. Nasze losy łączą się na pewien czas...

- A tamten? - spytała Fiora wskazując trzeci pergamin, jeszcze zwinięty i przewiązany czerwoną wstążką.

- Zajmiemy się nim później, jeśli sobie życzysz. Ponieważ nie masz nic do roboty - dodał Grek z rzadkim u niego uśmiechem - chcę opowiedzieć ci pewną historię! Później powiesz mi czy zgadzasz się na układ, który ci proponuje.

- A jeśli się nie zgodzę?

Demetrios przez chwilę przyglądał się młodej kobiecie i znowu się uśmiechnął.

- Dla samej przyjemności odmowy, nieprawdaż? Zdziwiłoby mnie to, ale gdyby tak było, nadal mogłabyś tu pozostać. Potem dałbym ci trochę

pieniędzy, konia i otworzyłbym przez tobą bramę, abys poszła, gdzie uznasz za stosowne.

Fiora usunęła z jednego z zydlu leżące na nim księgi i usiadła:

- Zawsze lubiłam opowieści - powiedziała z prostotą. -Słucham cię!

Demetrios powrócił na swój fotel, oparł ramiona na poręczach i zamknął oczy.

- Nie zawsze byłem tym, kim jestem - nocnym ptakiem budzącym strach w dzieciach... Byłem młodym, bogatym księciem, gdyż ród Lascarisów panował w Bizancjum. Miałem jak ty pałac, i miałem młodszego brata...

Przed początkowo chłodnymi i obojętnymi, później coraz uważniejszymi oczami młodej kobiety Demetrios rozwinał, jak długi gobelin historię swojego życia. Jego głęboki głos miał zadziwiającą moc wywoływania obrazów. Młoda słuchaczka wkrótce straciła z oczu duży bielony pokój, w którym się znajdowała, szafy z ciemnego drewna, gliniany piec, zajmujący jeden z kątów pod rodzajem odwróconego lejka z poczerniałej blachy, wielki miech z koziej skóry i półki z aptekarskimi słojami, pękami suchych ziół i całym mnóstwem retort, fiolek i moździerzy. Zamiast tego ujrzała błękitno-złote Bizancjum, położone na Bosforze jak klejnot, i Złoty Róg, cenną kłamrę między Europą i Azją; zobaczyła czerwone żagle niewiernego sułtana, z później wojnę, krew, masakrę. Podziwiała Teodozjusza, który ze swą odwagą i szaleństwem wydał jej się bohaterem. Ujrzała szalony przepych Święta Bazanta, a na tym różnobarwnym tle dwóch nienawistnych jej mężczyzn: księcia Filipa i jego bezlitosnego syna Karola, rycerza

nie spełniającego ślubów, późniejszego księcia, dla którego Filip zdrzgotął los Fiory, jak się zrywa i odrzuca kwiat...

Opowiadający wprawdzie ożywił i ubarwił wydarzenia do momentu śmierci Teodozjusza, ale dzieje własnego życia potraktował bardzo zwięźle, streszczając je w kilku zdaniach. O istocie swych studiów, odkryć i tych, którym je zawdzięczał nie opowiedział. Była to sfera zastrzeżona wyłącznie dla niego i nie zamierzał wprowadzić w nią Fiorę. Ona zresztą nie zadawała pytań. Kiedy Demetrios zamilkł, ograniczyła się do wskazania palcem nie rozwiniętego zwoju pergaminu.

- To horoskop księcia Burgundii, nieprawdaż?

- Jesteś inteligentna. Nigdy w to nie wątpiłem.

- A ten układ, o którym mówiłeś?

- Myślę, że już rozumiałaś: pomogę ci w zemście, jeśli ty pomożesz mi w mojej.

- Zrobię to tym chętniej, że i ja mam rachunki do wyrównania z Zuchwałym. Przyznam, że nie bardzo wiem, jak to będzie możliwe?

- A jednak! Zdobyłem tę pewność, gdy zobaczyłem, jak burgundzki wysłannik interesuje się tobą, stara o względy i wreszcie poślubia...

- Nie mów mi o nim! - zawołała Fiora, zdjeta nagłym gniewem.

- Trzeba o nim mówić. Jesteś naprawdę panią de Selon-gey, jego żoną, i będzie musiał cię przyjąć. Ale zostawmy to na razie. Aprobujesz zatem układ, który ci proponuję?

- Zgadzam się tym chętniej, że jego część już wypełniłeś. Czyż nie zabiłeś Pietra? Żądasz ode mnie zobowiązania na piśmie?

- Nie. Związek krwi wydaje mi się trwalszy od strzępka papieru. Uczyni z ciebie moją siostrę, którą przemienię w hobietę niebezpieczną, przyrzekam ci to.

Czarne i szare oczy spotkały się, a dwie dłonie uściśniły.

- Zgadzam się! - powiedziała Fiora.

Demetrios sięgnął po sztylet wiszący u pasa w skórzanej pochwie.

- Daj mi lewą rękę!

Młoda kobieta usłuchała. Lekkim cięciem lekarz zrobił na jej nadgarstku niewielką ranę, z której wypłynęła kropla krwi. Później nacisnął swoje prawe ramię i przyłożył jedną ranę do drugiej:

- Nasza krew się wymieszała - powiedział. - Od tej pory jesteśmy złączeni na dobre i złe!

Wziął jakąś fiołkę i strząsnął z niej kilka kropel na nadgarstek Fiory: krew przestała płynąć. To samo zrobił ze swoją ręką. Fiora patrzyła zafascynowana.

- Nauczysz mnie tego?

- Nauczę cię wielu rzeczy: sztuki przygotowywania zniewalających napojów miłosnych i śmiertelnych trucizn, odczytywania charakteru z rysów twarzy...

- Po co trucizn?

- Mogą być bardzo użyteczne...

- Nie dla mnie! Poznać środki wywołujące sen, zgoda, ale nie trucizny. Wolę inną, bardziej męską broń. Jestem dobrą amazonką, ale chciałabym także umieć dobywać miecza, posługiwać się sztyltem... Po raz pierwszy Fiora usłyszała śmiech Demetriosa.

- To domena Estebana. Jest w tym niezwykle zręczny i z przyjemnością cię nauczy: myślę, że go oczarowałaś...

W myśl przysłowia, że gdy o wilku mowa... Esteban wbiegł nagle do gabinetu...

- Panie! Idzie tu dwóch mnichów!

- Mnichów? Jakiej reguły?

- Sądząc po strojach, to dominikanie, jak tamci - wyjaśnił Esteban, ruchem głowy wskazując w przybliżeniu kierunek klasztoru, w którym Fiora wyszła za mąż...

- Pewnie zbłądzili. Wyjdź im naprzeciw i skieruj na właściwą drogę. A zresztą, pójdę zobaczyć.

Demetrios wyszedł z pokoju w ślad za swym sługą, a Fiora poszła za nimi aż do sali wejściowej. Przez otwarte drzwi ujrzała w czerwonym świetle zachodzącego słońca dwóch mnichów na środku cyprysowej alei. Z kapturami spuszczone na nosy, kołysali się w siodłach w rytm leniwych kroków swych mułów. Jeden z nich był szczupły, ale drugi, jadący na czele, musiał być grubasem, gdyż jego habit był znacznie bardziej wypełniony niż habit jego towarzysza. Fiora zobaczyła Estebana biegnącego im na spotkanie i machającego rękami, by wyjaśnić podróżnym, że pomylili drogę, ale mnisi nie chcieli zawrócić. Po krótkiej wymianie zdań ruszyli w kierunku domu.

- Schowaj się! - polecił Demetrios młodej kobiecie. -Zobaczę, czego od nas chcą.

Fiora z zalem wycofała się na wewnętrzne podwórko, nie tracąc z oczu terenu przed domem. Demetrios podszedł do mnichów, którzy na jego wi-

dok zdjęli kaptury... Z okrzykiem radości, zapominając o wszelkiej ostrożności, Fiora rzuciła się do nich: grubym mnichem była Colomba, a drugim Leonarda... Śmiejąc się i płacząc jednocześnie padła w ramiona starej guwernantki, która szybko ześlizgnęła się na ziemię, by ją przytulić. Kobiety uścisnęły się na progu, zdając się nie zauważać rozpaczliwych wysiłków Demetriososa, wpychającego je do środka...

- To ty, Leonardo? - wyjąkała Fiora, automatycznie przechodząc na francuski. - Nie miałam już nadziei cię ujrzeć... Bałam się... bałam! ...och, mój Boże! Plotę głupstwa! - powiedziała odsuwając się, by lepiej ją objąć spojrzeniem. - Ale jakim cudem?

- To nie cud, donno Fioro - wyseplenila Colomba - ale po prostu środki ostrożności! Nazajutrz po twoim uwięzieniu w klasztorze Świętej Łucji - biedaczka! Marnie się jej przysłużono! Muszę dla niej zapalić kilka świec! O czym to ja mówiłam? Ach tak!... A więc już nazajutrz poszliśmy do ciebie z donną Chiarą i zabrałyśmy donnę Leonardę. Wiedziałyśmy, że spotka ją nieszczęście, jeśli zostanie sama w pałacu. Cała służba była ledwo żywa ze strachu. Miałyśmy rację. Kiedy pomyślę o tym, ci się stało! Ci okropni żołdacy spłądrowali taki piękny dom. Niektórzy ludzie zaiste nie boją się ani Boga, ani diabła!

Kiedy Colomba się rozgadała, przerwać jej było równie trudno jak powstrzymać spienione fale strumienia. Tym razem Fiora słuchała jej z zachwytem, czekając na chwilę ciszy, by móc wyrazić swą wdzięczność. Trzymała Leonardę za ramię, jakby w obawie, że ta nagle zniknie. Stara panna tymczasem przyglądała jej się ze zdumieniem:

- Ale co ty masz na sobie, mój aniołku? - zapytała wreszcie. - Ten czerwony strój... gdy jesteś w żałobie?

- Tunika należy do Samii, służącej Demetriososa. Nie mam nic innego. Moja czarna suknia została w klasztorze...

- Donna Chiara pomyślała o tym - rzekła Colomba. -Mamy ze sobą muła obładowanego ubraniami dla ciebie i Leonardy, oraz kilkoma drobiazgami, które zdołałyśmy zabrać. *Poueretta!* Tyle nieszczęść naraz! Nawet nie pozwolono ci swobodnie popłakać... Znowu będziesz miała powody do płaczu...

Lodowaty chłód przeniknął radość Fiory, nie tłumiąc go wprawdzie całkowicie, ale budząc strach w tych ostatnich dniach. Spojrzeniem poszukała wzroku Demetriososa, jakby prosząc go o pomoc. Tymczasem Leonarda skarciła przyjaciółkę:

-Trzeba już o tym mówić? Dopiero przyjechałyśmy...

- Musicie odpocząć i posilić się - dokończył lekarz. -Chodźcie do kuchni! Zbliża się pora kolacji, Sarnia przygotowuje co trzeba. Esteban odprowadzi muły do stajni, bo nie sędzę, byś chciała dziś wracać, donno Colombo? Byłoby to nieostrożne, a poza tym bramy miasta zostaną wkrótce zamknięte...

Ta rozmowność, tak niezwykajna u Demetriososa, zmusiła gadatliwą kobietę do zamilknięcia. Wymamrotała, że donna Chiara oczekuje jej dopiero nazajutrz i byłaby zadowolona mogąc coś przekąsić.

Lekarz poprowadził wszystkich do kuchni. Uprzedzona przez Estebana Sarnia krzątała się, nabijała na rożen dwa kurczaki i kroїła w grube plastry zdjętą z belki szynkę. Colomba z zadowoleniem przyjrzała się tym przygo-

towaniom, i rozsiadła się przy ogniu proponując, że będzie obracać rożen, jeśli dostanie coś „troszkę pokrzepiającego”, gdyż kołysanie muła przyprawiło ją o mdłości. Demetrios pospieszył spełnić jej życzenie zdejmując z haka oplecioną wikliną butelkę, którą zostawił na stole, gdy jego pulchny gość wypił duszkiem pół szklanki *grappy*... Postawił wkrótce więcej szklanek, proponując Leonardzie spróbowanie pokrzepiającego napoju. Biedna kobieta miała bowiem przygnębioną minę i oczy czerwone od niedawnych łez, czego wśród radości powitania nikt nie zauważył. Odmówiła.

- Może za chwilę. To co mam do powiedzenia, jest tak okropne! Może i Fiora będzie go potrzebować...

- Ale co się w końcu stało? - zapytała młoda kobieta.

- Okropność niemożliwa do nazwania w żadnym języku, mój skarbie. Nigdy bym nie przypuszczała, że tutejsi ludzie są zdolni do takiej podłości, do tak straszliwego świętokradztwa... Opowiadała krótkimi zdaniami, które zdawała się wypluwać w obawie, by słowa nie zatruiły jej ust. Tego ranka zakrystianin z kościoła Orsanmichele wszedł do świątyni, aby przygotować ołtarz do pierwszej mszy. Ujrzał widok, który sprawił, że wybiegł na ulicę z przerażenia: świeży jeszcze grób Francesca Belt ramiego został otwarty. Zbrodnicze ręce wyciągnęły ciało, które zostało poćwiartowane i porzucone, bez najmniejszej próby ukrycia okropnego czynu...

Fiora wstała z pobladłymi wargami i oczami pełnymi przerażenia.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Żeby zabrać serce - odpowiedziała Colomba. - To stare tutejsze wierzenie: robi się to, by przeszkodzić duchowi zmarłego w zakłócaniu żyją-

cym nocnego odpoczynku. Wy tłumaczyłam już Leonardzie: trzeba spalić serce i rzucić popiół na wiatr... Na pewno zrobił to morderca.

Dla Demetriososa nie stanowiło to najmniejszej wątpliwości, bo przypomniał sobie o groźbie, którą Esteban tłumaczył ucieczkę Marina Bettiego z tawerny... Widząc jednak, że Fiora drży na całym ciele posadził ją delikatnie i napił kilkoma łykami *grappy*.

- Czy znaleziono popiół w kościele? - zapytał.

- Nie. - odrzekła Colomba. - Pewnie się bał, że zostanie odkryty, jeśli rozpali ogień w kościele. Zabrał serce ze sobą.

W mieście wielkie poruszenie, wszyscy biegają bezładnie, krzycząc „na śmierć”, nie wiedząc, kogo łapać.

- Przecież ten podły czyn nie ma w sobie nic tajemniczego - powiedział Demetrios. - Morderca ser Francesca obawiał się o spokój swoich nocy...

- Ale nikt nie wie, kto nim jest - powiedziała Leonarda, a Fiora podniosła na Greka wzrok pełen żalu.

- Sądziłam, że nóż coś ci powie? Obiecałeś wytropić mordercę.

- Znalazłem go. Lub raczej znalazł go dla mnie Esteban. Nie mówiłem o tym, bo chciałem, byś zaznała kilku dni odpoczynku, którego tak bardzo potrzebujesz...

- Wystarczająco odpoczęłam. Kto to jest?

- A któż miałby być? Marino Betti, oczywiście. Zabił na rozkaz pani Pazzi.

Opowiedział, jak Esteban w tawernie nad rzeką upewnił się o winie intendenta. Fiora natychmiast podjęła decyzję.

- Daj mi mnisi habit, droga Leonardo - poleciała - a ty, Demetriosie, ofiaruj broń i konia. Nasza posiadłość jest zaledwie o milę stąd, nie chcę, by nędznik, tak bojący się duchów, ujrzał jeszcze jeden świt.

- Powoli - powiedział Demetrios kładąc dłoń na ramieniu młodej kobiety. - Tego typu sprawy wymagają nieco przygotowań. On jest silniejszy od ciebie. Czy masz ochotę sama zginąć tej nocy? Montughi leży blisko miasta. Wieść o tumulcie dotarła na pewno do Marina. Ponieważ się boi, ma się na baczności. Może się nawet ukrywa?

- No to trzeba go znaleźć. Jeśli nie jego samego, to przynajmniej jego współniczkę, jeszcze większą zbrodniarkę niż on. Chcę tam pojechać!

- Pojedziemy, ty, ja i Esteban, ale dopiero następnej nocy.

Leonarda wzięła Fiorę w ramiona, nie bez trudu, bo dziewczyna była wyprężona jak struna.

- To mądrość przemawia przez niego. Posłuchaj go, aniołku i daj mi ten wieczór, który pozwolił nam się odnaleźć. Dla twego biednego ojca wszystko już zostało zrobione, zgodnie z rozkazem dostojnego pana Lorenza. Ponownie pobłogosławione i okadzone szczątki na powrót złożono do grobu. Nawet postawiono strażę wokół sprofanowanego kościoła, który zostanie jutro oczyszczony przez biskupa. Wśród należących do arte di calimale, których jest sanktuarium, narasta gniew. Jestem pewna, że gdyby pan Lorenzo wiedział, kto zabił naszego dobrego pana...

- Wie - przerwał Demetrios. - Powiedziałem mu to wczoraj.

Podszedł do Fiory, nieruchomej jak posąg w ramionach Leonardy. Zdawała się niczego nie widzieć, niczego nie słyszeć, jakby pogrążoną w transie z powodu okropności, o których usłyszała. Lekarz pochylił się nad nią,

zatopiwszy wzrok w oczach młodej kobiety, wziął jej głowę w dłonie i położywszy kciuki na jej czole zaczął masować delikatnie, a także skronie, szepcząc jakieś niezrozumiałe słowa. Potem łagodnie rzucił:

- Wróć do siebie, Fioro! Wróć do nas! Pozwól ciału odprężyć się i odpocząć! Stłum palący płomień! Jutro zaprowadzę cię do twego wroga i będzie musiał zapłacić za zbrodnię... Jutro, Fioro, jutro...

Długi dreszcz przebiegł ciałem młodej kobiety i życie wróciło do jej spojrzenia.

- Jutro... - szepnęła.

Szlochając rzuciła się w ramiona Leonardy.

- Pozwól jej płakać ile zechce - powiedział Demetrios. - Łzy zmyją groźbę, która przed chwilą nad nią zawisała.

- Jaką groźbę - zapytała Leonarda cicho...

- Obłądu! Zbyt wiele przeszła... Czas, by to się skończyło...

Nazajutrz, gdy zapadła noc, trójka uzbrojonych jeźdźców opuściła zameczek. Demetrios zamienił długie szaty na obcisłe spodnie i czarny kaftan. Fiora zaś z zaskoczeniem odkryła wśród ubrań przysłanych jej przez Chiare chłopięcy strój w wesołym, zielonym kolorze, do którego przypięty był kawałek papieru ze słowami: „Możesz go potrzebować! Bardzo cię lubię...” Wkładając wieczorem to przebranie, z całego serca dziękowała w duchu za przezorność szalonej Chiary..., podyktowaną przez szczerą przyjaźń.

Fiora jechała na czele, gdyż знаła na pamięć czteromilową drogę (wiodącą poprzez wzgórza i dolinę Mugnone, którą przekroczyli w pobliżu Ba-

dii) z willi w Fiesole do rodzinnej posiadłości, zarządzanej przez Marina. Kwietniowa noc była piękna i ciepła. Widać było wszystkie gwiazdy i pejzaż, spowity we wspaniałą płaszcz z niebieskiego aksamitu, pokrytego mnóstwem małych diamentów... Pachniało bzem i sosną, a ziemia była wilgotna po wieczornym deszczu. Miejscami, w zależności od kierunku drogi, Fiore widziała w dali mury Florencji z płonącymi ogniami wartowników oraz kampanile i kopuły zdające się jarzyć własnym światłem. W miarę jak szli, miasto zbliżało się, ale za kolejnym zakrętem znikło im z oczu.

W pewnej odległości od pogrążonej we śnie osady, o nazwie Pietra, Fiore skierowała wierzchowca na drogę między dwoma rzędami krzewów i jechała nią przez kilka minut, aż w ciemnościach zarysowała się czarna sylwetka rozległych zabudowań farmy z górującą nad nimi ogromną sosną, której rozłożysty wierzchołek tworzył atramentową plamę na niebie. Młoda kobieta wskazała ją końcem szpicruty:

- Jesteśmy na miejscu - szepnęła. - Wszyscy chyba śpią. Nie widać żadnego światła.

- Zostawmy tutaj konie - powiedział kierujący wyprawą Esteban, mający w tej dziedzinie większe doświadczenie niż jego pan. Ten ostatni przytaknął bez słowa.

Trójka jeźdźców zsiadła z koni, przywiązała je do drzewa i ruszyła dalej pieszo, starając się robić jak najmniej hałasu, co ułatwiała piaszczysta ścieżka.

- Nie ma psów? - zapytał Demetrios.

- Są - odpowiedziała Fiora - ale na podwórzu farmy, a zresztą, znają mnie...

- Na twoim miejscu za bardzo bym na to nie liczył. Masz na sobie inne ubranie. Nas zaś nie znają wcale...

- To jednak dziwne - podjęła młoda kobieta chwilę później. - Choć robimy mało hałasu, powinny nas usłyszeć. A tymczasem nie szczekają... Patrzcie! Brama jest otwarta!

Rzeczywiście, podwójna brama, broniąca dostępu do posiadłości była szeroko rozwarta, pozwalając dostrzec wielkie, puste podwórze, a w głębi dom o również otwartych drzwiach.

- Wygląda na to, że nikogo nie ma - szepnęła Fiora. Gdzie są psy i...

Nagle idący na czele Esteban zrobił w tył zwrot, wrócił do Fiory i stanął przez nią z rozłożonymi ramionami zagradzając jej drogę.

- Zaprowadź ją z powrotem do koni, panie! Dostrzegłem coś, czego nie powinna oglądać młoda dama...

- Chcę to zobaczyć - zaprotestowała Fiora. - Zapominasz, że jesteśmy u mordercy mojego ojca i że przyszedłem tu, by go własnoręcznie zabić.

- Oszczędzisz sobie trudu: już to zrobiono! Tak myślałem, że ten zapach nie jest normalny, nawet na podwórzu farmy.

Istotnie, od pewnej chwili obrzydliwe, mdlące wyziewy zastąpiły świeży zapach wsi. Esteban niechętnie usunął się z drogi i wskazał ręką na wielką sosnę ocieniającą wejście do posiadłości. Z gałęzi zwisało rozprute ciało Marina Bettiego, wydzielające odór krwi i śmierci.

Wbrew lękowi Estebana Fiora dzielnie zniosła ten odrażający widok. Trup był rozcięty od mostka do podbrzusza i w poprzek na wysokości bio-

der. Wnętrznosci zwisały na zewnątrz. Odcięto również prawą dłoń... Demetrios wyjął z kieszeni krzesiwo i rodzaj ogarka, zapalił go i polecił Estebanowi:

- Zabierz ją teraz! Dostyc już zobaczyła, aleja chciałbym zbadać jeszcze parę rzeczy...

Mimo jego obaw Fiora bez oporu pozwoliła się odprowadzić. W zeknięciu z barbarzyńską sprawiedliwością poczuła przyływ dzikiej radości, chociaż niekompletnej: osobnik, który zamordował jej ojca został zabity, ale pozostała jego mocodawczym. Jednakże odczuła ulgę. Nie zabiwszy dotąd nikogo, nie miała zaufania do samej siebie i przez całą drogę dręczyła ją obawa, że zawaha się w chwili zadania ciosu. Dzięki Bogu. Marino został ukarany, a ona nie splamiła sobie rąk, ale może Opatrzność nie zawsze zastąpi ją w wymierzaniu sprawiedliwości? W przyszłości będzie musiała tak postępować, by mieć pewność, że nigdy nie ulegnie naturalnej, kobiecej wrażliwości.

- No i co? - Zapytała Demetrios, kiedy wrócił do nich wycierając palce w chusteczkę. - Co odkryłeś?

- Ten człowiek był torturowany - odparł. - Przypalano mu stopy. Poza tym wyjęto mu serce.

- Zastanawiam się, kto mógł to zrobić, skoro ja nie mam z tym nic wspólnego? - spytał Esteban. - Wygląda to jak dzieło rzeźnika albo chirurga, tak precyzyjne są nacięcia...

- Albo obojętnie jakiego człowieka z ręcznie posługującego się bronią! - przerwała Fiora. - Czy musimy zastanawiać się nad szczegółami? Bóg go ukarał, to wszystko!

- Nie jesteś dociekliwa - zauważył Demetrios. - Byłbym raczej za tym, że ukarał go Lorenzo Medyceusz. Wymierzył sprawiedliwość w sposób dyskretny, jak to zwykł robić, gdy nie mógł postąpić inaczej. Jego kapitan, Savaglio, nie zna litości ani wahania w pełnieniu służby. Poza tym, jak powiedziałaś, Fioro, włada on bronią po mistrzowsku. To mógłby być on... ale to wyrwane serce?

- A czy zabójca nie wyrwał serca memu ojcu? To sprawiedliwe, zdaje mi się?

- Może, ale w takim przypadku nie było żadnego powodu, by je zachować, a tymczasem nie znalazłem po nim śladu. Co prawda, Marino został zapewne zabity ostatniej nocy, mogły przechodzić tędy psy... Nikt nam niczego nie wyjaśni. Nie ma tu żywej duszy. Wszyscy uciekli przerażeni...

Lekarz głośno myślał, nie zwracając uwagi na swoich towarzyszy:

- Tak, niewątpliwie tak było - kontynuował. - Chyba że Savaglio, jeśli to on, chciał zanieść swemu panu dowód wykonania egzekucji? Możliwe... a jednak nie mogę w to uwierzyć.

- Dlaczego? - zapytała Fiora, zniecierpliwiona przydługimi dla niej dywagacjami...

- Ponieważ mamy 28 kwietnia...

- No i co?

- Pojutrze będzie trzydziesty.

- To oczywiste. I co z tego?

- Wiedz jedno: noc między ostatnim dniem kwietnia a pierwszym dniem maja jest ważna dla czarowników ze wszystkich krajów. W Niemczech, w górach Harzu, gdzie odbywa się wielki sabat, nazywa się ją Nocą

Walpurgii. Pojutrze odbędzie się zjazd czarowników z Norcia... i tych z Fontelucente!

- Wciąż nie widzę związku z tym, co się tu stało.

Nie odpowiedziawszy, Demetrios podszedł do swego konia, obrócił go i wspiął się na siodło. Począł, aż pozostali pójda w jego ślady.

- Zawsze byłem z natury ciekawy - powiedział spokojnie.

- Przeczucie mi mówi, że tej nocy zdarzy się coś interesującego... Powrócili do zameczku; świt był już niedaleko. Leonarda dzieląca łóżko z Fiorą nie mogła usnąć i czekała, wychylona z okna. Spojrzała pytająco na młodą kobietę, gdy ta weszła do sypialni zdejmując kapturek uszyty na francuską modłę. Odkąd jej „dziecko” odjechało, wyrażając zamiar zabicia Marino Bettiego, biedna kobieta ledwo żyła... Fiora obdarzyła ją nikłym uśmiechem.

- Kiedy przyjechaliśmy, już nie żył - powiedziała. - Nie mam z tym nic wspólnego.

- Chwała Bogu! Myśl, że ty, mój aniołku, mogłabyś...

- Leonardo! Proszę cię... Musisz zrozumieć, że wszystko się zmieniło i nigdy już nie będzie jak dawniej. Wiesz o wszystkim, co wydarzyło się od momentu naszego rozstania. Nie jestem już niewinną Fiorą, którą wykołysałaś i wychowałaś. Jestem kimś innym... kogo prawdę mówiąc jeszcze dobrze nie znam i kto może pewnego dnia wzbudzi w tobie wstręt.

- Nigdy! Cokolwiek zrobisz! Jesteś dzieckiem mego serca i nikt... nawet ty, tego nie zmieni. Pamiętaj tylko, że zemsta, choć ma w sobie coś upajającego, pozostawia zawsze gorzki smak i że Bóg...

- Nie mów mi o Bogu! Nie mów mi o Nim nigdy więcej! - zawołała Fiora. - Nie przestaje sprowadzać na mnie nieszczęść, choć nigdy niczego złego nie zrobiłam. Traktuje mnie jak wroga, jak potępioną! Skąd wszystkie te zbrodnie, okropieństwa, które wciąż spotykam na swej drodze? Z woli Boga? Myślałam, że jest dobry i miłosierny...

- Czyż On sam nie zgodził się cierpieć skazując swego Syna na mękę krzyża? - powiedziała Leonarda z wielkim smutkiem.

- Czy cierpienie Boga jest takie samo jak cierpienie kobiety czy mężczyzny? Czy On, który jest nieskończonością może czuć ból? Nie, Leonardo, proszę cię, pozwól mi wykonać zadanie, które sobie wyznaczyłam, i nie mów mi już o Bogu!

- Jak chcesz! Ale nie przeszkodzisz mi w mówieniu Jemu o tobie.

Nazajutrz po kolacji Demetrios szykował się, by pojechać na spotkanie czarowników. Fiora oświadczyła, że zamierza mu towarzyszyć. Demetrios posłał jej krzywe spojrzenie:

- Nie sądzę, by było to widowisko dla ciebie. Dzieją się tam rzeczy nieprzyjemne, a poza tym niebezpieczne.

- Przestań mnie oszczędzać albo udawać, że to robisz! Kiedy powiedziałeś o tym spotkaniu, dobrze wiedziałeś, że pójdę z tobą.

- Tak... tak, wiedziałem, ale teraz żałuję, że ci o nim powiedziałem. Czy nie lepiej byłoby, żebyś się na chwilę zatrzymała i nie kontynuowała zstępowania do piekieł, które rozpoczęłaś? Chciałbym, żebyś się oszczędzała...

- Liczy się pierwszy krok. Zobaczą przynajmniej, czy Dante ma rację ukazując w swoim piekle czarowników z głowami wykręconymi do tyłu w taki sposób, że łzy spływają im po plecach...

Fontelucente miało paskudną opinię. Było rzeczą powszechnie wiadomą i budzącą grozę, że jest to najstraszniejsze gniazdo czarowników w całej Toskanii. Były tam skaliste kryjówki, grotty i szalasy - skupiska istot tylko kształtem przypominających ludzi. W większości byli to nieszczęśnicy doprowadzeni przez nędzę, choroby lub ludzką głupotę do niemal zwierzęcej egzystencji i czerpiący najdziwniejsze pomysły ze swej nędzy i otaczającej ich natury. Zewsząd przepędzani i szczuci, odwrócili się od Nieba i jego miłosierdzia, bo w nie już nie wierzyli, aby wejść w porozumienie z mocami piekielnymi, które mogłyby ich pomścić i ochronić przy pomocy strachu. Doskonale im się to udawało, a obawa, jaką budzili swymi zaklęciami i magią była tak wielka, że otoczenie tego urodzajnego i cieszącego oko miejsca opustoszało. Mówiono o tej okolicy, że jest wyklęta. Choć było tu wspaniałe, czyste źródło, podtrzymujące bujną i różnorodną roślinność, wystarczyło, że woda wytryskiwała w tym potępionym miejscu, aby jej unikano z obawy przed czarami.

Zdarzało się jednak, że ciemną nocą jakaś zamaskowana i zawinięta w czarny płaszcz postać przemykała się do Fontelucente. Mogła nią być dziewczyna pragnąca ukryć owoc występnej miłości, zazdrosna żona zaciekle dążąca do zguby rywalki, zakochany chłopiec wzgardzony przez ukochaną, czy nawet szlachetnie urodzona dama, zmuszona zżerającymi ją namiętnościami do korzystania z hańbiących, po królewsku jednak opłacanych, usług. Ze swego lęku, nienawiści czy miłości ludzie tacy czerpali

odwagę, by zwrócić się do czarowników, których część była bogatsza niż na to wyglądała.

Żyjąc tak na łonie natury, odszczepieńcy posiadli wiele sekretów. Znali zadziwiające przepisy, niebezpieczne lub odrażające receptury, napoje miłosne i uroki. Czasami ich recepty okazywały się skuteczne i chory zdrowiał. Wtedy wdzięczność służyła im za obronę niemal w tym samym stopniu co obawa.

W określonych dniach, najczęściej w czasie nowiu, czarownicy spotykali się ze współbraćmi rozproszonymi po okolicy, a nawet z przybyłymi z daleka, by uczcić swego protektora, boga ciemności, księcia zła, którego imienia maluczcy nie śmieli wymówić, a ludzie Kościoła, żegnając się, zwali szatanem. Dla bezpieczeństwa, miejsce spotkania zmieniano za każdym razem, a hasło podawano za pomocą niewinnej z pozoru wiadomości, obiegającej drogi i targi. O poranku Demetrios otrzymał je od Bernardina, żebrzącego jak zawsze pod Duomo, który szepnął mu je w zamian za piękną srebrną monetę. Tym razem chodziło o odludne pole pod lasem, na uboczu góry Ceceri, otoczone walącymi się murami dawnej posiadłości przeorów.

Była prawie północ, kiedy Demetrios, Fiora i Esteban dotarli w pobliże oznaczonego miejsca. Przez ostrożność przyszli pieszo trudną drogą, wijącą się wśród zarośli i bloków skalnych. Grek szedł pewnym krokiem, jak człowiek wiedzący dokąd zmierza. Zatrzymał się wreszcie za jednym ze zrujnowanych murów, tworzących w tym miejscu niewielkie zagłębienia, osłonięte gęstą roślinnością.

- Stąd zobaczymy wszystko, nie ryzykując, że zostaniemy dostrzeżeni. Dobrze znam to miejsce, czasem przychodziłem tu rozmyślać...

Posadził Fiorę na dużym kamieniu i pokazał jej, w jaki sposób rozsuwając gałęzie gęstego derenia, splecionego z krzakiem jeżynowym, uzyska pole widzenia. Przez ostrożność młoda kobieta, podobnie jak jej towarzysze, nosiła czarną maskę i grube rękawice zalecone przez De-metriososa. Byli w ten sposób niewidoczni i wystarczająco osłonięci przed kolcami jeżyn. Przed sobą miała rozległą, odkrytą przestrzeń wśród ruin dawnych zabudowań klasztornych, jak wielki, ciemny obrus, otoczony niewyraźnymi kształtami. Nie było słycać najmniejszego dźwięku poza pohukiwaniami sowy, dobiegającymi z pobliskiego zagajnika, które ozwalo się trzykrotnie, a na polu rozległo się jakby głębokie westchnienie.

Nagle z ruin wyszedł jakiś człowiek niosąc pochodnię i zapalił szybko dwa stosy przygotowane po prawej i lewej stronie łąki, która rozjaśniła się raptem jak scena w teatrze, odsłaniając przerażające dekoracje. Między dwoma stosami wznosił się prymitywny stół, zrobiony z dwóch kamieni i płyty, ustawiony przed przybranym bluszczem kopczykiem, podtrzymującym posąg pomalowany tak realistycznie, że Fiora poczuła, jak ścisną ją w gardle, a włosy jeżą się na głowie.

Była to postać nagiego mężczyzny o wstrętnej głowie i podkurczonych nogach kozła. Spiczaste uczy, długie, zakręcone rogi i rzadka broda przypominały kozła, ale długi, haczykowaty nos, czerwone i wykrzywione usta, lśniące, biało-czerwone oczy były prawie ludzkie. Między rogami wstawiono trzy zapalone przez mężczyznę świece: w jednej szponiastej dłoni posąg trzymał sierp, w drugiej zaś złocisty kielich...

- Diabeł! - szepnęła Fiora, machinalnie się zegnając. Demetrios stanowczo zasłonił jej usta dłonią.

- Ani słowa! - szepnął jej do ucha. - Mogą nas przez ciebie złapać...

Nieoczekiwane zapalenie stosów odsłoniło wokół odrażającego posągu rząd zjaw, owiniętych w ciemne materie. Kiedy odrzuciły swe płaszcze, ukazały ubraną w pstrokate łachmany najdziwniejszą kolekcję koszmar-nych postaci, jaka może się przyśnić umysłowi trawionemu gorączką: bez-
zębne staruchy o zapadłych ustach, zeszpeceni mężczyźni o oczach błysz-
czących pod brudnymi rozczochranymi czuprynymi, kobiety jeszcze młode,
ale zwiędłe od rozpusty. Mieszkańcy Fontelucente i kilkoro im podobnych
stali nieruchomo i w milczeniu jak katedralne gargulce, tylko odrobinę
mniej odpychający aniżeli wybrany przez nich władca.

Tymczasem mężczyzna wetknął pochodnię w ziemię, odszedł i pojawił się znowu z czarnym prześcieradłem, które narzucił na kamienie. Później przyniósł dwa żelazne świeczniki z grubymi świecami z czarnego wosku i zapalił je. Gęsty, gryzący dym wzniósł się ku głowie bożka. Wtedy z zamkniętych ust czarowników wydobyła się monotonna melodia, początkowo głucha, lecz stopniowo coraz głośniejsza. W jej powolnym rytmie mężczyźni i kobiety zaczęli się zgodnie kołysać na boki, mając oczy wciąż utkwione prosto przed siebie, a ręce skrzyżowane na kolanach. Tworzyło to lekko muzyczny pomruk, rozciągający się nad łąką wraz z ciężkimi kłębam-
mi dymu. Powoli teren zaczął się ożywiać...

Po dwoje, po troje lub pojedynczo zamaskowani ludzie wychodzili z lasu i walących się murów. Kiedy rozchylili płaszcze, Fiora, której rozszerzonym oczom nie umykał żaden szczegół, zobaczyła, że znaleźli się tam

chłopi -mężczyźni i kobiety, starcy odziani w czarne, zniszczone szaty: ich łysiejące czoła i zmęczone oczy zdradzały długie noce poświęcone zgłębianiu nieodgadzionych tajemnic, jak również żebracy, a wśród nich, jak jej się zdawało, Bernardino oraz młodzi, silni chłopcy i kilka ładnych dziewcząt. Ze zdumieniem stwierdziła też obecność trzech zamaskowanych kobiet, których zbyt dobre stroje zdradzały wysoką pozycję, i kilku mężczyzn, również zamaskowanych, w haftowanych szatach. Ale najbardziej niezwykle było zbratanie tak różnych ludzi - damy, obdartego żebraka i chłopca, mających w oczach to samo oczekiwanie.

Płomienie stosów, do których dorzucono żywicy, dawały żółte światło ujednoczające twarze. Czarownicy, niewzruszeni, kołysali się, śpiewając wciąż wolną i ponurą melopeję, zdającą się nie mieć końca i podejmowaną przez przybywających, podobnie jak kołysanie, które stawało się powszechne. Zafascynowana Fiora musiała wczepić się w zasłaniające ją gałęzie, by nie postąpić tak jak oni, ale kolec jeżyny przebiwszy jej rękawicę wyrwał ją z tego oczarowania... Nagle rozległ się uroczysty, głęboki dźwięk, podobny do gongu, i natychmiast zapadła cisza. Z ruin wyszedł orszak...

Na czele, niosąc krzyż z przywiązanym doń trupem psa, szedł atletycznie zbudowany Murzyn, ubrany w szkarłatny bezrękawnik, w którego pęknięciach widać było jego ciało lśniące jak z brązu. Za nim sunęły dwie młode dziewczyny ledwie okryte przezroczystymi tunikami. Ich głowy przybrano bluszczem; jedna z nich niosła kadzielnicę, a druga ' wznosiła w dłoniach puchar pełen ziaren zboża i czarnych oliwek. Pochód zamykał mężczyzna wyglądający na księdza.

Miał na sobie dokładną kopię ornatu chrześcijańskiego celebransa. Strój był biały, podbity szkarłatem i wyhaftowany w długie, czarne płomienie. Zamiast krzyża znajdowała się na nim wykrzywiona twarz. Na brodatej głowie człowiek ten miał rodzaj czarnego, obcisłego hełmu, ozdobionego parą rogów, a w ręce trzymał kielich przykryty czerwonym woalem. Czarownicy, obok których przechodził, wstawali i skłaniali się. Odsunęli się od ołtarza, gdyż tak trzeba nazwać konstrukcję z kamieni i płyty, i ustawili się w dwóch rzędach po obu stronach audytorium. Ksiądz postawił kielich na ołtarzu, po czym upadł na kolana, podniósł ramiona ku demonicznemu posagowi i zawołał mocnym głosem:

- Ojciec zła i grzechu, ojciec rozpusty i zbrodni. Szatanie, boże rozkoszy i bogactwa, wieczne źródło męskości i zakazanych namiętności, mistrzu lubieżników i rozpustników, nawiedź nas tej nocy, w tym miejscu, gdzie zebraliśmy się, by cię czcić i wielbić!...

Mimo przestróg Demetriosy, Fiora nie mogła się powstrzymać, by nie zapytać cichutko:

- Kim jest ten mężczyzna?
- To był ksiądz. Trzeba nim być, by odprawić czarną mszę...
- On odprawi...
- Tak, ale bądź cicho i cokolwiek zobaczysz, nic już nie mów!

Zacząła się nowa faza ceremoniału: najpierw czarownicy, później widzowie podchodzili parami, kobieta z mężczyzną, by oddać cześć demonowi. Padali na twarz przed ołtarzem i posagiem, po czym zawracali i ustawiali się jak wierni w kościele. Została jeszcze jedna kobieta; podeszła ostatnia, jedna z trzech należących zapewne do wyższych sfer. Niosła w

dłoniach rodzaj srebrnej patery, na której było coś niewyraźnego. Uklękła i podała patere księdzu, który wznosił ją ku bożkowi.

- Przyjmij, ojcze kłamstwa i zbrodni, serce wyrwane kłamcy i mordercy, które ofiarowuje ci twoja służebnica, abyś obsypał ją dobrodziejstwami! Ofiarowuje ona również samą siebie chcąc, by składana przez nas ofiara dokonała się na jej ciele.

Demetrios, czując drzenie Fiory, otoczył ją ramieniem i ponownie położył jej dłoń na ustach, w obawie przez mimowolnym okrzykiem.

- Mówiłem ci, że to zejście do piekieł... Odwagi!

Tymczasem w blasku żaru kobieta rozebrała się całkowicie i naga wyciągnęła się na ołtarzu. Mimo że miała maskę, przerażona Fiora rozpoznała Hieronimę. Kielich, na chwilę zdjęty, został postawiony na jej białym brzuchu. Chociaż nie miała już dwudziestu lat, ciało jej było bujne i jędrne, budzące zapewne żądze w wielu mężczyznach, co tłumaczyło wpływ, jaki miała na Marina Bettiego.

Rozpoczęła się msza, jeśli można tak nazwać ten ciąg zaklęć i świętokradztw. Fiora, której huczało w uszach, niewiele z niej słyszała. Była zahipnotyzowana widokiem nagiej kobiety, której długie, rozjaśnione włosy zwisały aż do ziemi.

Nagle stała się rzecz tak wstrętna, że Fiora przygryzła aż do krwi wargi zasłonięte dłonią Demetriososa. Z pierwszych rzędów zgromadzenia wyszła jakaś kobieta z idiotyczną ekstazą w oczach. Na wyciągniętych rękach niosła noworodka, którego podała celebransowi. Ten wziął go, położył na ciele Hieronimy, i jednym cięciem noża otworzył mu gardło. Rozległ się tylko słaby krzyk, ale po wszystkich zgromadzonych przebiegł rodzaj dreszczu.

Fiora sądziła, że był to wyraz zgrozy, ale na wszystkich twarzach zobaczyła jedynie głupią radość, bestialskie okrucieństwo, podejrzaną przyjemność. Krew wносиła do tej potworności brakujący dotąd element.

Ksiądz zebrał krew do kielicha. Umoczył w niej wargi, naznaczył nią pierś Hieronimy, po czym podał kielich jednej z pomocnic, aby puściła go w obieg w pierwszym rzędzie. Jednocześnie druga z dziewcząt przyniosła gliniany dzban pełen wina, które zmieszano z wywarem zwielokrotniającym działanie napitku. Wszyscy pili i jedli rozdawane placki. Później zaczęli tańczyć przy dźwiękach fletu, na którym grał potężny Murzyn. Tańczyli zwróceniem do siebie plecami, ze splecionymi rękami i głowami zwróconymi w taki sposób, że stykali się policzkami.

Świątokradcze nabożeństwo dobiegało końca. Celebrans, zdjawszy ornat, pod którym był nagi, położył się na Hieronimie. Był to sygnał do rozpoczęcia nieprawdopodobnej orgii w czerwonym blasku dogasającego żaru. Wszędzie pokładały się przypadkowe pary, dobrane bez względu na wiek i pozycję społeczną: stary mężczyzna z młodą dziewczyną, wielka dama z wiejskim parobkiem. Fiora, bliska obłędu, zamknęła oczy. Demetrios puścił ją.

- Nie ruszaj się stąd pod żadnym pozorem - szepnął. - Zostawiam cię z Estebanem. Przyjdę po was...

- Dokąd idziesz?

Zamiast odpowiedzi położył jej palec na ustach i rozplynał się w mroku nie poruszywszy nawet gałązki. Nie słychać już było śpiewu ani dźwięku fletu, a jedynie westchnienia, jęki i trzask rozdieranego materiału. Fiora nie

śmiała nawet zwrócić oczu na Estebana; jego przyspieszony oddech czuła przy sobie. Nagle rozległ się wielki krzyk.

- Milicja! Ratuj się kto może!

Wybuchła panika. Zapominając o przygodnych towarzyszach, wszyscy myśleli jedynie o ucieczce. Wyklęty ksiądz wyrwał się z objęć Hieronimy i zniknął w mroku, podczas gdy jego pomocnik i dwie dziewczyny unosili diabła z malowanego drewna. Fiora zobaczyła, jak Hieronima, zdjawszy duszącą ją maskę, próbuje wstać, ale nagle pojawiła się przed nią jakaś wysoka czarna postać w wyciągniętym ramieniu i trzema palcami wycelowanymi w jej przerażone oczy... Daremnie usiłowała walczyć z niewidzialną siłą i bez życia opadła z powrotem na ołtarz...

Demetrios schylił się, podniósł zrzucone na ziemię ciało złożonego w ofierze dziecka, położył je na splamionym już jego krwią ciele kobiety i oddalił się biegiem. Zbliżało się światło wielu pochodni i echo kroków...

W chwilę później Demetrios dołączył do Fiory i Estebana.

- Chodźcie! - rozkazał. - Chodźcie szybko! Mamy mało czasu na ucieczkę...

- Czy to naprawdę milicja tu idzie? - spytała Fiora.

- Tak. Dokładnie o godzinie, którą wyznaczyłem. Pan Lorenzo zastosował się do moich wskazówek.

- Kto go zaalarmował?

- Oczywiście ja. Nie chciałem jednak, by wszyscy ci nieszczęśnicy, szukający zadośćuczynienia za swoją nędzę, zostali skazani na więzienie, tortury i stos... Pani Hieronima spędzi resztę nocy w lochu, czekając na wydanie katu...

- Skąd wiedziałaś, że tu była tej nocy?

- Mówiłem ci już, że zawsze wiem, co potrzeba... A teraz pośpieszmy się trochę. Nie chcę, aby nas dogoniono...

W godzinę później byli z powrotem w zameczku, gdzie Leonarda, wysławszy Sarnię do łóżka, czekała na nich. Nie wiedząc dokładnie, na czym polegała tajemnicza wyprawa, przyjęła ich bez słowa, ale od razu podała im gorące wino z cynamonem, gotujące się wolniutko w popiele kominka. Spojrzała na Fiore, której blada twarz i ściągnięte rysy mówiły jasno, że dziewczyna przeżyła niezbyt przyjemne chwile. Młoda kobieta, otaczając lodowatymi palcami kubek napełniony wrzącym płynem, uśmiechnęła się do niej z czułością. Guwernantka urażona, że nie wprowadzono jej we wszystko, nie wytrzymała.

- Robisz wrażenie bardzo zmęczonej, skarbie, ale już od dawna nie widziałam twojego uśmiechu. Czy jesteś szczęśliwa?

- Tak... po raz pierwszy, od dawna! Śmierć ojca jest pomszczona, podobnie jak wszystko co przecierpiałam z powodu Hieronimy. Opowiem ci o wszystkim jutro, bo teraz umieram ze zmęczenia...

- Jeśli tak jest, to czy zostanie ci oddana sprawiedliwość i będziesz mogła wrócić do domu?

- Nie mam pojęcia... Być może, skoro moi wrogowie są pokonani...

- Nie wszyscy - powiedział surowo Demetrios, grzejąc przy rozpalonym ogniu białe dłonie. - Naprawdę tego pragniesz: wrócić do siebie, odzyskać majątek i o niczym już nie myśleć? Czy zapomniałaś, że...

- Że zawarliśmy przymierze? Pamiętam o tym, tym bardziej że pragnę odnaleźć mężczyznę, który porzucił mnie nazajutrz po ślubie, i zemścić się

na tych, co zawiedli na szafot moich rodziców. Przyznam jednak, że chciałabym przez pewien czas zaznać spokoju w moim domu, zobaczyć Chiare, móc jak niegdyś przejść się ulicami Florencji nie słysząc wrogich okrzyków i nie będąc obrzucaną kamieniami, zanieść kwiaty na grób tego, który zawsze będzie moim ojcem. Wolałabym pozbyć się przepełniającej mnie od tyłu dni wściekłości, zazdrości, być znowu florentynką jak inne, i upewnić się, że po powrocie z podróży będę mogła wrócić do domu... Czy proszę o zbyt wiele?

Demetrios odwrócił wzrok od jej oczu, błagających o odpowiedź, i wyszedł z kuchni. Jego kroki rozległy się na schodach wieży, na szczycie której lubił spędzać samotne godziny, obserwując gwiazdy i słuchając ich mowy. U schyłku nocy - wkrótce bowiem miał nadejść świt - odwrócił się do nieba, by patrzeć na uśpione miasto. Wiedział, że Florencja nie chciała już Fiory Beltrami, ale nie miał odwagi powiedzieć tego dziewczynie...



ROZDZIAŁ JEDENASTY

„ZANIM OSIĄGNĘ UPRAŻNIONY BRZEG..”

Wieść ta wzięła swój początek znad rzeki, gdzie krzątali się marynarze, przebiegła ulice i place, docierając najpierw do milicji, którą natychmiast wezwano, bargella i Signorii, a później ogarnęła resztę miasta, jak ogień pochodni rzuconej na snop słomy: jakiś rybak wyłowił z Arna ciało Pietra Pazziego, z raną od sztyletu między łopatkami...

Esteban, przyjechawszy na targ na Mercato Vecchio, jak to robił trzy razy w tygodniu, usłyszał tę wiadomość kupując sery, a potem ponownie od sprzedawczynie drobiu. U rzeźnika poznał kolejne jej warianty, gdyż rozpoczęło się święto plotki. Każdy twierdził, że wie na ten temat więcej od sąsiada, pojawiły się najbardziej fantazyjne wersje...

Esteban nie lubił plotkarstwa. W Kastylii spowodowało śmierć jego matki, oskarżonej przez sąsiada o zatrucie wody w studni i spowodowanie impotencji na jego syna. Starą kobietę, choć była dobrą chrześcijanką, skazano na stos, a zrozpaczony Esteban oddał katu wszystkie pieniądze, aby udusił nieszczęsną zanim ją dosięgną płomienie. Później zabił sąsiada i jego syna i podpalił ich farmę. Demetrios Lascaris, który właśnie przyjechał w tamte okolice, zabrał go ze sobą tuż przed aresztowaniem, ratując mu w ten sposób życie i zyskując w zamian dozgonną wdzięczność i poświęcenie...

Esteban nienawidził plotkarstwa prawie tak jak księży, którzy częściowo w zмовie z *alcadem* skazali jego matkę, ponieważ oskarżyciel był bogaty a ona biedna... Służba u greckiego lekarza, filozofa, astrologa i maga w pełni mu odpowiadała, gdyż mimo licznych codziennych zajęć znajdował w niej pewien rodzaj wolności. Demetrios nigdy nie wyrzucał mu, że lubi wino i dziewczęta, a on lubił je tak jak walkę, broń i wojnę, składające się na jego życie, odkąd skończył dwanaście lat...

Postanowiwszy uzyskać możliwie jasne informacje, zostawił swego obładowanego muła w oberży „Croce di Malta”. Skierował się do pałacu Signorii i jego dopełnienia, loggi dei Priori, gdzie zawsze można było zastać dwóch czy trzech pogrążonych w dyskusji notabli. Pozwoliło mu to ujrzeć przybycie starego Jacopa Pazziego, przebywającego dotychczas w swej florenckiej siedzibie, który wpadł jak burza do starego pałacu, szarżując niczym rozwścieczony byk. Wyszedł z niego w chwilę później w towarzystwie bargella i zastępu strażników. Przez plac przebiegł szmerek: czyżby patriarcha został aresztowany? Ale trwało to tylko chwilę. Grupa skierowała się w kierunku Ponte Vecchio. Esteban ruszył za nią z powstałym natychmiast tłumkiem. Pozwoliło mu to być świadkiem aresztowania Pippy i jej brata. Megiera broniła się tak energicznie, że potrzeba było pięciu mężczyzn, by ją pokonać. Wreszcie zaprowadzono ją do Stinche, miejskiego więzienia, wrzeszczącą i miotającą przekleństwa i obelgi. Zebrani nie omieszkali odpowiedzieć na wyzwiska, gdyż florentczycy, nawet gdy nie wiedzieli, o co chodzi, nigdy nie przepuszczali okazji, by się wypowiedzieć. Kiedy odprowadzano kogoś do więzienia, można było zawsze krzy-

czeć: „na śmierć!”, na wszelki wypadek, mając tylko jedną możliwość na dwie, by być w błędzie.

Esteban, patrząc na wszystko bardziej chłodno, stwierdził, że nadszedł najwyższy czas, by powiadomić Demetriososa o tym, co się dzieje. Orszak odprowadzający Pippę powiększył się o jedną osobę: brata Ignacia, który dołączył do starego Pazziego i szedł z nim ramię w ramię, przemawiając doń potocznie... Kastylijczyk instynktownie znienawidził swego rodaka, uznając go za fałszywego, okrutnego i perfidnego, w czym niewiele się pomylił. Zażyłość tych dwóch mężczyzn wydała mu się niezwykle niepokojąca...

Przepychając się łokciami, wydostał się z tłumu, podszedł po swego muła, dorzucając do jego ładunku gliniany dzbanek oliwy z oliwek, wypił swój zwyczajowy łyk wina, by nie budzić ciekawości, i opuścił spiesznie miasto. Zauważył po drodze duże zbiegowisko przed pałacem Medyceuszy, czyniące okropny zgiełk, gdyż wszyscy mówili jednocześnie, gestykulując bez opamiętania.

Wróciwszy do Fiesole, zastał Demetriososa w gabinecie, zajętego troskliwym owijaniem jakichś książek w kawałki materiału i układaniem ich w postawionym na stołku kuferku. Na rogu stołu na kawałku irchy leżały rzędem w doskonałym porządku, lśniące od niedawnego czyszczenia, instrumenty chirurgiczne - lancety, skalpele, trepany, igły proste i zakrzywione, szczypce i inne przyrządy. Demetriosowi udało się zachować od wyjazdu z Bizancjum, mimo wszelkich przeciwności losu, w czasie długich wędrówek. Stara, skórzana torba lekarska leżała otwarta obok.

Esteban obrzucił szybkim spojrzeniem te przygotowania:

- Czy szykujesz się do odjazdu, panie?

- Trzeba być zawsze gotowym do odjazdu, mój chłopcze. Ale powiedz mi, dlaczego wróciłeś wcześniej niż zazwyczaj? Widzę po twojej minie, że masz coś do powiedzenia.

- To prawda, a także i to, że jestem zaniepokojony.

Kastylijczyk nie był wielkim gawędziarzem. W kilku zdaniach doniósł o wszystkim co widział i słyszał, śledząc jednocześnie efekt swych słów na twarzy Greka. Demetrios, skończywszy napełniać kuferek, zadowolił się zamknięciem bagażu i powiedzeniem:

- Aha!

Po czym wytarł troskliwie narzędzia, jedno po drugim, i zawinał w irchę, wkładając następnie do torby. Esteban przyglądał się temu w milczeniu zgadując, że jego pan się zastanawia. Po chwili Demetrios podniósł na niego oczy.

- Przyrowadź do mnie donnę Fiore! Karmi gołębice w ogrodzie...

Chwilę później pojawiła się szczupła, czarno-biała postać Fiory, ubranej konwencjonalnie i bez zarzutu. Nie była to już uciekinierka z klasztoru w białym habicie i sznurkowych sandałach, młoda Greczynka w purpurowej tunice ani paż w zielonym kaftanie, lecz młoda, gładko uczesana kobieta w żałobie. Demetrios z zaskoczeniem stwierdził, że żałuje metamorfozy. Bładoszare oczy Fiory były jednak wciąż takie same, mogły odbijać wszelkie błyskawice niebios, i lekarz wiedział, że elegancki i zrównoważony wygląd krył płomień gorącego serca oraz dumny i odważny charakter. Zupełnie jakby chodziło o towarzyską wizytę, Fiorze towarzyszyła Leonarda, która stanęła przy drzwiach z rękami splecionymi na łonie, jak przystało na osobę

towarzystwającą szlachetnej damie. Demetrios poczuł pokusę, by poprosić guwernantkę o pozostawienie ich samych, ale pomyślał, że postępując w ten sposób wkroczy na teren konwenansów towarzyskich, które tak go drażniły. Poza tym Leonarda znajdowała się teraz na pokładzie smaganej wiatrem i wciąż zagrożonej galery jego uczennicy. Bezcelowe było ukrywanie przed nią czegokolwiek, tym bardziej że dowiedziałyby się o tym bardzo szybko. Za jej plecami stanął Kastylijczyk.

- Esteban przywiózł właśnie nowiny, które uznałem za niepokojące - rzekł Demetrios. - Musisz ich wysłuchać.

Wysłuchiwała i nie okazała z ich powodu szczególnego poruszenia. Jedyne wzmianka o hiszpańskim mnichu sprawiła, że zmarszczyła brwi.

- Znowu ten człowiek - westchnęła. - Dlaczego taką wagę przykładają do spraw Pazzich? Zdaje się, chce ich obronić za wszelką cenę...

- Jeśli jest naprawdę tajnym wysłannikiem papieża, łatwo to wytłumaczyć, gdyż jest również pełnomocnikiem jego faworyta, Francesca Pazziego... Myślałem, że to rozumiałaś?

- Oczywiście! Jest jednym z tych fanatycznych księży; ich obsesją jest diabeł, a wszędzie widzą czarowników. A przecież właśnie ostatniej nocy milicja zapewne znalazła Hieronimę w stanie, w jakim ją zostawiliśmy: nagą, leżącą na satanicznym ołtarzu, naznaczoną ofiarną krwią, z ciałem zabitego człowieka na brzuchu. Wydaje mi się, że to powinno zainteresować w najwyższym stopniu brata Ignacia. A tymczasem Esteban widział, jak rozmawiał on po przyjacielsku z Jacopem Pazzim!

- Całkiem po przyjacielsku! - potwierdził Esteban jak echo.

- Masz rację, to dziwne! - powiedział Demetrios zwracając się do słuchającego: - Właśnie, nie zdałeś do końca relacji z twojej misji. Czy ludzie w mieście mówili o Hieronimie? Milicja powinna była wtrącić ją do więzienia.

Kastylijczyk potrząsnął głową o zmierzwionych włosach:

- Nie. Nic nie słyszałem. Na targu dowiedziałem się, że wyciągnięto z wody ciało jej syna. Wszyscy mówili tylko o tym...

- Dziwne! Miasto byłoby tym wstrząśnięte. Zaś mnich za podobną sprawę powinien domagać się głów całej rodziny... a on rozmawia przyjaźnie z jej patriarchą? Trudno to zrozumieć!... Ale trzeba się wszystkiego dowiedzieć! Osiodłaj muła, Estebanie!

- Dokąd chcesz jechać? - spytała Fiora.

- Do pana Lorenza. Z nim ustaliłem interwencję milicji na wzgórzu Celeri. Chyba powinien wiedzieć, co się potem stało?

- Nie jedź tam! Coś mi mówi, że znajdziesz się w niebezpieczeństwie - prosiła z lękiem młoda kobieta. - Dzisiaj ja mam przeczucie. Pojmali Pippeę. Jeden Bóg wie, co ta kobieta powie!

- Nic nie może powiedzieć. Widziała jedynie jakiegoś żebraka...

- Obdarzonego niespotykaną mocą. Jesteś pewien, że osoba, która budzi się z wywołanego przez ciebie snu, o niczym nie pamięta? Megiera jest zręczna, przebiegła; aby uratować swoje życie, powie byle co, oskarży kogośkolwiek...

- Albo powie, że o niczym nie wie. Że młody Pazzi zwyczajnie wyszedł od niej, tak jak przyszedł...

- Może, ale jedno jest pewne: stary Jacopo wiedział o wszystkim, również o tym, po co jego wnuk wybrał się tego wieczora do Pippy. Zostań proszę! Poczekajmy trochę! Może Lorenzo przyśle ci wiadomość...

Drżała na całym ciele i jej wzruszenie zwróciło uwagę Demetriosą. Esteban przyszedł jej z pomocą.

- Ona ma rację, panie. Nie ma pośpiechu. Pozwólmy, by skończył się dzień i minęła noc. Jutro, jeśli zechcesz, pojedę się czegoś dowiedzieć zaraz po otwarciu bram. Możesz mi dać list dla Lorenza... Zawsze jesteś taki cierpliwy. Zupełnie cię nie poznaję, panie.

Lekarz wzruszył ramionami i przesunął po twarzy lekko drżącą ręką. Podeszedł do skórzanej torby, którą niedawno spakował, i oparł się o nią, jakby chciał zaczerpnąć z niej nowych sił. Później odwróciwszy się spojrzał na stojącą przy drzwiach Leonardę, milczącą i nieruchomą jak posąg.

- Co radzisz, pani Leonardo? - spytał po francusku.

- Nie sądziłam, że moje zdanie ma dla ciebie znaczenie.

Przypuszczam, że od rana oczekiwałaś jakiegoś wydarzenia... mogącego zmusić cię do wyjazdu. Bo czemu służyłby ten kufer, torba, ciągle pakowanie?

- Powinienem był wiedzieć, że żaden tego typu szczegół nie umknie uwagi dobrej pani domu - powiedział z uśmiechem. -To prawda: od rana spodziewam się czegoś, ale nie umiałbym powiedzieć czego. Wydaje mi się, że zbliża się chwila, gdy trzeba będzie opuścić ten dom.

- A więc niech to się stanie przynajmniej bez przymusu! Posłuchaj rady Estebana! Kilka godzin mniej czy więcej niczego nie zmieni...

Demetrios skinął głową i nic nie mówiąc opuścił pokój. Fiora poszła za nim. Jedno za drugim bez słowa weszli na szczyt wieży. Młoda kobieta usiłowała nadal zrozumieć, dlaczego przed chwilą tak gwałtownie przeciwstawiła się wyjazdowi Greka. Wiedziała tak jasno, jakby wykrzyczał jej to jakiś tajemniczy głos, że jeśli Demetrios pojedzie do Florencji, nie wróci żywy. Myśl o utracie tego ostatniego przyjaciela, który aby jej pomóc posunął się aż do zabójstwa, była jej nieznośna. Ten dziwny i ciekawy człowiek, którego kiedyś się bała, stał się teraz bardzo bliski. Nie czuła do niego głębokiej czułości, jaką darzyła ojca, ani palącej miłości, którą wzbudził w niej Filip, uczucia żarzącego się jeszcze w popiele. Nie żywiła też do niego przywiązania, jak wobec starej Leonardy czy Khatoun, ani radosnej przyjaźni łączącej ją z Chiarą Albizzi. Było to uczucie, na które składała się wdzięczność, przyjaźń i nieco bojaźliwy szacunek zastrzeżony niegdyś dla nauczycieli, otwierających jej umysł na kulturę i piękno. Reasumując, było to uczucie trwałe i mocne. Czyż zresztą nie byli związani zawartym braterstwem krwi?... Kiedy dotarli na szczyt wieży, Fiora podeszła do Demetriosza opierającego się, jak to miał w zwyczaju, o blanki, i położyła dłoń na jego rękę.

- Ani ty, ani ja nie mamy już rodziny - powiedziała łagodnie.

- Ty masz męża...

- Nie. To był tylko sen, który mi się przyśnił i obrócił się w kpinę. Chcę go odnaleźć, aby zapłacił za moje cierpienie i swoją pogardę. Wziął ode mnie wszystko, nie dając nic oprócz nazwiska, którego nie będę nigdy nosić. Ty mnie uratowałeś, a nawet za cenę własnego bezpieczeństwa wziąłeś

na siebie sprawę mojej zemsty. Ponieważ zmieszaliśmy naszą krew, chciałabym, żebyś widział we mnie... córkę.

- Wnuczkę! Mógłbym być twoim dziadkiem. Fiore. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość...

- Nawet ty?

- Nawet ja! Zasłona przyszłości nie zawsze się podnosi, a ruch gwiazd pomija wiele szczegółów. Może lepiej byłoby nie dać się złapać w pułapkę uczucia? Moglibyśmy cierpieć z tego powodu. Sprzymierzyliśmy się, by zostać towarzyszami walki: spróbujmy się tym zadowolić, ale będę czuwać nad tobą... jak dziadek. Nigdy nie zapomnę tego, co ofiarowałaś mi dzisiaj: pierwszej chwili radości od śmierci Teodozjusza...

Teraz on wziął rękę Fiory i złożył na niej lekki pocałunek, po czym wsunął rękę pod swoje ramię.

- Pora na posiłek. Zejdźmy, by oszczędzić Estebanowi wspinania się po nas tutaj.

Pod koniec dnia ponownie weszli na wieżę. Ich uwagę zwrócił dziwny zgiełk, dobiegający ze skrytego za obłokami miejskiego kurzu. Coś wzburzyło pobudliwych florentczyków, zawsze łatwo poddających się emocjom. Nie były to zamieszki, gdyż Vacca, wielki dzwon Signorii, służący wyłącznie do bicia na alarm, milczał. Nagle rozległy się trąbki i Demetrios wychylił się osłaniając oczy dłonią.

- Spójrz! Słońce jeszcze nie zaszło, a tymczasem zamykają bramy...

Była to prawda. Nawet z dużej odległości dolatywał odgłos spuszcanych krat i zgrzytanie podnoszonych mostów zwodzonych. Powietrze było przejrzyste i Demetrios, obdarzony sokolim wzrokiem, spostrzegł nawet te

działania. Miasto zamykało się wcześniej niż zazwyczaj, Zdawało mu się nawet, że na murach jest więcej żołnierzy...

-Czyżby zbliżał się jakiś wróg? - spytała Fiora.

- Gdyby tak było, dzwon wzywałby do broni. Nie, coś się dzieje w mieście. Chodzi o uniknięcie rozszerzania się zamieszek na okolice... Ale spójrz! Tam coś się pali...

Istotnie, gdzieś w mieście, w okolicy rzeki, pojawił się słup gęstego, czarnego dymu, przesywanego czerwonymi błyskami...

- Mój Boże! - jęknęła Fiora. - To szaleństwo rozpalać ogień w mieście, gdzie jest tyle drewnianych domów! Zdaje się, że to gdzieś niedaleko nas...

Demetrios nie odpowiedział. Stali oboje przez chwilę, patrząc jak dym się wznosi, a słońce zapada w morze. Krajobraz nabrał fioletowej barwy i spokój wieczoru pozwalał lepiej dosłyszeć panujący w mieście zgiełk... Grek i młoda kobieta zafascynowani nie mogli oderwać oczu od widoku miasta przypominającego kocioł z kipiącą wodą. Dachy, w kurzu i migotliwym świetle, zdawały się przelewać jak fale. Zdyszany głos Estebana, którego nadejścia nie usłyszeli, rozległ się nagle tuż przy nich:

- Panie! Pan Lorenzo jest tutaj! Chce cię zobaczyć, i donnę Fiorę także! Szybko!

Zeszli pospiesznie, ledwie wierząc własnym uszom. Lorenzo rzeczywiście przyjechał. W ulubionej, zielonej szacie stał przy oknie w gabinecie Demetriososa w towarzystwie swego przyjaciela Poliziana, który bawił się rękawicami, oparty plecami o jedną z szaf. Chuda twarz Lorenza wyrażała zatroskanie, ale wydał się Fiorze wyższy niż podczas ostatniego spotkania

pod dachem Signorii. Usłyszawszy ich wejście, odwrócił się od okna i spoj-
rzał na nich.

- Ty tutaj, panie? - zapytał Demetrios kłaniając się, podczas gdy jego
towarzyszka zgięła lekko kolano w bardzo sztywnym ukłonie. To wielki
zaszczyt.

- Musiałem przyjechać, bo czas nagli. Właśnie opuściłem miasto, by
udać się do Badii, gdzie odbywa się zebranie naszej Akademii Platońskiej,
ale wydałem rozkaz, by zamknięto za mną bramy. Otworzą je dopiero jutro,
o zwykłej porze. Tej nocy musicie oddalić się jak najbardziej od tych, któ-
rzy chcą waszej śmierci!

- Czy powiesz nam, co się dzieje, panie? - zapytała Fiora lodowatym
tonem. - Wiemy, że ciało Pietra Pazzięgo wyłowiono z Arno, że aresztowa-
no Pippe, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego ktoś chciałby zabić właśnie
nas?

- Ponieważ ta kobieta przemówiła. Oskarża cię o zasztyletowanie gar-
busa z pomocą czarownika przebranego za żebraka...

- Mnie? A niby jak dostałem się do jej domu?

- Mówi, że zna cię od dawna... Jakoby przychodziłaś do niej, by spoty-
kać się z mężczyznami. Naturalnie, szukałaś schronienia w jej domu po
ucieczce z klasztoru... Pietro... był jednym z tych, z którymi się spotykałaś,
był bardzo w tobie zakochany...

- I co jeszcze? - zawołała młoda kobieta. - Czy naprawdę można w tym
mieście, twoim mieście, szkalować każdego? Oczywiście, uwierzono jej?

- Zawsze wierzy się w to co podoba się pospólstwu.

- Naprawdę? Powiedz więc, jak pospólstwo przyjęło wiadomość o aresztowaniu Hieronimy? Jak to się dzieje, że jej teść szarogęsi się w Signorii?

- Lud nie dowiedział się o tym aresztowaniu.

Lorenzo odwrócił oczy od młodej, pałającej gniewem twarzy, a jego zachrypty głos wydał się jeszcze bardziej stłumiony, kiedy powiedział: - Hieronima uciekła ze Sunche, zanim wiadomość się rozeszła. Jest teraz na wolności, nie wiemy gdzie...

- Co? - krzyknęli jednym głosem Fiora i Demetrios, a Grek zapytał: - Jak to możliwe?

- Wśród interweniującej milicji było dwóch protegowanych Pazzich. Natychmiast uprzedzili starego Jacopa. Przybył osobiście ze swymi ludźmi i hiszpańskim mnichem po synową, nadal zresztą nieprzytomną. Pozwoliło im to utrzymywać, że padła ona ofiarą straszliwych machinacji i czarów... Wyłowienie ciała Pietra i zeznania Megiery stanowiły ogień podłożony pod beczkę prochu. Ten fray Ignacio przez cały dzień nawoływał na placach i skrzyżowaniach ulic, by pojmano ciebie, Fioro, i Demetriosa...

- A ty - rzuciła Fiora - co robiłeś przez cały ten czas? Ty, władca Florencji, Wszechpotężny, Wspaniały? Co robiłeś, kiedy mordowano twojego przyjaciela a mojego ojca? Co robiłeś, gdy stawiano mnie w stan oskarżenia, porywano z klasztoru, by oddać w ręce Megiery, wystawiono na pastwę żądź każdego a przede wszystkim tego nędznika Pietra, który chciał mnie udusić? Zginęłabym, gdyby nie Demetrios, bo ty nie robiłeś nic. Pozwalasz odrzeć mnie ze wszystkiego, pozwalasz...

- Podłożyć ogień pod pałac Beltramiego - powiedział cicho Grek. - To on płonie, nieprawdaż?

Fiora odwróciła się i spojrzała z przerażeniem:

- To... mój dom?

- Tak, Fioro - odrzekł Lorenzo - twój dom. Kiedy zrozumiesz, że żyjemy w republice i że mam nad nią władzę tylko wtedy, gdy czynię ją bogatą, szczęśliwą i potężną?

- Rozumiem. Wolisz pozwolić, by cudzoziemski mnich manipulował tłumami, podczas gdy ty dyskutujesz z królami i wielkimi tego świata? Czy chociaż wiesz, że ten człowiek, tajemniczy wysłannik nienawidzącego cię papieża, jest bardziej twoim wrogiem niż moim? Ja jestem tylko pionkiem na jego szachownicy, pretekstem.

- Co o tym wiesz?

- Wiem o tym więcej niż ty...

Pokrótkie opowiedziała o wydarzeniach w sali kapitulnej klasztoru Santa Lucia.

- Pozwól, by ten mnich dokończył swego dzieła! - dodała z pogardą, a wkrótce siostrzeniec Sykstusa IV będzie władcą Florencji, władcą umiejącym narzucić swą wolę!

W miarę jak mówiła, małpia a jednak urzekająca twarz Lorenza zieleśniała, jakby nagle jego zielona szata zafarbowwała mu skórę.

- Mnich mieszka w San Marco. Jeszcze tej nocy zostanie zatrzymany i pod dobrą eskortą odprowadzony do granicy Florencji. Dziękuję ci za dostarczenie dowodu na to, czego się domyślałem. Demetrios może to potwierdzić...

- Niewątpliwie! - powiedział ten ostatni z ironią - ale my nadal podlegamy państwowemu wymiarowi sprawiedliwości... podczas gdy pani Pazzi biega sobie na wolności.

- Obiecuję, że każę jej szukać, ale dla was naprawdę nic nie mogę zrobić; co najwyżej pomóc w wyjeździe i umieścić w bezpiecznym miejscu...

- Sama poszukam Hieronimy - wykrzyknęła Fiora z zaciekleścią. - Nie zajmuj się już mną, skoro nie umiałeś nawet pomścić mojego ojca, zamordowanego i zhańbionego...

- Marino Betti nie żyje. To ja rozkazałem go zabić Savagliowi.

- Ale w nocy, i u niego, a nie w biały dzień w miejscu publicznym! To sprawiło, że w oczach wszystkich mój ojciec nadal uchodzi za nędznika, kłamcę, a może i szpiega, czemu nie?

- No właśnie, czemu nie? - powiedział Lorenzo, którego ogarniał gniew. - Mam wszelkie podstawy, by sądzić, że zdradził republikę, wspomagając swoim złotem armię księcia Burgundii. Fuggerowie domagają się spłaty weksla na sto tysięcy florenów, wpłaconych do skarbcza Burgundii na rachunek pana Filipa de Selongeya. Co masz do powiedzenia na ten temat?

- Nic... tylko jedno pytanie; czy wpłacono tę sumę?

- Bankowi Fuggerów? Oczywiście, że nie. Twój ojciec nie żyje, a jego dobra są pod kontrolą...

- Twoją kontrolą! Bezprawną!

- Był to jedyny sposób, by uchronić je od wpadnięcia w ręce Pazzich, a twoja adopcja jest splamiona fałszerstwem! Co się zaś tyczy Fuggerów, tym gorzej dla nich! Dogadają się z księciem Burgundii...

- Tak więc - powiedziała wolno Fiora - mój ojciec uchodzi nie tylko za nędznika i kłamcę, lecz również za człowieka nieuczciwego! On, którego słów nigdy nie podawano w wątpliwość. Te pieniądze były moim posagiem!

- Twoim posagiem?

- Ależ tak! W noc poprzedzającą jego wyjazd poślubiłam tutaj, w kaplicy pobliskiego klasztoru, burgundzkiego wysłannika. Znał on prawdę o moim pochodzeniu i żądał tego małżeństwa, bo ty odmówiłaś pomocy jego władcy. Jestem hrabiną de Selongey.

- Dowody! Czy masz na to dowody - zawołał Lorenzo, którego twarz zbladła, a potem oblała się purpurą.

Fiora zamierzała odpowiedzieć, że nie wie, gdzie są dowody, ale nagle rozległ się głos Leonardy:

- Oto one, panie! - powiedziała spokojnie, podchodząc ze zwojem, z którego zwisała zielona wstęga. - Znajdziesz tu akty adopcyjne donny Fiorry, kontrakt małżeński, podpisany i opieczętowany przez jej małżonka, kopię weksla, a nawet zaświadczenie opatrzone podpisem i pieczęcią padre Antonia, przeora klasztoru. Ser Francesco Beltrami przekazał mi to w wigilię swojej śmierci, gdyż czuł się zagrożony...

Wspaniały wziął i podał Polizianowi, który natychmiast stracił swą posagową nieruchomość. Władca ociężałym nagle krokiem podszedł do wysokiego krzesła z poręczami i usiadł.

- Czytaj! - powiedział jedynie Medyceusz.

Poeta rozwiązał wstęgę i przebiegł dokumenty wprawnym okiem, po czym z powrotem je zwinął.

- Wszystko jest w porządku, panie!

- Jest jeszcze jeden dowód - powiedziała Leonarda. Wyciągnawszy z za gorsetu złotą obrączkę z herbem Selongeyów, pokazała ją Lorenzowi. Potem, odrobinę uroczystym ruchem, wsunęła obrączkę na palec Fiory, która zacisnęła na niej dłoń nie mogąc opanować drżenia.

- Tak więc - szepnął Lorenzo - jesteś żoną jednego z najmożniejszych ludzi w Burgundii? - Roześmiał się niewesoło i dodał: - Dlaczego więc twój mąż nie przybył w porę wstawić się za tobą przed oskarżeniami? Dlaczego nie domagał się zadośćuczynienia z bronią w rękę za mimowolną obrazę jego nazwiska?

- Ponieważ w tej chwili - powiedziała Fiora z goryczą - jestem bez wątpienia wdową. Pan de Selongey postanowił umrzeć, by ukarać się za splamienie swego nazwiska przez małżeństwo ze mną... Sprzedał się, by pomóc Zuchwałemu!

Lorenzo wstał, zrobił kilka kroków, by się nieco uspokoić, po czym zatrzymał się przed Fiorą, po której nieruchomej twarzy spływały łzy.

- Biedne dziecko! - powiedział z nieskończoną łagodnością. - Czy będziesz mogła jeszcze kiedyś uwierzyć w lojalność i miłość mężczyzny? Niezdolna do wymówienia słowa, i czując się nagle straszliwie zmęczona, pokręciła przecząco głową.

- W każdym razie - kontynuował Lorenzo - jeśli nawet twój mąż zginął, stało się to zupełnie niedawno. W dniu gdy splądrowano twój pałac, był tam!

Policzki Fiory oblał gwałtowny rumieniec.

- To niemożliwe - powiedziała zgaszonym głosem...

- Nie - rzekł Poliziano - to prawda. Widziałem go. Początkowo nie byłem pewien, czy to on, bo był ubrany jak biedak. Stał w tłumie: patrzył. Zobaczyłem, że z kimś rozmawia. Pewnie się zastanawiał nad przyczynami tamtych wydarzeń. Nie widziałem, co go tam ciągnie. Przez chwilę wahałem się, czy go zaczepić. Kiedy się zdecydowałem, tłum przeszkodził mi w zbliżeniu się do niego. Zniknął bez śladu...

- Sądziłem, że przyszedł na przeszpiegi - podjął Lorenzo. - Kazałem przeszukać oberże, tawerny, ale nikt go nie widział. Nikt nie umiał powiedzieć, co się z nim stało...

Fiora z rozjaśnionym wzrokiem słuchała jego słów jak anielskiego śpiewu:

- Wrócił! - westchnęła. - Wrócił, choć przysięgał, że nigdy już mnie nie zobaczy...

- Wybacz to, co powiem, Fioro - rzekł Lorenzo - ale czy jesteś pewna, że chciał cię zobaczyć?

- A kogóżby innego? - zawołała z nagłą gwałtownością.

- Twego ojca. Miasto Neuss wciąż stawia opór Burgundczykowi. Przedwczoraj, pierwszego maja, rozejm, zawarty trzy lata temu między Francją a Burgundią, i przedłużany dwukrotnie, dobiegł ostatecznie do końca...

- Ośmielasz się insynuować, że znowu przyjechał po pieniądze?

- A po cóż innego? Musiał usłyszeć, co się z tobą stało, skoro pytał ludzi na ulicy... a mimo to wyjechał, nie szukał cię...

Widząc, że Fiora chwieje się na nogach, niczym wysoki kwiat miotany wiatrem, Demetrios podał jej ramię.

- Nie można byłoby jej zostawić chociaż cienia wątpliwości? - zapytał z wyrzutem. - Czy naprawdę musi odjechać zrozpaczona? Przypominam ci z szacunkiem, że przybywszy tu podkreślałeś, że musimy natychmiast uciekać z miasta. Starczy już słów, a skoro się nas wygania...

- Nie wyganiem was - rzekł Lorenzo ze zmęczeniem, -próbuję was uratować! Jesteście mi oboje drodzy, choć nie chcecie mi uwierzyć. Oto dowód!

Wydobył ze swej szaty list zapieczętowany swym herbem i podał Demetriosowi.

- Oto list do króla Ludwika Francuskiego, do którego cię wysyłam. Przyjmie tak zręcznego lekarza jak ty, gdyż cierpi nie mogąc się ich pozbyć, ma bardzo uciążliwe hemoroidy. Poza tym donoszę mu, że jesteś moim przyjacielem.

- Dziękuję. A... ona? - spytał Demetrios, wskazując głową Fiore, którą Leonarda posadziła na krześle.

- Mógłbyś ją zabrać do Paryża, gdzie ma... gdzie Beltrami miał kuzyna prowadzącego jego kantor. Niczego jej tam nie zabraknie; Donati, zarządzający aktualnie interesami jej ojca, musi nad tym czuwać. Ale to czego się dowiedziałem wiele zmienia. Dajcie mi coś do pisania, a wy przygotujcie się do wyjazdu...

- Jeśli o mnie chodzi, jestem gotowy - rzekł Demetrios.

- My też - powiedziała Leonarda.

Medyk ustawił na stole przybory do pisania i Lorenzo brał już pióro do ręki, kiedy Fiora go powstrzymała.

- Co chcesz zrobić?

- Polecę cię królowi Ludwikowi, aby...

- Żona Filipa de Selongeya mogła mu służyć jako zakładniczka? Sam przed chwilą powiedziałeś, że nic nie znaczą dla człowieka, z którym zostałam połączona.

- Nie - powiedział Lorenzo poważnie. - Aby mu powiedzieć, że wysłałem mu córkę... nieszczęśliwą córkę Francesca Beltramiego, przyjaciela, którego utraciłem. Jego imię jest znane na dworze francuskim.

Zamierzał zabrać się do pisania, ale Fiora chwyciła czystą jeszcze kartkę i podarła ją.

- Pozwól, że sama pokieruję moim losem! Póki nie oczyszczą mnie z zarzutów i nie zostaną mi publicznie przywrócone prawa... i to przez ciebie, niepotrzebne mi twoje rekomendacje.

- Fioro, błagam cię: zdaj się na bieg czasu!

- Czas? W jakim to wierszu Petrarca powiedział: „Zanim osiągnę upragniony brzeg, utraci wawrzyn liście zielone?” Nigdy nie ośmielisz się postąpić wbrew woli ludu, Lorenzo... ale strzeż się dnia, w którym znajdzie on sobie inne bożyszczę! I strzeż się papieża!

Wyprostowana i dumna, z podniesioną głową, jakby zmierzała ku chwale, a nie stawiała pierwsze kroki na ścieżce prowadzącej w nieznane, Fiora odwróciła się plecami do Wspaniałego, uosabiającego cały czar i świetność jej młodości... i wyszła z pokoju.

W kwadrans później, ubrana w zielony kaftan przysłany przez Chiare, wkładała nogę w strzemię, przytrzymywane przez Lorenza. Podarował jej własnego konia, a Demetrios i Leonarda otrzymali wierzchowce, na których przyjechali Poliziano i Savaglio. Trzej mężczyźni postanowili zejść do

Badii pieszo. Esteban już miał konia, a muł, służący jemu i jego panu, niósł bagaże.

Demetrios spojrzął przed odjazdem na mały zameczek, który był jego pierwszą spokojną i cichą przystanią po tylu latach tułaczki. Miał on pozostać zamknięty - pod warunkiem, że rozwścieczony tłum nazajutrz go nie podpali. Pięknej Samii nakazano powrócić do Badii lub pałacu na via Larga. Grek wiedział, że mimo wszystko zostawia tu przyjaciół: Poliziano uściskał go płacząc, a sam Lorenzo wziął go w ramiona szepnąwszy, że w sakwach na jego koniu oraz w torbach na wierzchowcu Fiory znajduje się złoto... Ale medyk nie był smutny: myślał o dopełnieniu swej zemsty, dzięki tej pięknej kobiecie, którą Bóg... albo Diabeł uczynił jego towarzyszką, a może współniczką... Zbyt przyzwyczał się do częstych wyjazdów, aby ten był mu szczególnie przykry.

Leonarda była szczęśliwa, choć nie chciała się do tego przyznać. Odnalazła swoje dziecko, ujrzy rodziną Burgundie, której nie zapomniała, mimo piękna Florencji. To przynajmniej był prawdziwie chrześcijański kraj, w którym nie uczestniczono we mszy wychwalając chwilę przedtem pogańskie bóstwa!

Esteban nie myślał o niczym. Szedł tam, dokąd podążał jego pan, do którego był przywiązany, ale był zadowolony z wyjazdu. Za bardzo lubił przygody i bijatykę, by się zadowolić wyjazdami na targ i spokojnym życiem na łonie natury. Niewątpliwie, ich życie stało się bardziej pasjonujące, odkąd wkroczyła do niego ta, którą w duchu nazywał „madonna o szarych

oczach". Dobrze, że zmierzali ku innym horyzontom... krajom, w których prowadzono wojnę.

Fiora słuchała nocy. Zerwał się wiatr i niósł ze sobą odgłosy niespokojnego miasta. Mogła dostrzec ruchome światełka i lekkie dymy, które - ściśnięte w pierścieniu murów - przypominały krater budzącego się wulkanu... Domagano się tam jej śmierci i pożegnać musiała wszelką nadzieję, że kiedyś tam wróci. Mimo przebytych cierpień, jej korzenie pozostawały na zawsze w mieście Czerwonej Lili. Głos Lorenza, przytrzymującego jeszcze wodze jej konia, dotarł do niej jak we śnie.

- Nie pożegnasz się ze mną, Fioro? Nawet jeśli mnie nienawidzisz, chcę, żebyś wiedziała, że nic już nie będzie takie jak kiedyś. Zabierasz ze sobą trochę piękna tego miasta...

- Żegnaj, panie Lorenzo! Jeśli tak ci zależy na urodzie miasta, czuwaj nad Simonettą Vespucci... Ją też możesz stracić... - powiedziała przypominawszy sobie przepowiednie Demetriososa.

- Co mi tam Simonetta! Ona nie mnie kocha... a ty... zdaje mi się teraz, że mógłbym cię kochać...

Oddał jej wodze, które ujęła pewną dłonią. W ciemnościach ujrzała błyszczące, ciemne oczy Lorenza i naraz, pod wpływem nagłego impulsu, pochyliła się i na krótką chwilę przyłożyła usta do warg Wspaniałego.

- A więc... żałuj tego, panie! Myśl o mnie!

Chciała odjechać; powstrzymał konia siłą, o którą trudno było podejrzewać jego chudą postać.

- Kto dał mi ten pocałunek? Fiora Beltrami czy pani de Selongey?

- Ani jedna, ani druga. Jedna z tutejszych dziewcząt: florentynka... zwykła florentynka!

Ponieważ nie chciała, by ujrzał łzy napływające jej do oczu, spięła konia i ruszyła galopem długą, cyprysową aleją. Dojechawszy do jej końca zatrzymała się, by poczekać na swych towarzyszy. Demetrios dołączył do niej pierwszy.

- Musimy odnaleźć drogę do Prato - powiedział swym niskim i uspokajającym głosem. - Trzeba przejść przez wzgórza... Pozwól, że cię poprowadzę!

Uśmiechnęła się do niego.

- Tylko pod warunkiem, że doprowadzisz mnie tam, gdzie zechcę... Hieronima uciekła, ale pewnego dnia ją odnajdę. Obecnie mamy inne rachunki do wyrównania.

Zdjęła kapturek i podniosła głowę, by poczuć jeszcze raz powiew od wzgórz. Noc była piękna i ciepła, pełna wiosennych zapachów; stworzona do szczęścia, a przecież dla niej była to noc wygnania... Dzwon klasztoru w Fiesole, o dźwięku jeszcze wyższym z powodu oddalenia, obwieścił wieczorne nabożeństwo. Fiora zamknęła oczy, aby lepiej zapisać jego echo w pamięci. Jednocześnie jej dłoń odnalazła pod kaftanem złotą obrączkę, która wróciła na swoje miejsce na łańcuszku:

- Filipie - szepnęła sama do siebie tak cichutko, że nawet wiatr jej nie słyszał - Filipie... czemu wróciłeś?

Saint Mandé, 1 marca 1988 r.